

KRZYSZTOF PISKORSKI

WYGNANIEC



Krzysztof Piskorski

WYGNANIEC

Opowieść piasków. Tom I

Przedmowa do wydania poprawionego

Pierwszy tom *Opowieści piasków* napisałem prawie dziesięć lat temu. Wypada zatem powiedzieć kilka słów z okazji premiery drugiego, poprawionego wydania cyklu.

Pamiętam jeszcze to dziwne uczucie, kiedy zobaczyłem na półce księgarni swoją pierwszą powieść, choć wydaje mi się, jakby to było bardzo, bardzo dawno temu. Zupełnie inna epoka. Co ważniejsze, była to również inna epoka dla polskiej fantastyki - okres, który dzisiaj wypadaloby chyba nazwać „małym złotym wiekiem” gatunku. Lata 2001-2005.

Zaczytane na śmierć tomy wiedźmińskiej sagi krążyły wtedy jeszcze w liceach i między studentami, a Andrzej Sapkowski był u szczytu popularności. Wydawał trylogię husycką, której każdy tom wspinał się na listy bestsellerów. Jego sukcesy z końca lat 90 sprawiły, że wydawcy „dorzucili do pieca” i publikowali naprawdę dużo fantastyki, nie bojąc się debiutantów.

Na półkach było pełno znanych nazwisk. Jacek Dukaj pisał bardzo dużo i wydawał legendarne już powieści, takie jak *Czarne oceany*, *Inne pieśni*, czy *Perfekcyjna niedoskonałość*. Adaptację *Katedry*, przygotowaną przez Tomka Bagińskiego, nominowano do Oscara. Pierwszy (i pewnie ostatni raz) nakręcono w Polsce wysokobudżetowy serial fantasy. Ziemiański wydał *Achaję* i dostał Zajdla za *Autobahn nach Poznań*. Anna Brzezińska parła do przodu z kolejnymi świetnymi opowiadaniem i tomami cyklu o Twardokęsku. Jarosław Grzędowicz wydał *Księżę jesiennych demonów*, zaczął *Pana Lodowego Ogrodu*. Ukazywało się dużo nowych powieści Jacka Komudy, Jacka Piekary, Andrzeja Pilipiuka.

To chyba nie przypadek, że pierwsze książki opublikowało wtedy tylu nowych autorów: Wit Szostak, Anna Kańtoch, Szczepan Twardoch, Maciej Guzek, Jakub Ćwiek, Marcin Mortka oraz wielu innych. Niektórzy z nich odcisnęli w następnej dekadzie poważny ślad na polskiej fantastyce i nie tylko.

Jeszcze ciekawiej było na rynku czasopism. Fantastyczne opowiadania drukowało „Science Fiction”, „Nowa Fantastyka” z przyległościami, „Magazyn Fantastyczny”, „Fantasy” oraz istniejące jeszcze wtedy papierowe

pisma o grach RPG. Ssanie na polskie teksty było ogromne. Co miesiąc wszystkie wymienione tytuły tłoczyły ich na rynek nawet 15-20. Tylko zejście „Fenixi”, zniknięcie „Magii i Miecza”, powolne odchodzenie „Portalu” mogło wróżyć, że taki stan rzeczy nie potrwa wiecznie...

To był jednocześnie bardzo dobry i bardzo zły czas, by zadebiutować. Dobry: bo o debiut było łatwo, przynajmniej w porównaniu do dzisiejszej sytuacji. Może nawet za łatwo. Zły: bo ogromna liczba znanych pisarzy właśnie tworzyła swoje najlepsze książki, a oknami pchali się nowi; ludzie byli wręcz rozdrażnieni falą obcych nazwisk.

W tym klimacie pojawiła się *Opowieść piasków*, przy umiarkowanej promocji i dość dobrych recenzjach. Poradziła sobie nieźle, jak na debiut, ale na pewno nie tak dobrze, jak oczekiwałem w naiwności młodego autora.

Ale i to miało swoją zaletę. Po publikacji całego cyklu byłem już trochę twardszy. Bardziej realistycznie patrzyłem na życie i pisanie. Dzięki wielu dobrym recenzjom uwierzyłem, że jest sens iść do przodu, a dzięki małej garstce osób, które starały się dać mi do zrozumienia, że nigdy nie powinienem wchodzić do literackiego świata, stwardniała mi skóra.

A co z samym cyklem? Dzisiaj, kiedy patrzę na te trzy książki, widzę miejscami nieporadny styl debiutanta. Ale widzę też ciekawą strukturę, która wcale się nie zestarzała. Bo *Opowieść piasków* to przede wszystkim ogromna liczba punktów widzenia i rozmach.

Wielowątkowa fabuła toczy się jednocześnie na całym świecie, poznajemy ją oczyma ponad dwudziestu głównych i pobocznych bohaterów. Narracja płynie wartko, no i są wszystkie atuty, których można oczekiwać po przygodowym cyklu fantasy: morderstwa, śledztwa, bitwy morskie, bitwy lądowe, rewolucje, dalekie podróże, złe przepowiednie, pojedynki, magia, tajemnice przeszłości...

Dzisiaj nazwałbym tę powieść „martinowską”, gdyby nie fakt, że po „Pieśń Lodu i Ognia” sięgnąłem ładnych parę lat później. No i oczywiście gdyby nie to, że Martin pisał swoją sagę już jako literacki weteran, a ja swoją z prawie zerowym doświadczeniem, więc walczyliśmy w zupełnie innych ligach.

Na pewno teraz napisałbym wiele fragmentów inaczej, ale zdecydowanie nie wstydę się tego cyklu. Uważam, że wciąż dobrze się go czyta, bo ma to coś, co sprawia, że chce się przewracać kolejne strony - a to przecież najważniejsza cecha fantasy.

Już od jakiegoś czasu chciałem ponownie udostępnić *Opowieść piasków*

czytelnikom. Bardzo się ucieszyłem, gdy skontaktowali się ze mną twórcy Bookrage. W rezultacie, jako pierwsza osoba w ramach tej akcji udostępniam nie pojedynczą książkę, a kompletny cykl.

Jest wiele powodów. Wydania papierowe są już od dłuższego czasu niedostępne. Czasy się zmieniły, coraz więcej ludzi korzysta z czytników, a jedyna oficjalna konwersja e-bookowa, przygotowana przez pewną popularną księgarnię jest - łagodnie mówiąc - niekompletna. Twórcy konwersji usunęli np. wszystkie znaczniki podrozdziałów, zmieniając każdy rozdział w jeden wielki, ciągły tekst. W książce, gdzie obok siebie pojawia się nawet dziesięć małych scenek, to ekwiwalent zbrodni edytorskiej, za którą powinno się łamać kości na drukarskiej prasie i poić przemocą tuszem.

Poza tym wiedziałem, że w pierwszej edycji, mimo kapitalnej i pieczołowitej redakcji Runy, przemknęło się kilka błędów. Po tym, jak zwrócili na nie uwagę znajomi oraz czytelnicy, przez pewien czas miałem w notatniku sekcję zatytułowaną „do poprawienia w drugim wydaniu”. Do drugiego wydania jednak nie doszło. Sekcja pokryła się kurzem. Nie było zamknięcia.

I tak, latem 2013 otrzymałem pretekst, by wziąć się za kompletną redakcję *Opowieści piasków*. Odgrzebałem stare notatki. Przypomniałem sobie dawne dyskusje na forach.

Starłem się powstrzymać przed większymi ingerencjami, bo przepisywanie całego cyklu nie miało przecież sensu. Ograniczyłem się do drobnych poprawek stylistycznych oraz do skorygowania znanych mi błędów. Najbardziej chyba zmienił się *Najemnik*. Ponieważ wielu fanów twierdziło, że w drugim tomie akcja spowalnia, przyjrzałem się dokładnie jego strukturze, po czym wyciąłem prawie 10 tysięcy słów. *Najemnik* stał się trochę bardziej dynamiczny. Lepiej spina otwarcie i zakończenie cyklu.

W sumie pracy było sporo, ale czytanie *Opowieści piasków* po latach sprawiło mi dużo radości. No i zapewniło trochę dziwniejszych wrażeń. Z jednej strony świat i bohaterowie wydawali mi się bardzo znajomi. Znam ich przecież doskonale, jak film, który widziało się pięćdziesiąt razy. Z drugiej - czuję już, jakbym nie ja pisał ten tekst; jakby inny autor wyssał mi z głowy sceny i dialogi, a potem złożył z nich książkę. Taki dystans na pewno ułatwiał pracę.

Mam nadzieję, że odświeżony cykl będzie się dobrze czytało. I choć powrót do Tel'Halik oraz Krain Środka był dla mnie jak powrót do domu, to chyba ostatnia wizyta. Po drugim, e-bookowym wydaniu, nie planuję tam

więcej zaglądać. Otrzymałem swoje brakujące zamknięcie; pożegnałem się z pierwszym rozdziałem autorskiego życia.

Zostało chyba tylko wyrazić wdzięczność kilku niesamowitym osobom, dzięki którym macie w rękach tę książkę. Chciałbym podziękować Annie Brzezińskiej za pracę, którą włożyła w całą trylogię. Jej porady dotyczące stylu i pisania, które otrzymałem przy okazji redakcji, okazały się bezcenne. Jestem pewien, że gdyby nie jej upór i oko, *Wygnaniec* byłby dużo słabszym debiutem. A wtedy wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej. Oprócz Ani, dziękuję również Edycie Szulc i Antoninie Liedtke - za prowadzenie przez tyle lat przyjaznego wydawnictwa, gdzie młody autor zawsze czuł się jak w domu.

Na koniec, dziękuję wszystkim czytelnikom, którzy wtedy, w 2005 roku, wypatrzyli na półce w księgarni beżową okładkę tomiku nieznanego debiutanta, zaryzykowali 26 złotych, przeczytali, a potem dzielili się ze mną uwagami lub po prostu podeszli do mnie na konwencie, by powiedzieć, że im się podobało.

To dzięki Wam dzisiaj, po prawie dziesięciu latach i ośmiu napisanych książkach, ciągle jeszcze spędzam przy klawiaturze nieco więcej czasu, niż chciałyby moje plecy, i znacznie więcej, niż nakazuje rozsądek. Co gorsza - planuję to robić do końca życia.

A teraz żegnam się i życzę Wam przyjemnej lektury.

Krzysztof Piskorski

Wrocław, 2013

Rozdział 1. Radość w Tel’Halik

To była zła noc. Ciężkie chmury skryły księżyc, a wydmy Ocalonej Krainy tonęły w ciemności. Lodowaty wiatr hulał wśród piasków. Jego monotonne wycie sprawiało, że w lepiankach kobiety składały ofiary z ptaków, znacząc progi i okna ich ciepłą krwią. Bacharny ryczały rozpaczliwie, stłoczone w zagrodach, jednak pasterze bali się wyjść z szałasów i sprawdzić, czego chcą zwierzęta. Zamiast tego wznosili modły, trzymając w dłoniach święte tabliczki.

Lud pustyni wierzył, że w podobne noce krążą po ziemi nieocaleni — widma ludzi, którzy zamieszkiwali ten kraj przed nadejściem Najwyższego, gdy zamiast piasków jak okiem sięgnąć rozpościerały się tutaj zielone równiny. Po Wielkim Sądzie tylko rozsiane po pustych ruinach przypominały o istnieniu nieocalonych. W taką noc nawet piątokrwiści baliby się do nich zbliżyć.

Duzzahowie nauczali co prawda, że nieocaleni nie mogą skrzywdzić tych, którzy naprawdę wierzą w Jedyne, ale lud wiedział swoje. Dlatego właśnie nikt nie opuszczał domu, nie opiekował się zwierzętami, a na murach Tel’Halik wystawiono podwójne warty.

Po pradawnych blankach krążyli żołnierze, szczelnie owinięci w bacharnowe futra. Wbijali wzrok w pustynię, jakby bojąc się, że zaraz na horyzoncie dojrzą kroczące ku twierdzy widmowe zastępy. Co jakiś czas popatrywali na miasto, nad którym górował smukły kształt Piaskowej Iglicy. W jej najwyższym oknie paliło się światło. Blask tego okna i myśl o osobie, która tam mieszkała, dodawały im otuchy.

Dwóch młodych wojowników siedziało nad główną bramą. Rozmawiali ściszymi głosami.

— Najwyższy powinien już to skończyć. Czas, by Zerakhim został powołany.

— Powołany? Chyba do piekieł.

— Ćśśś. Co Ty gadasz, Dahal?

— Niech mnie porwą pustynne geniusze, jeśli źle mówię.

Strażnik zawinął się szczelniej w futro i przysunął do rozmówcy, po czym dodał:

— Zerakhim nie zostanie powołany, bo obraził Boga.

— Tfu! Co za plugastwa! To święty człowiek.

— Nie bardziej święty niż ja czy ty. Zgrzeszył niewiarą. Mój kuzyn służy pod paszą Asimarem. Niedawno powiedział mi, że z rozkazu proroka wysłano w sekrecie zwiadowców na wschód od Żelaznych Wzgórz i na zachód od Ostatniej Oazy.

— Co powiadasz! Przecież tam...

— Widzisz? Gdyby prorok ufał Księdze, z pewnością nie posyłałby ludzi poza Ocaloną Krainę. Może jedynie rozgniewać Najwyższego!

Strażnik pokręcił z niedowierzaniem głową.

— To plotki. Nic tylko plotki.

— A jednak. Na tysiąc skorpionów, po co trzymałby przy sobie tego przeklętnika Muhhamara? Czy prorok powinien słuchać węża, który para się alchemią i astrologią? Czy powinien zadawać się z hienami, plądrującymi ruiny nieocalonych, albo tolerować szkoły musalitów i innych odstępców? Powiadam ci: prorok zgrzeszył niewiarą wobec Księgi. Nie zostanie powołany!

— Może. Ale to nie nasza sprawa, Dahal. Jeśli ci skóra miła, nie opowiadaj tego więcej. Jeszcze jakieś nieprzyjazne ucho podsłucha twe słowa i doniesie paszy.

— Niech mnie zeżrą sępy, a nie zmilczę. Bo przez to ścierwo Muhhamara nasz pan nie wejdzie do raju. Gdyby odpowiednio wcześniej pasza nadział na pal wszystkich niedowiarków...

— Tak, przyjacielu — przerwał mu drugi żołnierz. — Ale teraz jest już za późno.

Zamilkli, patrząc na płaskie dachy domów, placyki i ogrody, które tworzyły ogromną szachownicę po wewnętrznej stronie muru.

Dwaj strażnicy nie mogli wiedzieć, że w chwili, gdy wypowiadali ostatnie słowa, Muhhamar Al'Salakh spotkał swoją śmierć. Wszedł właśnie tylną furtką z pałacowych ogrodów w ciemny, cichy Zaulek Wiedźm. Nie miał ze sobą ochrony. Mimo że włosy przyprószyła mu siwizna, pod jego ciemną dżelabą wciąż rysowały się jeszcze grube węzły mięśni. Był wysokim, silnym mężczyzną i lubił prywatność. Zresztą jak najmniej ludzi powinno wiedzieć, dokąd udawał się wieczorem i co kupował w małych sekretnych sklepikach, mieszczących się w dzielnicy Krwawy Sztylet.

Choć miejsce, do którego Muhhamar zmierzał, nie było bezpieczne, uczony nie bał się ani trochę. Pod wielbłądzim płaszczem skrywał szeroki, ostry jak brzytwa sejmitar. To powinno wystarczyć na każdego rzezimieszka.

Zresztą jaki rzeźmieszek zdołałby pokonać piątokrwistego?

Gdy Muhhamar minął gnijące przyzmy odpadków i skręcił w aleję Ślepców, zorientował się, że ktoś go śledzi. Odgłos jedwabnych trzewików był ledwie słyszalny i tylko nadzwyczaj wyczulone zmysły Al'Salakha ostrzegły go przed niebezpieczeństwem. Chwilę jeszcze szedł pomiędzy budynkami z suszonej cegły, aż wreszcie, kiedy usłyszał, że prześladowcy są już w tej samej uliczce, obrócił się na pięcie. Lewą ręką odrzucił płaszcz za ramię, a prawą wy dobył z pochwy lśniące, zakrzywione ostrze.

Przeciwników było dwóch. Głowy mieli owinięte czarnymi turbanami, a spod ich płaszczy prześwitywały płytki zbroi. Trzymali w dłoniach ghanki — długie na dwie i pół stopy noże górali z Żelaznych Wzgórz.

— Czemu mnie śledzicie, psy?! — krzyknął Al'Salakh.

Nieznajomi wciąż szli w jego stronę.

— Ścierwa! Kto was nasłał?

Nie padła żadna odpowiedź. Asasyni rozdzielili się, by zaatakować z dwóch stron. Muhhamar ścisnął pewnie rękojeść sejmitaru, spinając się do skoku. Księżyc na chwilę wyłonił się zza chmur i oblał uliczkę srebrną poświatą. Napastnicy rzucili się na niego. Ostatni odcinek drogi przebyli wielkimi susami.

Muhhamar odskoczył w bok. Zwarł się z wrogiem, który atakował od lewej. Wymierzył potężny cios, lecz przeciwnik sparował go ghankiem i oddał. Uczony uniknął ostrza, ale poczuł ból w nadgarstku, zupełnie jakby uderzył w kamienną statuetkę. Zabójca był zadziwiająco silny.

Drugi pojawił się tuż przy Muhhamarze, który musiał oprzeć się plecami o ścianę, i sypnął gradem potężnych ciosów. Sejmitar siał iskrami, odbijając ostrza zabójców, ale mimo że poruszał się szybko niczym grzechotnik, ledwo zdążał uratować życie swojemu właścicielowi. Muhhamar przyjął jeszcze jeden cios, po czym z rykiem napał i ciął z zamachu w czarne sylwetki. Zabójcy odskoczyli.

Uczony dyszał ciężko. Wiedział, że nie przeżyje następnego ataku. Powstrzymując strach, skupił się, a jego wargi wyszeptały jedno słowo. Zaraz potem w zaułku błysnęło światło tak jasne, że wszyscy strażnicy na miejskich murach zwrócili się w jego stronę.

Muhhamar skoczył na oślepionych przeciwników. Ciął jednego w głowę, roztrącił ich i ruszył biegiem w dół ulicy. Wiedział, że ostatni cios nie sięgnął celu. Ostrze rozrąbało turban, ale zgrzytnęło na czymś twardym pod spodem.

Uczony biegł w nadziei, że zanim przeciwnicy oprzytomnieją, będzie

miał przewagę wystarczającą, by dotrzeć do pałacowej furtki. Niestety, mylił się. Nie zdążył nawet dobiec do Zaułka Wiedźm, gdy usłyszał za sobą łopot płaszczy. Właściwie usłyszał go nad sobą. Padł na ziemię i przetoczył się kilka stóp wystarczająco szybko, by ocalić skórę. Ostrze świsnęło tuż przy jego uchu. Zabójcy przelecieli nad nim i wylądowali lekko kilkanaście stóp dalej. Muhhamar wstał, prosząc o pomoc Najwyższego. Przeciwnicy musieli być co najmniej szóstokrwestymi! Kto z tak szlachetnego rodu próbowałby zabić go osobiście?

— Kim jesteście? — spytał, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Dwie postaci ruszyły do ataku cicho niczym cienie. Jedna uderzyła wprost na Al'Salakha, a druga po prostu rozplynęła się w powietrzu. Muhhamar nie miał czasu sprawdzać, gdzie podział się drugi z zabójców, gdyż musiał odparować całą serię ciosów pierwszego. Zbił silne pchnięcie i cofnął się. Wtedy poczuł, jak ghank wbija mu się w plecy poniżej łopatki. Ostrze rozerwało mięśnie, przebiło płuca i rozszczepiło żebro. Ból eksplodował w głowie uczonego jak torebka magicznego proszku, wrzucona do ognia. Zaraz potem drugi nóż wbił mu się w brzuch. Zanim spadł w ciemność, zdołał jeszcze tylko usłyszeć, jak zły głos szepcze:

— W imię Najwyższego, psie!

Wtedy właśnie Muhhamar Al'Salakh, potomek piątej krwi, Naczelnny Uczony Dworu skonał, wisząc na nożach pomiędzy dwoma zabójcami.

Uliczka pograżyła się w ciszy. Zabójcy zniknęli tak samo niepostrzeżenie, jak się zjawili. Porzucone ciało Muhhamara było tylko niewyraźną plamą wśród cieni zaułka. Nawet gdyby ktoś przeszedł tuż obok, pewnie by go nie spostrzegł, tym bardziej, że noc była bardzo ciemna.

Godziny powoli mijały i wreszcie nadszedł chłodny świt. Słońce wzniosło się nad wydmami, a młodzi pastuchowie wyszli z namiotów napoić bacharny. Zwierzęta ryczały żałośnie po całonocnym poście. Ich głosy docierały aż do murów Tel'Halik, na których ostatnia zmiana straży czekała niecierpliwie, aż promienie słońca przejdą nad blankami i oświetlą pograżone we mgle i szarości miasto. Jednak nim to się stało, na ulicach już zapanował ruch.

Pałacowi gońcy biegali po całym Tel'Halik jak szaleni. Ich sandały ślizgały się na pokrytych rosą kamieniach. Nieśli przywódcom wszystkich rodów niezwykłą wieść. Po drodze wykrzykiwali ją ile sił w płucach, aż w otwierających się wokół oknach ukazywały się zdziwione twarze. Zerakhim, Osiemnasty Prorok, został tej nocy powołany. Jemu i najwyższym kapłanom

przekazał tę radosną nowinę boski wysłannik.

W poruszeniu, jakie wywołała ta wiadomość, nikt nie zwracał uwagi na inną, pochodzącą od strażników, którzy pełnili wczoraj służbę. Kogo bowiem interesowało, że w dziwnych okolicznościach zamordowany został nadworny uczonec? Co najwyżej ten i ów uśmiechnął się, mówiąc, że stary diabeł Muhhamar zasłużył w pełni na swój los.

*

Broda siwego Duzzaha wydymała się przy każdym wypowiedzianym słowie. Ścisłe reguły określały sposób, w jaki można było czytać Księgę, więc mówił wyraźnie i powoli, dostojnie akcentując każdy wyraz i idealnie przestrzegając zasad interpunkcji. Słuchacze mogli wyobrazić sobie, że sam prorok przemawia do nich, choć czytania były przez to długie i nużące.

Żołnierze, którzy zajmowali poduszki wokół podwyższenia Duzzaha, zaczęli się właśnie nudzić. Na czas kazania mogli zmienić ciężkie zbroje na przewiewne, białe szaty, ale i tak woleliby znajdować się teraz w mieście. Kiedy całe Tel'Halik ogarnęła gorączka Święta Wstąpienia, świątynia wydawała się nudnym miejscem na spędzenie popołudnia.

Szczególnie wyraźnie dawał to do zrozumienia młody zbrojny, usadowiony po lewej ręce Duzzaha. Wiercił się cały czas, jakby nie mógł znaleźć wygodnego miejsca. Był szczupłym, przystojnym mężczyzną o ciemnych, zmierzwionych włosach i wesołym spojrzeniu. Mały, zadarty nos przydawał jego twarzy kobiecych rysów.

— Kashim, ja nie wytrzymam — mruknął do siedzącego obok żołnierza.

— Spokojnie, zostało jeszcze kilkanaście wersetów — odparł tamten. Z wyglądu różnił się znacznie od przyjaciela. Szersze bary i wyraźnie zarysowane mięśnie sprawiały, że jego sylwetka była bardziej masywna. Miał duży, lekko haczykowaty nos, starannie wypielęgnowaną, szpiczastą bródkę i bardzo spokojne, szare oczy, których barwa była rzadkością wśród Ocalonego Ludu. W przeciwieństwie do towarzysza wydawał się niezwykle opanowany. Siedział jak posąg i słuchał, albo też udawał że słucha, słów Duzzaha.

— Nie wierć się tak, Naharze — szepnął.

— Nie mogę, kiedy pomyślę o tym, co dzieje się właśnie na bazarze. Kobiety! Kobiety w kolorowych, zwiewnych sukniach, kobiety bez kwefów! Przez całe siedem dni! Wiesz, że drugiej takiej okazji możemy nie dożyć?

— „Tylko głupi patrzy poządlawie na to, czego mieć nie może” — Kashim zacytował Księgę.

— Nie udawaj świętego. Zresztą ja mogę i ty, sądzę, też. Dodam tylko — mrugnął szelmowsko — że dziś wieczorem w pałacu będą tańczyć córki wysokich rodów. W tym Jelaya z Makhar’adów.

Powieka Kashima lekko drgnęła.

— A widzisz? Wiedziałem, stary oszuście!

— Cicho już.

— Jak dziadek skończy kazanie, uderzymy do Rozbitej Amfory. Pasza, niech Najwyższy ma go w opiece, wydał rozkaz, by wino w czasie święta było sprzedawane za pół ceny.

— Uciszyć się, proszę.

— Trzeba sprawdzić, czy jakiś dusigrosz nie próbuje łamać tego świętego edyktu.

W tym momencie ciężka jak kamień dłoń Kashima zdzieliła go pomiędzy łopatki. Nahar zachwiał się i zakrztusił. Podniósł zażawione oczy na Duzzaha i dostrzegł, że starzec przestał już czytać. Patrzył na nich groźnie spod krzaczastych brwi. W świątyni panowała grobowa cisza.

Nahar spodziewał się słów nagany albo nawet ciężkiej kary. Nic takiego nie nastąpiło. W końcu dzień był dziś niezwykły.

— Dzięki łasce Najwyższego, niech cała ziemia jego będzie, przeżywam już drugie Wstąpienie — rzekł Duzzah. — Pamiętam, jak w czasie, gdy byłem tylko trochę od was młodszy, prorok Sadik Al’Kama wkroczył do raju. W czasie tych siedmiu dni przeżyłem wiele wspaniałych chwil...

Niektórzy słuchacze uśmiechnęli się, rozbawieni własnymi nieprzystojnymi myślami o rozrywkach młodego Duzzaha.

— Ja doczekałem kolejnego święta, ale niewielu moich przyjaciół miało to szczęście. Dlatego nie będę was dłużej trzymał. W imię Najwyższego — idźcie i weselcie się! Drugiego Wstąpienia pewnie nie dożyjecie.

Ostatnie jego słowa zagłuszyły radosne krzyki żołnierzy. Pasza Asimar odwołał dzisiejszą musztrę, więc resztę dnia mogli spędzić poza murami Orlego Fortu.

Kashim wstał spokojnie, rozprostowując obolałe nogi. Nahar zaśmiał się i rzekł:

— No chodź, stary bacharnie! Musimy się dziś solidnie zabawić, bo jutro wypada nam służba.

Skierowali się do wyjścia ze świątyni, w którym zniknęła już większość żołnierzy.

Siwowłosa, chudy mężczyzna stał w oknie Piaskowej Iglicy i patrzył z wysoka na sylwetki jeźdźców, którzy wyjeżdżali główną bramą. Aby wieść o Wstąpieniu obiegła całą Ocaloną Krainę, puszczono gońców do wszystkich wiosek i klanów. Pierwsi ruszyli o świcie — zniknęli na horyzoncie, nim jeszcze słońce ukazało się w pełni. Po nich ściągnięto do wieży posłańców, którzy nie mieli dziś służby. Oni również zaraz opuścili miasto. Wtedy okazało się, że nie wszędzie zdołano posłać listy, gdyż nie ma w Tel’Halik wystarczającej liczby gońców, by dotrzeć do każdego zakątka kraju. Dlatego koło południa trzeba było wezwać kilkunastu Świętych Jeźdźców i wyznaczyć im to zadanie. Wojownicy niechętnie odrywali się od zabawy, lecz wola ich dowódcy była prawem. Na nieposłusznych czekały zaostrome pale. Przygotowali się więc do drogi i właśnie teraz znikali pod ogromnym łukiem bramy.

Starzec, który się im przypatrywał, pocierał w zamyśleniu brodę i szeptał coś do siebie. Wyszywana złotem i drogimi kamieniami szata wisiała na nim w nieładzie.

— O, najmądrzejszy! — rozległ się głos sługi.

— Nazbyt szybko się to stało — rzekł starzec powoli, jakby do siebie. — Nie wrócił jeszcze Tarakan, a Muhhamar zginął, nim zdał sprawę ze swych badań.

— Co zamierzasz, panie?

— Ubierz mnie, Tabo. W południe muszę pokazać się wiernym.

— Czyli...

— Tak, Tabo. Może Najwyższy okazał łaskę i wezwał mnie, nim zdążyłem wobec niego zgrzeszyć. Może rzeczywiście, jest nieskończenie miłosierny, jak twierdzą isyccy nauczyciele. Nie będę się uchylał od jego woli. Za siedem dni przekroczą bramę niebios.

Niski, garbaty mężczyzna stanął w oknie koło proroka. Westchnął, spoglądając na tłum, który ciągnął wzdłuż pałacowych murów.

— Zatem nigdy nie poznamy prawdy. Następny prorok z pewnością nie podejmie twoich badań, panie. Wszystko na nic.

— Nie wszystko. Mamy jeszcze siedem dni, Tabo. Siedem dni i garstkę wiernych ludzi. Zdążymy wiele zdziałać. Zresztą moje odejście nie oznacza końca, przyjacielu. Zostajecie jeszcze Tarakan i ty.

Garbus osunął się na kolana i ucałował rąbek szaty proroka.

— Panie! Jak Najwyższy mógł zabrać cię, gdy jesteś nam tak potrzebny!

— Nie wiem, Tabo. Myśl Jego zawsze pozostanie dla nas nieodgadniona.

Widocznie tak miało być.

— O, najmądrzejszy! Może więc On chce, żeby nasza praca została przerwana...

Prorok spojrział na garbusa groźnie.

— Nie do ciebie należy interpretacja działań Najwyższego, Tabo. To praca dla mnie i Duzzahów. Zajmij się własnymi obowiązkami. Wyślij gońców do Tarakana. Niech lecą szybciej niż pustynny wiatr i doniosą, że mój czas na tym świecie się kończy.

— Tak, najwspanialszy — Tabo wstał i zgiął się w ukłonie.

*

Rozbita Amfora dawno nie gościła takich tłumów, jak pierwszego dnia Święta Wstąpienia. Mały budynek tuż przy miejskim murze wprost pękał w szwach. Miejsca w chłodnym wnętrzu wystarczyło tylko dla żołnierzy, kapłanów i mężów z bogatych rodów. Poganiacze bacharnów, rzemieślnicy i drobni kupcy musieli zadowolić się płóciennymi daszkami i cieniem palm w ogrodzie z przodu winiarni.

Trunek lał się strumieniami, a spocona służba ledwo nadążała wyciągać amfory z piwnic. Pomiedzy stołami, odgradzonymi od siebie przez jedwabne zasłony, biegał Alim. Gruby, wąsaty właściciel tawerny musiał osobiście sprawdzić, czy każdy gość dostał dokładnie to, czego sobie życzył. Gdy odsunął ręką kolejną kotarę i dostrzegł, kto za nią siedzi, wyszczerzył nadgniłe zęby w uśmiechu.

— Chwała Najwyższemu! Kogo dziś widzę?! Pan Nahar i pan Kashim we własnej osobie! Czego sobie życzycie, o szlachetni?

— Już zwęszyłeś złoto, sępie? — rzekł Nahar.

— Nie mówisz do nas „o szlachetni”, gdy pałac zalega z żołdem — dodał Al’Shannagg.

— Ten syn wielbłądzicy chyba już wie o nagrodzie, Kashimie. Czy w Tel’Halik nawet złamany srebrnik nie ujdzie uwadze kramarzy?

Alim skłonił się.

— Niech Najwyższy broni! Choć przyznam, że chodząc tu i ówdzie, słyszałem to i owo. Wielu klientów sławiło hojność paszy.

— Ha! — Nahar uderzył dłonią w udo. — Nie minęła godzina, odkąd Asimar rozdzielił między żołnierzy złoto, a wszystkie dziwki w mieście zdążyły się już podmyć i wystroić.

— A karczmarze zrobili z nas „szlachetnych panów” — dodał Al’Shannagg.

— O nie, panie Al'Shannagg. Niech mnie trąd stoczy, jeśli mówię tak jedynie ze względu na pana złoto. Przecież wiem, że jest pan piątej krwi!

— Ale złoto nie pozostaje bez znaczenia?

— Jestem tylko ubogim kupcem, szlachetni panowie. Złoto to mój fach.

Żołnierze roześmiali się jeszcze raz.

— Dobrze. Przynajmniej wiesz, że mamy czym płacić, więc może podasz nam dzban swojego najlepszego na początek. I duży talerz owoców.

— I półmisek daktyli. Każ też wsadzić do pieca przepiórki z miodem. Dzisiaj nie oszczędzamy. Zresztą dzięki łasce paszy, niech mu żony wynagrodzą setką synów, płacimy ledwie połowę rachunku.

Alim skrzywił się, jakby rozboleł go ząb.

— Aj, aj. Łaska paszy dała, łaska paszy odbiera — jęknął, po czym zniknął za kotarą. Czas mijał. Słońce stanęło w zenicie, przypiekając ludne ulice miasta. Nawet w Rozbitej Amforze zrobiło się gorąco. Kashim i Nahar zdjęli pancerze. Zbroje, zrobione z metalowych płytek przynitowanych do kaftana ze skóry, chroniły dobrze przed ciosami, ale w taki upał były nie do zniesienia za sprawą grubej podszywki. Żołnierze siedzieli więc w samych koszulach, pili wino i zagryzali słodkimi daktylami. Al'Shannagg wpatrywał się w wiszący na ścianie soczyście zielony arras, który przedstawiał pastwiska i pola nad brzegiem rzeki Shaprut.

— Wkrótce nie będziesz mógł pokazywać się w Amforze z pospolitym żołdactwem — powiedział mocno już zaczerwieniony Nahar i napełnił puchar.

Duży dzban był w trzech czwartych pusty.

— Co mówisz, przyjacielu?

— Czeka cię awans. Niech mi kutas uschnie, jeśli się mylę. Będziesz dowódcą kompanii.

Kashim uśmiechnął się.

— Jestem jeszcze za młody.

— No, no. Młody to jestem ja. Ty, Kashimie, wedle wszelkiej miary powinieś już mieć parę żon i gromadkę dzieci. Wiesz pewnie, że gdy prorok Zerakhim wstąpi do raju, a jego następca zostanie ujawniony, zaczną się nominacje nowych urzędników i oficerów?

Kashim spojrzał w głąb pustego kielicha.

— Mój ród jest biedny. Wielu bogatych mężczyzn czeka na awans. Pasza musi się liczyć z...

— Cały czas coś ci przeszkadza — przerwał mu zdenerwowany Nahar.

— Za młody, za biedny... Może i tak, ale z drugiej strony jesteś świetnym wojownikiem. I do tego aż piątej krwi!

Kashim machnął ręką. Nahar kontynuował:

— Piąte pokolenie po Sammarze! Sam słyszałem, jak pasza narzekał, że za dużo wśród Świętych Jeźdźców bogatych paniczyków, a za mało prawdziwych żołnierzy. Właśnie tacy jak ty będą wkrótce awansować.

Nahar ściszył głos i rozejrzał się uważnie, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

— Wiem, że to grzech mówić o tym, dopóki Zerakhim jest wśród nas, ale jak myślisz, kto zajmie jego miejsce? Kogo wybiorą Duzzahowie? Kogo namaści Najwyższy? To będzie człowiek, dla którego Księga jest świętością. Osoba, której nikt nie będzie podejrzewać o... błędy i wypaczenia, jakie zarzuca się naszemu panu.

Tutaj urwał, rzucił na boki bojaźliwym wzrokiem i upił łyk wina.

— Kiedy tak się stanie, osoby twojego pokroju wrócą do łask, Kashimie. Zresztą powiedz mi, czy nie chcesz dowodzić? Czy nie chcesz być komendantem Świętych Jeźdźców?

W oku mężczyzny błysnęła jakaś iskierka.

— Chcę — odparł. — Pragnę tego bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Nahar chciał go o coś zapytać, ale przerwał, gdy spojrzał w małe okienko za plecami Kashima.

— Patrz! — rzekł. — Czy to nie Dahal?

Kashim odwrócił się do okna. Rzeczywiście. Dróżką między palmami szedł żołnierz odziany w zbroję Jeźdźców. Biała blizna, szpecąca młode oblicze, nie pozostawiała miejsca na wątpliwości. Dahal przeszedł ostrożnie nad chrapiącymi w cieniu gośćmi, po czym odsunął kotarę i wszedł do środka.

— Tutaj! — krzyknął Kashim, machając mu ręką.

Dahal przedarł się przez labirynt jedwabnych zasłon i małych stolików, skłonił się w milczeniu przyjaciołom, po czym siadł naprzeciw nich. Szablę odpiął i rzucił w bok, zbroi jednak nie zdejmował. Zaraz chłopiec służebny przyniósł mu puchar. Dahal napełnił go po brzegi i wypił duszkiem. Odkasznął, otarł rękawem usta, a następnie odezwał się:

— Parszywy dzień. Wszyscy świętują, ja jeden latam jak pies.

— Co ci rozkazał pasza?

— Szukam morderców Muhhamara Al'Salakha.

— A więc to prawda... — rzekł Kashim. — Stary lis w końcu spotkał

kogoś lepszego od siebie?

— Dwóch lepszych od siebie, jeśli wierzyć tropom w uliczce.

Nahar nalał żołnierzowi drugi kielich, a potem rzekł:

— To chyba nie będzie trudna sprawa. Muhhamar miał wielu wrogów...

Dahal potrząsnął głową. Zdjął hełm i przetarł mokre od potu czoło.

— Też tak myślałem, Naharze, lecz na miejscu morderstwa znalazłem pewne ślady. Niepokojące ślady. Wygląda na to, że Muhhamara zabili wojownicy z darem krwi. Szóste, a może nawet piąte pokolenie.

Kashim prawie zakrzuszył się daktylem.

— Jesteś pewny? — spytał.

— Jak tego, że niebo jest błękitne. Używali potężnych darów. Mam na to świadków. Uwierz mi, wolałbym już ścigać wiatr na pustyni. Ilu jest młodych mężów piątej krwi w Tel'Halik? Łącznie z tobą będzie chyba dwudziestu. Wszyscy z zamożnych rodów, wszyscy całkowicie niedostępni. Na dodatek znalazłem bardzo dziwny... — zawiesił głos, jakby zamierzał coś dodać, ale w końcu tylko pokręcił głową i opróżnił puchar.

Kashim potarł brodę w zamyśleniu, po czym stwierdził:

— Pasza powinien wyznaczyć więcej ludzi do takiego zadania. Przecież nawet z natchnieniem Najwyższego para rąk to za mało, by przetrząsnąć całe Tel'Halik. Dahal kiwnął głową.

— Wiem, że nie powinienem prosić, bo to przecież święto... Ale czy moglibyście trochę mi pomóc?

Kashim uderzył kubkiem w stół.

— Na tysiąc skorpionów, chyba nie myślałeś, że zostawimy cię samego?

— Morderstwo i synowie szlchetnych rodów. Zapowiada się ciekawie... — dodał Nahar.

Dahal po raz pierwszy dzisiaj uśmiechnął się.

— Niech Najwyższy ma was w opiece, przyjaciele. Najpierw powinniśmy zmniejszyć liczbę podejrzanych. Trzeba upewnić się, ilu młodych piętokrwistych było tej nocy w mieście. I ilu przebywało poza domem.

*

Jeździec stanął w strzemionach saura, wyciągając zza pasa lunetę. Rdzawy pył, od którego Czerwone Pustkowia wzięły swoją nazwę, osiadł grubą warstwą na jego brodzie i wełnianym płaszczu. Podróżnik oblizał spieczoną wargę i splunął w bok. Potem przyłożył przyrząd do oka.

Tego dnia wiał silny wiatr, który wzbijał tumany kurzu i znacznie

ograniczał widoczność. Mimo to jeździec widział wyraźnie majaczące daleko zarysy domów. Małe, okrągła lepianki z ciemnej gliny otoczone były zasiekami z kolcokrzewów. Pomiędzy domami krążyły ciemne sylwetki. Za daleko było, żeby je rozpoznać, ale Tarakan mógłby dać głowę, że to ludzie. Tacy sami jak on i jego dziewięciu towarzyszy. Obrócił się w stronę reszty oddziału. Jeźdźcy spokojnie wpatrywali się w niego. Tylko saury przestępowały niecierpliwie z nogi na nogę.

Tarakan zasłonił twarz chustą, po czym rzekł:

— Nasz pan miał rację! Czerwone Pustkowia są zamieszkane!

Żołnierze zaszemrali, a jeden czy dwóch wzniosło modły do Najwyższego.

— Nie czas na biadolenie. Niech Duzzahowie rozważają, co to może znaczyć. Wyciągnąć broń! Musimy przywieźć do Tel’Halik dowód!

*

Wieczorem na Placu Świątynnym zapanował niezwykły tłok. Zjawili się niemal wszyscy mieszkańcy Tel’Halik, od żebraków po zamożnych rzemieślników. Zgodnie z wiekową tradycją, każdego wieczoru Święta Wstąpienia prorok pojawiał się na tarasie ponad placem i osobiście nauczał wiernych. Potem z tarasu zrzucano podarki.

Dziś miało się odbyć pierwsze z siedmiu kazań. Już w południe całe miasto huczało od plotek o prezentach, jakie rozda pałacowa straż. Niektórzy mówili, że będzie to maść, lecząca wszystkie choroby. Inni twierdzili, że prorok ma rzucać w tłum szczerę złoto. Oczywiście wielu zdawało sobie sprawę, że są to wyobrażenia mocno przesadzone, niemniej wieczorem pod tarasem kłębiły się tłumy.

Po drugiej stronie placu, z dala od tłuszczy, rozpięto baldachimy i wybudowano podest dla szlachetniejszych mieszkańców Tel’Halik. Na dachach okolicznych domów zajęli miejsca łucznicy, a na ulicy Kupców stał cały batalion Świętych Jeźdźców. Pasza Asimar zrobił wszystko, by nic nie zakłóciło przebiegu uroczystości.

Mijały chwile. Saury jeźdźców wierciły się niespokojnie i syczały na przechodniów. Ludzie stłoczeni pod tarasem usiedli na bruku. Szlachetnie urodzeni zajęli miejsca na jedwabnych poduszkach. Niektórzy łucznicy odłożyli broń i zaczęli grać w kości. Dzień powoli się kończył. Nad placem krążyły ptaki, jakby zdziwione tak wielkim zgromadzeniem.

Wkrótce, gdy tylko złote kopuły pałacu zaiskrzyły w promieniach zachodzącego słońca, na taras wyszło kilkunastu dworzan z długimi

mosiężnymi surmami. Ludzie natychmiast wstali. Zaraz potem ryk instrumentów przetoczył się nad miastem, a zawtórowało mu wycie tłumu. Pojawił się prorok Zerakhim.

Wszystko obserwował ukryty w ciemnej, bocznej uliczce mężczyzna. Był nikczemnej postury, garbaty i brzydki. Patrzył na odzianego w szkarłatne szaty proroka. Zacisnął dłoń na sakiewce, którą trzymał za pazuchą. Potem sprawdził, czy ma przy sobie sztylet. Jednym i drugim miał wykonać ważne zadanie. Zostało mu na nie tylko sześć dni.

— Panie, możesz być pewny, że cię nie zawiodę — szepnął.

Następnie ruszył biegiem w dół uliczki, strasząc swym wyglądem gromadkę dzieci.

*

W pałacowych ogrodach płonęły ogniska wyższe niż piekielne płomienie. Wokół nich płały młode kobiety — zarówno mężatki, jak i dziewczęta. W zwiewnych, kolorowych sukienkach pokazywały o wiele więcej ciała, niż pozwalała Księga. Jednak w tak radosne święto większość Duzzahów pozwalała na odstępstwo od zasad. Kilku ortodoksów i tak przybyło na wieczorne tańce, tyle że siedzieli z tyłu, daleko od ognisk, głośno komentując bezwstydną tańczących.

Pałacowi muzycy przygrywali na bębenkach i piszczałkach, a służba strzelała w niebo rakietami, wypełnionymi magicznym proszkiem. Goście zajmowali poduszki rozłożone na murawie, a wokół uwijały się niewolnice, które roznosiły wino i owoce. Na wszystkich spadały co chwila kaskady różnokolorowych iskier z wybuchających fajerwerków.

Bawiły się tu wyłącznie szlachetne rody. Podwójne straże przy bramach pilnowały, by do ogrodów nie przedostał się nikt z pospólstwa. Biedacy mieli własne miejsca zabaw, bo mniejsze ogniska przygotowano na głównych placach i w prywatnych sadach. Nie były to obchody tak wystawne, ale dużo bardziej swobodne. Jako że Duzzahowie bez wyjątku przebywali za pałacowym murem, w odległych częściach miasta dokonywano wszeteczeństw, za które na co dzień piętnowano rozżarzoną żelazem. Długo jeszcze po Wstąpieniu Zerakhima rozpowiadano w tawernach o tańczących nago młodzieńcach i dziewczętach, o dzikich orgiach w oliwkowych sadach. Powszechnie wierzone, że Najwyższy wybacza wszystkie grzechy popełnione w czasie tego święta.

Nahar i Kashim bawili się w pałacu, podobnie jak pozostali Święci Jeźdźcy. W końcu był to najbardziej zaszczytny rodzaj zbrojnej służby.

Jeździec był równy szlachetnie urodzonemu. A szlachetnie urodzony Jeździec, taki jak Kashim, mógł bez skrępowania się do stołu z patriarchami rodów. Lecz Kashima wcale nie interesowało siedzenie pod baldachimem z tymi zgryźliwym starcami, rozmowy i wkupywanie się w ich łaski. Wolał patrzeć na tańczące kobiety, a szczególnie na jedną.

Jelaya była piękna, choć nie w sposób najbardziej doceniany przez młodych mężczyzn z Tel'Halik. Nie była wysoka. Mierzyła niewiele ponad pięć stóp, Kashimowi sięgałaby więc do ramienia. Tymczasem poeci sławili w wierszach kobiety smukłe niczym Piaskowa Iglica. Jelaya miała drobne, wąskie i tajemnicze usta, tak różne od pełnych i nabrzmiętych warg, jakie śniły się po nocach żołnierzom. Jej piersi, choć piękne i kształtne, mogły wydawać się za małe. Jej talia dla wielu była zbyt wąska. Jelaya wyglądała nie jak kobieta, tylko jak erha — delikatna zjawia, wabiąca podróżników w ruchome piaski.

Inne dziewczęta śmiały się perłście i wirowały w burzy kolorowych spódnic. Jelaya natomiast tańczyła jak w transie, nie wydając żadnego dźwięku. Zwiewna jak geniusz powietrza, zdawała się nie dotykać stopami ziemi. Kashim nie mógł oderwać od niej wzroku.

— Poproś o nią starego Iznaka! — krzyknął mu prosto do ucha Nahar, który siedział tuż obok. — Słyszałem, że jeszcze jej nie upatrzył męża.

Kashim pokręcił głową.

— Iznak to skąpiec. Zażąda pewnie tyle złota, ile Jelaya waży.

— Doprawdy? W takim razie byle kupczyzna mógłby ją wziąć. Dziewczę wygląda, jakby miało zaraz ulecieć z wiatrem.

Kashim zdzielił przyjaciela kułakiem w bok.

— Jest najpiękniejszą kobietą Tel'Halik. Jeśli się nie zgadzasz, to wyciągaj szablę — rzekł ze śmiechem.

Nahar rozmasował żebra.

— Pewnie. Wolałbym się siłować z bacharnem.

Kashim napił się wina i znów zawiesił wzrok na Jelayi.

— Zostaw ją na razie. Będziesz miał dość złota, jak pasza nagrodzi nas za złapanie zabójców Al'Salakha. A jeśli już o tym mowa: masz jakiś plan?

— Tak — odparł Kashim, sięgając po kiść winogron. — Na początek odwiedzimy twojego brata.

— Mudde? Ale do czego nam potrzebny ten gryzipiórek?

— To Duzzah, a na dodatek zaprzyjaźniony Duzzah. Mam do niego kilka pytań.

Nahar wzruszył ramionami.

— Hej, patrz na nią! — krzyknął nagle. — To chyba córka kupca korzennego Varisaha! Na Najwyższego, co za biodra! Kashim, słyszysz mnie?

On jednak nie słyszał. Utonął w otchłani ciemnych oczu i gęstych włosów Jelayi. Przez resztę wieczoru prawie nie odzywał się do przyjaciela, wciąż wodząc wzrokiem za jej smukłą sylwetką.

Tej nocy, gdy Tel'Halik bawiło się i świętowało, zamordowano osiem osób. Troje padło ofiarą bijatyki, jaka wybuchła w tawernie Pustynny Szczur. Czwartą był pewien kupiec, którego zabito i ograbiono w Zaułku Trędowatych. Poza tym niewolnica z domu Al'Rashad zadźgała syna swojego właściciela, gdy zaczął dobierać się do niej po pijanemu. Wreszcie ktoś udusił we śnie płatnerza Sadika, zarznął w ogrodzie Duzzaha Zildana i otruł podróżnika oraz poetę Yamira Al'Qadar. Trzy ostatnie osoby łączyła jedna rzecz — mówiono o nich, że są w bliskich kontaktach z pałacem.

Rozdział 2. Pajęcza sieć

Następnego dnia, gdy na horyzoncie zaczął już szarzeć świt, Tel’Halik wciąż pogrążone było w bezruchu. Normalnie o tej porze wielu mieszkańców zaczęłoby pracę, na ulicach pojawiłoby się pierwszy ludzie i zaprzęgi. Nic takiego jednak się nie działo. Miasto, zmęczone całonocną zabawą, spało znacznie dłużej niż zwykle. Nawet mury były puste. Wartownicy chrapali, oparci plecami o blanki, a obok leżały opróżnione dzbany.

Nikt nie widział zatem małej grupki, która zebrała się na placu nieopodal Orlego Fortu. Czternastu otulonych w płaszcze wojowników dosiadało dwunożnych saurów. Tak chłodną porą zwierzęta były ospałe i apatyczne. Saury, jak wszystkie gady, potrzebowały bowiem ciepła. Nie nadawały się do przejażdżek nocą, gdy woda w korytach potrafiła zamarzać, a nad wydmami dął lodowaty wiatr. Wojownicy jednak zdawali się tym jednak nie przejmować. Czekali.

Po chwili zza bramy fortu wyszedł ich dowódca — wysoki, brodaty jeździec, noszący na piersi znak Najwyższego. Rzekł kilka słów, po czym wskoczył na siodło. Chwilę potem żołnierze, bezlitośnie popędzając osłabione zwierzęta, ruszyli w stronę głównych wrót. Nikt nie zauważył, jak przejeżdżali ulicami miasta, choć towarzyszyło im trzaskanie batów i ryki wierzchowców.

Kiedy minęli ogromny łuk bramy, skierowali się prosto na zachód. Po kilkunastu minutach zniknęli na horyzoncie, zostawiając za sobą tylko ślady szponiastych łap, które szybko zamazał pustynny wiatr. Śpieszyli się, bo pasza obiecał wspaniałą nagrodę, jeśli wykonają zadanie. Gdyby jednak nie spisali się dobrze, w najlepszym wypadku mogli liczyć na głęboki loch pod Pałacem Sprawiedliwych.

*

Mudda stał przed półką pełną oprawionych w jaszczurzą skórę tomów. Chwilę drapał się po głowie, aż wreszcie wybrał odpowiednią księgę. Wrócił z nią do biurka, za którym siedzieli Nahar i Kashim.

— Umhm... — chrząknął, kartkując tom. — Możecie dopisać panicza Saddara Al’Narmata. Jego matką była Yala z rodu Al’Gashan, a ojcem Saman Al’Narmat. Yala była szlachetnej krwi — piąte pokolenie. Tak samo Saman. Czyli Saddar też jest piątokrwistym. Pasuje do waszej listy.

Nahar skinął głową i postawił znaczek przy jednym z nazwisk na kartce.

— A Tohan Al'Qaddar? Syn pierwszego poety dworu? — spytał Kashim.
— Jego ojciec również miał piątą krew.

— Tak, ale spłodził Tohana z córką Yzzafa Al'Jashia, która nie była spadkobierczynią. Krew Tohana jest rozcieńczona. To już szóste pokolenie — odparł Mudda.

— A Dershin? Syn kapitana Abdala?

Mudda zmarszczył nos i znów zaczął przewracać strony. Nahar wstał, by rozprostować kości, i podszedł do okna. Było południe — słońce wisiało dokładnie na środku nieboskłonu. Spędzili cztery godziny na przeglądaniu ksiąg narodzin, korzystając z wiedzy Duzzaha Muddy. Tymczasem Tel'Halik otrząsnęło się z porannego odrętwienia. Na ulicach pełno było ludzi. Wielu zaledwie wytrzeźwiało po obchodach pierwszego dnia, a już zaczęło świętować drugi.

Mudda znalazł wreszcie to, czego szukał.

— Nie. Kapitan Abdal nie był piątokrwistym, jak lubili twierdzić członkowie rodu Al'Haldz. Jego prawdziwa matka to nie pierwsza, ale trzecia żona jego ojca, która akurat nie miała daru. Zatem Abdal sam był szóstokrwistym. Potem wziął Vanyę z bogatej, lecz podłego stanu rodziny Al'Dakkarów, a krew znów się rozcieńczyła. Dershin jest dopiero siódmym pokoleniem.

Kashim westchnął.

— Wiemy chyba wszystko. Niech Najwyższy wynagrodzi ci długim życiem, Muddo. Bez ciebie nigdy byśmy sobie nie poradzili.

Duzzah uklonił się.

— Po to jestem Opiekunem Ksiąg, Kashimie Al'Shannagg, by pomagać wiernym, którzy przybywają z pytaniami.

— Zrobiłeś dużo więcej, niż wymagał twój urząd. Jesteśmy wdzięczni. Idziemy, Naharze.

Młody wojownik odstąpił od okna. Wymienił z bratem ceremonialne pocałunki, po czym wyszli z jego pracowni. Na korytarzu Kashim rzekł:

— Bardzo nam pomógł. Teraz lista wygląda o wiele bardziej przystępnie.

Nahar skinął ponuro głową.

*

Jeden dzień wystarczył, by pędzący niczym wiatr gońcy dotarli do osad najbliższych Tel'Halik. Przekazali wieść o powołaniu proroka i ruszyli dalej, ku granicom Ocalonej Krainy. Mieszkańcy odwiedzonych wsi natychmiast

pakowali dobytek i ruszali do miasta. Tylko garstka wyznaczona przez patriarchów zostawała pilnować domostw i stad.

Główna brama, która była otwarta cały dzień, co chwila wpuszczała do miasta kolejnych zakurzonych i zmęczonych wędrowców. Miejsca w gospodach zaczęły powoli się kończyć, choć przybyła dopiero połowa spodziewanych pielgrzymów. Pasza Asimar wydał ukaz grożący śmiercią za zawyżanie cen noclegów. Nie odstraszyło to jednak oszustów, którzy oferowali łóżka na czas święta za ogromne sumy. Tymczasem sporo rodzin z prowincji nie stać było nawet na zwykłą gospodę, w ogrodach koło świątyni wyrósł więc szybko las namiotów.

Prorok Zerakhim patrzył na tę pstrokaciznę z okna Piaskowej Iglicy. Na mahoniowym stoliku leżała karta papieru z niedokończonym kazaniem. Tabo stał za swoim panem, cierpliwie czekając, aż prorok ocknie się z zamyślenia.

— Jak ci idzie, Tabo? — rzekł w końcu starzec. — Nasz czas ucieka.

— Byłem w wielu miejscach, panie, pytając o mistrza Muhhamara. Opłaciłem dziesiątki ust i zdobyłem dużo informacji.

— Tabo. Używaj mniej ogólników.

— Oczywiście, o najmądrzejszy — garbus uklonił się w pas. — Jestem bliski odkrycia, z kim miał skontaktować się pan Al'Salakh tuż przed śmiercią. Wiem też, co było celem spotkania.

Zerakhim odwrócił się do sługi, unosząc brew.

— Tak?

— Mistrz Muhhamar miał zapłacić dużą sumę za przedmiot, który przywiózł kupiec ze wschodu.

Zerakhim westchnął.

— To jeszcze za mało. Konkrety, Tabo. Brakuje mi konkretów. Szukaj dalej.

— Żrenico oka mego, wybacz tak przyziemną prośbę, ale informatorzy wydusili ze mnie ostatnią centimę. Tymczasem trzeba jeszcze przekupić...

— Dość — przerwał Zerakhim, wracając do okna. — Koszty się dla mnie nie liczą. Isamar da ci tyle, ile tylko potrzebujesz.

— Dzięki ci, o najmądrzejszy.

Prorok odesłał sługę ruchem dłoni. Spoglądał właśnie na bramę, którą wlewał się do miasta tłum pielgrzymów. Jeden samotny jeździec parł pod prąd, przedzierając się przez tłok, który panował w zwężeniu. Żołnierz ten dostał od Zerakhima rozkazy ledwie kilka chwil wcześniej.

Prorok zaczął czekać, aż goniec wy dostał się za bramę, popędził wierzchowca

i ruszył na zachód przez piaszczyste wydmy. Potem Zerakhim odwrócił się i siadł za biurkiem, aby skończyć dzisiejsze kazanie. Teraz wszystko zależało od Najwyższego. No i od tego, kto miał szybszego saura: jego posłaniec czy sępy paszy Asimara.

*

Alim napełniał puchary, biadoląc przy tym jak stara kobieta:

— Aj, aj. Powiadam wam, szlachetni panowie: ukaz paszy mnie zrujnuje.

— Z tego, co widzę, na razie nieźle ci się powodzi — rzekł Nahar.

Sala była wypełniona do ostatniego miejsca.

— Aj, aj. Gości dużo, ale to właśnie moje nieszczęście. Każdy pije za pół ceny. Za pół ceny, wyobraża pan sobie, paniczu Nahar? To daje mi dwie centymy za dzban najlepszego wina. Będę rozdierał szaty i targował się z kupcami wiele dni, a i tak nie napełnię piwniczek za mniej niż dwie centymy od dzbanu. Przez diabelną suszę, co opróżniła kanały w górnym biegu rzeki, winogrona ostatnio bardzo zdrożały. Czyli w najlepszym wypadku nic nie zarobię. A podatek czopowy? A służba?

Kashim uśmiechnął się.

— Spójrz na to z dobrej strony — powiedział, sięgając po puchar. — Najwyższy z pewnością wynagrodzi twoje poświęcenie.

— Czymże byłoby Święto Wstąpienia bez dobrego wina, Alimie — wtrącił Nahar.

Grubas odstawił dzban i otarł czoło.

— U Najwyższego i tak mam zajęte świetne miejsce. Za każdym razem obiecują mi to Duzzahowie, których obsługuję na kredyt. Ale przydałoby się i w tym życiu coś do gęby włożyć.

Kashim wysupłał z sakiewki pół złocisza i rzucił na stół.

— Masz. Teraz nie możesz powiedzieć, że jeźdźcy opijają ci piwniczkę i odbierają chleb od ust.

Alim zgiął się wpół. — Bądź po stokroć błogosławiony, szlachetny panie. Niech twoje dzieci...

— On nie ma dzieci, Alimie. I pewnie długo nie będzie miał — rzekł Nahar.

— Mimo wszystko dziękuję za dobre słowa — odparł Kashim. — Teraz przygotuj jeszcze jedno miejsce, a potem zostaw nas samych.

Wkrótce zjawiał się Dahal. Stał w progu, zdjął szyszak i odszukał wzrokiem przyjaciół. Wyglądał równie ponuro jak ubiegłego dnia. Rozweselił się dopiero, gdy zajął miejsce przy stole, a Kashim przysunął mu

półmisek z parującym gulaszem.

— Co znaleźliście? — spytał Dahal, wbijając głęboko łyżkę.

Kashim wyciągnął zza pazuchy zwój.

— Zawęziliśmy krąg podejrzanych do dwunastu osób.

Dahal rozwinął listę i uważnie ją przestudiował.

— Doskonale. Wypadają cztery osoby na głowę. Możemy je sprawdzić w jeden dzień.

— To nie jest takie proste — rzekł Nahar. — Do co najmniej trzech nie zdołamy się dostać. Są zbyt dużymi kaskami jak na nasze gardła.

— Więc wypytamy ich służbę albo przyjaciół — powiedział Kashim. — Nie każe ci przecież iść do posiadłości Farana Al’Kannaha i mówić, że podejrzewasz go o morderstwo!

— Właśnie — przytaknął Dahal. — Jeśli zachowamy dyskrecję, zdołamy sprawdzić wszystkich. Jutro zbadacie pierwsze kilka nazwisk.

— A ty?

Żołnierz nagłe spoważniał.

— Ja mam inny trop, ale to niebezpieczna rzecz, w którą nie będę was wciągał. Wystarczająco pomożecie, wypytując o naszych młodych piętokrwistych.

— Nie lubię tajemnic — powiedział Nahar — na pewno nie powiesz nic więcej?

— Nie, póki nie będę pewien — Dahal pokręcił głową.

W odpowiedzi Nahar wzniósł kielich.

— Za trzech wspaniałych, co pojną zabójców.

— Za trzech wspaniałych.

— Za trzech wspaniałych.

Opróżnili naczynia duszkiem. Potem rozmowa zeszła na mniej poważne tematy. Opowiadali o zabawnych rzeczach, które zdarzyły się tego dnia w mieście. O tym, gdzie i kiedy odbędą się najlepsze uczty. I o tym, jakich oficerów nominuje pasza z okazji święta. Temat morderstwa wrócił jednak niczym nocna zjawia, gdy Nahar udał się na zewnątrz, by opróżnić pęcherz.

Gdy tylko Al’Iarnak zniknął za drzwiami, Dahal przysunął się do Kashima i rzekł:

— Nie chciałem wspominać przy młodym, bo jest za gadatliwy. Mam świadka, który słyszał rozmowę zabójców.

— Naprawdę? — spytał Kashim, nie kryjąc zainteresowania. — Czego dotyczyła?

— Tego rzec nie mogę — odparł Dahal i potarł nabrzmiałą od krwi bliznę. — Na razie mam tylko podejrzenia, ale jeśli się sprawdzą... Sprawa może być duża, Kashimie. Sięgająca samego pałacu.

— Czy coś ci grozi?

— Nie wiem, jednak wolę się ubezpieczyć. Znasz moją siostrę?

— Aliyah? Tylko z widzenia.

— Jest jedyną osobą poza mną, która zna świadka. Jutro wieczorem idę sprawdzić swój trop. Jeśli.. Jeśli coś mi się stanie — gdybym nie dawał długo znaku życia — odwiedź ją. Rzeknij, że służyłeś ze mną, a ona zdradzi ci imię.

Kashim skinął w milczeniu głową.

— Potem — kontynuował Dahal — sam zdecydujesz, czy chcesz się w tym babrać. Pamiętaj, że nie masz obowiązku.

— Nie podoba mi się to. Wiesz, że potrafię dochować tajemnicy. Powiedz, o co chodzi, a jutro pójdę z tobą. Moja szabla może się przydać.

— Nie, przyjacielu. Nie namawiaj, proszę. Podjąłem już decyzję. Jeśli chcesz coś jeszcze zrobić...

— Tak?

Dahal sięgnął do sakiewki i wyciągnął ułamany kawałek ostrza wielkości paznokcia.

— Znalazłem go w uliczce nieopodal ciała. Na pewno nie pochodzi z sejmitaru Muhhamara. Chciałem dać ten fragment dobremu płatnerzowi, lecz zabrakło mi czasu.

Kashim chwycił drzazgę w dwa palce i obejrzał dokładnie. Stał miała dziwny, jakby tęczyowy poblýsk. Z bliska widać było delikatną fakturę setek cieniutkich warstw.

— Jedno mogę ci powiedzieć od razu: nie wykuł tego żaden płatnerz wTel'Halik.

— Wiem — odparł Dahal. — Dlatego sędzę, że sprawa może być warta zainteresowania.

Al'Shannagg schował odłamek do sakiewki.

— Zajmę się tym jutro rano — rzekł.

W tym momencie zabrzmiał nad nimi głos Nahara:

— Czemuż siedzicie smutni jak pastuch nad zdechłą owcą? Widać za mało było wina! Hej, Alim! Potrzebny nam drugi dzban twojego boskiego nektaru!

*

Żołnierze Orlego Fortu mogli spać w rodzinnych domach, gdy nie pełnili służby. Nie wszyscy korzystali z tego przywileju, lecz Kashim Al'Shannagg nie spędził w barakach nawet jednej nocy więcej, niż musiał. Dlatego też, kiedy głęboką nocą opuścił Rozbitą Amforę, nie poszedł w stronę garnizonu, choć ten znajdował się nieopodal, lecz zanurzył się w labirynt wąskich uliczek Dzielnicy Rzemieślników.

Po drodze mijał gromadki pijanych ludzi, a rozbawione dziewczki wykrzykiwały pod jego adresem nieprzyzwoite propozycje. Kashim szedł jednak zamyślony, nie zważając na wszystko wokół. W jego głowie zaczęło się rodzić jakieś niedobre przecucie. Zdawało mu się, że brnie z Dahalem i Naharem wprost w sieć pustynnego pająka-giganta.

— Daj centymę, żołnierzu — wyrwał go z zamyślenia obcy głos o typowo północnym akcencie.

Trzech nieznajomych stało przed Kashimem, opierając się na kijach. Ciągnął od nich ciężki odór kwaśnego wina.

— Za przechodzenie nocą naszą ulicą płaci się myto.

Al'Shannagg rozsunał płaszcz i ukazał błyszczące stalowe płytki pancerza oraz rękojeść wielkiej szabli.

— Nie poznaliście Świętego Jeźdźca, szczury? — rzekł.

Pastuchowie skulili się i ustąpili. Kashim przeszedł pomiędzy nimi, znikając w ciemności.

Jego rodzinny dom stał na samym końcu dzielnicy. Był to nieduży, dwupiętrowy budynek, który z tyłu miał miejski mur, a z przodu ogród z sadzawką. Kiedyś mieścił się tu kantorek, gdzie rzemieślnicy mogli załatwić swoje sprawy z Al'Shannaggami. Teraz była to jedyna nieruchomość, jaką ród posiadał.

Kashim wszedł przez bramę do ogrodu. W jego odległym narożniku widniał rząd nagrobków. Młody żołnierz nie lubił patrzeć w ich stronę, pomników było bowiem kilkakrotnie więcej, niż zostało żywych Al'Shannaggów. W domu światło paliło się tylko w jednym oknie.

Drewniane wrota z kołatką przypominały, że kiedyś mieszkali za nimi bogaci ludzie. Niewiele rodzin w Tel'Halik stać było na porządne drzwi ze względu na cenę i rzadkość drewna.

Kashim zastukał i wkrótce usłyszał szczepek skobla. Skrzydło otworzyło się, ukazując Mullaha, stojącego z oliwną lampką w ręku.

— Chwała Najwyższemu! Cieszę się, że pan się zjawił, paniczu Kashimie — przywitał go stary sługa.

Kashim wszedł do sieni i zdjął płaszcz, a Mullah zamknął drzwi.

— Co z matkami? — spytał młodzieniec.

— Obie szanowne panie już śpią. Panna Mara i jej służka też.

— Jest coś w kuchni?

— Potrawka z grzybów hungu, paniczu. Mam też trochę pszennych placków.

— Doskonale. Podaj zaraz — rzekł Kashim, zdejmując buty.

Siwy niewolnik skłonił się i zniknął w korytarzach pustego, cichego domu.

Chwilę potem Kashim jadł w samotności na dywaniku w sali wojennej. Całą ścianę zajmował tam gobelin, który przedstawiał rozbięcie buntowniczych plemion pod Tel'Halik. Na drugiej ścianie wisiały trofea, zgromadzone przez poprzednich męskich członków rodu: kilka proporców dzikich plemion, szable pokonanych wrogów, parę ogromnych łbów manhaurów, szczęki wielkiego pajaka, a nawet hełm demona. Ten ostatni zawsze najbardziej interesował Kashima.

Była to dziwna, cylindryczna konstrukcja z nitowanej stalowej blachy. Ojciec surowo zabraniał dotykać przedmiotu, lecz młody Kashim włożył go kiedyś na głowę. Stwierdził wtedy, że istotnie tylko demon mógł walczyć w czymś podobnym. Wąska szczelina na wysokości oczu bardzo ograniczała pole widzenia, a przez małe dziurki ledwie dało się oddychać.

Kashim nie dodał jeszcze nic do tej galerii chwały. Miał jednak nadzieję, że wkrótce to uczyni.

Gdy skończył posiłek, zostawił na podłodze talerze i poszedł do swojego pokoju. Długo nie mógł zasnąć, gnębiony złymi przeczuciami.

*

Trzeci dzień święta rozpoczął się podobnie do drugiego. Nikt nie wstał na czas, by zadbać o obowiązki. Dopiero koło południa kupcy zaczęli otwierać kramy, a rzemieślnicy zjawili się w warsztatach. Gdy Namib od Mieczy dotarł do swojej kuźni, która mieściła się przy placu Księgi, słońce stało już prawie w zenicie. Pomocnika nie było jeszcze widać. Klnąc na czym świat stoi, Namib odsunął kotarę i wpuścił do środka światło dzienne. Przekroczył próg, by zaraz podskoczyć ze strachu.

Wewnątrz, cicho i bez ruchu, siedział potężny wojownik. Jego ciemna twarz miała szlachetne rysy, a krótka broda była starannie wypielęgnowana. Pancierz Jeźdźców chronił szeroki tors, a stalowy szyszak z turbanem leżał na ławce obok nieznanego.

— Oho. Na tysiąc skorpionów, może wyjaśnisz, żołnierzu, dlaczego wszedłeś do mojej pracowni bez pozwolenia?

Nieznajomy wstał i poprawił pas.

— Wybacz, Namibie, ale na zewnątrz zrobiło się za gorąco.

Namib pokiwał głową. Obcy zdecydowanie nie wyglądał na złodzieja.

— Dobrze więc. Odpracujesz to wtargnięcie, pomagając rozpaścić ogień. Mój uczeń, niech go rozerwą sępy, jeszcze się nie zjawił.

Mężczyzna podszedł do paleniska, gdzie rzemieślnik zaczął już obkładać sianem kupkę suszonego nawozu.

— Można wiedzieć, z czym przychodzisz? — spytał Namib, krzesząc na zeschniętą trawę iskry.

Żołnierz sięgnął do sakiewki i wyjął jakiś mały, metalowy przedmiot. Namib odłożył krzesiwo i wziął go pomiędzy grube paluchy.

— Możesz odsłonić okno? — poprosił.

Nieznajomy odciągnął zasłony. Snop światła padł na palenisko i kowadło. Odłamek błyszczał prawie jak lustro.

— Bardzo interesujące — rzekł Namib, oglądając przedmiot ze wszystkich stron. — Gdzie go znalazłeś, żołnierzu?

— Przykro mi — odparł gość. — To część tajnego dochodzenia. Co możesz mi o nim powiedzieć?

— Hmm. Widzę dwie ciekawe rzeczy.

— Tak?

— Po pierwsze, jest to część jednosiecznego ghanka.

— Noża z zachodu?

— Tak. Noża dzikich górali z Żelaznych Wzgórz. To niezwykła broń; jest symbolem świadczącym, że właściciel to pełnoletni mężczyzna i wojownik. Nie używa się jej na co dzień.

— Więc kiedy walczy się ghankami?

— Gdy w grę wchodzi rodowa zemsta albo pojedynek. Górale uważają, że hańba zostanie zmyta, tylko jeśli krew wroga wytoczy się ghankiem.

— A druga rzecz?

— Otóż metal nie przypomina żadnego z tych, które pochodzą z Tel'Halik lub z Żelaznych Wzgórz.

Kashimowi Al'Shannagg przeszedł po plecach dreszcz.

— Czyli...? — spytał.

— Nóż został wykuty z metalu, który wydobyto poza Ocaloną Krainą. Choć doprawdy ciężko mi sobie wyobrazić, jak to się mogło stać.

*

Yaran Al'Mazuk, najlepszy goniec proroka Zerakhima, zatrzymał saura lekkim pociągnięciem wodzy. Gad wywalił jęzor, dysząc ciężko. Yaran wiedział, że wierzchowiec jest spragniony i padnie, jeśli do jutra nie znajda wody. Chcąc minąć oddział paszy Asimara w bezpiecznej odległości, musiał zatoczyć szeroki łuk na południe. Zamiast kupieckim szlakiem, na którym co pół dnia stały starannie utrzymywane studnie, pojechał dzikimi i bezludnymi pustkowiami. Na dodatek musiał zamęczać zwierzę prawie na śmierć, by mieć choć cień szansy na dotarcie do Tarakana przed poddanymi Asimara.

Yaran wydał nagle radosny okrzyk. Pomiędzy wydrami dostrzegł małą studnię, a obok niej kamienną chatkę. Przy chatce pasło się kilka kóz, które skubały rzadką, przesuszoną trawę. Czyli musiała tam być również woda.

— Chwała Najwyższemu — rzekł Yaran i skierował w tę stronę saura.

Zwierzę prychnęło i wbiło łapy w piach, jakby bało się czegoś.

— No dalej, głupi gadzie. Tam jest woda. Chcesz paść z pragnienia?! — krzyknął Yaran, okładając wodzami boki jaszczura.

Wreszcie ten ruszył do przodu i powoli zstąpił z piaszczystego wzniesienia.

Przed chatę wyszła zgarbiona staruszka. Yaran nie widział jej twarzy, bo skryta była pod kwefem. Oczy ginęły gdzieś w cieniu kaptura. Mimo gorącego dnia, kobieta zawinęła się od stóp do głów w białą szatę — widać była w żałobie. Yaran zatrzymał saura w bezpiecznej odległości.

— Chwała Najwyższemu! — rzekł.

— Chwała — odparła słabym głosem kobieta.

Yaran zeskoczył z siodła.

— Czy można napęłnić bukłaki, matko? Zwierzę jest bardzo spragnione.

Staruszka skinęła głową. Posłaniec podszedł do studni. Była tak głęboka, że nie widział lustra wody. Zrzucił do środka wiadro. Uderzyło głucho w piasek.

— Na sępy i skorpiony! Co to ma znaczyć? — krzyknął, chwytając za sznur.

Wyciągnął wiadro. Było w nim tylko trochę pyłu oraz ludzka czaszka. Odskoczył jak oparzony i dobył szabli. Kobieta dalej stała bez ruchu, jednak kozy rozpląnęły się w falującym, gorącym powietrzu.

Yaran splunął.

— Nie zbliżaj się, maro! Wróć do piekielnych otchłani. Chroni mnie światło Najwyższego!

Staruszka zrzuciła szatę, a posłaniec zakrztusił się śliną. Miał przed sobą ludzki szkielet, opłatany przez setki sinych larw. Robactwo kłębiło się między żebrami, wyłaziło z oczodołów, pełzało po miednicy. Putynny morgh! Tak blisko miasta!

— Jesteś nasz — powiedziały robaki.

Saur ryknął przeraźliwie i rzucił się do ucieczki. Yaran bladymi wargami wyszeptał modlitwę. Zakręcił szablą młyńca i, nie czekając aż bestia rzuci jakiś urok, ruszył do ataku.

Chwilę później jego przeraźliwy krzyk poniósł się nad wydymami. Sępy, które ucztowały nieopodal na dwudniowym ścierwie bacharna, poderwały się do lotu. Gdzieś w pobliżu czekał na nie świeższy posiłek.

*

Kashim opuścił pracownię Namiba od Mieczy z głową pełną pytań. Żadne kopalnie nie istniały poza Ocaloną Krainą. Na wschodzie rozciągały się ziemie demonów, a na zachodzie Czerwone Pustkowia, za którymi Księga umieszczała Kraj Najwyższego. Północ to Morze Lodowych Wichrów — dzikie i zimne. Na południu z kolei mapy Pałacu Mądrości pokazywały wijącą się wstęgę Shaprut, która w końcu wpadała wąską doliną do Morza Bestii. Morze to było zupełnie niedostępne inną drogą, bo odgradzał je od pustyni łańcuch wysokich gór.

Gdzie więc wydobyto żelazo, z którego powstał ghank? Może jakieś plemię znalazło nowe złoża i nie powiadomiło paszy, chcąc uniknąć podatku? A może nóż przekuto z przedmiotu wykopanego w ruinach nieocalonych? Przecież wielu mędrców twierdziło, że używali oni materiałów, które zniknęły zupełnie po Wielkim Sądzie.

Z rozmyślań wyrwały Kashima krzyki. Przed nim, na samym środku ulicy, szarpało się za szaty dwóch grubych kupców. Otaczał ich tłum gapiów.

— Łżesz, psie! — krzyczał jeden.

— Ja łżę? Patrz, kłamliwe ścierwo! — odparł drugi, przysuwając mu coś pod nos. — To mają być figi? Chciałeś mi sprzedać worek zgnilizny i robactwa.

— Trzymajcie mnie, bo wyłupię temu oszustowi oczy! — zawołał pierwszy do synów, którzy stali obok z kijami w rękach.

— Bijcie go, ojczu, zasłużył.

— To wam się należą baty. Tfu! Cały ród zbójów. Sprzedawać takie coś!

— Sprzedałem ci worek pięknych fig, kłamco. Podmieniłeś go w domu na worek łąjna i wracasz się awanturować!

— Niech mi Bóg świadkiem, że...

Kashim roztrzącił gapiów i wszedł pomiędzy kupców. Jednego chwycił za kołnierz i odciągnął w bok, a drugiego pchnął na ścianę. Był zły i nie miał zamiaru się patyczkować.

— Milczeć, przekupy! — krzyknął. — Kadi ustali prawdę. Obaj pójdziecie ze mną do Pałacu Sprawiedliwych.

Handlarz wyrwał mu się.

— Od kiedy to straż broni złodziei? Nigdzie nie pójde. Będę dochodził sprawiedliwości tu i teraz. Złoić temu oszustowi skórę, synkowie!

Kashim stanął na drodze dwóch pryszczatych młodzieńców. W normalny dzień próbowałby przemówić im do rozsądku, ale dzisiaj brakło mu czasu i ochoty. Tłum zamilkł, czekając w napięciu na rozwój wydarzeń.

Wojownik skupił wolę. Rozkazał, by geniusze powietrza uderzyły wyrostków w pierś. Zaraz potem rozległ się huk i obaj, jakby walnięci taranem, odlecieli kilka stóp w tył i upadli na bruk. Kupcy rozdziawili gęby. W tym momencie pomiędzy ludźmi przedarło się kilku zdyszanych gwardzistów z pikami.

— W samą porę! — rzekł Kashim. — Czy straż tak się rozleniwiła, że na ulicach pilnować porządku muszą Święci Jeźdźcy?

Wąsaty dowódca schylił głowę na znak przeprosin.

— Zabierzcie ich do pałacu na sąd — rozkazał Al'Shannagg, odwracając się.

Ruszył w dół ulicy, a krąg gapiów rozstał się przed nim z respektem.

*

Trzeci dzień minął spokojniej niż pierwsze dwa. Na wieczornym kazaniu ludzie nie tratowali się już, by złapać rzucane w tłum drobiazgi, a nocą rozpalono jakby mniej ognisk. Tylko przy straganach z kolorowymi sukniami panowało cały czas niezwykle poruszenie. Kobiety targowały się, wrywały sobie skrawki pstrokatej materii, głośno biadoliły. Tęgie służące rozpędały kułakami biedniejsze panny, by zrobić miejsce swoim wychowankom.

Nie działo się to bez przyczyny. Kobiety Tel'Halik, choć nie mogły zajmować się polityką, były świetnym wskaźnikiem sytuacji w mieście. Uważnie słuchały mężów i synów, którzy w palmowych gajach rozprawiali o istotnych kwestiach.

Trzeciego dnia głównym tematem rozmów było to, kto zostanie następnym prorokiem. Patriarchowie Tel'Halik nie byli zgodni co do nazwiska, lecz wiedzieli, że Duzzahowie są zmęczeni kompromisowymi

rządami Zerakhima. Prostych wiernych drażniły zaś coraz liczniejsze działające otwarcie madrasy, w których nauczali heretycy. W rozmowach typowano więc Vezamara, Yholeda, Mazznara i innych kapłanów, którzy byli posłuszni Księdze w najdrobniejszych szczegółach. Kobiety wiedziały, co to znaczy. Nieliczne ustępstwa, jakie poczynił Zerakhim, zostaną im odebrane. Nie będą mogły już, nawet ze służbą, wychodzić z domu po zmroku, a handlarze różu i barwnych strojów zamkną kramy pod wpływem kar, które przewiduje Księga za nakłanianie kobiet do zbytku. Wniosek z tego płynął prosty — trzeba kupować wszystko, co się da, bo nie wiadomo, na jak długo zabraknie w Tel’Halik luksusowych towarów.

*

Kashim Al’Shannagg spojrział do środka pustego pucharu. Na dnie spoczywała jeszcze mała szkarłatna kropla. Jeździec westchnął i wlał ją między wargi, po czym napełnił kielich. Przed nim stał duży półmisek sezamowych ciastek, z których nie zjadł nawet połowy.

Był sam. Przybył do Rozbitej Amfory tuż po zmroku, zajął stolik przy oknie i zamówił u Alima obfitą kolację dla trzech. Tymczasem ani Nahar, ani Dahal się nie zjawili. Kashim siedział pełen złych przeczuć, powoli sącząc wino.

Spędził tu już trzy godziny. Wsłuchiwał się w głosy innych gości tawerny. Jakiś kupiec narzekał, że ubiegłej nocy okradziono mu magazyn. Przy sąsiednim stoliku żołnierz chropowatym głosem rozprawiał o wdziękach pewnej ladacznicy z placu Czerwonych Kolumn. Gdzie indziej gromadka rzemieślników kłóciła się o to, który dostał większe zamówienia na czas święta. W dalekim kącie stary, odziany w krwiście czerwony chałat mężczyzna śpiewał o falach Shaprut. Słowa przebijały się łatwo przez gwar tawerny i Kashim, zupełnie nieświadomie, zaczął się w nie wsłuchiwać.

...pospiesznie przepływały liczne armie wody,
jak rumaki uciekające spod rąk poganiacza.
Ich śladem podążało płynne białe srebro
wlane do rozległych i dostojnych form.
A kiedy nocą na wodzie widać jasne gwiazdy,
to zdaje się, że niebo spadło do jeziora.
Ryby zamknięte w toni szukają krawędzi,
lecz jej nie znajdują, niebo ucieka przed nimi.
Pływają więc pośrodku, między otchłanią i niebem,
jak ptaki szybujące w górze coraz wyżej...[\[1\]](#)

Kashim ziewnął. Już miał zapiąć pas i wstać od stołu, gdy na progu

gospody stanął chłopiec o zmierzwionej czuprynie. Wyłowił wojownika z tłumu i pobiegł w jego kierunku, krzycząc:

— Panie Al'Shannagg! Wiadomość! Mam wiadomość od panicza Nahara!

W rękę trzymał mały papierowy zwitek. Kashim natychmiast oprzytomniał. Posadził chłopca za stołem, przysunął mu półmisek łakoci, a sam otworzył list. Nahar pisał do niego:

Przyjacielu!

Nie mogę przyjść na spotkanie, bo dowiedziałem się, że Saddar Al'Narmat, który jak wiesz widnieje na naszej liście, chodzi wieczorami do pewnego domu w Krwawym Sztylcie. Jego służąca zdradziła, że nie było go w noc morderstwa. Sam więc rozumiesz, jak ważne jest, bym go śledził. Nie bój się o mnie. Biorę dobry kindżał i wiernego sługę.

Nahar Al'Iarnak

Kashim odłożył kartkę i spojrzał na chłopca, który opychał się słodyczami. Wyciągnął z kieszeni srebrną centimę i rzucił ją małemu.

— Zabieraj resztę ciastek, a potem zmykaj — powiedział.

Chłopcu nie trzeba było powtarzać dwukrotnie.

Kashim znów został sam, zastanawiając się, co teraz robić. Nie miał zamiaru wracać do domu. Krew buzowała mu w głowie, a wino rozgrzewało ciało. Obaj jego przyjaciele w tej chwili przeżywali groźne przygody. Nie mógł po prostu położyć się spać, miał ochotę na coś szaleńczego, ryzykownego.

Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech. Przygłodził brodę, wstał i dopiął szablę. Wiedział już, że zrobi rzecz, którą powinien uczynić dawno temu.

*

Strażnik siedział na ławce przy stawie i patrzył w jego toń, posrebrzoną blaskiem księżyca. Co jakiś czas pod wodą błyskała karmazynowa rybia łuska. Mężczyzna oparł pikę o drzewo, zdjął buty. Zamyślił się.

Dzisiaj Najwyższy mu nie sprzyjał. Żołnierz przegrał w kości tygodniowy żołd, został przyłapany na podkradaniu z kuchni daktyli, a na dodatek musiał pilnować ogrodu, zamiast bawić się z przyjaciółmi w przytulnym zamtuzie.

Tak pochłonęło go rozpamiętywanie swych nieszczęść, że nie zauważył zwinnej jak kot sylwetki, która przesadziła ogrodowy mur, by zniknąć za krzakami róż. Potem dobiegła pod sam dom i zaczęła piąć się w górę po winorośli porastającej ścianę.

Strażnik podniósł się wreszcie, naciągnął z powrotem buty i chwycił broń. Obejrzał pusty ogród. Nic nie zwróciło jego uwagi, więc przeniósł wzrok na rozłożysty, dwupiętrowy budynek, który również stał cichy i ciemny. Tylko jedwabna zasłona kołysała się na wietrze w oknie panny Jelayi.

Eh, pomyślał gwardzista, gdyby tak złapać złodzieja albo kochanka nastającego na cnotę córki pana Iznaka. Na pewno dostałbym trochę złota i wolne do końca święta...

Roztarł zmarznięte ręce i wrócił do patrolowania ogrodu. Może to będzie jego szczęśliwa noc?

Kashim wylądował na miękkim dywanie i poczekał, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności, która panowała w komnacie. W powietrzu unosił się zapach kadzideł z drzewa sandałowego i czegoś jeszcze. Czegoś, co sprawiało, że Kashimowi szybciej zabiło serce.

Naprzeciw okna stało łóże, na którym leżała Jelaya, wśród jedwabnej pościeli i miękkich poduszek. Kashim zrobił krok do przodu i spostrzegł, że dziewczyna nie śpi.

Usiadła, szeleszcząc cicho koszulą, i spojrzała wprost w jego stronę. Nie krzyknęła jednak, czego Kashim obawiał się najbardziej. Wyciągnęła dłoń w stronę kandelabru i jedna ze świec zapłonęła. Jelaya miała silny dar.

— Czy Święci Jeźdźcy zwykli pod osłoną nocy zakradać się do sypialni młodych panien? — spytała poważnym tonem.

Kashim poczerwieniał. W zasadzie sam nie wiedział jeszcze, po co tu przyszedł. Dziwny impuls zaprowadził go do domu Makhar'adów i powiódł przez strzeżony ogród.

— Nie, chyba że są to panny tak piękne, by złamać serce hartowane w ogniu bitwy — rzekł w końcu, kłaniając się.

Jelaya stanęła na łóżku. Młodzieniec oniemiał, patrząc na jej ciało, okryte tylko jedwabną koszulą.

— Niewielkie to musiały być bitwy, że stworzyły serce na kształt miedzianego talerza, które gnie się przed każdym dziewczęciem.

— Bitwy były wielkie, a serce jest spizowe i pęknać mogło tylko dla jednej w tym mieście.

Jelaya uśmiechnęła się.

— Doprawdy, sokole? Co uczyniło mnie zdolną do łamania spizu?

Kashim zamilkł speszony. Żałował, że wzorem Nahara nie uczył się nigdy miłosnej poezji albo retoryki. Szukał odpowiedzi, lecz nic nie przyszło

mu do głowy.

— Nie umiem rzec. Ta wielka siła przyciągnęła mnie jednak z daleka — powiedział wreszcie.

Jelaya zachichotała cicho.

— Pani. Jeśli nie jestem mile widziany, odejdę.

Patrzyła na niego długo. Wreszcie usiadła z powrotem w pościeli i rzekła:

— Zostań, sokole. Podoba mi się twoja szczerłość i chętnie z tobą porozmawiam, Ale siądź na krześle i nie zbliżaj się do łoża, bo wezwę braci.

*

Dahal zaskowytał jak ranne zwierzę, wybiegając ze skalnej szczeliny w szeroki, ciemny korytarz. Parł do przodu prawie po omacku i co chwila obijał się o ściany. Jego twarz wykrzywiona była w grymasie przerażenia.

Stuk butów, który dobiegł gdzieś z tyłu, zdwoił jego wysiłek. Dahal omal nie upadł, skręcając w kolejną odnogę. Nagle dostrzegł, że przejście jest zagrodzone. W półmroku widział ciemną postać, która stała w poprzek korytarza. A więc otoczyli go. Nic dziwnego. Znali te podziemia jak własną kieszeń.

Dahal rzucił się na przeciwnika, wiedząc, że zwłoka oznacza śmierć. Szable zwały się ze szczękiem. Żołnierz naparł całym ciężarem, obalając wroga na ziemię, i przebiegł po nim. Nie zwrócił nawet uwagi na ostrze, które drasnęło mu udo.

Dobiegł do następnego skrzyżowania. Strach sprawił, że zapomniał, która droga prowadzi do wyjścia. Wyszeptał do Najwyższego krótką modlitwę, po czym wybrał prawą. Wkrótce dotarł do miejsca, gdzie przez mały otwór w suficie wpadał snop światła. Na podłodze leżała wyłamana kratka. Dahal nie miał czasu dziękować Bogu za ocalenie. Podskoczył i chwycił krawędź otworu.

Chwilę potem znalazł się już w sadzie przy Pałacu Ksiąg. Wokół nie było żywej duszy, tylko starannie wypielęgnowane oliwne drzewka. W sercu Dahala wezbrała nadzieja. Popędził w stronę muru otaczającego ogród. Gdy znalazł się tuż przy nim, usłyszał za plecami krzyki. Wrogowie już byli na zewnątrz! Szczęknęły kusze, lecz żaden bełt nie sięgnął celu. Żołnierz przeskoczył mur i pobiegł ulicą, która prowadziła w labirynt Krwawego Sztyletu. Biegł i łkał jednocześnie, jak opętaniec ze świątynnego przytułku.

Rozdział 3. Krew i wino

Wiedziałem, że to się w końcu zdarzy — rzekł Nahar, szczerząc zęby. Świsnął kilka razy ostrzem, by rozgrzać nadgarstek. — Broń się. Nie będę miał litości.

Kashim milczał. Spojrzał smutno na przyjaciela i dobył szabli. Mimo upału przywdziali zbroje. Na głowach obaj mieli szyszaki (okryte turbanami, żeby nie nagrzewały się w słońcu). Zaczęli krążyć wokół siebie w poszukiwaniu okazji do ataku. Wysokie, podkute buty wzbijały na suchym klepisku obłoki kurzu.

Pierwszy zaatakował Nahar. Skoczył do przodu, tnąc zza głowy. Kashim lekko przysiadł, sparował cios, po czym wywinął ostrze i ciął od dołu w szyję przeciwnika. Nahar zdążył się cofnąć. Ostrze przeleciało mu pół palca przed nosem.

Al'Shannagg zaatakował. Dwa błyskawiczne ciosy, jeden z prawej-górnej kwarty, a drugi z lewej-górnej. Nahar zbił oba ataki i wyprowadził z nadgarstka szybką kontrę na wysuniętą nogę przeciwnika. Kashim ledwo zdążył sparować cios, gdy Nahar uderzył ponownie.

Chwilę krążyli wokół siebie wśród błysków szabel. Kurz przylepiał się do potu spływającego im po czołach. Nagle Kashim zrobił zwód, udając, że chce ciąć z lewego dołu. Jednakże zamiast tego, gdy przeciwnik przygotował już zastawę, wywinął mistrzowskim ruchem szablę i natychmiast uderzył z prawej. Nahar z trudem zdążył sparować. Oręż walczących skrzyżował się na wysokości piersi. Nahar wykreślił nadgarstkiem spiralę, próbując rozbroić Kashima, ten jednak wycofał natychmiast ostrze i pchnął z wypadu, celując piórem prosto w serce przeciwnika. Nahar zbił cios, ale zbyt słabo i niedokładnie. Kashim zaraz powrócił z cięciem, którego Nahar, mając szablę opuszczoną, nie mógł odbić. Ostrze sięgnęło jego podbródka.

Nahar krzyknął z bólu i cofnął się kilka kroków, wpadając na inną ćwiczącą parę.

— Wynocha do swojego kręgu! — krzyknął zdenerwowany żołnierz, któremu Nahar pomieszał kroki.

Młodzieniec wrócił za linię z usypanej na piasku tłuczonej kredy. Syknął, dotykając miejsca, w które trafiła go szabla. Tępa treningowa broń boleśnie stłukła mu dolną szczękę.

— Precyzja, Nahar! — krzyknął mistrz Abaherim z cienia arkad. — Na cucky erhy, tyle razy mówiłem, że dobry szermierz to precyzyjny szermierz. Dzisiaj przez godzinę poćwiczysz kontrolowanie ostrza!

Nahar skinął głową.

— Nic ci nie jest? — spytał Kashim.

Młodzieniec tylko machnął ręką.

— Nie mogłem wygrać, prawda? Jesteś w końcu piątokrwistym.

Al'Shannagg zaśmiał się.

— Nie używałem w czasie walki daru.

Nahar wzruszył ramionami.

— To nie miało znaczenia. Krew Najwyższego. Jesteś szybszy i silniejszy.

Kashim wbił szablę w piasek. Podszedł do przyjaciela i położył mu na ramieniu dłoń.

— Spisałeś się świetnie. Kilka razy napędziłeś mi stracha. Prawie straciłem to żelastwo, gdy próbowałeś mnie rozbroić.

— Prawie... — odparł młody wojownik, wkładając szyszak.

— Chcesz spróbować rewanżu?

— Nie. Pójdę do kukły ćwiczyć dłoń, jak polecił stary.

— Spotkamy się przy bramie po treningu.

*

Tymczasem w Dzielnicy Rzemieślników zaczynał się kolejny dzień pracy. Nawet mimo święta większość warsztatów, które tłoczyły się wzdłuż wąskich ulic, była otwarta. Ubodzy rękodzielnicy nie mogli pozwolić sobie na chociaż dzień przerwy. Co najwyżej rozkładali narzędzia później i kończyli pracę jeszcze przed trzecim czytaniem, by wziąć udział w popołudniowych uroczystościach. Tylko w pracowni Udają garncarskie koło jak zwykle kręciło się od świtu do wieczora.

Starzec, który siedział w malutkim pomieszczeniu, dotykał gliny tak delikatnie, że palce prawie nie zostawiały śladów na miękkim walcu. Mały Ezih patrzył z podziwem. Choć zastępował dziadka przy kole już od szóstego roku życia, nie był jeszcze nawet w połowie tak dobry. Jego ręce ryły głębokie bruzdy, a cienkie ścianki naczyń często mu się rwały.

Na zewnątrz krzyczały dzieci, które ganiały się po podwórzu. Promienie światła wpadały do warsztatu przez dziury w zasłonach, a koło monotonicznie skrzypiało.

— Dziadku... Opowiedz mi historię.

Stary garncarz uśmiechnął się. Zwrócił w stronę dziecka zakryte bielmem oczy.

— Jaką historię? Wszystkie, które znam, słyszałeś już wiele razy.

— Opowiedz mi o Wielkim Sądzie, dziadku. O końcu świata i pierwszym proroku.

Starzec westchnął. Przez chwilę milczał, nie zdejmując dłoni z naczynia.

— Działo się to bardzo dawno temu — zaczął wreszcie — gdy nie istniało jeszcze Tel’Halik, a zamiast pustyni były tu żyzne równiny. Krainę, zwaną wtedy Bakhrem, zamieszkiwali jasnowłosi ludzie, którzy budowali wielkie miasta z kamienia i pływali po morzach ogromnymi statkami. Oddawali cześć wielu dziwnym bogom, żyli w rozpuście. Tymczasem puste, suche rejony krainy były domem ludzi ciemnowłosych i o smagłej skórze, podobnych do nas. Smutny był los ciemnowłosych. Na piaszczystej ziemi ciężko było się wyżywić, a musieli jeszcze płacić jasnowłosym trybut...

— Co to jest trybut, dziadku?

— Hmm... To dobra, które musi płacić lud pokonany ludowi zwycięskiemu. Tak jak górale z Żelaznych Wzgórz co roku przysyłają nam wozy pełne stali.

Dziecko skinęło głową. Starzec kontynuował.

— Na dodatek ciemnowłosi, którzy nie mogli lub nie chcieli płacić, byli sprzedawani w niewolę. Żyli w hańbie, usługując jasnowłosym w ich kamiennych miastach. Wielu jednak uciekało, szukając zakątka, gdzie mogliby żyć w pokoju, z dala od swoich tyranów. Znaleźli takie miejsce w sercu pustkowi. Było nim kamienne wzgórze, stare jak sam świat, poryte jaskiniami tak rozległymi, że żaden człowiek nie dotarł do ich końca. Wzgórze nazywano wtedy Koroną Piasków. Wkrótce w jego grotach zamieszkało kilkuset ciemnowłosych z rodzinami. W nocy wypasali na stepie bacharny, a w dzień kryli się głęboko pod ziemią i uprawiali na kamiennych ścianach grzyby hungu. Czekali, aż wydarzy się cud, który odmieni ich los.

— Nastął w końcu czas wojny i niepokojów. Wielu jasnowłosych, zakutyh w stalowe pancerze, wyruszyło na statkach walczyć ze smokami i demonami, które wypełzły z otchłani na granicy świata. Ci, którzy zostali, gnębili ciemnowłosych ze zdwojoną siłą, zabierając im ostatnie zwierzęta i worki zboża. W ten smutny czas zjawił się w Krainie dziwny, siwowłosy mąż, który podróżował w towarzystwie jedenastu wojowników. Mąż zatrzymywał się w osadach ciemnowłosych, wygłaszał kazania i czynił niezwykle cuda. Rzekł im, że przysyła go jedyny prawdziwy bóg, którego

przed tysiącleciami wyznawali wszyscy ludzie.

— I jasnowłosi, i ciemnowłosi?

— Tak. Ale to było u samego zarania dziejów, niedługo po stworzeniu świata. Potem demony pojawiły się na ziemi i zaczęły podawać się za bogów. Ludzie, których zwiodła ich moc, zapominali o Jedynym i stawiali im posągi ze złota i spiżu. W końcu nie został nikt, kto czciłby prawdziwego stwórcy. Ten jednak po tysiącach lat objawił się jednej, wybranej osobie — siwowłosemu. Powiedział mu, że rozgniewany bałwochwalstwem, zdecydował się zniszczyć ten świat. Wybrał jeden naród, który zostanie po Wielkim Sądzie i będzie rządzić ziemią. Tym narodem byli ciemnowłosi. Ciemnowłosi zdumieli się, lecz słowa podróżnika sięgnęły im prosto do serca, a czynione przez niego cuda sprawiły, że uwierzyli. Przyjęli go do swoich namiotów i uczyli się o Najwyższym oraz jego prawach.

— Dziadku? Jakie cuda robił siwowłosey?

— Wszystkie, jakie tylko możesz sobie wyobrazić, Ezih. Leczył rany, chodził po wodzie, zmieniał piasek w mąkę, a gdy próbowali go pojmać żołnierze jasnowłosych, sprawił, że spłonęli żywcem w okrutnych cierpieniach. Najwyższy bowiem, gdy objawił się siwowłosemu, wlał w jego żyły odrobinę swojej krwi, dając mu tym samym część swojej mocy.

— W końcu cały lud ciemnowłosych porzucił starych bożków i zaczął wyznawać Jedynego, wznosząc dla niego świątynie i gorące modlitwy. Siwowłosey, głosząc słowa Boga, dotarł aż do Korony Piasków. W jej jaskiniach znalazł najzarliwszych wyznawców, dla których jego nadejście było znakiem, że rychło skończy się niewola. Znalazł tam również żonę. Spłodził z nią siedmiu synów i trzy córki. Nazwano ich pierwszokrwistymi, z nasieniem siwowłosego otrzymali bowiem część jego daru. Byli pierwszą linią dziedziców Najwyższego, którzy w przyszłości mieli rządzić wiernym ludem. Ich ojciec, biorąc kobietę z ludu ciemnowłosych, przyjął imię Sammara. Sammar był więc pierwszym z osiemnastu proroków.

— Przez następne lata ciemnowłosi z jego pomocą zaczęli przeciwstawiać się jasnowłosym. Niestety, demony pojęły zamiary Najwyższego. Zstąpiły do kamiennych miast, by wesprzeć mieszkańców w walce z ludźmi Sammara. Ciemnowłosi wraz z prorokiem walczyli odważnie, ale szybko tracili siły. Ciężkozbrojne legiony wroga, wsparte przez demoniczne moce, spaliły wszystkie osady nawróconych, jedną po drugiej. Została tylko Korona Piasków.

Tu starzec przerwał na chwilę. Delikatnie zdjął naczynie z koła i położył

je na półce wraz z innymi, czekającymi na wypalenie. Potem siadł z powrotem na miejscu, oczyścił dokładnie koło, sięgnął do kadzi po garść gliny zmieszanej z piaskowym tłuczniem, a następnie zaczął formować drugi garnek. Wreszcie podjął opowieść:

— Sammar poszedł samotnie na szczyt i modlił się bez przerwy, dopóki siódmego dnia nie ukazał mu się Najwyższy. Bóg rzekł, że nadszedł czas Wielkiego Sądu. Obiecał, że w ciągu siedmiu dni zejdzie na ziemię, by zniszczyć demony oraz ich sługi w morzjuu ognia. Prorok powrócił do ludu i nakazał, by wszyscy wzięli dobytek i zeszli w głąb najciemniejszych jaskiń Korony Piasków. Tak też się stało. Po siedmiu dniach, choć ukryci byli daleko w trzewiach skały, usłyszeli głosy wyzwolonego piekła. Ziemia drżała, a zewsząd dochodził łoskot tak wielki, jakby niebo waliło się na ziemię.

— Ognista apokalipsa trwała czterdzieści cztery dni. Gdy ziemia przestała płakać, ciemnowłosi pomodlili się do Najwyższego i wyszli z jaskiń. Ukazał im się świat zupełnie niepodobny do tego, który opuścili. Cała kraina zmieniała się w wielką, wypaloną pustynię. Kamienne miasta zniknęły z powierzchni ziemi wraz z mieszkańcami. Tylko garstka jasnowłosych oraz demonów uciekła na wschodni kraniec świata, gdzie ukryła się wśród wysokich gór przed okiem Najwyższego. Ciemnowłosi objęli władzę, tak jak obiecał Jedyny. Odzyskane ziemie nazywano odtąd Ocaloną Krainą. Jako że ocaleni nie mieli dokąd się udać, postanowili zbudować na Koronie Piasków miasto. Nazwali je Tel’Halik, co w dawnej mowie znaczyło Wzgórze Objawienia.

— Zanim rozpoczęto pracę, prorok Sammar jeszcze raz udał się na szczyt, by podziękować Najwyższemu za cud. W czasie modlitwy Bóg ukazał mu się ponownie. Zesłał wiernym skórę bacharna, na której jego własną krwią spisane było Święte Przymierze. Najwyższy darował w nim całą ziemię ocalonym, tak długo, jak długo czcić będą Jego imię, a Jego krew nie zniknie wśród ludzi. W zamian żądał jednej tylko rzeczy. Ale to chyba pamiętasz, Ezih?

— Tak, dziadku. Najwyższy chciał, byśmy bronili Shannyevan przed pozostałymi demonami.

— Zgadza się — rzekł starzec i pogładził dziecko po głowie. — Nasz Pan był bardzo zmęczony walką z jasnowłosymi i ich bożkami. Nade wszystko zapragnął udać się na spoczynek. Wybrał sobie miejsce zwane Shannyevan — Boską Dolinę na zachodnim krańcu świata. Dolinę, w której co dzień

umiera ognista kula, wędrująca na nieboskłonie aż z krain ciemności. Dolinę, do której idą duchy prawdziwie wierzących, gdy ich życie dobiegnie końca. By jednak mógł odpocząć w spokoju, nakazał nam stać na straży Shannyevan. I tak oto żyjemy pośrodku świata, z pokolenia na pokolenie pilnując, aby żaden stwór z krainy wiecznej nocy na wschodzie nie przeszedł do krainy światła na zachodzie. I dopóki nasze szable i wiara tworzyć będą nieprzebity mur, dopóty będziemy władcami Ocalonej Krainy.

W warsztacie zapadła cisza, przerywana tylko skrzypieniem garncarskiego koła.

— Cudnie opowiadasz, dziadku. Zupełnie jak Duzzah.

Starzec uśmiechnął się.

— To mój obowiązek, Ezih. Każdy prawowierny mąż musi zrobić trzy rzeczy, jeśli chce wejść do Shannyevan. Po pierwsze, ma służyć prorokowi i bronić Ocalonej Krainy nawet za cenę życia. Po drugie, ma być posłuszny nakazom Księgi i dbać, by jego rodzina również ich przestrzegała. Po trzecie, ma głosić Słowo zawsze i wszędzie, gdy tylko nadarzy się okazja. Wkrótce, Ezih, dorośniesz i zaczniesz chodzić do madrasy na lekcje. Tam dowiesz się wszystkiego. Nauczysz się Księgi i sam kiedyś opowiesz ją wnukom.

— Czyli też będę tak pięknie mówił?

— Jestem pewien, że nawet lepiej. A teraz przynieś dzban zimnej wody. Zaschło mi w gardle.

— Tak, dziadku — rzekł Ezih.

Wziął ze stołu puste naczynie i wybiegł na podwórze, gdzie była studnia.

*

Ulicą, która prowadziła do placu Świątynnego, płynęła pstrokata rzeka kolorowych dzelab, pasiastych turbanów i spoconych ciał. W tym potoku nie dawało się rozróżnić poszczególnych osób. Z nieba lał się żar, a chłopcy sprzedający na progach domów zimne zsiadłe mleko zarabiali krocie. Tłum zmierzał pod Sanktuarium Księgi, skąd zgodnie z tradycją ruszyć miała czwartego dnia święta wielka procesja.

Tylko nieliczne osoby przedzierały się pod prąd. Wśród nich byli Kashim i Nahar. Chwilę torowali sobie drogę siłą, aż wreszcie skęcili w boczną, bardziej pustą uliczkę. Zmierzali do dzielnicy Szary Stok, gdzie mieszkał Dahal.

— Więc nie znalazłeś wczoraj nic? — spytał Kashim, przeskakując nad błotnistą kałużą.

— Nic, co mogłoby nas interesować. Choć myślę, że za wyniki mojego

śledztwa Duzzahowie zapłaciliby czystym złotem.

— Co masz na myśli?

— Młody Saddar chodził do Krwawego Sztyletu, by odwiedzać pewien zamtuż.

— Dlaczego akurat tam? Domy nierządnic w Sztylecie to najgorsze, najbrudniejsze...

— Wiem, ale ten jest inny. Jedyne powód, dla którego nie zajmuje wielkiej willi przy placu Czerwonych Kolumn, to rodzaj usług, jakie świadczą tam kobiety. Chodzi o rzeczy surowo zakazane przez Księżę.

— Czyli?

— Kobiety z tego przybytku dotykają ustami części nieczystych i spółkują z klientami jak mąż z mężem.

— Co?

Nahar klepnął go po plecach.

— Za mało wiesz o świecie, przyjacielu. Jest taki poemat Yrada Al’Hammeda, za którego rozpowszechnianie Duzzahowie karzą darcie pasów. Tytuł brzmi „Przyjemności w oliwnym gaju”. Słyszałeś go może?

— Za dobrze znasz się na takich rzeczach, jak na Świętego Jeźdźca — rzekł z rozbawieniem Kashim.

— A ty za mało, jak na mężczyznę — zaśmiał się Nahar.

— Skończmy temat, bo głowę zaprzątną nam nie te rzeczy, które powinny. Jeśli Saddar był fałszywym tropem, to nie został już praktycznie nikt.

— Sprawdziłeś resztę?

— Tak. Wszyscy piątokrwiści młodzieńcy Tel’Halik byli tej nocy w domach lub publicznych miejscach.

Nahar zaklął.

— Czyli przegrywamy?

— Owszem, jeśli Dahal nic nie odkrył. Musimy mieć nadzieję, że powiodło mu się lepiej niż nam.

*

Ezih właśnie miał zrzucić do studni wiadro, gdy czyjaś ręka spoczęła mu na ramieniu. Chłopiec krzyknął ze strachu i odskoczył w bok.

Właściciel dłoni był niewiarygodnie brzydki. Miał wielki garb, skórę pokrytą kurzajkami, a na jego spoconej twarzy sterczał haczykowaty nos. Kaprawymi, rozbieganymi oczkami patrzył na chłopca.

— Dziadku! — zawołał z trudem Ezih, ponieważ przerażenie dławilo mu

krtań.

— Cicho, chłopcze! Brak mi czasu, na Najwyższego! — odparł nieznajomy. — Mam dla ciebie bardzo ważną pracę. Bardzo ważną, rozumiesz? Zaniesiesz wiadomość. To będzie wiadomość do samego pałacu!

Ezih popatrzył z niedowierzaniem na mężczyznę.

— Nagroda! Dostaniesz nagrodę! — to mówiąc, nieznajomy wyciągnął z kieszeni srebrną centimę. — Drugą, tyle że złotą, dadzą ci w pałacu, jak tylko dostarczysz posłanie.

Chłopiec oniemiał, gdy zobaczył przed sobą pieniądz. Wyciągnął dłoń.

— Dobrze, panie. Do kogo mam pójść? Co mam powiedzieć?

— Powiesz strażom, że Tabo śle wieści. Zaprowadzą cię przed oblicze pewnego mężczyzny, a ty rzekniesz: „Pan Tabo znalazł człowieka i miejsce. Dziś w nocy wszystko się wyjaśni”. Powtórz.

— Pan Tabo znalazł człowieka i miejsce. Dziś w nocy wszystko się wyjaśni.

— Bardzo dobrze. Grzeczny chłopiec. Masz monetę. Tylko nie myśl mnie oszukać!

— Niech Najwyższy broni, panie. Na pewno zaniosę wiadomość. Zaczerpnę tylko wody dla dziadka.

— Śpiesz się.

— Tak, panie.

Nieznajomy odwrócił się i szybkim krokiem opuścił podwórze. Ezih, wyciągając wiadro wody, dziękował w myślach Jedynemu. Srebrna i złota centima! Wystarczy na nowe koło, maści dla dziadka i jedzenie na całą zimę. Ba! Wystarczy nawet na dwa koła. Będą mogli robić dwa razy więcej garnków.

— Gdzie jesteś, Ezih? — dobiegł głos z warsztatu.

— Biegnę, dziadku!

*

Na bramie wiodącej do ogrodu wisiały wiązki białych wstążek. Kashim i Nahar dostrzegli je, kiedy byli już pod samym murem. Obaj nagle zatrzymali się i wbili wzrok w skrawki materii, które łopotały na wietrze.

— Myślisz, że... — wydusił z siebie wreszcie Nahar.

— Obyśmy się mylili — odparł Kashim.

Ruszyli szybkim krokiem w kierunku bramy. Była zamknięta. Kashim wyszeptał krótką modlitwę i zapukał w drzwi. Otworzyły się po dłuższej chwili, ukazując starszego mężczyznę w białych szatach.

— Kto przychodzi w tak smutny czas? Pograżona w żałobie rodzina niechętnie wita gości, nim nadejdzie wschodni wiatr.

— Kto... Kto zmarł? — spytał Nahar.

— Młody pan Dahal, mężny wojownik, duma swego ojca i całej rodziny.

— Został zamordowany?

Sługa pokręcił z zakłopotaniem głową.

— Nie, panie. On... odebrał sobie życie własną ręką, dziś nad ranem.

Zapadło grobowe milczenie. Po chwili Nahar spojrział na przyjaciela i skinął lekko głową w stronę ulicy. Kashim rzekł jednak:

— Jesteśmy towarzyszami broni Dahala i jego braćmi krwi. Chcemy prosić głowę rodu o pozwolenie na wzięcie udziału w ceremonii Ma'ruk.

— A więc pójdę zapytać — rzekł służący, po czym odszedł.

— Co chcesz zrobić? — spytał Nahar, gdy tylko drzwi się zamknęły. — Przegraliśmy, Kashim. Dahal nie żyje, a my nie mamy żadnych poszlak. Po co wpraszasz się na Ma'ruk?

— Jego siostra zna imię świadka, którego zeznania sprawdzał Dahal. To nasz ostatni punkt zaczepienia.

— Nie! To wszystko było sprawą Dahala. My tylko pomagaliśmy. Pasza wyznaczy nowego śledczego i nie możemy wchodzić mu w drogę.

— Chcesz się poddać? Wiesz przecież, że Dahal mógł zostać zamordowany. Naszym obowiązkiem jest...

— Naszym obowiązkiem jest nie dręczyć pograżonej w żałobie rodziny i nie wchodzić za pomocą kłamstwa na Ma'ruk! — rzekł ostro Nahar. — Jeśli Dahal się zabił, znaczy to, że nie chciał, by coś wyszło na jaw. Upierając się przy śledztwie łamiemy przykazania Księgi w dwóch miejscach.

Kashim spojrział groźnie na przyjaciela.

— Nigdy nie myślałem, Naharze, że będziesz mnie pouczał o Księdze. Boisz się tego, co możemy odkryć?

— Oczywiście! W końcu co mogło sprawić, by taki wojownik jak Dahal szarpnął się na własne życie? Ale to nie strach mną powoduje, Kashimie. To szacunek wobec śmierci i woli zmarłego. Tobą natomiast kieruje nadmierna ciekawość i upór.

— Nie wiesz, co mną kieruje, Naharze. Widzę, że nie pojmiesz nawet z pomocą Najwyższego, jak ważne jest, byśmy kontynuowali sprawę.

— Najwyższy powinien pomóc tobie, a nie mnie.

Kashim ściągnął usta w grymasie złości. Nahar patrzył na niego spokojnie, bez śladu strachu.

— Dobrze więc. W takim razie pójdę sam — powiedział w końcu Al'Shannagg.

— Idź. Oby Bóg nie ukarał cię surowo — odparł Nahar, odwracając się.

Gdy sługa powrócił z wiadomością, że rodzina zgadza się, by bracia krwi zmarłego wzięli udział w Ma'ruk, jednego z nich nie było już pod bramą.

*

Chyba pomyliłeś drogę, chłopcze — rzekł strażnik. Ezih patrzył wystraszony na wielkiego mężczyznę w łuskowym pancerzu. Pragnął uciec, ale złamałby wtedy obietnicę. No i nie zarobiłby złotej centimy.

— Ja... niosę... wiadomość... — wydukał.

Strażnik spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Nie wyglądasz na gońca — powiedział.

— Pan Tabo... śle wieści.

Gwardzista omal nie podskoczył, gdy usłyszał te słowa.

— Chwała Najwyższemu! Nareszcie! Chodź za mną, chłopcze. Ktoś czeka niecierpliwie.

Przeszli pod łukiem pałacowej bramy i ruszyli przez zielone ogrody, gdzie za sprawą złożonego systemu rynien i rur rosły wielobarwne kwiaty, które normalnie można było ujrzeć tylko na mokradłach u brzegów Shaprut. Służba uwijała się jak w ukropie, sprzątajac po wczorajszej uczcie i przygotowując kolejną. Łucznicy przechadzali się powoli po blankach.

Pałac Proroka był wieloskrzydłowym, ogromnym kompleksem. Pełen arkad, dziedzińców i pięknych fontann, stanowił zbudowany z czerwonego piaskowca labirynt, w którym łatwo było zbłądzić. Tylko niebotyczna Piaskowa Iglica, która wznosiła się w górę z jego serca, stanowiła dobry punkt orientacyjny.

Gwardzista poprowadził Eziha do jednego z bocznych skrzydeł. Chłopiec patrzył jak zaczarowany na przestronne komnaty, miękkie łoża, mahoniowe meble. Wreszcie stanęli pod zasłoniętymi grubą kotarą drzwiami.

— Panie! Wieści od Tabo! — rzekł strażnik.

— Wejść — rozległ się głos ze środka.

Mężczyzna odsunął zasłonę, a Ezih niepewnie wszedł do pomieszczenia. Było to przedziwne laboratorium, pełne wypchanych zwierząt, suszonych ziół oraz starych ksiąg. Słońce, które wpadało przez wielkie okno, oświetlało stoły z alchemicznymi retortami i alembikami. Na ścianach wisiły anatomiczne szkice, powietrze zaś śmierdziało siarką. Przy biurku pod oknem stał wysoki, siwy mężczyzna. Miał szlachetny wyraz twarzy i bardzo

głęboko osadzone zimne oczy. Okrywała go prosta szata.

Ezih zdumiał się. Skąd w Pałacu Proroka mógł się znaleźć alchemik? Przecież Księga mówiła, że ten, co bada naturę, szukając w niej wiedzy, popełnia grzech pychy.

Mężczyzna tymczasem spojrzął na chłopca.

— Długo czekaliśmy na znak życia od pana Tabo. Mów.

— Pan Tabo kazał rzec, że znalazł człowieka i miejsce. Przed zmrokiem wszystko się wyjaśni.

Alchemik uśmiechnął się.

— Chwała Najwyższemu — rzekł i wzniosł ręce ku niebu. — To wszystko?

— Pan Tabo powiedział... — Ezih zawahał się.

— Tak?

— Powiedział, że dostanę w pałacu złotą centimę.

— Dostaniesz dwie.

Chłopiec krzyknął z radości.

— Magsal! Dopilnuj, by dziecko otrzymało zapłatę, i odprowadź je do wyjścia.

Strażnik pokłonił się mężczyźnie.

— Będę się modlił za was, szcudry panie — powiedział Ezih.

— Nawet nie wiesz, jak będą mi potrzebne modlitwy, chłopcze — odparł nieznajomy, nim strażnik zaciągnął kotarę.

Wracając pałacowymi korytarzami, Ezih nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kiedyś widział już tego alchemika. Jego twarz i tembr głosu wydawały się znajome. Chłopcu nawet przemknęło przez głowę, że mistrz przypominał samego proroka Zerakhima. Ezih przegnał jednak grzeszne myśli. Cóż w końcu mógł mieć wspólnego alchemik, choćby najbardziej szcudry na świecie, ze Światłem Najwyższego?

*

W ogrodzie rodu Al'Manik zbudowano stos z dobrze przesuszonego drewna. Leżał na nim Dahal odziany w czarną dżelabę. Kobiety umyły go dokładnie i uczesały. Poły jego szaty zapięto, by ukryć ziejącą w piersi ranę. Przy lewej ręce zmarłego położono Księgę, przy prawej szablę, a u wezglowia hełm. Na stosie leżały też jego ubrania, wonne kadzidła, zioła, ozdoby i wiele drobiazgów.

Wokół stosu, w cieniu cytrusowych drzewek, ustawiono ławy. Cała liczna rodzina siedziała przy nich i wspominała zmarłego, pijąc gorzkie,

przygotowane specjalnie na Ma; ruk wino. Służba wyciągnęła na dwór poduszki i okrycia. Tego dnia nie zapowiadał się już wiatr ze wschodu, więc krewni mieli spędzić przy stosie noc. Na ganku wielkiego domostwa flecista grał smętne ma'rukowe pieśni, a stare kobiety w białych burkach śpiewały wersety Księgi.

U stóp stosu łkała młoda, ładna dziewczyna. Jej twarz była już opuchnięta od wielogodzinnego płaczu. Kashim spojrzał na nią ze smutkiem. Nie wiedział, że Dahal miał żonę.

Sługa poprowadził Al'Shannagga do głównego stołu, za którym siedzieli rodzice, dziadkowie i rodzeństwo Dahala. Przerwali rozmowy, widząc obcą osobę. Kashim skłonił się głęboko, po czym zwrócił się do starego Hasmeda:

— Nazywam się Kashim Al'Shannagg i byłem bratem krwi Dahala. Twój żal jest moim żalem, panie. Tel'Halik straciło śmiałego obrońcę. Pozwólcie mi wychylić czarę żałoby.

Hasmed nalał pełen puchar gorzkiego trunku i podał go Kashimowi. Ten wypił zawartość powoli. Potem wzniosł naczynie ku słońcu i powiedział:

— O, Jedyny! Ten napój wydaje się płynnym miodem w porównaniu z goryczą po naszej stracie. Niech Dahal Al'Manik uleci do Shannyevan ze wschodnim wiatrem i znajdzie tam pokój u Twojego boku. Tak niech się stanie!

— Tak niech się stanie — rzekli zebrani przy stole. Kashim odłożył puchar. Część oficjalna już się skończyła. Bracia zmarłego zrobili mu przy stole trochę miejsca. Gdy tylko usiadł, podano mu półmisek z postnymi plackami, którymi stał z podniebienia nieprzyjemny smak.

Rozmowa potoczyła się dalej. Kashim słuchał uważnie i wkrótce znał już szczegóły śmierci przyjaciela. Dahal wrócił ubiegłej nocy bardzo późno. Porozmawiał tylko z żoną i siostrą, po czym udał się spać. Wczesnym rankiem wstał i wyszedł do ogrodu, na poranne modły. Kiedy je skończył, przebił sobie pierś sztyletem. Służba znalazła go wkrótce potem.

Al'Shannagg cały czas przyglądał się siostrze Dahala. Siedziała w kącie stołu z opuszczoną głową, a jej twarz skrywał kwef. Żołnierz wiedział, że musi koniecznie z nią porozmawiać, ale trzeba było czekać na odpowiednią okazję.

Koło południa na chwilę zmienił się wiatr. Wszystkie rozmowy ucichły, a rodzina wpatrywała się z nadzieją w łopoczące na drzewach wstążki. Niestety, tylko przez chwilę wskazywały one zachód. Przy kolejnym podmuchu zwróciły się z powrotem w starym kierunku. Hasmed westchnął i

nakazał przerwę. Zgromadzeni na Ma'ruk wstali od stołów i rozeszli się po ogrodzie — jedni ulżyć sobie w wychodku, a drudzy rozprostować kości.

Kashim zgodnie z obyczajem poprosił Hasmeda o zezwolenie na rozmowę z córką. Starzec uśmiechnął się szeroko i skinął głową. Może miał nadzieję, że wyda najmłodsze dziecko za kogoś szlachetnej krwi? Wezwał Murata, młodszego brata Dahala, by towarzyszył im w trakcie spotkania.

Al'Shannagg odnalazł młodą Aliyah pod oliwnym drzewkiem, nieopodal stosu. Siedziała skulona z głową skrytą w ramionach. Służba przyniosła żołnierzowi poduszkę i usiadł on blisko dziewczyny. Murat zajął miejsce przy sąsiednim drzewie — wystarczająco daleko, by nic nie słyszeć, i wystarczająco blisko, by wszystko widzieć.

— Witaj, Aliyah — powiedział Kashim. — Pozdrawia cię brat twojego brata.

Dziewczyna dopiero teraz podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Chwała Najwyższemu, Kashimie — odparła słabo.

— Śmierć Dahala była i dla mnie bolesnym ciosem. Honor nakazuje mi jednak kontynuować jego pracę. Twój brat przekazał ci informację, którą miałaś mi podać, gdyby coś złego się stało. Ta chwila właśnie nadeszła.

Dziewczyna siedziała dłuższą chwilę bez słowa.

— Odejdź — rzekła wreszcie.

— Aliyo Al'Manik, czymś cię obraziłem?

— Nie. Po prostu nie mogę nic powiedzieć. Dahal... Kiedy wieczorem przyszedł do domu, był na wpół szalony. Wpadł do mojej komnaty i kazał zapomnieć o wszystkim, co wcześniej rzekł. Zabronił kiedykolwiek wyjawić nazwisko, o które pytasz. Miał takie... Takie straszne oczy... Kazał mi przysiąc na Księgę, więc to zrobiłam.

Kashim poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Czyżby stracił ostatnią szansę?

— To naprawdę ważne.

— Nic nie jest tak ważne, wojowniku, jak przysięga na Światło Najwyższego. Odejdź. Nie mogę nic powiedzieć.

To mówiąc, skryła głowę w ramionach. Mężczyzna rozejrzał się wokół. Żałobnicy krążyli po ogrodzie pochłonięci rozmowami. Służba uwijała się przy stołach i przygotowywała postny obiad. Tylko Murat przyglądał się im dokładnie. Kashim walczył przez chwilę z samym sobą. Wreszcie, wiedząc, że popełnia zły czyn, chwycił Aliyah za podbródek. Dziewczyna zadrżała, a on podniósł jej głowę i spojrzał głęboko w oczy.

Skupił całą wolę i zażądał, by jej umysł wypluł na światło dzienne słowa, które przekazał Dahal. Zależało mu na czasie, Aliyah nie mogła okazać nawet śladu walki. Dlatego zaatakował całą siłą, która wystarczała do gięcia wzrokiem metalu lub obalenia ruchem ręki opasłego bacharna.

Umysł dziewczyny był słaby i zmęczony. Nie stawiała oporu.

— Zebari Mel'Asmad, zielarka z alei Ślepców — wyszeptała.

Kashim wycofał się. Oczy dziewczyny błysnęły białkami, po czym głowa opadła jej bezwładnie na podkurczone kolana. Wyglądała, jakby zasnęła w cieniu oliwnego drzewka. Jeździec wstał i skinął głową Muratowi. Chłopak odklonił się. Chyba nie zauważył nic podejrzanego. Al'Shannagg skierował się ku stołowi, za którym siedział już Hasmed. Miał nadzieję, że atak był za krótki, by Aliyah cokolwiek zapamiętała. Powinno jej się wydawać, że po prostu straciła przytomność w trakcie rozmowy.

— Panie Al'Shannagg — rzekł starzec, gdy wojownik się zbliżył. — Mam nadzieję, że osoba mojej córki wydała się panu interesująca.

— To ładna i mądra dziewczyna — odparł Kashim. — Dlatego bardzo mi żal, że muszę już opuścić Święte Czuwanie. Wzywają mnie obowiązki.

— Obowiązki wobec miasta są najważniejsze dla tych, którzy służą prorokowi. Idź, żołnierzu — powiedział Hasmed, nie kryjąc jednak rozczarowania.

Kashim pokłonił się wszystkim po kolei, a następnie ruszył w kierunku bramy. Starał się myśleć tylko o dalszym przebiegu śledztwa. Chciał czymś zagłuszyć poczucie winy, dźgające go w serce.

Rozdział 4. Jastrzębie

Wiele kobiet z Tel’Halik odwiedzało zielarki, choć mężowie surowo im tego zabraniali. Nigdy nie słabnął popyt na maści, które młodym kochankom pozwalały uniknąć ciąży, proszki leczące kurczajki i brodawki czy wyciągi sprawiające, że włosy lśniły jak czarna perła. Damy, którym pozycja nie pozwalała osobiście pojawiać się w tych zaśmierdłych, małych pracowniach, wysyłały służbę, a dziewczyny, bojące się gniewu ojca, przekupywały młodszych braci, by załatwili za nie sprawunki.

Księża zakazywała parania się magią, lecz adeptki tego fachu żyły dostatnio. I choć każde czary okrutnie karano, były wiedźmy lepsze i gorsze — takie, które zajmowały się warzeniem ziół przeciw kaszlowi, i takie, które czyniły naprawdę złą magię. Zebari Mel’Asmad należała do tych drugich. Cieszyła się ponurą sławą, a lista jej usług przyprawiała bogobojnych ludzi o drżenie.

Kashim czuł się więc niepewnie, gdy wieczorem czwartego dnia Święta Wstąpienia stanął pod pracownią Zebari. Kobieta mieszkała w alei Ślepców — dosłownie kilkanaście metrów od miejsca, gdzie znaleziono martwe ciało Muhhamara Al’Salakha. Jej bardzo wąski, dwupiętrowy dom wtłoczony był w szczelinę pomiędzy warsztatem krawcowej a sklepikiem pasera. Od frontu nie miał okna ani żadnego szyldu. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, co znajduje się w środku.

W drzwiach wisały trzy grube i cuchnące zasłony. Kashim odchylił je jednym ruchem i zajrzał do wnętrza. Przedpokój był pusty, a pomieszczenie, które znajdowało się za nim, tonęło w mroku. Słyszał tylko dochodzące stamtąd bulgotanie. Jeździec wszedł do środka. Zasłony wróciły na swoje miejsce i w przedpokoju zrobiło się ciemno.

— Zebari! Przyszedłem z prośbą! — odezwał się głośno Kashim.

— Wejź do pracowni, miły — odpowiedział mu głos gdzieś z góry. — Czekaj spokojnie i niczego nie ruszaj.

Kashim wyszedł z przedpokoju do pracowni. Okno prowadzące na podwórze również było zasłonięte. Strome schody wiodły z tego pomieszczenia na pierwsze piętro. Jedyne źródłem światła było palenisko, nad którym stał żeliwny kociołek. Wiedźma musiała bardzo lubić ciemność.

Z belek stropowych zwisały gęsto pęki ziół. Stół śmierdział obrzydliwie,

pokryty lepкими resztkami jedzenia i magicznych wywarów. Na półkach stały słoiki z żywymi robakami, szlamem z dna studni, zmumifikowanymi kawałkami nieboszczyków i tym podobnymi rzeczami. Nad kociołkiem, w ściennej wnęce, leżał cały rząd zakrytych glinianych miseczek oraz czarek. Kashim podszedł do nich i zajrzał do jednego z pojemników. Wewnątrz znajdowała się dziwna, bursztynowa maść. Wziął ją na palec i zbliżył do nosa. Śmierdziała zjełczalym tłuszczem.

— Nie przyda ci się to, kawalerze. Kobiety smarują sobie nią wnętrze studni rozkoszy, by wyleczyć krwawe upławy — rzekła Zebari.

Kashim drgnął i wytarł dokładnie palec. Wiedźma stała na szczycie schodów, przyglądając mu się jedynym okiem.

*

Salana zadrżała. W jaskini panowało przeraźliwe zimno i ani gruby płaszcz, ani dwie warstwy odzienia nie mogły ogrzać jej ciała. Wiedziała, że gdyby rozruszała się trochę, ziąb przestałby tak dokuczać, nie chciała jednak przerywać modlitwy.

Kłęcząca na dywaniku, w samym środku skalnej świątyni. Grzyby hungh, które rosły na ścianach, oświetlały to miejsce upiornym, zielonkawym blaskiem. Przed nią znajdował się wykuty w kamieniu ołtarz i płaskorzeźba, która przedstawiała proroka Sammara odbierającego pakt z ręki Boga. Z boku widniały małe drzwiczki, natomiast za plecami Salany otwierały się dziesiątki ciemnych przejść. Wiodły one do labiryntu jaskiń. Jedynym dźwiękiem, jaki rozbrzmiewał w świątyni, było monotonne kapanie wody.

Przed dziewczyną leżał obnażony ghank, lśniący i ostry niczym brzytwa. Jej wargi szeptały wersety Księgi. Dzisiaj miała dowieść swej wierności. Spotkał ją honor, o jakim tysiące kobiet z Tel'Halik mogły tylko marzyć. Jeśli się sprawdzi, zostanie Nocnym Jastrzębiem. Będzie bronić prawdziwej wiary i bezpieczeństwa Ocalonej Krainy. Pierś rozpierała jej duma.

Wysłannik wybrał ją, bo miała w żyłach szlachetną, piątą krew. W czasach, gdy odstępcza Zerakhim włada świętym miastem, a w Ocalonej Krainie panuje rozpusta i grzech, nieważna stała się płeć. Prawdziwie wiernych zostało tak niewiele, że nawet niewiasta musi stanąć do walki, jeśli otrzymała od Boga wystarczająco siły. Salana wiedziała, że wśród Jastrzębi jest już kilka kobiet. Wysłannik lubił ich używać, bo znacznie łatwiej docierały do celów, nie budząc podejrzeń.

Za plecami dziewczyny rozległy się kroki. Do świątyni wszedł mężczyzna owinięty szczelnie w czarny płaszcz. Rozłożył na podłodze obok

Salany dywanik i również pograżył się w modłach. Dziewczyna spojrzała na niego ze wzgardą. Spóźnił się. Musiał przebyć długą drogę jaskiniami, by z domu dotrzeć do świątyni, lecz to go wcale nie usprawiedliwiało. Najwyższy ukarze go za opieszałość.

Salana Al'Barath wróciła do swojej modlitwy, choć ciężko było się jej skupić. Czekwała niecierpliwie, aż do świątyni dotrze Wysłannik Niebios, by podać szczegóły zadania. Jej serce rwało się do walki. Nie bała się bolesnych ran, śmierci czy okaleczenia — wiedziała, że jutro rano albo będzie już pełnoprawnym Jastrzębiem, albo zasiądzie w Shannyevan z największymi bohaterami Ocalonej Krainy.

*

Zebari była kobietą w średnim wieku o długich, siwiejących włosach. Skóra na jej czole i policzkach pokryta była już siatką drobnych zmarszczek, a jedno oko zasłaniała opaska. Nosiła prostą, lecz kolorową suknię i miała odkrytą głowę. Zeszła powoli po schodach, utykając lekko na prawą nogę. Z bliska Kashim zobaczył, że jej twarz nosi ślady jakiejś ciężkiej choroby — szpeciły ją małe, brzydkie wgłębienia i zgrubiałe blizny.

Wiedźma zatrzymała się tuż przed nim i zlustrowała go podejrzliwym wzrokiem.

— Nigdy wcześniej u mnie nie kupowałeś.

Kashim nie zamierzał kłamać. Wiedział, że większość wiedźm ma silny dar.

— Nie. Jestem Świętym Jeźdźcem. Przychodzę w sprawie Muhhamara Al'Salakha.

Kobieta zmrużyła przekrwione oko, po czym wyciągnęła zza pasa nóż.

— Święty Jeździec. Może lepiej byłoby nie wypuścić cię stąd żywego.

— Nie doniosę o twoim fachu Duzzahom, jeśli tylko mi pomożesz. Przysięgam.

Zdjęła z oka czarną opaskę. Pokrywała je biała błona. Żrenica była nieforemna i rozlana, a tęczówka mętna. Wiedźma spojrzała w oczy Kashimowi.

— Wierzę ci — odparła w końcu. — Ale widzę śmierć wypisaną na twojej twarzy. Wisi ci nad głową rozmyty obłok, w którym migoczą obrazy smutku, rozczarowania, rozpacz. Nie otwieraj ust, nie pytaj. Odejdź. Będziesz żył dalej szczęśliwie.

Kashim rozważał chwilę te słowa. Nigdy nie lekceważył widzących. Wiedział, jakie cuda może czynić dar. Zrobił już jednak zbyt wiele, aby się

wycofać.

— Wiesz, po co przyszedłem?

— Nie trzeba mieć daru, żeby się zorientować. Zresztą był tu twój przyjaciel. Pytał się dokładnie o to samo. Zdaje się, że już nie żyje?

— Tak — odparł Kashim. Czuł się niepewnie. Zebari była potężniejsza, niż myślał.

— Jeśli mimo to chcesz ryzykować... Dobrze. Powiem dokładnie to, co powiedziałaś jemu. Potem odejdziesz i już nigdy tu nie wrócisz. Nigdy!

Kashim posłusznie skinął głową. Wiedźma zakryła z powrotem niewidzące oko.

— Słyszałam tej nocy odgłosy walki. Stałam za kotarą, ale nie mogłam pomóc Muhhamarowi. Jego zabójcy mieli wielką moc. Czułam to z daleka. Al'Salakh wyrwał im się i uciekł w dół ulicy. Asasyni pobiegli za nim. Po chwili wrócili, już sami. Kiedy przechodzili blisko drzwi, usłyszałam fragment ich rozmowy. Jeden przekonywał drugiego, że powinni jak najszybciej wrócić do Kaan'Baash.

— Kaan'Baash?

— Nie wiem, wojowniku. Nie znam miejsca, które tak by się nazywało.

— Jest coś jeszcze?

— Tak. Twój przyjaciel Dahal był dla mnie bardzo miły, żeby zdobyć te informacje. — Mówiąc to, oblizwała wargi.

Kashim wzdrygnął się.

— Przez pamięć dla niego powiem coś, co może ci się przydać — kontynuowała kobieta. — Wiem, dokąd szedł Muhhamar i dlaczego został zabity.

— Znałaś go?

— Tak. Kupował u mnie czasem. Interesował się wieloma szczególnymi przedmiotami, których potrzebował do badań. Miał też inne kontakty, większość w Krwawym Sztylcie. Co kilka nocy chodził do dostawców sprawdzić, czy nie mają czegoś nowego.

— Jacy to byli dostawcy?

— O nie, wojowniku. Tego ci nie powiem, choćbyś nie wiem jak pięknie mnie prosił. Ci ludzie cenią prywatność podobnie jak ja. Mogę tylko ujawnić tego jednego, do którego Muhhamar zmierzał w noc śmierci.

— Tak?

— To Jalbol Al'Yarhan, prowadzący sklep z dywanami. Skupował od pastuchów i nomadów wszystkie przedmioty, które wygrzebywali z piasku w

trakcie kopania studni lub znajdowali w ruinach.

Kashima przeszedł dreszcz, podobny do tego, jaki poczuł w warsztacie Namiba.

— Przedmioty nieocalonych?

— Tak.

Potarł w zamyśleniu brodę. Potem ukłonił się czarownicy.

— To wszystko, co chciałem wiedzieć. Żegnaj, Zebari.

— Żegnaj, wojowniku. Pamiętaj: nie wracaj tu nigdy i nie mów o mnie nikomu.

Skinął głową i poszedł w stronę drzwi. Gdy był już przy nich, wiedźma krzyknęła:

— I strzeż się jaszczura!

— Jakiego jaszczura? — spytał, przystając.

— Widziałam go wśród obrazów nad twoją głową. Gad o sylwetce człowieka, pokryty zieloną łuską. Duchy mówią, że zginiesz z jego ręki.

*

Nahar stał z ręką opartą na boku saura i patrzył tępo ponad tłum zebrany na placu Świątynnym. Jego wzrok zawisł gdzieś na wysokości tarasu, gdzie otoczony służbą stał i przemawiał prorok. Gromki głos odbijał się od ścian okolicznych budynków i docierał aż na sam tył placu.

Nahar nie potrafił się skoncentrować na słowach Zerakhima. Albo przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, albo nerwowo poprawiał uprząż wierzchowca. Tymczasem pozostali Jeźdźcy stali jak kamienie, wsłuchani w kazanie.

Prorok mówił:

— Dawno temu był sobie poeta, który w małej, pustynnej wiosce tworzył pieśni o Najwyższym. Przez całe życie pracował pokornie jako tkacz, mieszkając w lepiance na skraju osady. Ludzie przybywali z całej Ocalonej Krainy, by zadać mu pytania związane z Księgą lub usłyszeć, jak recytuje swoją poezję.

Nahar miał bardzo złe przeczucia. Pasza Asimar nie wyznaczył nowego śledczego i sprawę zabójstwa Muhhamara uznał za niebyłą. Rozkazał, by Jeźdźcy nie marnowali na nią już czasu. Kashim jeszcze o wszystkim nie wiedział, bo nie zjawił się tego dnia w garnizonie. Co gorsza — jutro też nie miał wyznaczonej służby. Czyli możliwe, że zobaczą się dopiero za dwa dni... To zdecydowanie za późno.

— Duzzahowie nie byli zadowoleni, że mężczyzna tak niewykształcony i

prosty wypowiedział się w sprawach wiary i pisał o Najwyższym. Zdecydowali się sprawdzić jego poglądy, aby się upewnić, czy był on prawdziwie wierzącym. Poinformowali poetę o swoim zamiarze, a on z radością zaprosił ich na następną dzień do swego domu.

— Tego wieczoru poeta nosił długo wodę ze studni i wylewał ją przed drzwiami. Wreszcie u progu powstało prawdziwe jezioro błota. Kiedy uczeni przybyli następnego dnia, nim dotarli do drzwi mężczyzny, musieli przez to błoto przejść. Ubrudzili się cali, a ich buty ociekały szlamem. Nie wycierając ich, wpadli do środka i w wulgarnych słowach zaczęli obrażać poetę. Pytali, jak może żyć w takim chlewie. Pomyśleli, że przyjęcie, które im zgotował, było obrzydliwe i lekceważące. Poeta odparł spokojnie: „Moi uczeni i szanowni przyjaciele. Ja pozostawiłem swoje błoto na zewnątrz, a wy wnieśliście swoje do środka”.

— Tak, moi drodzy! Stąd płynie ważna nauka! Można żyć w stanie, który z zewnątrz przypomina chlew, i być czystego umysłu oraz prawej wiary. Można też z zewnątrz przypominać świętego człowieka, a w środku mieć tylko błoto i plugastwa.

Gdzieś z łoży dla możnych dobiegł szmer. Kilku Duzzahom dzisiejsze kazanie nie przypadło do gustu. Żołnierze zaczęli dyskutować ściszonymi głosami, a prosty lud siedział zadziwiony. Nahar nie zorientował się jednak, że stało się coś ważnego. W ogóle nie słuchał przypowieści. Jego myśli skupiały się tylko wokół Kashima i niebezpieczeństw, jakie mu grożą.

*

W tej samej chwili przy głównej bramie dwóch strażników obserwowało wjeżdżającą do miasta dziwną karawanę. Niscy górale z Żelaznych Wzgórz jako ostatni przybywali do Tel’Halik. W końcu przyszło im mieszkać w najdalej położonej części krainy.

— Patrz na tych wszarzy! Przyjeżdżają na największe święto, a ubrani są, jakby właśnie mieli doić bacharny.

— To dzicy. Nie widzą w swym stroju nic niestosownego.

— Dzicy! To nie usprawiedliwia braku dobrych obyczajów i nieznamość Księgi. Jak Najwyższy mógł ocalić ich parszywy ród? I popatrz, jacy są niewdzięczni! Według ostatniego spisu żyje ich tam więcej niż dwa tysiące. Ilu przybyło pokłonić się prorokowi? Stu? Przecież to żalosne!

— Droga daleka, a musieli pędzić dzień i noc. Nie dało się zabrać kobiet, dzieci i starców. Zresztą nomadzi z ludu Manar także nie przybędą. Są w tej

chwili na dalekiej północy. A mieszkańcy Tel'Amman i Jedwabnych Oaz?

— Manarczycy i ludzie znad Shaprut przyjeżdżają jednak co roku modlić się w Pierwszej Świątyni. Tymczasem ci łaskawie pojawiają się w mieście tylko na Wstąpieniu. Na geniusze piasku, pasza powinien uznać ich za niewiernych i powbijać na pale!

— Nienawidzisz tego ludu, co?

— Nienawidzę. Mój ojciec i dwaj starsi bracia zginęli w czasie buntu, dwadzieścia lat temu.

— Nie mówiłeś nigdy. Padli w bitwie pod bramą?

— Tylko ojciec. Dwaj bracia byli członkami garnizonu w Żelaznej Dolinie, gdy Vah'Mar wzniecił powstanie.

— Żelazna Dolina? Zdaje się, że tam...

— Tak. Obdarli wszystkich ze skóry i rzucili na pożarcie psom. Osiemdziesięciu wiernych wojowników! Nigdy nie wybaczę temu podłemu rodowi. Wszyscy są tacy sami, patrz! Płaskie głowy, rozbiegane oczka. Zdrajcy i złodzieje. Nie powinniśmy ich wpuszczać do miasta.

Drugi żołnierz przytaknął bezgłośnie, widząc przejeżdżających obok górali. Nie spojrzeli nawet na stojącą przy bramie straż i zadarli z wyższością głowy, jakby oglądali czubek Piaskowej Iglicy.

*

Była już noc, gdy Al'Shannagg dotarł do samego serca Krwawego Sztyletu, gdzie mieścił się sklep Jalbola. Jeśli handlarzowi zależało na tajemnicy, nie mógł sobie wybrać lepszego miejsca do prowadzenia interesów. Labirynt lepianek i wąskich uliczek, który tworzył tę dzielnicę, rzadko odwiedzali Duzzahowie czy Święci Jeźdźcy.

Kashim stał właśnie za rogiem opuszczonego domu i obserwował warsztat. Budynek był niski, ale rozległy. Z jego prawej strony ciągnęła się długa przybudówka — zapewne miejsce pracy tkaczy. W jednym oknie paliło się światło, więc Jalbol musiał być w domu. Jeździec poprawił pas z szablą i wyszedł z cienia.

Zaraz potem wskoczył z powrotem za róg. Dwie osoby szły szybko uliczką. Były okryte od stóp do głów czarnymi płaszczami, z turbanami tego samego koloru na głowach. Nie ulegało wątpliwości, że zmierzają do drzwi warsztatu. Kashim uznał, że lepiej na razie będzie tylko obserwować.

Nieznajomi zatrzymali się przed budynkiem. Chwilę szeptali, a potem wyciągnęli spod płaszczy długie, błyszczące ghanki. Al'Shannagg natychmiast rozpoznał ostrza i nie mógł uwierzyć, że szczęście aż tak mu

sprzyjało. Tymczasem wyższy przybysz wskazał palcem drzwi, których skrzydło rozprysło się na kawałki z potężnym hukiem. Zabójcy wpadli do środka i zaraz dobiegły stamtąd krzyki.

Kashim nie zwlekał. Biegając w stronę drzwi, wyciągnął szablę. Wiedział, że napastnicy też mieli dary i jeśli przyjdzie mu walczyć z oboma naraz, pewnie zginie. Jedyna nadzieja była w tym, że ktoś z mieszkańców stawi im czoło i Jeździec nie pozostanie w walce sam.

Zabójcy byli piekielnie szybcy. Gdy wpadł do środka, jedno ciało leżało już na ziemi w kałuży krwi. Obok zawodziła skulona dziewczyna. W rogu pomieszczenia Jalbol, uzbrojony w kolczastą pałkę, desperacko bronił się przed napastnikami. Kątem oka Kashim zauważył jeszcze jedną osobę — jakiegoś niskiego garbusa, który właśnie w tej chwili dobiegał do drzwi na drugim końcu pomieszczenia.

Jeździec rzucił się do przodu z rykiem i wzniosł nad głową szablę. W tym samym momencie jedno z ostrzy dosięgnęło barku Jalbola i wbiło się aż po mostek. Rzemieślnik padł na okrytą arrasem ścianę i zsunął się, zostawiając na tkaninie szeroki, krwawy ślad. Zabójcy zwrócili się w stronę Kashima.

— Skąd przywiało to ścierwo?! — krzyknął wyższy. — Zajmij się nim! Ja dogonię karła.

Niższy skinął głową, a potem rzucił się na spotkanie Kashima. Zwarli się w połowie pokoju i wymienili ciosy, od których iskry poszły z ostrzy. Kashim spróbował skorzystać z większej masy i obalić przeciwnika, ale ten zdążył lekko odskoczyć. Jeździec wiedział, że ma przewagę siły i długości ostrza, czas jednak grał na jego niekorzyść. Nie marnując ani sekundy, rzucił się znów na zabójcę. Ten użył daru, by obalić Kashima, lecz wojownik z łatwością odparł atak — zatrzymał się tylko na sekundę. W oczach zabójcy, które widniały nad kryjącym twarz zawojem, Kashim dostrzegł strach.

Jeździec uderzył kilkoma cięciami z nadgarstka. Szabla świszczała w powietrzu tak szybko, że ledwo ją było widać. Zabójca skupił całą uwagę na ostrzu, a Kashim zrobił wypad i przydepnął z całej siły jego stopę podkutym butem. Przeciwnik krzyknął cienkim, kobiecym głosem. Kashim omal nie przystanął ze zdziwienia. Lata nauki i walki wpoily mu jednak, że przeciwnika trzeba powalić najszybciej, jak się da, nie myśląc o niczym innym. Skorzystał z chwili szoku zabójcy i uderzył płaskim cięciem w jego głowę. Rozkazał duchom powietrza wesprzeć ostrze tak mocno, jak tylko zdołają.

Cios miał siłę zdolną do ścięcia dojrzałej palmy. Przełamał pośpieszną

zastawę zabójcy i trafił go w bok głowy — rozciął gruby turban, rozłupał znajdujący się pod nim hełm i prawie rozpołowił czaszkę. Krew i szare resztki mózgu bryzgnęły na zastawiony stół. Klęcząca na ziemi dziewczyna zawyła z przerażenia.

Zabójca padł na ziemię, a turban i hełm zsunęły się ze zmasakrowanej głowy. Kashim zerwał czubkiem szabli chustę. Ukazała mu się zastygła w wyrazie strachu twarz młodej, pięknej kobiety. Coś zimnego ukłuło jeźdźca w serce. Zdarzało mu się już wysłać do Shannyevan mężczyzn, nigdy jednak nie zabił niewiasty.

Łomot, który doszedł z sąsiedniego pomieszczenia, spowodował, że wojownik szybko się ocknął. Nie udało mu się ocalić Jalbola, więc może chociaż uratuje garbusa. Rzucił się w stronę drzwi, które prowadziły do warsztatu tkackiego. Długie pomieszczenie pełne było drewnianych ram i prostych maszyn. Pod ścianami leżały kosze z materiałami i odpadkami. Garbus prawie dobiegł do wyjścia na podwórze, jednak asasyn, szybszy od dzikiego kota, znalazł się tuż za nim.

— W imię proroka! — krzyknął Kashim i ruszył do ataku. Jego szabla wyrysowała w powietrzu kilka srebrzystych kręgów.

Zabójca przystanął. Przez sekundę nie mógł się zdecydować, czy rzucić się za garbusem, ryzykując otrzymanie ciosu w plecy, czy najpierw stawić czoło niespodziewanemu wrogowi. Wreszcie wskazał Kashima szabłą i wykrzyczał rozkaz.

Jeździec nie zdążył się obronić. Za późno zrozumiał intencje przeciwnika, a na dodatek ten był o wiele zdolniejszy od pechowej kamratki. Fala powietrza uderzyła Kashima w pierś, odrzucając go na drewnianą maszynę.

Wojownik strzaskał ramę, ławę i blat. Kilka długich drzazg wbiło mu się w ramię. Nie zwrócił na to uwagi, skoczył na równe nogi i pobiegł w stronę asasyna. Widział już jednak, że nie zdąży. Czarna postać dopadła garbusa w progu. Ten, desperackim wysiłkiem, chciał oderwać się i wybiec na podwórze, lecz powstrzymało go szybkie jak mgnienie oka cięcie.

Karzeł, charkocząc w agonii, zwałił się na ziemię. Zabójca odwrócił się do Kashima.

— Teraz twoja kolej, żołnierzu. Księga uczy, że ciekawość prowadzi do zguby.

— Księga uczy też: „Kto ostrze na słabszego podnosi, z ręki silniejszego zginie”.

Asasyn zlustrował go spojrzeniem zimnych oczu.

— Nawet Święty Jeździec nie może się równać Nocnemu Jastrzębiowi. Odejdź, bo nie chcę podnosić ręki na krew Najwyższego.

— A więc krew Najwyższego podniesie rękę na ciebie.

To mówiąc, Kashim ruszył powoli w jego stronę, na lekko ugiętych nogach. Był skupiony na wypadek, gdyby przeciwnik próbował użyć daru. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Zatrzymali się osiem stóp od siebie. Przez chwilę tkwili w bezruchu, aż wreszcie zabójca zaatakował.

Już pierwsze jego ciosy — silne, szybkie i niezwykle precyzyjne — uświadomiły Kashimowi, że przeciwnik nie ustępuje mu umiejętnościami. Nie wykonywał ani jednego zbędnego drgnienia. Nie dawał się zwieść żadnym parodom, bezbłędnie wyczuwając zamiary wroga.

Zmagali się w półmroku, łomocząc butami po klepisku. Al'Shannagg spróbował rozbroić zabójcę szybkim, zdecydowanym ruchem. Ten wycofał ostrze, lekko kontrując obrót nadgarstkiem, i uderzył zaraz potężnym cięciem z góry. Kashim, choć dzięki dłuższemu ostrzu mógł trzymać wroga na dystans, spróbował niebezpiecznej sztuczki. Zwarł się blisko z Jastrzębiem, parując cios najniżej, jak tylko się dało. Miał nadzieję, że uszkodzi dłoń przeciwnika, nieosłoniętą jelcem ani koszem. Niestety, klingi zetknęły się tuż nad rękojęścią ghanka. Zabójca wymierzył raptem Kashimowi potężnego kopniaka, który niemalże pozbawił go oddechu. Al'Shannagg zaklął. Bardzo pragnął wziąć asasyna żywcem, ale wiedział, że jest to prawie niemożliwe.

Walczyli jeszcze dłuższą chwilę i denerwowali się coraz bardziej, bo każda minuta zwiększała szansę, że przybędzie patrol straży. Obaj woleli tego uniknąć. Kashim czuł w sobie jeszcze dużo sił, zdecydował się więc użyć daru. Wiedział, że to ryzykowne — przeciwnik z całą pewnością też był piątej krwi. Mimo to zadał potężny cios zza głowy, włożył weń wszystką siłę i rozkazał geniuszom powietrza, by pchnęły ostrze całą mocą. Zabójca zastawił się, ale wiedział, że nie wytrzyma takiego ciosu. W ułamku sekundy wywołał swój dar. Rozkazał ostrzu, by zamarło w powietrzu i nie drgnęło pod żadnym naporem. Bronie zderzyły się. Zderzyła się też stwórcza moc Najwyższego. Na mgnienie oka wszystko zamarło w bezruchu, aż wreszcie ghank zabójcy padł w dół, przygnieciony miażdżącą siłą. Szabla Kashima wpiła się Jastrzębiowi w podstawę szyi. Krew trysnęła z przeciętych tętnic.

Al'Shannagg był oszołomiony. Wróg bronił się z całej mocy, a był mu równy krwią. Ostrza powinny zastygnąć w bezruchu, a tymczasem Kashim bez większego trudu przełamał dar Jastrzębia. Cóż to mogło znaczyć?

Zabójca zmarł, wypowiadając pobladłymi wargami ostatnią modlitwę. W

warsztacie zapadła nieznośna cisza. Wojownik podszedł, dysząc ciężko, do trupa garbusa. Dopiero teraz rozpoznał w nim Tabo, osobistego szpiega proroka. Plecy znaczyła mu głęboka rana. Jedna ręka wciąż przyciskała coś do piersi.

Kashim schylił się nad ciałem. Wyciągnął ze stężonych dłoni szkatułkę. Było to proste kościane pudełko, pozbawione zamka czy ozdób. W środku leżał tylko skrawek skóry. Wysuszony na wiór, wciąż jeszcze pachnący piaskiem, pokryty był jakimiś małymi znaczkami. Al'Shannagg nie miał czasu przyglądać się im dokładnie, od strony ulicy bowiem dochodził szcęk broni i wykrzykiwane chropowatym głosem komendy. Nie miał też ochoty tłumaczyć, w jaki sposób i dlaczego trafił do warsztatu Jalbola. Zamknął szkatułkę i schował ją za pasem, po czym rozpląnął się w ciemności.

*

Jelaya Makhar'ad wzięła tego wieczoru kąpiel w wodzie z różanym pachnidłem. Rozczesała dokładnie włosy i poczerzyła brwi. Ubrała się też w jedwabną koszulę, zwiewną jak pajęczyna. W tajemnicy przed służbą przyniosła nawet do sypialni karafkę korzennego wina i dwa kielichy. Wiedziała, że tej nocy nie powstrzyma już głosu namiętności i weźmie młodzieńca do łóża. Był tu dwukrotnie, i za każdym razem, gdy kazała mu odejść nad ranem, czuła dziwną pustkę i tęsknie patrzyła w okno, za którym zniknął. Tej nocy chciała mieć go bliżej przy sobie. Najbliżej, jak się da.

Czekała długo, aż pojawi się na parapecie. Wsłuchiwała się w odgłosy nocy, w nadziei że usłyszy, jak Kashim pnie się po ścianie. Księżyc stanął wysoko na niebie. Odgłosy uczt, które dochodziły z całego miasta, powoli zaczęły cichnąć. Jej sokół jednak nie nadszedł. Jelaya, zmorzona w końcu snem, padła na poduszki.

Nie mogła wiedzieć, że gdy zasypiała, jej ukochany właśnie uciekał, zataczając się, ciemnymi zaułkami. Zaciskał zęby, by stłumić ból poharatanego ramienia, i myślał nie o niej, ale o małej szkatułce, która tkwiła mu za pasem.

*

— To oburzające! — krzyczał gniewnie Duzzah Kar'Shin. Kropelki śliny osiadały mu na brodzie. — Jesteś, panie, pomazańcem Najwyższego, lecz nie zwalnia cię to...

— Czemuż ta drobna przypowieśćka tak cię zezłościła, przyjacielu? — spytał spokojnie Zerakhim.

Rozmawiali w cichym gabinecie, z dala od oczu służby i straży. Prorok

rozłożył się swobodnie na poduszkach, a Kar'Shin siedział spięty ze skrzyżowanymi nogami.

— Panie! Jak możesz nie wiedzieć! Przecież jej sens jest jasny! Ta historia podburza prosty lud przeciw autorytetowi Duzzahów.

Zerakhim przetarł czoło. Był bardzo zmęczony i nie miał ochoty na teologiczne kłótnie. Gdy służba doniosła, że Kar'Shin oczekuje na dole, chciał go najpierw odprawić. W końcu północ to zbyt późna pora na wizyty. Zdecydował się jednak przyjąć kapłana, Kar'Shin był bowiem wybitnym znawcą Księgi i wielu Duzzahów uznawało go za autorytet w sprawach wiary. Prorok nie mógł zignorować tak ważnej osoby.

— Ta prosta przypowieść ma wiele znaczeń. Nie tylko takie, jakie chciałbyś w niej widzieć — rzekł wymijająco.

— Zgadzam się, panie, ale chodzi o to, jak ją odczyta pospólstwo. Dla tłumów jest jednoznaczna!

— Przyjacielu. Czy twierdzisz, że każdy Duzzah jest osobą świętą i nieomylną?

— Nie każdy, lecz jako całość są wielokroć mądrzejsi od prostego ludu. Dlatego nie powinni być krytykowani ani osądzeni przez osoby podłego stanu. Przypowieść, która do tego zachęca, jest... jest niebezpieczna!

— Ale czy właśnie nie czynisz tego, do czego rzekomo skłaniać ma moja opowiadka? Odważasz się podawać w wątpliwość moje postępowanie, choć to mnie wybrał Najwyższy na pierwszego sługę. Według twojej logiki, jestem lepszego stanu, a więc i większej mądrości niż ty. Duzzah Kar'Shin umilkł zakłopotany.

— Najwspanialszy! — rzekł wreszcie. — Odchodzisz wkrótce do Shannyevan, a my pozostaniemy i będziemy zmagać się z konsekwencjami twych słów. Dlatego chcieliśmy prosić, byś nie przysparzał nam więcej kłopotów. By twoje ostatnie dwa kazania były... prostsze i bliższe słowom Księgi.

Zerakhim skubał w milczeniu brodę.

— Nie mogę ci nic obiecać — odparł. — Powiem to, do czego natchnie mnie Najwyższy. Będę jednak miał na uwadze sytuację twoją i innych Duzzahów.

Kar'Shin skinął głową. Nie oczekiwał na więcej.

— Oby Najwyższy przekazał ci mądre i głębokie słowa. Żegnaj, o Światło Jedyne!

— Żegnaj, mędrze.

Duzzah wstał, zgiął się wpół i opuścił pracownię. Zerakhim, pozostawiony wreszcie w spokoju, dolał sobie wina. Patrzył na rozgwieżdżone niebo i budziła się w nim dziwna tęsknota, choć jeszcze nie opuścił tego świata. Wreszcie zebrał siły, podniósł się i podszedł do biurka. Musiał jeszcze zrobić wiele rzeczy, nim uda się na spoczynek. Jutro zaczynał się jego przedostatni dzień w Ocalonej Krainie. I miał to być dzień nadzwyczaj pracowity.

Rozdział 5. Bestia

O świcie służba zbudziła wszystkich, którzy spali w ogrodzie, radosnymi krzykami. Żałobnicy wygrzebali się spod ciepłych pledów, by spostrzec, że zawieszane na drzewach wstążki wiatr wydyma w zachodnim kierunku.

— Chwała Najwyższemu! — krzyknął Hasmed i wzniosł pomarszczone dłonie.

W całym ogrodzie zapanowało wielkie poruszenie. Kobiety biegały boso po zimnej rosie, przynosząc z piwniczek ma'rukowe wino oraz placki. Posłano po flecistę, a stare baby stanęły wokół stosu i recytowały Księgę. Bracia szybko ustalili, że wilgotne od porannej mgły drewno może się źle palić. Nakazano więc oblać belki oliwą.

Po kilku minutach wszystko było gotowe. Cała rodzina stała przy zmarłym, a służba klęczała z tyłu. Wdowa po Dahalu znów się rozplakała. Jeden z młodszych synów podał Hasmedowi pochodnię.

— Synu mój! — rzekł starzec. — Najwyższy świadkiem, że byłeś dobrym dzieckiem, wspaniałym mężczyzną i śmiałym obrońcą wiary. Wierzę, że nie minie dużo czasu, kiedy spotkamy się znowu w Shannyevan, u boku Jedynego. Tak niech się stanie!

— Tak niech się stanie — powtórzyli wszyscy zebrani.

W powietrzu rozbrzmiał dźwięk fletu. Hasmed podszedł do stosu i przytknął żagiew do drobnych patyczków powtykanych między belki. Po krótkiej chwili drewno i oliwa zajęły się ogniem, a cały stos zapłonął. Hasmed cofnął się, osłaniając twarz przed żarem.

Ogień szybko trawił zarówno złożone w ofierze przedmioty, jak i zawinięte w całun ciało. W powietrze strzelały iskry, a gęsty dym unosił się wysoko nad pogrążony we mgle ogród. Wiatr wyciągał ciemną smugę w zachodnim kierunku.

I tak o świcie piątego dnia Święta Wstąpienia, Dahal Al'Manik uleciał w stronę Shannyevan, by połączyć się z duchami przodków.

*

W promieniach porannego słońca Żelazne Wzgórza miały intensywną, krwistoczerwoną barwę. Tarakan przyglądał się skalistym stokom za pomocą lunety. Przez ostatnie dni pustkowia wyssały z wierzchowców wszystkie siły. Przerażliwe zimno w nocy i niewyobrażalny upał w dzień to więcej, niż

potrafiły znieść saury. Zwierzęta były na skraju wyczerpania, a Tarakan Al'Maran rozkazał wyciskać z nich, ile tylko się dało. Liczył się w końcu każdy dzień.

Jeździec odwrócił się do przewodnika. Był nim pomarszczony jak stare jabłko, ale wciąż silny mężczyzna z plemienia Skahn. Nosił dziwne, pikowane ubranie i płaszcz z futra bacharna, typowy dla koczowników.

— Czy już dotarliśmy na miejsce? — spytał go Tarakan.

— Tak, wielki panie — odparł Skahn swoim egzotycznym narzeczem. — Za pierwszym pasmem wznosi się Mal'Fasud. Ostatnia Osada. Tam wejdziemy na Wzgórny Szlak.

— Skały wydają się strome. Jak je pokonamy?

— Jest przełęcz, o której wiedzą tylko pasterze i górskie kozice. Zwie się Przebity Kieł. Dojdziemy do niej za kilka godzin.

— Czyli noc spędzamy w Mal'Fasud?

— Z pomocą Najwyższego, tak.

Kilku żołnierzy wydało okrzyki radości. Mieli już dość piaskowych burz, pragnienia i upałów. Czerwone Pustkowia nie bez przyczyny były uważane za śmiertelną pułapkę. Mało brakowało, a zostaliby tam na wieki.

— Co z jeńcem? — spytał Tarakan.

— Wszystko w porządku! — odparł jeździec, który trzymał przed sobą w siodle związanego półnagięgo człowiczka o czarnej skórze.

— Zatem ruszamy! Kończy się najniebezpieczniejsza część naszej wyprawy. Pozostało tylko dotrzeć do Świętego Miasta! Zapamiętajcie dzień, w którym wkraczamy na nowo do Ocalonej Krainy. Za sto lat będą mówili o nim jako o dniu, który zmienił wszystko.

Żołnierze wyraźnie się rozpromienili. Pogonili saury ze zdwojoną siłą w stronę wzgórz, które majaczyły na horyzoncie. Nikt nie przeczuwał, że najgorsze dopiero ich czekało.

*

Korytarze Pałacu Ksiąg były niemal puste. W tak ważne święto mało który urzędnik pełnił służbę. Zresztą i zapotrzebowanie na ich usługi było mniejsze. Kto w przeddzień Wstąpienia zawierałby umowy handlowe czy ślub? Nawet z rejestrowaniem zmarłych czekano, aż zakończą się obchody. W pełnych woluminów salach siedzieli więc tylko absolutnie niezbędni Duzzahowie.

W Pałacu był też Mudda, choć nie miał takiego obowiązku. Badania nad genealogią szlacheckich rodów pochłaniały go tak, że cenił książki bardziej

niż wolny czas. Spędzał w pracowni całe dnie.

Kashim wiedział o tym z opowiadań Nahara, dlatego nie zastanawiał się długo, do jakiego uczonego zwrócić się z pytaniami. Rozkazał służbie zbudzić się o świcie. Zjadł lekkie śniadanie, poczekał, aż Mullah opatrzy mu ramię, i opuścił rodzinny dom, zanim jeszcze wstaną matki i siostra.

Właśnie teraz, po długiej wędrówce korytarzami, stanął pod drzwiami Muddy.

— Można wejść? — spytał.

— A! Nie spodziewałem się wizyty tak wcześnie — padła odpowiedź ze środka. — Zapraszam.

Kashim odsunął kotarę i przekroczył próg. Mudda siedział za biurkiem, obłożony całą stertą ksiąg. Na podłodze obok leżał dzban i talerz z resztkami jedzenia, który dokładnie wylizywał kot. Młody Duzzah miał podkrążone oczy i Kashim zastanawiał się, czy tej nocy spał choć trochę. Jego biała szata była zmięta i w kilku miejscach przybrudzona.

— Och. To ty, Kashimie — rzekł.

— Mam do ciebie dwa pytania.

Mudda wskazał mu miejsce po drugiej stronie biurka i odsunął na bok część zwojów. Gdy Kashim usiadł, Duzzah rzekł:

— Najpierw spełnij moją prośbę, Kashimie Al'Shannagg. Potem ja rozpatrzę twoją.

Kashim uśmiechnął się.

— Czego sobie życzysz, Muddo?

— Daj spokój memu bratu.

— Co masz na myśli? — spytał wojownik, a jego oblicze się zachmurzyło.

— Odkąd zajmuje się z tobą ostatnią sprawą, zupełnie zaniedbał wszystko wokół. Nie śpi, nie je, włóczy się po niebezpiecznych dzielnicach...

— To Święty Jeździec — przerwał Kashim. — Jego obowiązki są niebezpieczne.

— Nie rozumiesz mnie. Morderstwo Muhhamara to bagno. Rozmawiam z wieloma starszymi Duzzahami i wiem co nieco. Mieszacie się w rozgrywkę sił, które zdecydowanie przekraczają wasze możliwości. Jeden z was już zginął. Nie chcę, żeby następny był Nahar. Ciebie ciekawość może zawieść choćby do piekła, i pewnie tak się stanie, ale nie zaciągaj tam mojego brata!

Na czoło Duzzaha wystąpił pot. Bał się wojownika i było to widać. Kashim wiedział jednak, że Mudda nie ustąpi.

— Ja i Nahar nie działamy już razem — powiedział. — Pokłóciliśmy się wczoraj i odtąd go nie widziałem. Może próbuje coś robić na własną rękę, ale na to, Muddo, nie mam już wpływu.

— Przysięgniesz na światło proroka, że nie będziesz go głębiej wciągał?

— Przysięgam — rzekł po chwili wahania Kashim. — Masz słowo Świętego Jeźdźca.

Kapłan rozpromienił się.

— Doskonale. Teraz mogę odpowiedzieć na twoje pytania. Czekam — powiedział.

— Po pierwsze: co znaczy Kaan’Baash?

Mudda wyglądał, jakby bardzo go ta nazwa zafrasowała.

— Zaiste z dziwnym pytaniem przychodzisz, Kashim. To słowo zginęło już dawno w niepamięci i tylko nieliczni Duzzahowie je znają...

— Wiesz?

— Tak. Czytałem o tym w pewnej rozpadającej się księdze. Posłuchaj, w zamierzchłych dniach Wielkiego Sądu, gdy wierni schronili się w trzewiach Korony Piasków, by uniknąć zagłady, w jednej z głębokich grot zbudowano kaplicę. Lud Jedynego spędzał w niej całe dni, modląc się żarliwie. Kaplicę nazwano Sercem Podziemi. W narzeczu, którego używano za czasów pierwszego proroka, znaczyło to właśnie Kaan’Baash. Po Wielkim Sądzie, gdy Sammar powiódł Ocalony Lud z powrotem na powierzchnię, kaplicy bynajmniej nie porzucono. Najpierw odprawiano w niej modły dziękczynne za cud, jaki sprawił Najwyższy. Potem, gdy Sammar otrzymał Przymierze, złożono je właśnie w Kaan’Baash. Leżało tam aż do czasu trzeciego proroka, gdy przeniesiono je do nowo wybudowanej Kopyły Niebios. O podziemnej kaplicy powoli zapomniano.

— Czy Kaan’Baash nadal istnieje?

— Zadajesz niebezpieczne pytania, przyjacielu. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Obiecałeś, że mi pomożesz.

Mudda westchnął. Wstał i wyciągnął z przepastnej szafy duży zwój, a potem rozwinął go na biurku. Pergamin przedstawiał mapę Tel’Halik.

— Jak zapewne wiesz, dzisiaj Korona Piasków ma zaledwie jedną trzecią początkowej wysokości. Gdy rozpoczęto budowę miasta, użyto wiele kamienia ze wzgórza. Na dodatek niektóre jego części celowo niwelowano. Dziś pod niższymi dzielnicami jest już tylko kilkadziesiąt łokci skały. Oczywiście więcej mamy w wyższych częściach miasta. Najwięcej znajduje

się natomiast pod kompleksem pałacowym. Właśnie tam, jeśli wierzyć przekazom, powinno znajdować się Kaan'Baash.

— Czy da się do niego dotrzeć?

— Bardzo możliwe. Plotki mówią, że wiele możliwych rodów ma w piwnicach przejścia do jaskiń, którymi poryte niegdyś było całe wzgórze. Zresztą nawet podziemne farmy hungu, zbudowane w dzielnicy Szary Stok, mają głębsze odnogi, w które nie zaglądną robotnicy. Z tego, co mi jednak wiadomo, nikt od dawna nie próbował odszukać kaplicy. To bezcelowe. Została tam pewnie tylko goła skała.

— Czy gdziekolwiek mogę znaleźć coś takiego jak plan jaskiń pod Tel'Halik? Czy taki plan w ogóle powstał?

Mudda prychnął, jakby Kashim pytał o coś oczywistego.

— Pójdź do Kopuły Niebios. Przy wschodnim ołtarzu znajduje się mozaika przedstawiająca wygnańców, którzy czekają wewnątrz Korony Piasków na zakończenie sądu. Podobno ułożono ją z wielką dbałością o szczegóły i oddaje rzeczywisty układ korytarzy. Tyle że sprzed trzech wieków.

— Dziękuję, Muddo.

— Mam nadzieję, że drugie pytanie będzie prostsze?

Kashim bez słowa wyjął zza pazuchy małą szkatułkę. Otworzył ją i delikatnie wyciągnął skrawek skóry. Położył go na dłoni i pokazał Muddzie.

— Co to właściwie jest? — spytał.

Duzzah przyglądał się chwilę znaczkomy, które pokrywały skórę. Nagle na jego twarzy zaszła straszna zmiana. Oblicze mu spurpurowiało, a oczy omal nie wyszły na wierzch.

— Skąd to masz?! — krzyknął, próbując przy tym wyrwać skrawek Kashimowi.

Wojownik cofnął jednak rękę wystarczająco szybko. Mudda zerwał się, a przewrócone krzesło grzmotnęło o posadzkę.

— Oddaj... Oddaj mi to natychmiast! — wrzasnął i wskazał palcem fragment.

Kashim również wstał. Znaczącym gestem położył dłoń na rękojeści szabli.

— Nie, Muddo. Ta rzecz ma dla mnie duże znaczenie.

— Ona... — wydusił Duzzah. — Ona w ogóle nie powinna istnieć! Zniszcz ją!

— O co chodzi, Muddo? Nie wiedziałem, że...

— Zniszcz ją, na Jedynego!

Młody kapłan obszedł stół i zmierzał w kierunku Kashima. Wyciągał chciwe dłonie w stronę kawałka skóry. Wojownik cofnął się kilka kroków i dobył ostrza.

— Co za demony pomieszały ci zmysły? Wyjaśnij, o co chodzi!

Mudda przystanął i dyszał z bezsilnej złości, widząc przed sobą obnażoną klingę.

— Nie pytaj, Kashimie! Spal ten kawałek. Utop go w studni. Nakarm nim bacharna. Nieważne. Tylko zniszcz go. Błagam cię w imię Boga.

— Ten skrawek będzie w moich rękach tak długo, jak długo nie poznam jego znaczenia.

Mudda skrył twarz w dłoniach, a potem rzekł słabym głosem:

— Ja... nie powiem innym Duzzahom tylko dlatego, że jesteś przyjacielem mojego brata. Ale nie pokazuj tego nikomu. Nikomu, rozumiesz? Inaczej ściągniesz zgubę na siebie, a może i na całe Tel'Halik. Jeśli jest w twoim sercu choć odrobina mądrości Najwyższego, to wierzę, że unicestwisz ten... ten przedmiot. A teraz odejdz. Do dzisiejszego spotkania nigdy nie doszło.

— Muddo...

— Nie doszło! Nie widzieliśmy się!

Kashim zrozumiał, że nic już nie działo. Skinął głową kapłanowi i schował ostrze. Wyszedł szybko, nie zaciągając zasłony. Gdy był w korytarzu, dogonił go jeszcze raz głos Duzzaha:

— Pamiętaj, co przysięgałeś! Nie waż się zbliżyć do Nahara. Szczególnie jeśli masz przy sobie TO. Ciemne myśli kłębiły się w głowie Kashima. Do tej pory podejrzewał, że ma w rękach inskrypcję z czasów pierwszych proroków. Jednak sądząc po reakcji Muddy, było to coś o wiele starszego, groźniejszego.

*

Z lewego skrzydła Pałacu Proroka prowadził zakurzony, podziemny korytarz, znany tylko nielicznym. Przechodził pod pałacowym murem, ogrodem i pod dwiema najbliższymi ulicami. Potem łączył się z piwniczkami wielkiego budynku, zwanego żartobliwie Pałacykiem Skrybów. Tam właśnie pracowali nadworni i wynajęci pisarze, kopiując woluminy zlecone przez dwór lub Duzzahów. W Pałacyku Skrybów znajdowało się też kilka sal, pomyślanych na klasy, gdzie nauczano małe dzieci czytania i pisanie.

Uczniów, którzy zgromadzili się w Pałacyku tego dnia, różniły od

typowych słuchaczy szkółek trzy rzeczy. Przede wszystkim nie byli dziećmi — na poduszkach zasiadali zarówno młodzieńcy, jak i zarośnięci mężczyźni. Poza tym wszyscy zdecydowanie nie pochodzili z plebsu. Wręcz przeciwnie, starannie ułożone włosy, wyszywane złotem pasy i jedwabne dżelaby jasno mówiły, że są to mężowie z najznamienitszych rodów. Sala, w której siedzieli, nie była też zwykłym pomieszczeniem do nauki. By uniknąć postronnych świadków i niepowołanych uszu, zaadaptowali do swoich potrzeb składzik z winami, który mieścił się wiele stóp pod powierzchnią ulicy. Stary Atollah, prowadzący Dom Skrybów, zapewnił im bezpieczeństwo — utrzymywał wiele tylnych wejść do budynku i wydał powszechny zakaz schodzenia do piwnic. Mogli więc w spokoju zajmować się sprawami, które nie powinny ujrzeć światła dziennego.

Pomieszczenie było zimne i mroczne, ale uczniowie nie zwracali na to uwagi. Siedzieli bez ruchu, wpatrzeni w podest, na którym stał dywanik dla mistrza i niski drewniany blat. Czekali w napięciu. Wiedzieli, że dzisiejszy wykład będzie szczególny.

Wreszcie małe spiżowe drzwi uchyliły się ze zgrzytem i do pomieszczenia wszedł wysoki mężczyzna. Zdjął płaszcz, odrzucił kaptur i spojrzał na zebranych spod krzaczastych, siwych brwi.

— Witaj, o najmądrzejszy! — rzekli uczniowie chórem, bijąc czołem o ziemię. Wielu widziało już, że prorok jest czymś bardzo przygnębiony.

Zerakhim spojrzał na zebranych. Tego dnia przyszli wszyscy, co do jednego. Uklęknął na dywaniku i położył przed sobą sporą sakwę.

— Chwała Najwyższemu! — powiedział.

— Chwała!

— Dzisiaj spotykamy się po raz ostatni. Miałem nadzieję, że przekażę wam dobre nowiny, lecz niestety przychodzę tu z ciężkim sercem. Spotkał nas kolejny cios. Tabo, mój wierny sługa, który wiele wysiłku poświęcił budowaniu tej Akademii, został zamordowany. Straciliśmy ostatnią szansę na poznanie tego, co mistrz Muhhamar określił jako druzgocące odkrycie. Pomiędzy uczniami przeszedł szmer.

— Nie smućcie się jednak. Księga mówi: „Kto powoli i roztropnie prawdy dochodzi, z pewnością dozna oświecenia”. Jakiegokolwiek badania prowadził Muhhamar, były oparte na materialnych faktach, które istnieją gdzieś w naszym świecie. Prędzej czy później ktoś również na nie trafi i podejmie jego dzieło. Prawda, drodzy uczniowie, nigdy nie ginie. Może zostać zagrzebana pod piaskiem, wyrzucona z ludzkiej pamięci, ale w końcu

powraca i depcze tych, co stali jej na drodze.

— Mistrzu! — wyrwał się jeden z zebranych. — Kto będzie nas uczył, gdy odejdiesz? Czy Akademia przestanie istnieć?

— Będzie istnieć tak długo, jak będziecie istnieć wy. Atollah zapewnił mnie, że do końca swojego żywota udzieli wam tego miejsca. Może to się bardzo przydać, bo wszystko wskazuje, że nadejdą ciężkie czasy. Wielu Duzzahów już przymierza się, by po moim odejściu wprowadzić radykalne zmiany. Z dnia na dzień może zapaść kara śmierci za nauki, które tu propagujemy.

— Ale kto będzie wykładał?

— Bez obaw. Żyją jeszcze w Tel’Halik badacze, którzy z chęcią zaprezentują wam swoje tezy. Poczekajcie — wkrótce wróci Tarakan, z którym niestety nie będzie mi dane już się zobaczyć. Powinien mieć bardzo ciekawe informacje o geografii Czerwonych Pustkowi, a może nawet coś więcej. Pan Al’Abashi pracuje teraz w ruinach na północny-wschód od Ostatniej Osady. Nim miesiąc minie, przybędzie do miasta i skontaktuje się z wami. Nadworny lekarz, Al’Sini, także przygotowuje ważny wykład.

Uczniowie zaszemrali, więc Zerakhim uciszył ich ruchem dłoni.

— To niewiele, ale wiecie już sporo. Jedyne oświecił was, a umysły macie dociekliwe. Pojęliście, że Bóg nie po to dał nam oczy i rozum, byśmy całą wiedzę o świecie czerpali z Księgi. Dawno temu, na jednym z pierwszych wykładów, gdy była was tylko garstka, powiedziałem: „Miast dzieła spisane ręką człowieka, czytajcie z dzieła spisane ręką Boga”. Tak, drodzy uczniowie. Wiem, że wielu nauczyło się już czytać prawdę wprost z otaczającego was świata. Prowadzicie własne badania. Na razie są to sprawy drobne, ale mogące przynieść zaskakujące wnioski. Liczę, że w najbliższych miesiącach wielu siądzie na moim miejscu, by przedstawić efekty badań.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho.

— Mistrzu — rzekł w końcu Edar Al’Dashia — możesz być pewien, że utrzymamy Akademię Wolnych Nauk przy życiu.

Starzec uśmiechnął się.

— Nawet nie wiecie, jak miłe są mi te słowa. Ale dość już rozmów. Czas nieubłagane ucieka. Oto co przygotowałem na dzisiejszy dzień.

To mówiąc, zaczął wyciągać z sakwy poźółkłe kości i karty z anatomicznymi szkicami.

*

Kashim dawno nie był wewnątrz Kopuły Niebios. Ostatnim razem widział ją dwadzieścia lat temu, gdy jego ojciec wybrał to miejsce na poślubienie trzeciej żony. Stara świątynia znajdowała się za murem pałacu, była więc niedostępna dla zwykłych ludzi. Od czasów piętnastego proroka czytania Księgi i religijne debaty odbywały się w nowszej Pierwszej Świątyni. Kopuła Niebios, skryta głęboko w ogrodach, była używana tylko przez dworzan i Duzzahów związanych z prorokiem.

Gdy Al'Shannagg dotarł do placu przed Kopułą, zatrzymał się na chwilę, by podziwiać jej piękno. Świątynia była bardzo duża. Cztery wieże, stojące w jej rogach, niewiele tylko ustępowały wieżom Orlego Fortu. Natomiast sama kopuła, od której budynek wziął nazwę, robiła imponujące wrażenie. Liczyła sto kroków średnicy, miała doskonale kształty, a pokrywały ją błyszczące, jasnobłękitne płytki. W dawnym Tel'Halik, gdy pałac był jeszcze mały, a Piaskowa Iglica nie istniała, Kopuła Niebios musiała wydawać się monumentalna. Nawet dziś robiła jeszcze spore wrażenie. Przechodząc pod masywnym łukiem wejściowym, Kashim zdał sobie sprawę, że ten budynek podoba mu się bardziej od Pierwszej Świątyni.

Wewnątrz panował półmrok i przyjemny chłód. Mozaiki zdobiły podłogi, a arkady, które ciągnęły się wzdłuż ścian, przyciągały wzrok obfitością kształtów. Nad tym wszystkim wisiało ogromne sklepienie z wymalowanym nocnym niebem. Kashim zdjął w samym wejściu buty i zobaczył, że na podeście stoi już para sandałów. Ktoś widocznie był w świątyni, ale choć Jeździec wysilił wzrok, nie potrafił nikogo dostrzec.

Wojownik przeszedł na środek sali i chwilę obracał się z głową zadartą do góry. Czuł coś dziwnego, jakby nieopisany zapach minionych dziejów. Dreszcz przechodził po jego skórze, gdy wyobrażał sobie, że sam Sammar mógł stać w tym miejscu, nadzorując robotników, którzy wznosili ściany.

Z zadumy wyrwał Kashima odgłos bosych stóp, kroczących po kamiennej posadzce. Wojownik obrócił się i wyciągnął szablę. Jego spojrzenie napotkało wzrok starego Duzzaha, który właśnie miał zapalić świece na kandelabrze w rogu świątyni. Jeździec westchnął i schował broń. Z powodu ostatnich wydarzeń zachowywał się zbyt nerwowo. Nawet tutaj nie opuszczało go napięcie.

Przypomniał sobie, że nie przyszedł tu podziwiać architektury. Ruszył szybkim krokiem w stronę wschodniego ołtarza. Płaskorzeźba nad nim przedstawiała wielką ucztę w Shannyevan, gdzie liczni mężowie, teraz już nieznani z imienia, bawili się u boku Sammara. W centralnym miejscu stołu

zasiadał Jedyny. Skrywał go dokładnie pierzasty obłok. Zgodnie z Księgą, artysta nie powążył się na oddanie nieskończonego piękna Boga swym skończonym talentem.

Kashim przeniósł wzrok w dół, pod ołtarz. Mudda miał rację. Mozaika, o boku liczącym kilkanaście kroków, przedstawiała przekrój Korony Piasków. W podziemnych salach, których detale uważnie odwzorował twórca, kanciaste ludziki spożywały posiłki, rozmawiały, spały i modliły się. W skalnej świątyni jakiś siwobrody starzec, pewnie sam prorok, czytał księgę zgromadzonemu tłumowi. Na zewnątrz szalało ogniste inferno, oddane tu dość wiernie fragmentami jasnopomarańczowego marmuru.

Al'Shannagg zdjął hełm i położył go na podłodze. Wyciągnął spod pancerza kilka kart pergaminu i kawałek węgla, a następnie zaczął pracować kopiować mozaikę.

*

Tarakan i jego jeźdźcy pieli się stromą drogą wiodącą na Przebity Kieł. Piaszczystą rynnę, którą próbowali pokonać, z obu stron otaczały poszarpane, wysokie skały. Saury ryczały żałośnie i osuwały się po zboczu, a żołnierze klęli, próbując zmusić je do ciężkiej drogi pod górę. Wysoko przed sobą widzieli przełęcz — klin błękitu wśród czerwonych skał.

Na szczęście blisko szczytu droga zrobiła się nieco równiejsza. Gady odsapnęły, a jeźdźcy zaczęli dziękować Najwyższemu, że przeprowadził ich bezpiecznie przez skalne pasmo.

Gdy jednak przejechali między dwiema potężnymi skałami, Tarakan dostrzegł, że ktoś stoi w oddali, na środku szlaku. Wymacał dłonią lunetę. Skahn podjechał do niego, zmarszczył czoło i rzekł:

— Piętnastu mężów na saurach, panie. Wyglądają, jakby na nas czekali.

Tarakan przez lunetę zobaczył, że słońce błyszczący na ich szyszakach i płytkowych pancerzach. To nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

— Święci Jeźdźcy! — krzyknął.

Tamci również musieli ich dostrzec, bo ruszyli tyralierą w dół wąwozu. Oddział Tarakana wyglądał doprawdy żałośnie na tle opancerzonych gwardzistów. Jego towarzysze odziani byli w poszarpane, ciemne szmaty, pokryte grubą warstwą pyłu. Mieli spękane usta i poparzone słońcem twarze, a ich broń była poszczerbiona i brudna. Nie byli jednak wcale gorszymi wojownikami! Prorok Zerakhim dał Tarakanowi samych twardych, doświadczonych ludzi. Dlatego też nie ulękli się żołnierzy, którzy pędzili w ich stronę. Czekali spokojnie na rozkaz.

Tymczasem Świąci Jeźdźcy dobyli szabli, zakręcili nimi nad głowami i krzyknęli gromko:

— W imię Najwyższego!

Tarakan popatrzył na swoich wiernych pomocników. Było ich prawie dwa razy mniej, ale widział na ich twarzach wyraźną determinację. Podróżnik nie zastanawiał się długo nad tym, co zrobić. Ucieczka nie wchodziła w grę. Z lewej i prawej wznosiły się strome skały. Z tyłu było zbocze, na którym poskręcaliby sobie karki.

— Do broni! Będziemy walczyć! Jeśli nie pokonały nas ani pustkowia, ani dzicy, na pewno nie uda się to tym psim synom! — krzyknął.

Nie próbowali przyjąć szarży przeciwnika. Zamiast tego zmusili saury do ostatecznego, morderczego wysiłku i rzucili się na spotkanie wrogów. Pędząc, krzyczeli:

— W imię proroka!

*

Uczniowie Zerakhima stali zafascynowani wokół blatu i przyglądali się rekonstrukcji.

— Jak widzicie — ciągnął prorok — te kości da się złożyć w sensowną całość, choć jest to zadanie kryjące niezliczone pułapki. Nie mam na przykład pewności, czy są to na pewno szczątki tego samego zwierzęcia. Co prawda znalazłem je tuż obok siebie, jednak zauważcie, że jeśli to miejsce było niegdyś norą drapieżnika, ciała mogły należeć do przedstawicieli różnych gatunków.

— Mistrzu! Ile lat mają szczątki?

— To wielka tajemnica, Yari. Nawet używając daru, nie jestem w stanie jej rozwiązać. Suchy piasek doskonale konserwuje. Mogą być starsze niż tysiąc lat.

— Czyli nasze stworzenie żyło jeszcze przed Wielkim Sądem?

— Jeśli istniało, to zdecydowanie tak. Kości nie są spalone, więc musiały być już wtedy głęboko pod ziemią.

— Czy to był... koń?

— Nie. Popatrzcie na kształt szczęki. Na zęby. Badane zwierzę było spokojnym przeżuwaczem, dużych rozmiarów, ale znacznie szczuplejszym od bacharna. Budową ciała tylko trochę przypominało konia.

— Jak takie stworzenie mogło przetrwać na pustkowiu?

— Nie wiem. Ale zauważcie, że mamy tu tylko kości. Może miękkie ciało zwierzęcia stanowiło klucz do tej zagadki?

— Mistrzu! Przecież Księga mówi, że Najwyższy stworzył wszystkie gatunki z kawałków własnego ciała, a te wrócą do niego, gdy czas wszelkiego istnienia dobiegnie końca. Czyli żaden gatunek nie mógł zniknąć z Ocalonej Krainy przed końcem świata!

Zapadła cisza.

— Moi drodzy. Jeszcze nie raz wnioski waszego umysłu będą stały w sprzeczności z Księgą. Nie powiem wam, jak ten dylemat rozwiązać, bo przez długie lata swego życia nie znalazłem dobrego wyjścia. Yari, pomyśl, może owe istoty istnieją gdzieś jeszcze, w opuszczonym zakątku świata, czekając na koniec wszechistnienia? A może Najwyższy powoła je znów do życia, gdy koniec nadejdzie? A może opowieść o kawałkach ciała jest, jak mawiają kujarscy alimowie, tylko symbolem, który ma mówić, że pochodzimy z Jedynego bardziej, niż syn pochodzi z ojca. „Któż z mądrych przejrzy umysł Tego, co sam jest twórcą wszelkiej mądrości”. Odpowiedzi jest wiele, Yari. Badaj i rozważaj, dopóki nie znajdziesz najbardziej prawdopodobnej.

Uczniowie dokładnie oglądali złożone kości, a szkic, przedstawiający wygląd nieistniejącego zwierzęcia, krążył z rąk do rąk.

— Uczniowie, powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Dzień jest krótki, a muszę przed odejściem załatwić wiele spraw. Chciałbym spędzić z wami jeszcze kilka chwil, ale Jedyne mi świadkiem, nie mam wystarczająco dość czasu.

Gwar umilkł. Młodzieńcy popatrzyli na Zerakhima ze smutkiem. Nagle odezwał się Yari:

— Nigdy cię nie zapomnimy, o Najmądrzejszy. Oby Ojciec Wszelkiej Mądrości wyznaczył ci miejsce po swojej prawicy — to mówiąc, skłonił się przed prorokiem w pas.

Zaraz za nim podszedł do Zerakhima drugi uczeń. Potem kolejny i kolejny. Prorok odbierał osobiste pożegnania z radością, lecz gdzieś spomiędzy siwych rzęs wypłynęła mu łza. Z trudem uTORowała sobie drogę przez kaniony zmarszczek i spadła na pergamin, który leżał na stole.

*

Nahar czekał wieczorem w Rozbitej Amforze, gdzie gości było jakby mniej niż przez ostatnie dni. Alim wydawał się tym uradowany, bo wyprzedził już prawie całe zapasy, a nie sposób było kupić wino w Święto Wstąpienia.

Młody żołnierz miał nadzieję, że zobaczy Kashima, zanim ten zrobi coś

głupiego. Chciał mu przekazać, że morderców Muhhamara już odnaleziono. Ubiegłej nocy napadli na warsztat kupca Jalbola, a on zarąbał ich wraz z synem, choć okupili to życiem. Dziwne plotki mówiły, że jednym z asasynów była kobieta. Fakt ten był frapujący, ale tłumaczył porażkę śledztwa. Nie sprawdzali przecież piątokrwistych dziewcząt.

Sprawa była zakończona. Tylko gdzie w takim razie podziewał się Kashim? Cały dzień nie pojawił się ani w domu, ani w garnizonie. Co to mogło znaczyć?

W pewnym momencie do tawerny wszedł gruby eunuch w służebnym ubraniu. Zamyślony Nahar nie poświęcał mu wiele uwagi. Tymczasem przybysz podszedł do Alima i zaczął o coś pytać. Alim pokręcił głową, jakby nie wiedział, o co chodzi. Wtedy mała sakiewka zmieniła właściciela, a Alim wskazał nieznanemu stolik, za którym siedział Nahar.

Dopiero teraz Jeździec się zaniepokoił. Wyciągnął zza pasa kindżał i położył go na kolanach. Eunuch zbliżył się i rzekł:

— Czy jesteście przyjacielem Kashima Al'Shannagga, panie?

— Może. To zależy, kim jesteś i czego chcesz.

— Jestem pokornym sługą domu Makhar'ad. Szlachetna pani Jelaya śle panu Kashimowi wiadomość. Czy wiecie, gdzie może się znajdować?

Nahar popatrzył uważnie na posłańca.

— Nie wiem, przyjacielu. Sam go szukam.

Eunuch zachmurzył się.

— Jeśli to list, zanieś go do rodzinnego domu Kashima — poradził Nahar. — Ma w zwyczaju spędzać tam noc.

— Dziękuję, panie, za radę. Polecono mi jednak doręczyć wiadomość osobiście.

— Szukaj więc. Życzę ci szczęścia, bo Kashima trudno znaleźć, jeśli sam tego nie chce.

Sługa zgiął się wpół, a Nahar pożegnał go skinieniem głowy. Po chwili został sam, pełen czarnych myśli. Kashim nie skontaktował się nawet z ukochaną. To znaczyło, że działo się coś poważnego.

*

Kashim Al'Shannagg patrzył zza kolumny na dwóch strażników, którzy przechadzali się dziedzińcem. Pałac Ksiąg był strzeżony nocą, lecz Jeździec musiał ryzykować. Znajdowało się tu jedno z nielicznych wejść do jaskiń, o którym wiedział. Kiedyś znalazł je, gdy zwiedzał piwnice budynku.

Strażnicy przystanęli przy fontannie wznoszącej się na środku placu.

Jeden siadł na krawędzi, a drugi opowiadał o czymś, żywo gestykulując. Jeździec dostrzegł swoją szansę: szum wody zagłuszy jego kroki.

Ostrożnie, lecz szybko przeszedł w cieniu arkad i skrył się w drzwiach po drugiej stronie podwórza. Ciężko mu było się skradać, bo obciążał go rysz tunek. Przez ramię miał przerzuconą skórzaną torbę, w której niósł lampę oliwną i plany podziemi. Na barku miał gruby zwój liny. Pod płaszczem pobrzękiwał pancierz Świętego Jeźdźca, ponieważ Kashim wolał być gotowy do ewentualnej walki. Z tej samej przyczyny przypasał najlepszą szablę, a oprócz niej jeszcze zakrzywiony kindżał.

Korytarz, w którym się znalazł, był pusty, podobnie jak otwierające się po bokach gabinety. Al'Shannagg wiedział, że to będzie trudna wyprawa. Nie pamiętał układu pomieszczeń w pałacu, a kiedy dotrze do jaskiń, mapa też może się nie przydać. W końcu była tylko płaską kartką papieru i nie mogła wiernie oddać labiryntu, który rozciągał się w trzech płaszczyznach.

Na dodatek jedynie Najwyższy wiedział, co naprawdę znajdowało się w Kaan'Baash. Przed wyruszeniem w drogę Kashim zastanawiał się nawet, czy nie wziąć ze sobą uzbrojonego przyjaciela, sługi albo paru najemnych zbirów. Choć pomysł wydawał się niezły, musiał z niego zrezygnować. Nie chciał narażać życia Mullaha, a Nahara obiecał nie mieszać już w tę sprawę. Natomiast najmici mogli za parę złotych centim opowiedzieć komuś niepowołanemu o ekspedycji.

Kashim skręcił w boczny korytarz, lecz zaraz zawrócił. Droga wiodła bowiem do komnat Duzzahów. Po chwili namysłu Jeździec obrał inną trasę. Dziesięć minut skradania się pustymi salami poszło jednak na nic. Zbadał całe skrzydło budynku, ale zejścia w dół nie widział. Musiał jeszcze raz przeciąć dziedziniec. Na szczęście strażnicy wciąż jeszcze byli pogrążeni w rozmowie.

Dopiero w drugiej części Pałacu Ksiąg, za kuchnią i spiżarniami, znalazł to, czego szukał. Solidne drewniane drzwi, zamknięte na dwa zamki. Wisiała na nich tabliczka: „Składnica manuskryptów”. Jeździec zastanawiał się chwilę, jak pokonać przeszkodę. W końcu doszedł do wniosku, że nie obędzie się bez użycia daru. Przyłożył rękę do zamka i wyszeptał geniuszom ognia rozkaz. Powietrze wokół mechanizmu zafalowało, a Kashim cofnął dłoń przed gorącym. Żelazo rozgrzewało się szybko, aż wreszcie było białe, jakby świeżo wyciągnięto je z kowalskiego pieca. Drewno wokół zamka syczało i dymilo.

Kashim pchnął drzwi. Rozżarzony metal ustąpił lekko, a skrzydło

uchyliło się i ukazało strome schody, które wiodły pod ziemię. Ciągnął od nich zapach stęchlizny. Wojownik wyjrzał przez kuchenne okno. Była już północ, czyli na całą wyprawę miał zaledwie sześć godzin. Potem korytarze Pałacu Ksiąg zaroją się od Duzzahów oraz służby. Kashim zapalił oliwną lampkę, uniósł ją wysoko nad głowę i ruszył w dół.

*

Zebari nie mogła tej nocy spać. Przewracała się z boku na bok w szerokim łóżku i nawet jedwabne poduszki wydawały się niewygodne. Przez okno dochodziły dźwięki zabawy, które niosły się od strony pałacu. Świerszcze cykały w pobliskim ogrodzie.

Wiedźmie to jednak nie przeszkadzało. Sen nie nadchodził, bo gdy tylko zamykała oczy, przez głowę przelatywały jej serie strasznych obrazów. Znikały zbyt szybko, żeby rozróżnić szczegóły, ale widziała w nich wiele krwi i cierpienia. Najgorsza była jednak postać Bestii. Jej gadzi pysk i przeraźliwe oczy pojawiały się w każdej z wizji. Towarzyszył im szcęk szabel, krzyki umierających, jęki torturowanych. Nagle Zebari poczuła straszliwy ból, jakby rozpalone szczypce rwały jej ciało. Usłyszała też swój krzyk, który dochodził gdzieś z oddali, choć nie otworzyła nawet ust. Towarzyszył mu skrzekliwy śmiech. Śmiech Bestii.

Zebari zerwała się z łóżka, zlana potem. Czy to możliwe, że fatum zawisło nad jej głową? Że przez jedną krótką rozmowę z dziwnym wojownikiem jego pełen okrucieństw i zła los splótł się z jej losem? Czy kilkoma zaledwie słowami mogła uczynić Bestię częścią swojej przyszłości?

Wiedźma potrzęsnęła głową, próbując odegnać złe myśli. Narzuciła na siebie koc i zeszła na dół, do pracowni. Musiała zrobić talizmany i odczynić urok. Trzeba zabezpieczyć się, póki jeszcze jest czas.

*

Godzinę zajęło Kashimowi odnalezienie miejsca, w którym piwnice Pałacu Ksiąg łączą się z jaskiniami. Dwie kolejne godziny błądził w labiryncie grot i skalnych szczelin, podziwiając piękno gigantycznych stalaktytów i ścian, które błyskały żyłami cennego kryształu. Nieraz musiał przeciskać się w wąskich szczelinach, gdzie trzeba było zdejmować całą zbroję i ekwipunek. Pokonał też dwie wielkie rozpadliny i podziemną rzekę. Widział sale oświetlone przez kolonie fosforyzujących grzybów i spotkał dziwne, ślepe szczury, które żyły w wiecznym mroku.

Trafił też na niepokojące ślady. Niezbyt stara lina, przewieszona nad przepaścią, ślady butów na grzybach, wypalona pochodnia — wszystko

dowodziło, że podziemnymi jaskiniami chodzili ludzie. I to całkiem często. Kashim zastanawiał się, czy pasza Asimar o tym wie. A jeśli tak, to dlaczego pozwalał, by szlak, którym można dostać się z najniższych dzielnic pod sam pałac, pozostał niestrzeżony?

Wojownik zszedł głęboko w płataninę korytarzy. Powinien dawno dotrzeć do Kaan'Baash. Na razie nie widział jednak ani śladu świątyni. Co gorsza, nie miał pewności, czy w jakimś momencie nie stracił wyczucia kierunku i czy nie trafił do zupełnie innej części podziemi.

Właśnie przeciskał się przez wejście do długiej, wysokiej groty, gdy spostrzegł, że stoi w niej kilka sylwetek podobnych do człowieka. Zgasił dłonią kaganek, modląc się do Najwyższego, żeby obcy nie zorientowali się w jego obecności. Przyglądał się im przez chwilę, ale żadna postać nie drgnęła.

Kashim powoli zapalił na nowo lampę. Wzniósł ją wysoko nad głową i zbliżył się do sylwetek. Okazały się nimi treningowe manekiny. Część przypominała strachy na wróble. Inne mogły się obracać i miały wiele ramion, z których każde trzymało drewniane ostrze. Wszystkie były w dobrym stanie. Po rozrzuconych wokół białych jeszcze drzazgach łatwo było się zorientować, że używano ich najdalej wczoraj.

Święty Jeździec zdecydował się poruszać ostrożniej. Zostawił ciężką linę za skalnym załomem. Tam, gdzie stale przebywali ludzie, raczej mu się nie przyda, a jeśli będzie musiał walczyć lub uciekać, krępowałyby tylko ruchy. Wyjął szablę i ruszył przed siebie cicho i powoli.

Grota była lepiej wyposażona niż plac Orlego Fortu. Miała ponad trzysta stóp długości, a w dalszych jej partiach stały tory przeszkód, wahadłowe ostrza, strome, sztuczne ściany i wąskie kładki. Można było w niej wyszkolić małą armię. Kończyła się grubą zasłoną. Kashim przeszedł przez nią i znalazł się w dobrze utrzymanym korytarzu. Jego ściany miały uchwyty na pochodnie. Po obu stronach widniały kotary, skrywające wejścia do innych pomieszczeń.

Nagle Kashim usłyszał ludzkie głosy, które dochodziły z północnej części kompleksu. Skulił się odruchowo i stał chwilę bez ruchu, myśląc, gdzie teraz się udać. Wreszcie wybrał kierunek południowy. Chciał najpierw zbadać bezludne sale, a potem dopiero mógł zaryzykować podkradanie się do mieszkańców tego osobliwego miejsca.

Pierwsza zasłona kryła za sobą mały magazyn broni. Na stojakach spoczywały pięknej roboty ghanki, lecz również szable i szerokie sejmitary.

Półki ugięły się pod ciężarem pancerzy i szyszaków. Wszystko nosiło znaki najlepszych zbrojmistrzów Tel'Halik. Ktoś wydał na to sporą fortunę.

Naprzeciw zbrojowni znajdowała się sala medyka. Był tam stół do przeprowadzania operacji, ostre narzędzia i słoje ziołowych leków. Kolejne pomieszczenie, dość dużych rozmiarów, miało w środku obramowany kolcami dół. Arena, pomyślał Kashim. Piasek na dnie był splamiony krwią.

Gdy wojownik pochylał się nad otworem, w korytarzu rozległ się stuk podkutych butów. Ktoś szedł w tę stronę! Kashim zaklął, zobaczywszy, że nie zaciągnął dokładnie zasłony w wejściu. Strażnik mógł zwrócić na to uwagę. Nie zastanawiając się długo, Al'Shannagg zeskoczył w dół i wylądował lekko na piasku.

Jego przewidywania okazały się słuszne. Kroki rozbrzmiały w korytarzu, ustały na chwilę, a potem zadźwięczały ponownie w pomieszczeniu. Kashim próbował stopić się z mrokiem, który panował w dziurze. Okrył się dokładnie ciemnym płaszczem i przylgnął do ściany. Strażnik tymczasem podszedł do krawędzi dołu. Obejrzał dno, ale nie dostrzegłszy nic na jasnym piasku, odwrócił się i oddalił.

Al'Shannagg odetchnął z ulgą. Wyszedł na sam środek placyku i wtedy dostrzegł z boku małą drewnianą kratę. Zbliżył się do niej. Ze środka śmierdziało zwierzętami. Kashim poznał z łatwością charakterystyczny zapach łajna manhaura. Mało który człowiek odważyłby się na walkę z tą bestią.

Wojownik wolał nie wchodzić za kratę, bo obudzone zwierzęta mogły wydać jego obecność. Wspiął się więc z powrotem na górę i opuścił salę areny. Kroki strażnika umilkły gdzieś na północy, więc Kashim obrał przeciwny kierunek. Za areną rozciągały się małe cele mieszkalne. Były bliźniaczo podobne: prycza, dywanik modlitewny, prosta komoda i jeden stół. Żadnych ozdób czy cennych materiałów. Pościel z surowego lnu. Widocznie mieszkańcy nie lubili wygód.

Kashim zagłębiał się coraz dalej w kompleks. Minął jeszcze kilka cel, kuchnię, aż kolejny zakręt wyprowadził go do dużej, okrągłej groty, której sklepienie zdawało się wisieć na wysokości stu stóp. Porastające jej ściany grzyby hungah dawały jasne światło. Kamienny ołtarz, wznoszący się naprzeciw wejścia, oraz ogromna płaskorzeźba, która zajmowała ścianę za nim, nie pozostawiały wątpliwości.

Kashim trafił do Kaan'Baash — serca Ocalonej Krainy. Świątyni niemal tak starej jak wiara w Jedyne.

*

Tej nocy Jelaya ponownie przygotowała się i czekała na ukochanego. Zamiast niego nadszedł jednak Phari. Zjawił się w domu bardzo późno i od razu ruszył do sypialni swojej pani. Na twarzy malowało mu się wielkie zmartwienie. W sakwie przy pasku niósł niedoręczony list.

— Phari! — rzekła Jelaya, gdy tylko przekroczył próg. — Opowiedz, co się stało?

— Wybacz, o najwspanialsza, lecz nie mogłem wypełnić twego rozkazu — odparł eunuch. — Pan Kashim Al'Shannagg nie był widziany od dwóch dni. Ani rodzina, ani jego przyjaciele nie wiedzą, gdzie się znajduje.

Jelaya poczuła, jak wzbiera w niej smutek.

— O pani! Jestem pewien, że jutro...

— Odejdź, Phari. Zostaw mnie samą.

— Przykro mi, że cię zawiodłem, pani.

Skinęła głową, starając się nie rozpłakać przy słudze. Gdy już wyszedł i zaciągnął zasłonę, rzuciła ze wściekłością przez okno kryształowym kielichem. Potem jednak zaczęła modlić się w myślach do Najwyższego. Choć była wściekła na Kashima, bała się też, że przytrafiło mu się coś złego.

*

Z boku ołtarza znajdowały się małe drzwi ze spiżu. Przyciągnęły uwagę Al'Shannagga, bo na mozaice w Kopule Niebios z pewnością ich nie było. Podszedł do skrzydła, które sięgało mu zaledwie do ramienia. Pchnął, a ono uchyliło się i ukazało strome, kręcone schody. Kashim wszedł na nie, spojrzał w górę i nagle doznał zawrotów głowy. Znajdował się na dnie wąskiej, lecz niezwykle głębokiej studni. Schodki bez barierek pełzły spiralnie w górę i znikwały w ciemności wysoko nad głową Jeźdźca. Kashim nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wyglądało to jak wyjście na powierzchnię, lecz dokładnie powyżej Kaan'Baash znajdował się pałac i Piaskowa Iglica. Czy możliwe, żeby Nocne Jastrzębie miały dostęp do komnat samego proroka? Zbadał dokładnie stopnie i ściany. Były z pewnością stare, lecz nie tak jak świątynia. Te schody musiano wykuć, gdy Tel'Halik już stało.

Z głową pełną pytań opuścił schody i zamknął za sobą drzwi. W tym momencie usłyszał blisko odgłos stóp. Ktoś wchodził do świątyni! Kashim padł za ołtarzem i zgasił szybko lampę. Przybysz tymczasem zatrzymał się na środku grotty. Sądząc z odgłosów, rozwinął na podłodze modlitewny dywanik. Wojownik zaklął. Odczekał chwilę, po czym się wychylił. Czarno

odziana osoba siedziała na środku sali, pogrążona w modlitwie. Przed nią leżał obnażony ghank. Dotarcie z powrotem do wyjścia, tak by nie wywołać alarmu, wydawało się niemożliwe. Tymczasem każda minuta zwiększała ryzyko, że Kashim nie zdąży opuścić jaskiń przed świtem.

Al'Shannagg siedział chwilę za ołtarzem i z trudem zbierał myśli. Mógł spróbować otworzyć cicho drzwi i pójść schodami w górę, lecz nie zobaczył jeszcze dużej części kompleksu. Zresztą nie wiedział, dokąd ta droga prowadzi, więc wybór jej zdawał się nierozsądny. Pozostawała tylko jedna możliwość, przed którą jednak się wzdragał: musiał przelać krew wewnątrz świątyni.

Kashim popełnił przez ostatnie dni wystarczająco dużo grzechów, by odmówiono mu miejsca w Shannyevan. Dlatego w końcu wyciągnął kindżał, wychylił się zza ołtarza, wycelował w siedzącego, po czym z mocą wypowiedział słowa rozkazu. Ostrze, niesione niewidzialną siłą, świsnęło w powietrzu. Postać podniosła głowę i w tym momencie nóż wbił się jej w czoło aż po rękajeść. Trzask pękającej czaszki zmieszał się z nieartykułowanym jękiem. Nieszczęśnik runął na plecy, a jego ręce i nogi podrygiwały przez chwilę w agonii. Gdy wszystko ustało, Kashim nasłuchiwał, dopóki nie upewnił się, że obcy umarł zbyt cicho, by kogokolwiek zaalarmować.

Podszedł do trupa. Wyciągnął z jego twarzy kindżał i wytarł go w rąbek płaszcza. Potem schował ciało za ołtarzem i zagłębił się z powrotem w skalne korytarze. Wiedział już, że to nie sama świątynia była miejscem, o którym mówili asasyni. Jej mianem nazywano zapewne cały kompleks. Przypomniał sobie, że mozaika pokazywała te same pomieszczenia, w których gościł, więc wyglądało na to, że Nocne Jastrzębie zaadaptowały tylko komnaty wykute trzy wieki wcześniej.

Kashim znał już pomieszczenia na południu, ruszył więc na północ, w stronę, z której wciąż dochodziły dźwięki. Minawszy kilka zakrętów rozróżnił pierwsze słowa wypowiedane przez dziwny, skrzeczący głos:

— .. rzekł zatem: „Kto Księdze nie dowierza, gorszy jest od niewiernego dzikusa, bowiem ten jeno dlatego praw bożych nie przestrzega, że nigdy ich nie słyszał. Jeśli któryś natomiast Księgę zna, a jej słowom nie jest posłuszny, na wieczne męki zasługuje w Marrenvan, gdzie żyją dusze przeklętych”. Tak niech się stanie!

— Tak niech się stanie! — odparł chór głosów. — Spytał więc uczeń: „Mistrzu! Dlaczego zatem, jeśli tak nienawistni są Jedynemu wątpiący,

tworzy on wciąż nowe rzeczy, mające mamieć umysły śmiertelnych? Sam przecież pomnaża tą drogą plemię, któremu życzyłby śmierci i całkowitego zniszczenia”.

Kashim stanął przy kotarze, zza której dochodził głos. Przez szpary wylewało się stamtąd na korytarz jasne światło. Wojownik przyłożył oko do miejsca, w którym zasłona nie przylegała dokładnie do ściany.

W pomieszczeniu siedziało na dywanikach około trzydziestu Jastrzębi. Półki pełne ksiąg i stojaki na otwarte woluminy jasno dowodziły, że komnata pełniła funkcję biblioteki. W jej środku znajdowało się podwyższenie, na którym stała dziwna postać. Przed nią leżała otwarta Księga. Jastrzębie siedzieli w półkolu, wsłuchani w słowa.

Czytający był bardzo wysoki. Okrywała go bogata jedwabna szata, wysadzana klejnotami i haftowana złotem. Na głowie miał osobliwą czapkę. Szerokość jego piersi i długość nóg była mocno nieproporcjonalna. Kashim nie widział jeszcze twarzy osoby, bo odwróciła się właśnie do słuchaczy, którzy siedzieli po prawej stronie sali.

Głos rozległ się ponownie: — Mądry kapłan odparł tedy: „Los nie każdemu stawia na drodze okazje, by dowieść mógl wiary. Jak Najwyższy może oceniać tych, co żyjąc w czasach pokoju, nie mogli walczyć za Ocaloną Krainę i nie mogli umierać z Jego imieniem na ustach? Musi zsyłać na nich kuszenia, co zwodzić będą zarówno umysły, jak i ciała”. Uczeń zaś odparł...

W tym momencie postać odwróciła się prosto w stronę Kashima. Ten, mimo że sześć lat zbrojnej służby uczyniło go twardym jak stal, omal nie krzyknął z przerażenia. Stała przed nim bowiem Bestia z wizji Zebari. Gadzi potwór, który nie miał prawa istnieć, łącząc bowiem w jednym ciele ludzki umysł i cechy jaszczura, kpił z Najwyższego i Jego praw.

Głowa potwora była nienaturalnie wydłużona i pokryta ciemną łuską. Pysk, pełen trójkątnych zębów, przypominał nieco pysk saura. Osadzona w nim była para przerażających, żółtych oczu. Palce istoty kończyły się zakrzywionymi szponami.

— ... Rozumiem teraz i widzę Jego wielką mądrość” — dokończył potwór. Spojrzał dokładnie na kotarę i długo stał w milczeniu. Potem wypowiedział słowa, które sprawiły, że wojownik zadrżał:

— Witaj, Kashimie Al'Shannagg. Twoje przybycie nie jest dla mnie niespodzianką. Wejdz do środka.

Zabójcy poderwali się i chwycili za ostrza. Ostatnie słowa potwora zostały wypowiedziane z siłą rozkazu. Kashim z przerażeniem dostrzegł, że

jego własna ręka sięga w stronę zasłony. Był w szoku: potwór użył daru! W desperackim akcie wyteżył całą wolę i złamał wrogi urok. Potem rzucił się do ucieczki w głąb korytarza.

— Za nim, dzieci! — rozległ się krzyk. — Chcę go mieć żywego lub martwego.

Rozdział 6. Brama niebios

Al'Shannagg uciekał na złamanie karku w stronę jaskini, którą wszedł do siedziby Bestii. Za nim biegły Nocne Jastrzębie, same dzieci szlachetnej krwi, szybkie jak wściekły manhaur. Kashim wiedział, że nawet dwóm mógł nie dać rady. Gdy miał przeciw sobie kilkunastu, pozostawała mu tylko ucieczka.

Wpadł do treningowej groty i zerwał po drodze kotarę. Chwycił w biegu linę, którą zostawił tu wcześniej, a potem minął drewniane urządzenia, rzędy manekinów i wreszcie dopadł do skalnej szczeliny. Przeciskając się przez nią, spojrzął w tył. Pogoń była blisko — zabójcy minęli właśnie połowę jaskini. Kashim skupił całą siłę na szybkim pokonaniu szczeliny, nie dbając o to, że stracił po drodze torbę, a skalne załomy podrapały mu ciało. Po drugiej stronie znalazł się w ciemnej plątaninie jaskiń, bez światła i bez bladego pojęcia, jaką drogę powinien obrać. Wiedział tylko, że jak najszybciej musi dotrzeć na powierzchnię. Zabójcy znali jaskinie jak własną kieszeń, więc im dłużej tam pozostawał, tym mniejsze miał szanse.

Kashim Al'Shannagg ruszył przed siebie, wybierając odnogi prowadzące w górę, z nadzieją, że któraś nie okaże się ślepym zaułkiem. W słabej poświacie grzybów hunggh nieraz potykał się i przewracał. Pościg podążał wciąż jego tropem. Buty Jeźdźca zbyt głośno dźwięczały na kamiennej powierzchni, by udało mu się zgubić zabójców.

Desperacka ucieczka trwała kilkanaście minut. Kolejne korytarze łączyły się i rozwidlały, a Kashim wciąż parł naprzód, licząc, że wkrótce znajdzie wyjście. Zaczynał tracić powoli siły. Pot zalewał mu twarz, nie mógł złapać tchu. W boku coś boleśnie kłuło. Choć był bardzo sprawny, tak długi bieg w pełnej zbroi okazał się zbyt dużym wysiłkiem. Wojownik nie miał jednak czasu, by przystanąć i zrzucić pancerz. Zwłoka mogła kosztować drogo.

Gdy pokonał kolejny, stromo wzniesiony korytarz, krzyknął radośnie. Przed nim z sufitu zwisały pęki korzeni, które skruszyły w wielu miejscach skałę. Kashim znalazł się tuż pod powierzchnią jakiegoś ogrodu. Rzucił się do przodu korytarzem, lecz zatrzymał go głos:

— To koniec, Kashimie. Dotarłeś daleko, prześcignąłeś moich uczniów, lecz ze mną nie wygrasz.

Bestia weszła w zasięg bladego światła. Nie miała broni, lecz Kashim

podświadomie czuł, że zaatakowanie jej oznacza śmierć. Za sobą słyszał już okrzyki Nocnych Jastrzębi. Schwytano go w pułapkę.

Spojrzeniem zaszczutego zwierzęcia obrzucił ściany korytarza. Nie było w nich żadnej szczeliny, żadnej bocznej odnogi. Nie miał szans na ucieczkę. Bestia postąpiła w jego stronę.

— Złóż broń i poddaj się, a ocalisz życie.

W Kashimie wezbrała bezsilna wściekłość. Nagle dziwny przebłysk przeleciał przez jego głowę. Miał wrażenie, że cichy kobiecy głos wyszeptał mu coś do ucha. Instynktownie poczuł, co powinien teraz zrobić. Odrzucił szablę, rozłożył szeroko ręce. Zabójcy, którzy wpadli właśnie do korytarza, zatrzymali się ze zdziwienia.

Kashim tymczasem wykrzyczał rozkaz, który rozbrzmiał echem daleko w korytarzach, docierając aż do Kaan'Baash. Zatrząśł się zaraz, gdy zrozumiał, jak aroganckie było to bezwiednie wypowiedziane żądanie.

Nie oczekiwał, że cokolwiek się zdarzy. Tymczasem potężny huk przetoczył się po podziemiach, sprawiając, że asasyni skurczyli się i zasłonili uszy. Chwilę potem skała nad głową Kashima eksplodowała, miotając w niebo potężne odłamki. Ogromna siła wzniosła w powietrze wojownika i wyrzuciła przez powstały komin.

Al'Shannagg przeleciał kilkanaście stóp, a potem z hukiem wylądował na trawie i potłukł boleśnie bok. Podniósł się i spojrzał wokół z niedowierzaniem. Leżał na powierzchni Ogrodu Proroków, zamkniętego i zakazanego kręgu zieleni, który otaczał Piaskową Iglicę. Jej potężny kształt majaczył tuż obok. W zielonej murawie była wyrwana dziura, obramowana wyrzuconymi na powierzchnię kamieniami. Wzbity eksplozją pył powoli opadał. Kashimowi dzwoniło w uszach.

Wstał chwiejnie i ruszył w stronę muru, który oddzielał iglicę od pałacu. Nie dane mu było tam dotrzeć. Po kilku chwilach Ogród Proroków rozbrzmiał krzykami pałacowej gwardii. Strażnicy wybiegli z przybudówek wznoszących się u stóp wieży, jak również z wrót, które widniały w murze.

— Rzuć broń i legnij na ziemi, w imię Najwyższego! — rozległy się krzyki.

Kashim oparł się o drzewo, splunął krwią i powiódł wokół nieprzytomnym spojrzeniem. Krąg uzbrojonych w kusze gwardzistów zaciskał się wokół niego. Zdążył jeszcze tylko pomyśleć, że lepiej wpaść w ich ręce niż w ręce Jastrzębi. Potem stracił przytomność.

*

W ogrodzie pachniało kwitnącym jaśminem. Rosa na liściach oliwnych drzewek błyszczała w porannym słońcu. Małe czerwone ptaszki ćwierkały wesoło, skacząc po trawie. Przyglądało się im trzech nobliwych starców, którzy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na tarasie i pili aromatyczny wyciąg z ziół. Jeden z mężczyzn — łysiejący, o skórze, która przypominała pergamin, sięgnął ręką do miseczki. Wyciągnął z niej kilka pobudzających owoców yar. Włożył czerwone kulki do ust i zaczął żuć, by cierpkim sokiem spłukać smak napoju. Drugi, niski i mający w brodzie jeszcze kilka czarnych włosów, w skupieniu patrzył na kawałki liści, które pływały w filizance. Trzeci natomiast, niezwykle wychudzony, szeptał z zamkniętymi oczyma poranne modlitwy.

Służba trzymała się z dala od tarasu. Wiedzano, że za podsłuchanie tak ważnych rozmów karze się ucięciem języka i obu rąk.

— Zaczynij ty, mądry Vezamarze — odezwał się najniższy starzec. — Wiemy, że pojąłeś słowa Najwyższego w sposób głębszy niż pozostali duchowni.

— Doprawdy przesadzasz, drogi Yholedzie — odparł łysiejący. — Wierzę, że ani ty, ani mistrz Mazznar nie ustępujecie mi w tym względzie ani trochę. Jeśli jednak o to prosisz, zabiorę głos pierwszy.

Chudy starzec przerwał modlitwę i zaczął słuchać uważnie.

— Według mnie Najwyższy zesłał ci wspaniałą myśl i grzechem byłoby jej nie wykorzystać — powiedział Vezamar. — Niewierny pies Zerakhim, oby pochłonęło go Marrenvan, przyczynił nam tak wielu kłopotów, że naprawienie wszystkiego pochłonie mnóstwo czasu i sił. Marnowanie ich teraz na polityczne spory byłoby wykroczeniem przeciw Najwyższemu.

— Nie mogą powtórzyć się wydarzenia sprzed dwudziestu jeden lat — rzekł chudy. — Co do tego jesteśmy zgodni. Zbyt wiele krwi wtedy przelano i zbyt długo Ocalona Kraina pozostawała bez duchowego przywódcy. W dzień po odejściu Zerakhima, powinniśmy mieć kandydata popieranego, jeśli nie przez wszystkich, to przynajmniej przez większość Duzzahów.

— Cieszę się, że jesteśmy w tej sprawie zgodni — odparł Yholed. — Zostaje nam jednak najtrudniejsza decyzja: kto jest godzien, by zostać dziewiętnastym synem Stworzyciela?

Zapadła cisza. Wreszcie głos zabrał Mazznar:

— Może najbardziej sprawiedliwy i miły Oku Jedynego byłby wybór kogoś spoza naszego grona. Sądzę, że osoba tak światła, jak mistrz Kar'Shin, będący przecież pierwszym interpretatorem Księgi, mogłaby...

— Raczysz chyba żartować, przyjacielu — przerwał mu Vezamar. — Zgadzam się, że Kar'Shin ma wielką wiedzę o prawach Jedynego, lecz wiemy chyba wszyscy, jakiego pokroju jest osobą. Nie potrzebujemy mola książkowego, Mazznarze. Kar'Shin, choć jest wspaniałym duchownym, grzeszy czasem pobłażliwością. Chciałby walczyć z wrogami słowem i piórem. W swojej skłonności do dysput o Księdze zbliża się za bardzo do Haldzytów.

— Teraz potrzebny jest sokół, który spadnie z niebios na wrogów Jedynej Wiary — ciągnął Yholed. — Sokół, który nie ulęknie się splamień rąk krwią, by jak najszybciej przywrócić Tel'Halik w objęcia Boga. Nie poprę Kar'Shina.

Vezamar skinął głową i rzekł:

— Wiem, przyjaciele, że wahacie się powiedzieć prawdę, bo sam też mam wątpliwości. Jeśli jednak Najwyższy mówi wam, że sami jesteście najlepszymi kandydatami, nie bójcie się tego powiedzieć. Mamy za mało czasu na konwenanse.

— Jeśli prosisz, Vezamarze... — odparł Yholed. — Powiem głośno: jestem nieustępliwy i oddany, mógłbym z powodzeniem wypełniać posłannictwo Boga.

Duzzah skinął łysiejacą głową.

— A ty, Mazznarze? — spytał.

— Nie chcę brać tego brzemienia na swoje barki. Moje serce, niech przeklęta będzie jego słabość, wzdraga się przed rozlewem krwi. Wystarczy mi, jeśli dostanę stanowisko głowy Pierwszej Świątyni, gdy nowy wybraniec zasiądzie w Piaskowej Iglicy.

— Cieszę się, że rozsądek zwycięża w tobie ambicję — powiedział Vezamar. — Ja jednak, podobnie jak Yholed, wierzę, że podołam zadaniu.

— Jako trzeci musisz wskazać któregoś z nas, Mazznarze — rzekł Yholed.

— Obaj jesteście równie odważni i równie mądrzy. Wybaczcie, lecz ten wybór przekracza moje siły.

Chwilę tkwili w zamyśleniu, nie wypowiadając ani słowa. Pierwszy odezwał się Mazznar.

— Księga mówi: „Nic, co się dzieje, bez przyczyny się nie dzieje. Głupiec jeno w los i przypadek wierzy, a mądre, uczone w Księdze oko dostrzec zdoła plan Najwyższego tam, gdzie gorsze oczy spostrzegą tylko chaos”. Zdajmy się na Niego.

Yholed odpassał sakiewkę, po czym wyciągnął z niej okrągłą, złotą centimę.

— Zgadzasz się, Vezamarze? — spytał.

— Tak.

— Niech zatem Mazznar będzie ręką losu. Księga oznacza mnie, a miecz i tarcza ciebie.

Chudy Duzzah wyszeptał modlitwę, po czym rzucił monetę w powietrze. Złoty krążek wzleciał wysoko i spadł na dywan, dokładnie pomiędzy starcami, mówiąc, że dziewiętnastym prorokiem, Obrońcą Krainy, Płomieniem Najwyższego i Mędrce Mędrców zostanie mistrz Vezamar.

— Tak niech się stanie! — rzekli starcy.

*

Szponiasta dłoń zmąciła wodę w misie i twarze Duzzahów rozpląnęły się wśród zmarszczek. Bestia wyszczerzyła kły. Użycie daru na taką odległość było trudne, lecz na szczęście się udało. Moneta spadła dokładnie tą stroną, którą rozkazał jej gad. „Nic, co się dzieje, bez przyczyny się nie dzieje...”.

*

— Na Najwyższego, co też mówisz! — krzyknął Nahar, a szabla wypadła mu z ręki na rozgrzany piasek.

— Przykro mi. To wieść pewna i sprawdzona — odparł kapitan Hanhakh Yal'ashid.

Nahar zerwał hełm i rzucił nim o ziemię. Potem skrył twarz w dłoniach. Żołnierze wokół przerwali trening, słuchając w milczeniu.

— To niemożliwe. Po prostu niemożliwe! Jak Kashim mógłby...

— Wszyscy wiemy jak — odparł Hanhakh. — Kashim głęboko wierzył i bardzo ufał słowom Księgi. Czasem wydawał się nimi wręcz zaślepiony. Nie jest wykluczone, że...

— Jest wykluczone! — krzyknął Nahar. — Ten człowiek nigdy nie rzekł o proroku złego słowa. Nigdy też nie sprzyjał w rozmowach ortodoksyjnym duchownym.

Kilku żołnierzy, którzy znali bliżej Kashima, przytaknęło. Kapitan Yal'ashid wzruszył szerokimi ramionami.

— Nie mnie to sądzić — rzekł. — Zeznajcie tak w Pałacu Sprawiedliwych, gdy odbędzie się proces. Może wasze słowa uratują mu życie. Jeśli w ogóle dojdzie do procesu.

— Jak to? — spytał jeden z Jeźdźców.

— Nie ma obowiązku sądzenia zamachowców, którzy szarpnęli się na

życie proroka. Pasza może stracić go w każdej chwili bez wyroku. Sprawiedliwy sąd byłby znakiem jego wielkiej łaski.

— A prorok? Nasz pan jest miłosierny i...

— Prorok nie ma już nominalnej władzy, odkąd ogłoszono Wstąpienie. Powinniście o tym wiedzieć. Do czasu wybrania następcy jego obowiązki przejął pasza Asimar.

Pomiędzy żołnierzami przeszedł groźny pomruk.

— Wracajcie do ćwiczeń — nakazał Yał'ashid. — Jeśli Kashim jest niewinny, Najwyższy z pewnością nie dopuści do jego egzekucji. Na waszym miejscu zacząłbym się jednak modlić o jego duszę.

*

Przez okno celi widać było plac Świątynny, gdzie ludzie zaczęli zbierać się na wieczorne kazanie. Kashim nie patrzył jednak na kolorowy tłum, który sunął ulicami. Siedział na sienniku, pogrążony w rozpacz. Spędził tu już cały dzień, a w tym czasie nie zjawił się ani śledczy, ani żaden oficer wysłany przez paszę. Koło południa przyszedł tylko gruby eunuch, który podał mu posiłek. Od niego właśnie Jeździec usłyszał, że oskarżono go o rzecz całkowicie niedorzeczną — próbę zamachu na proroka Zerakhima. Wiedział, co to znaczy. W każdej chwili do celi mogli przybyć gwardziści z rozkazem odprowadzenia go na miejsce kaźni. Miał jednak nadzieję, że nikt nie zdecyduje się przeprowadzić egzekucji w trakcie święta. Dawało mu to jeszcze jeden dzień.

Próbował przekupić strażnika, by ten przekazał wiadomość o uwięzieniu rodzinie i przyjaciołom. Wyciągnął z pasa kilka złotych centim, które nosił zawsze w ukryciu na wypadek, gdyby ukradziono mu sakiewkę. Grubas przyjął złoto, lecz nie było żadnej pewności, czy wywiąże się ze zobowiązań.

Przez te długie godziny Kashim zdążył dokładnie obejrzeć celę. Kamienne pomieszczenie miało bardzo grube żelazne drzwi i wąziutkie okienka. Nawet za pomocą daru nie dałoby się stąd uciec, zbudowano je bowiem specjalnie z myślą o przetrzymywaniu osób szlachetnej krwi.

Zresztą gdyby drzwi były drewniane, a okna większe, i tak nie zdołałby zbiec, czuł się bowiem potwornie wyczerpany. Gdy obudził się rano, ledwo mógł zwlec się z siennika, by załatwić w kącie naturalną potrzebę. Fizycznie jego ciało wydawało się sprawne, jeśli oczywiście pominąć liczne zadrapania i potłuczone żebra. Coś jednak wysssało z niego wszelkie siły. W ciągu dnia Kashim kilkakrotnie doznał zawrotów głowy, a z nosa ciekła mu krew. Próby użycia daru nawet w najprostszy sposób kończyły się niepowodzeniem.

Nie mogąc robić nic innego, siedział i zastanawiał się — a wiele rzeczy miał do przemyślenia. Nie rozumiał wciąż tylu spraw! Skąd potwór mógł posiadać moc Najwyższego? Jak w jego gadzich żyłach mogła płynąć krew będąca dziedzictwem ludzi? A może był on demonem, a używana przez niego siła przypominała tylko dar? Jeśli tak, to dlaczego czytał święte słowa Księgi i modlił się do Najwyższego? I w jaki sposób zdołał nierozpoznany zamieszkać pod pałacem i założyć własną szkołę? Dlaczego młodzież z możliwych rodów mieszkała z nim w jaskiniach i słuchała jego słów, choć samo jego istnienie przeczyło Księdze?

Niezrozumiały dla Kashima był też sposób, w jaki udało mu się uciec przed Bestią. Głos, który przeleciał mu przez głowę, nie należał bowiem do żadnej znajomej kobiety. Moc, którą wzbudził, była natomiast zbyt wielka jak na osobę piątej krwi. Na Najwyższego! Kashim nie był pewien, czy nawet czwartokrwesty potrafiłby czegoś podobnego dokonać!

Poza tym zdarzenia ubiegłej nocy wciąż nie tłumaczyły śmierci Dahala, Istnienie Bestii było czymś bez wątpienia szokującym, lecz nie doprowadziłoby silnego młodzieńca do samobójstwa. Czyżby Dahal dowiedział się jeszcze więcej? Dotarł tam, gdzie Kashimowi nie udało się dostać? Czy w ogóle był w Kaan'Baash? Przecież śledztwo mogło go skierować w zupełnie inne miejsce...

Tysiące zagadek kłębiły się w głowie wojownika. Wszystkie odpowiedzi, jakie na nie znajdował, były nieprawdopodobne lub straszne. Spędził cały dzień, rozważając, a wieczór zbliżał się wielkimi krokami. Wkrótce miała nastąpić ostatnia noc Święta Wstąpienia. Jutro, wśród wspaniałych uroczystości, prorok odejdzie z tego świata. Tymczasem wszystko wskazywało, że Kashim spędzi ten dzień w więzieniu — jeśli wcześniej nie zawłoka go na szafot.

*

Kupiec korzenny Salim chichotał nad pucharem wina, choć nikt nie siedział przy jego boku i nikt nie opowiedział żadnego dowcipu. Ktoś mógłby pomyśleć, że to za sprawą trunku, lecz starszy mężczyzna opróżnił dopiero jedną trzecią dzbana.

W Rozbitej Amforze było tego wieczoru cicho i spokojnie. Nie zjawili się żadni żołnierze, szlachetni świętowali w swoich domach, a rzemieślnikom i pastuchom skończyły się w trakcie poprzednich dni pieniądze. Niewielu więc siedziało w przytulnym wnętrzu.

Od pobliskiego stolika wstał mężczyzna w białym turbanie, z długą

czarną brodą. Przysiadł się do Salima i rzekł:

— Chwała Najwyższemu!

— Wieczna chwała. Kim jesteście, panie?

— Na imię mam Lasham i handluję bydłem.

— Ja zwę się Salim. Prowadzę sklep z przyprawami. W czym ci mogę pomóc, Lashamie?

— Powiedz, przyjacielu, co cię tak śmieszy. Może i ja zażyję trochę radości, bo pusto tu dzisiaj i cicho, a moi towarzysze się nie zjawili.

— Śmieję się z tego, jak nasz najmądrzejszy pan Zerakhim urządził tych dumnych kapłanów. Słyszałeś może dzisiejsze kazanie?

— Niestety, nie dane mi było — rzekł czarnobrody. — Gdy miałem na nie wyjść, bacharnica zaczęła się cielić. Musiałem zostać ze służbą.

— Zatem opowiem ci wszystko, przyjacielu, bo szkoda, żebyś stracił tak wyborną historię. Wiesz zapewne, że poprzednia przypowieść rozzłościła licznych Duzzahów?

Mężczyzna skinął głową.

— Wszyscy spodziewali się — kontynuował Salim — że prorok, za sprawą ich protestów, przygotuje na dzisiaj mniej uszczypliwą historię. Tymczasem utarł im nosa, że hej! Oczywiście boję się powtarzać jego opowieść, bo w moich ustach z pewnością zabrzmiał gorzej, jednak zrobię to dla ciebie.

Lasham uśmiechnął się, nalał sobie wina i dał znak, że słucha.

— Prorok rzekł dziś do tłumów: „Był sobie dawno temu pewien klasztor, gdzie kapłani mieszkali samotnie z dala od świata, by zażywać spokoju i kontemplować Księgę. Całe dni spędzali na rozmowach z Bogiem. Pewnego wieczoru młody Duzzah odczuł nowe wrażenia podczas głębokiej modlitwy. Było to coś ciepłego i... futrzanego. Spojrzał w dół i zobaczył kota, który leżał na jego skrzyżowanych nogach. Kot przekreślił się i potarł głową o kolano Duzzaha, głośno mrucząc. Kapłan delikatnie odsunął zwierzę i powrócił do modlitwy. Niezrażony kot podszedł wtedy do następnego modlącego się.

— Bez względu na to, jak wiele drzwi i okien zamknęli kapłani, kot zawsze znalazł sposób, aby wejść do sali modlitwowej. Po miesiącu tych zuchwałości Duzzahowie mieli już dość. Chcieli pozbyć się zwierzęcia, lecz głęboka wiara zabraniała im krzywdzić je w jakikolwiek sposób lub wyganiać z klasztoru na dzikie pustkowia. Nałożyli więc kotu pięknie haftowaną obrozę i przywiązali go długą smyczą do kolumny w świątyni.

Dali mu jedwabną poduszkę i każdego dnia karmili go, głaskali i bawili się z nim. Kot był bardzo zadowolony z nowego układu.

— Kilka lat później stary mistrz świątyni zmarł. Na jego miejsce został mianowany Duzzah z innego klasztoru i życie dalej toczyło się spokojnym rytmem. Nowy mistrz zauważył, że czarny kot był zawsze przywiązany do północnej kolumny świątyni, otoczony wybornymi ofiarami i siedział na ozdobnie haftowanej poduszce. Nie chcąc wyglądać na ignoranta, nie pytał o powód jego obecności, przypuszczając, że jest to tradycja klasztoru.

— Kiedy kot umarł, Duzzah nakazał więc znaleźć na jego miejsce innego czarnego kota i umieścić go z pełnymi honorami na miejscu poprzednika. Po pewnym czasie wymarli kapłani, którzy wiedzieli, dlaczego pierwszy kot był przywiązany do kolumny. Następne pokolenie mnichów nie знаło przyczyny tego szczególnego traktowania. Jednakże tradycja wiązania kota żyła nadal i za każdym razem, gdy poprzednie zwierzę zdychało, kupowano nowe.

— Po stu latach pierwszą obrożę zaczęto czcić jako relikw. Po dwustu latach mędrcy napisali wiele ksiąg z komentarzami na temat duchowego znaczenia wiązania czarnego kota do północnej kolumny. Po trzystu latach powstały legendy o cudownych uzdrowieniach za sprawą świętego kota. Do klasztoru przybywali pielgrzymi, by kupować ozdoby z wizerunkiem zwierzęcia. Gdy po czterystu latach ktoś napisał, że zwierzę wcale nie jest święte, a źródło całej tradycji mogło być prozaiczne, wyklęto go i pobito, a cały nakład bluźnierczej księgi spalono.”

Tutaj Salim znów roześmiał się tak serdecznie, że aż pociekły mu z oczu łzy. Lasham powiedział:

— To dobra i mądra historia, lecz czy naprawdę tak śmieszna?

— Śmieszne jest to, przyjacielu, z jakim sprytem prorok zwiódł Duzzahów. Jego przypowieść bowiem nie godzi wprost w Księgę, lecz subtelnie pokazuje, jak ślepi potrafią być kapłani i jak pozbawione sensu i światła Najwyższego mogą być zwyczaje, którym się oddają.

— Co masz na myśli, przyjacielu? — Czarnobrody zmarszczył czoło.

— Nie udawaj, że nie wiesz, Lashamie. Czy Księga w którymkolwiek miejscu mówi, że kobieta powinna być palona za cudzołóstwo? Czy gdziekolwiek nakazuje, by pościć przez siedemdziesiąt dni w roku? Wiem, że jestem tylko kupcem i nie do mnie należy badanie Księgi, lecz jej słowa w tych sprawach wskazują jedynie, że cudzołóstwo jest grzechem, a post zbliża do Boga. Cała reszta została wymyślona przez Duzzahów wiele lat temu. Kto wie, czy Najwyższy zgadza się z tymi zwyczajami?

Lasham opróżnił kielich i pokiwał głową.

— Racja, przyjacielu — powiedział. — Bardzo chętnie zostałbym tu i porozmawiał dłużej, lecz muszę wrócić do domu, sprawdzić, czy służba odpowiednio zajęła się cielętami.

— Żegnaj więc, w imię proroka! Oby twoje stado rosło i przyniosło ci bogactwo.

— Ty również żegnaj, Salimie! Dziękuję za dobre słowa.

To mówiąc, Lasham wstał, poprawił turban i opuścił tawernę. Ruszył prosto do swojego domu, by napisać donos na Salima, korzennego kupca. Zgodnie z rozkazem Duzzaha Vezamara od dziś należało powiadamiać Pałac Sprawiedliwych o każdym złamaniu praw Księgi. Nieszczęsny kupczyna naruszył je w co najmniej trzech miejscach.

*

Oto moja lista — rzekł Mazznar, kładąc na stoliku zwój. — Wybrałem oddanych sprawie duchownych i odważnych oficerów. Pod spodem znajduje się też kilka nazwisk ludzi, którzy obecnie pełnią różne funkcje, a są zbyt wierni Zerakhimowi.

Vezamar otworzył dokument.

— Wiele osób z tej karty było już wymienionych na liście mojej i Yholeda — rzekł.

Yholed potwierdził te słowa skinieniem głowy.

Siedzieli w ciepłym, przestronnym gabinecie na miękkich pufach. Odpoczywali po pracowitym dniu, ich stare nogi bowiem musiały znieść wiele, gdy odwiedzali kolejno ważniejszych Duzzahów w mieście, by rozmawiać z nimi o planach na przyszłość.

Przyniosło to jednak dobry efekt. Niemal wszyscy liczący się mędracy wyrazili posłuszeństwo wobec rady trzech. Nieliczni, którzy tego nie zrobili, wkrótce mieli bardzo żałować.

Pod drzwiami gabinetu zabrzmiał głos służki:

— Kolacja, o najmądrzejszy!

— Wejść — rzekł Vezamar.

Młody chłopiec wniósł duży półmisek pełen gorących pszennych placków nadziewanych mięsem. Powietrze w jednej chwili zapachniało ostrymi przyprawami. Starcy, choć głodni, jedli dostojnie i powoli. Nie przerywali przy tym rozmowy.

— Co z paszą? — spytał Yholed.

— Asimar przysiągł mi na Księgę, że nie podejmie żadnej decyzji bez

naszej zgody — odparł Vezamar.

— Czyli staliśmy się władcami Świętego Miasta!

— A agenci Zerakhima?

— Mamy już przygotowane listy aresztowań. Nikt z jego współpracowników nie dożyje następnego miesiąca.

Mazznar skrzywił się, słysząc te słowa. Zmienił szybko temat.

— Mistrz Kar'Shin zaczął na moją prośbę sporządzać edykty, które codzienne życie Tel'Halik zbliżą do ideału Księgi.

— Doskonale. Oszczędzimy czas. Będzie można wprowadzić nowe prawa tego samego dnia, którego wejdę do Piaskowej Iglicy.

Mazznar zmieszał się nieco.

— Vezamarze, twoja mądrość jest wielka, lecz czy nie grzeszysz zbytnią pewnością? Jesteś kandydatem i masz duże poparcie, ale ostatnie słowo należy do Najwyższego! Skąd pewność, że ześle ci błogosławieństwo?

Duzzah Vezamar uśmiechnął się tajemniczo.

— Znam już Jego decyzję — odparł. — Nie pytaj jednak skąd, są bowiem rzeczy, o których nawet tobie nie mogę powiedzieć, Mazznarze.

*

Hazim nieraz czerpał pieniężne korzyści z bycia więziennym strażnikiem. Nigdy jednak nie zdarzyła mu się nagroda tak wielka jak dziś. Dobrze zrobił, wypełniając prośbę uwięzionego żołnierza.

Gdy skończył służbę w Orlim Forcie, udał się do domu rodziny Al'Shannagg, gdzie za informację o Kashimie jego siostra zapłaciła dwie złote centimy. Dowiedział się też, że na wieści czeka przyjaciel więźnia, więc postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i odnalazł go. W ten sposób jego sakiewka stała się cięższa o kolejną złotą monetę. Najlepsze miało jednak nadejść. Młody Jeździec powiedział bowiem, że pan Al'Shannagg miał ukochaną, którą była Jelaya z domu Makhar'ad. Gdy Hazim dotarł przed jej oblicze i przekazał wieści o Kashimie, najpierw rozplakała się rzewnie, a potem napisała list. W zamian za świętą przysięgę, którą zobowiązał się dostarczyć pismo, a potem przynieść z powrotem odpowiedź, otrzymał całe cztery centimy i piękny pierścień ze szmaragdem.

Hazim szedł właśnie w stronę Fortu, gdzie miał pełnić nocną służbę, i liczył po raz kolejny zarobione dziś pieniądze. Na więźniu Kashimie Al'Shannaggu zyskał więcej, niż wynosi półroczny żołd. Zdecydował się, że jutro osobiście przygotuje mu dobry posiłek, by odwdzińczyć się jakoś za te wszystkie dobrodziejstwa.

*

Kłęby białej pary sprawiały, że w łaźni było coś widać nie dalej niż na długość wyciągniętego ramienia. Pasza Asimar moczył swoje otyłe ciało w sadzawce z gorącą wodą i co chwila pojękiwał z zadowolenia. Ciepło tłumilo ból barku, ranionego wiele lat temu w czasie walk ze zbuntowanymi góralami.

Przed basenikiem, w którym odpoczywał pasza, znajdował się duży parawan. Naczelnym dowódcą armii Ocalonej Krainy i zarazem władcą Tel'Halik rozmawiał z postacią skrytą po jego drugiej stronie.

— Co mam robić?! Poradź coś, jeśliś taki mądry — rzekł właśnie pasza, ocierając z potu łysinę. — Mam go ściąć, osądzić, wygnać, uwięzić? Na rogi demona, Snaar, to doprawdy poważniejsza sprawa, niż się wydaje Vezamarowi. Po odejściu Zerakhima mamy zwrócić się z powrotem do szlachtetnej krwi. Urzędy i awanse otrzymają osoby bliższe urodzeniem Stworzycielowi. Tymczasem jeden z moich najlepszych jeźdźców, mąż piątej krwi, trafia do więzienia, oskarżony o poważne przestępstwo. Piąta krew, Snaar! Ilu takich młodych mamy w mieście?

— Dokładnie siedemnastu, jeśli księgi nie kłamią — odparł dziwny głos zza zasłony.

— Siedemnastu! Lecz większość z nich zajęta jest własnymi sprawami i robi wszystko, byle nie trafić za bramę Orlego Fortu. Z tych siedemnastu będę miał najwyżej czterech dowódców. Tymczasem nie muszę ci chyba mówić, jak ważni są oficerowie szlachtetnej krwi. Jeden więcej to duży zysk. Tym bardziej że Kashim Al'Shannagg jest...

— Jest bardzo silny. Wiem to, bo widziałem go w akcji.

— No właśnie. Osiem stóp żywej skały! Na Najwyższego, co za siła! Równie dobrze mógłby rozbić miejską bramę! Co go podkusiło, by z bronią wchodzić do zakazanego ogrodu? I to jeszcze wysadzając w tym celu kawał ziemi! Jeśli chodziłoby tu o zwykłego żołnierza, już dawno kazałbym go ściąć.

To mówiąc, Asimar zanurkował na chwilę. Gdy wynurzył swoją rumianą od ciepłej wody twarz, prychnął i spytał:

— Poradź mi, Snaar! Co robić?

Postać za parawanem milczała dłuższą chwilę.

— Wypuść go i awansuj — odparła wreszcie. — Potem wyślij gdzieś daleko z misją.

Pasza Asimar otwarł ze zdziwienia usta.

— Jak to?

— Przecież wiesz, że jest niewinny.

Pasza oburzył się.

— Owszem, wiem. Problem polega na tym, że trzeba udowodnić to przed sądem, by ludzie nie wątpili w moją prawość.

— Przed sądem Kashim powie, że sprawdzał, czy jaskinie nie są zagrożeniem dla bezpieczeństwa pałacu, a wychodząc na zewnątrz nie wiedział, że pojawi się w zakazanym miejscu. Kilku przyjaciół poświadczy o nim dobrze i wielki kadi go uniewinni. Zresztą możemy pominąć proces. Zbyt mało ludzi wie o jego aresztowaniu, żebyśmy się musieli przejmować.

Asimar przeczesał palcami mokrą brodę.

— Hmm... To brzmi sensownie. Powiedz jednak, Snaar, dlaczego chcesz go ułaskawić, skoro wdarł się bezprawnie na twój teren? Co zrobisz, jeśli zaczniesz rozpowiadać wszędzie o Kaan'Baash?

— Wkrótce będzie nam potrzebna liczna i oddana armia. Powiedz mi, paszo, kto ma tą armią dowodzić? Kmiotki ósmej krwi? Ludzie, którzy mają tylko marną namiastkę daru? Kashim jest nam potrzebny i wierzę, że pozyskamy go dla naszej sprawy. Nie martwię się, że widział serce. Nie ma komu o tym opowiedzieć, zresztą po to właśnie chcę wysłać go na pogranicze. Ochłonie tam trochę, a gdy wróci, Tel'Halik będzie już zupełnie innym miejscem. Jeśli zechce w nim żyć, nie będzie miał wyboru.

*

Kashim nie spał jeszcze, gdy w drzwiach szcęknął zamek. Poderwał się zaraz na równe nogi, ciekaw, kto go odwiedził. Czy był to śledczy albo któryś z przyjaciół? Czy też kat ze strażą? Skrzydło drzwi tymczasem odchyliło się, a do celi wszedł gruby nadzorca. W rękę niósł tacę z kolacją.

— Piękna pani Jelaya śle wam list — rzekł, kładąc posiłek na stole — jak również czystą kartę i przybory do pisania. Jeśli życzyacie sobie dać jej odpowiedź, przyjdę za godzinę, by ją zabrać i dostarczyć.

Al'Shannagg krzyknął z radości.

— Niech Najwyższy ma cię w opiece, Hazimie! — powiedział.

Strażnik skłonił się z uśmiechem i wyszedł. Kashim, choć głodny, chwycił najpierw zwój. Nim złamał pieczęć, podniósł go do nozdrzy. Papier miał delikatny różany zapach, który przywodził wspomnienie sypialni Jelayi.

List nie był długi, lecz wzruszający. Dziewczyna pisała o tęsknocie i o zmartwieniu. Prosiła, aby Kashim zachował w umyśle jej wspomnienie, gdyby przyszło mu zginąć, zapewniając jednocześnie, że sama będzie

pamiętać o nim nawet jeżeli zostanie stracony, a imię jego Duzzahowie wyklną i wymażą z historii. W jej kunsztownie budowanych, długich zdaniach znać było wiele lat nauki i dobrego mistrza. Iznak widać nie skąpił pieniędzy na wykształcenie córek.

Al'Shannagg chwycił za czysty papier i zawahał się. Nie wiedział, czy prosić Jelayę o wezwanie na pomoc przyjaciół lub wstawiennictwo u paszy. Czy powiedzieć jej o wyprawie i o Bestii, która żyła pod pałacem? Czy polecić, by przekazała tę wieść Naharowi?

Odrzucił jednak wszystkie te pomysły. Napisał prosty i szczery miłosny list, po którym nie dało się poznać, że autor, zamiast w swoim gabinecie, siedział w celi, niepewny jutra.

*

Ćma dotknęła skrzydłem płomienia lampki i zajęła się ogniem, spadając na blat. Prorok Zerakhim odłożył pióro. Czuł ciężkość w głowie i wiedział, że musi udać się na spoczynek, inaczej zaśnie za biurkiem. Zapieczętował ostatni list, wstał z krzesła i popatrzył na swoje dzieło. Cały blat był zajęty przez podpisane zwoje. Prorok miał wygłosić jutro niejedną mowę, ale z najbliższymi chciał pożegnać się w bardziej osobisty sposób. Wierna służba rozniesie listy przyszłej nocy.

Odszedł od biurka i rzucił ostatnie spojrzenie na gabinet, gdzie pracował codziennie przez dwadzieścia jeden zim. Wiedział, że już go nie zobaczy. Jutrzejszego dnia każdy jego krok będzie zgodny z odwiecznym ceremoniałem. Po przebudzeniu zostanie ubrany przez służbę, nakarmiony postnym posiłkiem i oprowadzony ściśle określoną trasą przez pałac i miasto. Trasą, która nie obejmowała gabinetu.

Pożegnał wzrokiem księgi i półki pełne świętych pism, zerknął przez okno na nocne niebo, po czym wyszedł i skierował się w stronę sypialni. Ostatnie minuty jego władania minęły.

Tymczasem na ulicach, mimo późnej pory, panował ruch. Setki ludzi pracowały w pocie czoła, przygotowując miasto na finał obchodów. Aleje, którymi miał iść prorok, przystrojono kwiatami i kolorowymi wstążkami. Odświętnie przybrano także całą Pierwszą Świątynię, no i oczywiście wrota, którymi Zerakhim miał wyjść z miasta.

Za murami, przy Bramie Niebios, również trwały gorączkowe prace. Wznoszono tam trybunę dla szlachetnie urodzonych, a także rozwijano na piasku fragmenty niezwykle długiego kobierca, którym Prorok miał iść na miejsce Wstąpienia. Stuk młotków i odgłosy pił niosły się stamtąd aż do

Piaskowej Iglicy, nie cichnąc przez całą noc.

O świcie na wieże oraz na obronne mury Tel’Halik weszli strażnicy. Gdy tylko słońce wychyliło się zza horyzontu, zadęli w spiżowe trąby. Dźwięk dziesiątek instrumentów był tak głośny, że w całym mieście trzęsły się ściany. Nie było osoby, która przespałaby ten sygnał, oznaczający rozpoczęcie dnia Wstąpienia.

W domach rozgorzały przygotowania. Każdy wolny obywatel chciał zobaczyć uroczystość albo jeszcze lepiej — być świadkiem przekroczenia przez proroka bramy. Ubierano się w odświętne stroje, wkładano najwspanialsze ozdoby i ustalano, kto ze służby zostanie pilnować opuszczonego majątku, a kogo spotka zaszczyt uczestniczenia w ceremonii.

Niemożność wzięcia w niej udziału była uważana za najgorszą karę i nieszczęście. Niewolnicy, którzy musieli siedzieć w domach, wylewali rzewne łzy, a gwardziści, którym przypadła straż w pustym pałacu, przeżywali fakt, że to na nich padł los, tak mocno, jakby zmarli im pierworodni synowie. Więźniowie w Orlim Forcie płakali i modlili się, bo pasza rozkazał, by nie wyprowadzano ich na uroczystość z obawy przed ewentualnymi ucieczkami.

Kashim także był pogrążony w smutku. W końcu zobaczyć Wstąpienie to najwspanialsza rzecz, jaka może zdarzyć się wiernemu. Tymczasem musiał patrzeć na wszystko z daleka, przez wąziutkie okno celi. Widział stąd co prawda wyraźnie kondukt proroka, który szedł ulicami, i mieszkańców rzucających pod jego nogi kwiaty, lecz nie dostrzegał Bramy Niebios. Znajdowała się w końcu na wschodzie, poza murami.

*

— Melduj, Hanhakh!

— Ledwo wystarcza nam sił, o potężny! Stu piętnastu ludzi zabezpiecza drogę do bramy, lecz to o wiele za mało. Ciżba rozrywa co chwila kordon.

— Oddziały z Pierwszej Świątyni jeszcze nie dotarły do punktu trzeciego?

— Nie, paszo. Gdy prorok opuścił budynek, ludzie rzucili się pierwsi do wyjścia. Gwardziści wyszli ze świątyni na końcu i teraz oddziela ich od bramy kondukt proroka i ogromny tłum. Posłałem szybkiego biegacza, który wrócił z wiadomością, że przedzierają się przez podwórka i boczne uliczki, nie będą więc szybko.

— Na Najwyższego! Mam za mało ludzi, Hanhakh. Nie mogę ci dać ani jednego Jeźdźca, wszyscy są potrzebni wokół pustynnej części trasy. Ściągnij

z murów połowę łuczników.

— Ale bezpieczeństwo proroka...

— To ja mam myśleć o bezpieczeństwie proroka, kapitanie. Zerakhimowi nie grozi zamach, prosty lud go kocha. Większym niebezpieczeństwem jest to, że zadepczą go na śmierć. Przede wszystkim trzeba wzmocnić strażę na ulicach. Pościągaj ludzi na dół.

— Tak, paszo.

— Poza tym żadnych wypadków?

— Nic nieprzewidzianego. Na razie mamy tylko dwadzieścia trupów. W większości stratowani przez tłum lub uduszeni. Jest też wśród nich kilku starszych, znalezionych po kazaniu w Pierwszej Świątyni. Nie wytrzymali upału i duszności.

— Dwadzieścia to dobra liczba, Hanhakh. Postarajcie się, by za bardzo nie wzrosła.

— Tak jest.

— Odmaszerować.

*

— Tędy, dziadku! — Chłopiec pociągnął starca za rękę, wiodąc go w pusty zaułek.

— Ezih, co czynisz, na Najwyższego! — krzyknął starzec. — Słyszę przecież, że oddaliśmy się od trasy!

— Wyjdziemy z miasta pasterską furtką, dziadku. Dowiedziałem się o niej niedawno od syna Bin'Ghada. Prowadzi prosto na pustynię i nie powinna być tak zatłoczona jak główne wrota. Będziemy szybsi, dziadku, i zajmiemy miejsca przy samej Bramie Niebios!

— Pasterska furtka? Kto by pomyślał — rzekł starzec.

Okazało się, że mały miał rację. Minęli kilka podwórek, opustoszały bazar i parę wąskich ulic, aż wreszcie dotarli do miejsca, gdzie w okalającym miasto murze znajdowały się niewielkie drzwi. Oczywiście i przy nich było dość tłoczno, lecz nie tak bardzo jak w okolicach głównego wyjścia. Ezih wy dostał się z dziadkiem na pustynię i zaraz ruszyli śladem innych ludzi w stronę ruin, gdzie wznosiła się brama.

Starzec sapał, wspinając się na piaszczyste wydmy.

— Takie wyprawy są już nie na moje zdrowie, Ezih.

— Jesteś jeszcze silny, dziadku.

— Nie tak silny jak ty, mały bacharnie — ślepiec roześmiał się.

— Dziadku?

— Tak?

— Skąd się właściwie wzięła Brama Niebios? Dlaczego znajduje się w miejscu, gdzie żyli kiedyś nieocaleni?

Starzec westchnął.

— Nie mogę jednocześnie iść i dużo mówić, bo stracę całkiem dech. Dlatego opowiem ci teraz krótko, a pełną historię usłyszysz wieczorem w domu. Dobrze?

— Dobrze — odparł chłopiec.

— Zdarzyło się to dwadzieścia dziewięć lat po Wielkim Sądzie, Wzniesiono już Tel’Halik, a wiele rodzin opuściło Koronę Piasków, by założyć dalsze osady, bo pustynia wokół wzgórza nie mogła ich wyżywić. Prorok Sammar wciąż mądrze kierował wiernym ludem, lecz jego dni dobiegały powoli końca. Słabł coraz bardziej i więdnął w oczach. Wreszcie stało się jasne, że wkrótce umrze. Wtedy objawił mu się Najwyższy i rzekł, że w nagrodę za jego poświęcenie i oddane rządy zdecydował, iż Sammar jako pierwszy wejdzie do Shannyevan jeszcze za życia. Prorok musiał tylko znaleźć ogromny i wspaniały łuk, który Najwyższy mógłby zmienić w bramę do raju.

— Sammar stropił się, bo w Tel’Halik takiego łuku jeszcze nie było, a wzniesienie go przekraczało możliwości ubogiego ludu. Poprosił więc synów, by wyruszyli przez całą Ocaloną Krainę i spróbowali go znaleźć. Ci trafili nieopodal Korony Piasków na wspaniałą bramę. Uznali ją jednak za nieczystą, była bowiem ocalałą częścią świątyni, gdzie niegdyś czczono demony. Ruszyli więc dalej, lecz po miesiącu wrócili, nie znalazłszy niczego.

— Pierwszy prorok leżał już wtedy na łożu śmierci. Gdy synowie powiedzieli mu, że w całej krainie nie mają odpowiedniego łuku, zmartwił się bardzo. Rzekł: „O, ja nieszczęsny. Minie mnie wielki zaszczyt, bo nie ma bramy, którą Najwyższy zechciałby mnie wpuścić do Shannyevan”. Usłyszał te słowa młody pastuch, który usługiwał przy łożu Sammara. Rzekł zaraz: „Wybacz, o najmądrzejszy, że będąc tak podłego stanu, ośmielam się dawać ci rady, lecz jest na pustyni pewna wspaniała brama, na dodatek znajduje się niedaleko Korony Piasków”. Synowie Sammara natychmiast wyśmiali pastucha jako głupiego, mówiąc, że widzieli tę bramę, lecz jest ona nieczysta. Prorok jednak rozkazał się tam zanieść.

— Tak też się stało i gdy synowie niosący jego lektykę stanęli przed łukiem, on rozbłysnął jasnym światłem, dając znak niezwykłej mocy. „Jak to możliwe, ojcze, by Najwyższy nawiedził ten przeklęty portal? ”, pytali w

zdziwieniu synowie. Sammar odparł im: „Moc Jego jest tak wielka, że uświęcić potrafi wszystko, czego dotknie. Nie ma skazy czy zepsucia, którego uleczyć by nie mogła. Gdybyście tak bardzo ufali Księdze, jak ów pasterz, którego spotkała z waszych ust obraza, wiedzielibyście o tym z pewnością”. Potem Sammar wstał i przeszedł przez łuk, znikając na zawsze z tego świata. Łuk nazwano Bramą Niebios. Najwyższy wezwał do siebie również drugiego proroka, gdy kończył się jego czas. Potem także trzeciego i czwartego. Odtąd każdy Płomień Najwyższego nagradzany był tą samą łaską, jakiej dostąpił Sammar.

Ezih skinął głową.

— Teraz rozumiem, dziadku — rzekł.

Starzec otarł rękawem pot. W samo południe na rozgrzanym piasku czuł się bardzo słaby.

Wędrowali przez ponad pół godziny w towarzystwie innych zmęczonych upałem pielgrzymów. Wreszcie na horyzoncie ukazał im się cel wędrówki. Brama Niebios wznosiła się majestatycznie nad jałową równiną, a obok niej stała przystrojona kwiatami trybuna. Wszędzie kręcili się Święci Jeźdźcy, którzy pilnowali porządku, i niewolnicy, przygotowujący na ostatnią chwilę podest, gdzie przemówić miał prorok. Widzów nie było na razie wielu. Ezih ucieszył się bardzo.

— Wspaniale, dziadku! Zyskaliśmy naprawdę sporo czasu! Ci, co wyszli ze świątyni razem z nami, jeszcze tu nie dotarli.

Starzec pogłaskał go po głowie.

— Z takim przewodnikiem nie dziwi mnie, że jesteśmy pierwsi.

Zbliżyli się do bramy, z bliska imponującej rozmiarami. Usiedli na piasku jak najbliżej czerwonego kobierca, którym miał iść prorok. Zrobili to w samą porę, bo wkrótce potem od strony miasta zaczęły sunąć tłumy, szybko zapelniające teren wokół łuku. Razem z ludźmi pojawiły się lektyki, które niosły możnych oraz co ważniejszych Duzzahów. Zajęli oni miejsca na trybunach i czekali w cieniu płóciennego dachu, wachlowani przez służbę, podczas gdy zwykły lud pocił się w słońcu. Gdyby strażnicy nie nosili w glinianych stągwiach wody, z pewnością niejednen biedak wyzionąłby ducha, czekając na przybycie proroka.

Gdy wokół zrobiło się już ciasno, starzec rzekł do wnuka:

— Będiesz moimi oczyma, Ezih. Opowiadaj, co widzisz.

— Nawet nie wiesz dziadku, ile tu ludzi! Przybyło chyba całe miasto.

Ślepiec zachichotał.

— Tyle akurat mówi mi mój biedny nos.

— Jest! Jest prorok, dziadku! Widzę go już. Idzie kobiercem. Otacza go służba i straż. Ludzie rzucają mu pod nogi kwiaty. Jaki piękny ma strój! Więcej w nim złota i klejnotów niż jedwabiu. Na trybunę wszedł pasza Asimar. Obok niego stoi trzech brodatych Duzzahów. Przyglądają się naszemu panu.

Chłopiec przerwał na chwilę opowieść.

— Kondukt dotarł już do podestu — poinformował wreszcie. — Prorok będzie przemawiał!

Rozkrzyczany tłum zamilkł na jedno skinienie dłoni Zerakhima.

Kazanie proroka było długie, pełne przypowieści i alegorii. Ezih nie rozumiał z niego wiele i szybko zaczął się nudzić, ale ślepiec bardzo uważnie łowił każde słowo. Rozgrzane powietrze falowało pod kamiennym łukiem. Notable na trybunach marszczyli nosy, czując smród, jaki roztaczał się nad spoconym tłumem. Wreszcie Zerakhim skończył. Wzniósł ręce i rzekł:

— Chwała Najwyższemu, a cały świat niechaj Jego będzie!

— Chwała — odpowiedział tłum.

Duzzahowie zaintonowali Hymn Niebios, którego słowa podchwycili co lepiej wykształceni mieszkańcy Tel'Halik. Przy akompaniamencie pieśni Zerakhim zszedł z podestu i stanął tuż przed łukiem.

— Opowiadaj, Ezih — przypomniał chłopcu ślepiec

— Prorok stoi pod bramą. Chyba się modli. Jest! Dziadku! Jest! Światło jaśniejsze od słońca. Pojawiło się w środku bramy. Tam. Czujesz ciepło na twarzy? Trzeba mrużyć oczy, by nie oślepnąć! Światło rozlało się po całym łuku. Prorok rusza w jego stronę. Staje tuż przed białą taflą. Odwraca się jeszcze raz. Macha nam! Robi krok do przodu... Aaaach!...

Ezih jęknął, gdy potężny rozbłysk poraził mu oczy.

— To koniec, dziadku. Prorok zniknął. Światło też — rzekł, odzyskawszy wzrok.

Po policzkach starca pociekły łzy.

— On jest już w Shannyevan — powiedział. — Oby Najwyższy ugościł go tam dobrze.

Monotonny śpiew Duzzahów wciąż jeszcze płynął nad głowami ludzi.

*

Zerakhim również został oślepiiony przez portal. Gdy wszedł weń, poczuł straszliwy ból, jakby jego ciało rozciągano na łożu tortur. Potem oczy zasnuła mu ciemność i stracił czucie.

Gdy przytomność zaczęła powracać, zorientował się, że leży na czymś miękkim, lecz niezwykle zimnym. Prorok zatrzęsł się. Wokół panował okropny chłód. Podniósł powoli głowę i otworzył oczy. Leżał na pustyni, lecz nie przypominała ona żadnej z tych, które znajdowały się w Ocalonej Krainie. Po horyzont ciągnął się tu lepki, zimny i biały niczym kość piasek.

*

Kashim widział przez okno celi, jak długie sznury ludzi wracają do miasta. Pomiedzy wydmami krążyli Święci Jeźdźcy, pilnując porządku. Wstąpienie zatem dobiegło końca. Wojownik wiedział, że jego los rozstrzygnie się już wkrótce. Nie zdziwił się więc, gdy w zamku szczęknął klucz.

— Kashimie Al'Shannagg, przynoszę ci wyrok paszy — powiedział młody Duzzah, który wszedł do pomieszczenia w asyście dwóch gwardzistów.

Wojownik wstał z siennika.

— Na mocy danej mu przez Najwyższego i mędrców Tel'Halik, potężny pasza Asimar uznał cię za niewinnego. Jesteś wolny.

Uczucie niezwyklej ulgi rozplynęło się po ciele Kashima. Spięte mięśnie rozluźniły się natychmiast.

— Chwała Najwyższemu za Jego łaskę — rzekł wojownik. — Mogę odejść... teraz?

Duzzah skinął głową.

— Nie będziemy cię zatrzymywać. Nie oddalaj się jednak zbyt daleko, wkrótce bowiem będziesz wezwany znów do Orlego Fortu. Pasza zechce z tobą osobiście porozmawiać.

— Wola paszy jest dla mnie rozkazem — odparł Kashim.

Czuł się tym wszystkim lekko dezorientowany. Wyszedł z celi, nie spoglądając za siebie, a dwóch milczących strażników odprowadziło go aż do więziennej bramy.

Rozdział 7. Nowe porządki

Święto, które trwało tydzień, dobiegło wreszcie końca, a mieszkańcy Tel'Halik wrócili do normalnego życia. Ten i ów zdał sobie sprawę, że w gorączce Wstąpienia rozpuścił całe oszczędności, zastawił dom i sprzedał ostatniego bacharna. Niektóre dziewczęta zaczęły się martwić, co się stanie, jeśli okaże się, że są przy nadziei. Niektórzy młodzieńcy zaś myśleli, jak wycofać się ze znajomości pochopnie zawartych w trakcie pijackich uczt. Niewolnicy z Orlego Fortu wyszli sprzątać miasto i zobaczyli zdeptane ogrody, zaśmiecone ulice oraz resztki koczowisk bezdomnych pielgrzymów. Jednym słowem, koniec Wstąpienia dla wielu oznaczał początek kłopotów. Tylko zbrojni mogli wreszcie odetchnąć. Choć w trakcie obchodów pełnili służbę co drugi dzień, pracy mieli w bród.

Coraz gorliwiej rozprawiano o następcy Zerakhima. Na szczęście nic nie zapowiadało, że dojdzie do walki o władzę nad Ocaloną Krainą. Duzzahowie byli dziwnie jednomyślni i spokojni. Niektórych mieszkańców miasta martwił ten spokój. Następane dni pokazały, że mieli rację.

*

Kashim nie dotarł do bramy Orlego Fortu. Gdy tylko wyprowadzono go na plac, usłyszał z pobliskiego okna znajomy głos. Podszedł tam i zajrzał, by dostrzec Nahara, który wyklócał się w pokoju dowódcy warty. Razem z nim stał jakiś gruby eunuch.

— Dam dwie złote centimy! Jestem jego przyjacielem, do wszystkich diabłów! — krzyczał młodzieniec.

Kapitan pozostawał niewzruszony.

— Tylko rodzina! Ile razy mam powtarzać?! Bez pokrewieństwa nie mogę wydać pozwolenia na rozmowę.

— Trzy centimy! — zaoferował Nahar.

— A ja dorzucę jeszcze dwie — powiedział eunuch.

— Zachowaj złoto, Naharze. Jestem już wolny — rzekł Kashim.

Młody żołnierz spojrział w okno i zaraz wybiegł na zewnątrz uściskać przyjaciela. Gdy wymienili serdeczności, Al'Shannagg spytał:

— Kim jest ten sługa?

Phari skłonił się głęboko.

— Mam zaszczyt być powiernikiem panny Jelayi Makhar'ad.

— Wielka to dla mnie radość, że piękna panna Jelaya interesuje się moim losem — rzekł Kashim z uśmiechem.

— Nawet nie wiecie, panie, jak bardzo przeżyła waszą niewolę. Natychmiast pójdę donieść jej, że jesteście cali.

— Powiedz jeszcze coś.

— Tak, panie?

— Powiedz, że dziś może się spodziewać gościa.

— Wedle życzenia — rzekł Phari.

Kashim i Nahar pożegnali go, po czym ruszyli wolno w stronę bramy. Strażnicy, którzy eskortowali Al'Shannagga, zostali w cieniu arkad.

— Opowiedz, co się stało — powiedział Nahar. — Plotki były tak niedorzeczne, że nie mogłem dać im wiary.

— Chodźmy do mnie. Uspokoję matki i opowiem ci wszystko w ogrodzie, przy chłodnym winie. Na razie rzeknę tylko, że istotnie byłem w podziemiach i trafiłem do Zakazanego Ogrodu. Tyle że to ostatnie było tylko zbiegiem okoliczności.

— Podziemia Tel'Halik! Nie mogę się doczekać tej opowieści. Czemu nie zaczniesz teraz?

— Wolę nie mówić na ulicy.

— Patrzcie, taki rozsądny a gdzie trafił? Do więzienia! — Zakpił Nahar.

Tymczasem powód podany przez Kashima wcale nie był prawdziwy. Jeździec musiał się po prostu dobrze namyślić, co powiedzieć przyjacielowi, a co przemilczeć.

*

Lata doświadczenia sprawiły, że Sahira wiedziała, kiedy klient jest gotów dobrze zapłacić. Teraz czuła w powietrzu naprawdę dużo pieniędzy. Trzech oficerów oraz dwóch innych młodzieńców leżało na poduszkach, obserwowało tańczące dziewczyny i paliło wodne fajki. Byli oczarowani. Sahira miała zamiar zażądać podwójnej ceny.

Kurtyzany kręciły biodrami, okrytymi przez muślinowe spódnice. Miały kształtne, pełne pośladki i ładne piersi. Żadna nie przekroczyła siedemnastego roku życia. Sahira wiedziała, że nadchodzą tłuste czasy. Nowe nabytki były wspaniałe i zdrowe. Sprawdziła ich studnie rozkoszy i żadna nie miała choroby gnilnej, co często dotykało ubogie kobiety.

Sahira kupiła te trzy dziewczyny od ojców, którzy popadli w trakcie święta w ciężkie długi. Wyliczyła, że inwestycja zwróci się w niecałe pół roku. Co prawda jedna z młodek była krnąbrna, ale stręczycielka nie takie

charaktery już łamała. Odpowiednio używany bat potrafił zdziałać cuda. A w najgorszym wypadku niewolnicę można sprzedać za pół ceny do farmy grzybów hungu lub do gorszego zamtuza. Pozostałe dwie i tak zrekompensują stratę.

Sahira już miała podejść do klientów, by spytać, którą łanię sobie upatrzyli, gdy od strony wejścia dobiegły ją jakieś hałasy.

— Nie wpuszczę! — krzyczał odźwierny. — Bez broni i pojedynczo. Inaczej nie wpuszczę!

— Otwieraj, psie, bo nie minie nawet godzina, jak będziesz kwiczał na palu!

— Pani Sahiro!

— Mamy osobisty nakaz Duzzaha Yholeda.

— Pani Sahiro! Proszę przyjść!

Klienci podnieśli się z poduszek. Dziewczęta przestały tańczyć. Służebny chłopiec przystanął z misą pełną owoców. Sahira przeklęła natrętnych gości i ruszyła do sieni. Trzeba jak najszybciej zaradzić kłopotom, bo inaczej gruba suma może uciec sprzed nosa.

Służący zapierał całym ciałem drzwi. Przez małe okno Sahira widziała, że za nimi tłoczy się kilkunastu brodatych mężów w czerwonych turbanach. Zbliżyła się i krzyknęła:

— Kim jesteście i czego chcecie?!

— Otwieraj, starucho! W imię Najwyższego zamykamy ten przybytek grzechu.

— Idźcie precz, bo wezwę straż! Działamy zgodnie z prawem.

To mówiąc, Sahira wezwała skinieniem ręki młodego sługę.

Nakazała mu, by wyszedł tylną furtką i pobiegł do Oriego Fortu po gwardzistów.

— Pani — stęknął odźwierny, cały zlany potem. — Długo nie utrzymam!

— Utrzymasz. Dostaniesz złotą centimę, jeśli nie wpuścisz ich aż do przyjścia straży.

W tym momencie za drzwiami podniósł się hałas. Sahira z przerażeniem dostrzegła, że kilku mężczyzn niesie w tę stronę wielki słupek. Chwycili go niczym taran i uderzyli we wrota. Skrzydło prawie wyskoczyło z zawiasów. Sługa stęknął ciężko i wezwał Najwyższego na pomoc. Przy drugim uderzeniu na ścianie wokół futryny pojawiła się rysa. Przy trzecim wrota runęły z hukiem, przygniatając niewolnika.

Rozwścieczeni mężczyźni wpadli do środka. Kilku z pałkami rzuciło się

na Sahirę, reszta pobiegła do atrium. Kobieta zasłoniła głowę rękoma, gdy spadły na nią ciężkie ciosy.

— Niewierna suko! Oto kara! — Krzyczał bezzębny brodac.

Straszny ból eksplodował w jej przedramieniu, gdy kość pękła z trzaskiem. Sahira zaszlochała i zwinęła się w kłębek, kryjąc złamaną rękę. Na bokach i plecach poczuła kopniaki.

Dziewczęta rozbiegły się po pomieszczeniu, lecz napastnicy szybko je osaczyli. Gdy kurtyzany zostały obezwładnione, w ruch poszły nożyce. Długie do pośladków włosy obcięto im przy samej skórze. Potem wysmarowano ich twarze wielbłądzim łajnem.

Zdezorientowani klienci stali w rogu pomieszczenia. Dwóch zdążyło wyjąć ze schowka szable. Otaczał ich półokrąg uzbrojonych w pałki zbirów.

— Grzesznicy! — krzyknął jeden z napastników. — Nie odważycie się przelać krwi wiernych!

Jego kamraci zaczęli się zbliżać. Młody oficer świsnął szablą w powietrzu.

Doszłoby zapewne do jatki, gdyby na środek nie wyskoczył stary, pokrecony reumatyzmem Duzzah.

— Zostawcie mężczyzn w spokoju, na Boga! Nie są winni. Idźcie karać wszeteczne niewiasty, które podkusiły ich do grzechu!

Kurtyzany, obdarte i upokorzone, wygnano wkrótce na ulicę, gdzie czekał tłum gapiów. W stronę bladej jak śmierć Sahiry i jej dziewczyn poleciały zepsute warzywa.

— Precz z naszej dzielnicy — krzyczał tłum. — Dość już grzechu na placu Czerwonych Kolumn!

Sahira rzuciła za siebie zrotpaczone spojrzenie. Mężczyźni w czerwonych turbanach wyrzucali przez okna dorobek jej życia: dzieła sztuki, drogocenną zastawę, doskonałe fajki. Wszystko natychmiast rozkradała zebrana tłuszcza. Siwobrody Duzzah stał na tarasie i krzyczał:

— Teraz ten dom, a potem następne! Księga bowiem mówi: „Pobożny mąż po to bierze żony, by z nimi i tylko z nimi zażywać cielesnej rozkoszy”.

— O Najwyższy! Dlaczego nas opuściłeś — zaszlochała jedna z dziwek.

*

Kashim i Nahar rozmawiali aż do wieczornego czytania. Al'Shannagg opowiadał o Nocnych Jastrzębiach, podziemnej kryjówce i ucieczce do Zakazanego Ogrodu. Nie wspomniał jednak słowem o przedmiocie ze szkatułki, wiedźmie Zebari, a przede wszystkim pominął Bestię.

— Czyli wszystko jasne! Pozostało tylko dowiedzieć się, kto wynajął zabójców. Powiedziałaś paszy o tajnej szkole?

— Nie. Powiem mu, gdy mnie wezwie, ale mam wrażenie, że Asimar wie o nich doskonale.

— Co wygadujesz, Kashimie?! Pasza miałby zezwolić na istnienie gildii asasynów?

— To nie są zwykli zabójcy, Naharze. Kogo na razie zabili? Tabo? Muhhamara? Zauważ, że uderzają tylko w stronników Zerakhima. Nocne Jastrzębie to organizacja polityczna, a nie grupa płatnych rzezimieszków.

— Ale dlaczego pasza...

— Bo jest stronnikiem konserwatywnych Duzzahów. Sądzę, że to oni wyszkolili Jastrzębi. Mogą załatwić ich rękoma sprawy, których nie dałoby się prowadzić w świetle dnia z pomocą straży lub nas.

Nahar pokręcił w zakłopotaniu głową.

— To wszystko jest dziwne i zaplątane.

— Najdziwniejsze jest to, że Asimar mnie wypuścił. Widziałem przecież... Widziałem za dużo w tych podziemiach. Nie powinienem żyć.

Nahar wyszczerzył zęby.

— To daje nam dwie możliwości. Albo pasza nie boi się rozpowszechnienia informacji o Jastrzębiach, albo chcą cię zabić tak, by nie rzucać podejrzeń na Asimara. Co innego, gdybyś zginął w więzieniu, a co innego, jeśli zostaniesz zamordowany we własnym domu przez nieznaną sprawców.

Kashim zaklął. Nie pomyślał o tym. Przez najbliższe dni trzeba będzie zachować najwyższą ostrożność.

W tym momencie do ogrodu przyszedł Mullah.

— Paniczu Kashim. W domu czeka goniec z Orlego Fortu, od samego paszy.

— Sęp nie kazał ci czekać długo — powiedział Nahar i sięgnął do miski po ostatni kawałek pieczeni.

— Przynajmniej dowiem się wreszcie kilku rzeczy — odparł Kashim, wstając i dopinając pas.

— Spotkamy się dzisiaj w Amforze?

— Mam inne plany na wieczór.

— Ach tak. Pamiętam. Tylko nie daj się zameczyć tej wygłodniałej lwicy. Jutro o świcie apel.

*

W tym czasie Tel'Halik kończyło wreszcie pierwszy od dawna zwykły dzień pracy. Rzemieślnicy zamykali warsztaty i przystawali przed nimi, by otrzeć pot z czoła i obserwować słońce, które właśnie do połowy skryło się za blankami. Jego ostatnie promienie padały na ulice. Z suków wracali zmęczeni kupcy. Gdzieś w oddali rozbrzmiewały nawoływania i klekot drewnianej kołatki muezina, wzywającego wiernych na piąte czytanie. Niski, zgarbiony Duzzah minął właśnie Pałac Ksiąg. Na plac przed tym rozłożystym budynkiem wysypywali się drobni urzędnicy. Pomiędzy nimi kroczył majestatycznie kadi w płomiennoczerwonym płaszczu, otoczony przez pięciu gwardzistów. Kilka uliczek dalej grupa młodzieńców, którzy właśnie skończyli nauki, siedziała na murku pod świątynną madrasą, prowadząc jakąś zażartą dyskusję. Zerwali się na chwilę z miejsc, gdy budynek opuścił Pierwszy Lektor. Zgięli się w pół przed nobliwym starcem, a on odklonił się nieznacznym ruchem głowy, po czym wsiadł do czekającej już w zaułku lektyki. Gdzie indziej, przy pasterskiej furtce, mały chłopiec wprowadzał do miasta stadko dziesięciu bacharnów. Dzieci biegały wokół, szarpiąc kosmate boki zwierząt. Opiekunka starała się je odgonić, by któreś nie zostało przypadkiem potrącone przez wielkie, ospałe stworzenia. Z kolei nieco wyżej, w leżącej na stromym zboczu dzielnicy Szary Stok, robotnicy tłoczyli się przy studni, by zmyć z siebie brud i ciężki odór gnojówki, na której rosły grzyby hungh. Za nimi ziała czerń szybu — wychodzili z niego właśnie ostatni maruderzy. Gruby, ubrany w jedwabny chałat eunuch trzymał w dłoni tabliczkę oraz rylec i odznaczał imiona tych, którzy opuścili farmę. Za nim szedł mały niewolnik ze szkatułką, z której wydawano od razu skromną dniówkę. Kompleks powoli pustoszał. Tylko w lepiance służącej jako kwatera głównego nadzorcy siedzieli jeszcze goście. Paru ciekawskich chłopaków próbowało zaglądać do środka przez dziury w zasłonach.

Nadzorca miał zamiast zębów nadgniłe, czarne pieńki. Jego oddech cuchnął tak bardzo, że dziewczęta krzywiły się, gdy do nich mówił, choć siedział daleko.

— Wezmę was, ślicznotki — rzekł. — Cztery miedziaki dziennie, praca od wschodu słońca do wieczornego czytania. Jeśli nie macie domu, to dwa miedziaki plus miejsce w baraku i dwa posiłki.

Młode kobiety skinęły ogolonymi głowami. Nadzorca spojrzał na Sahirę.

— Ale ty, starucho, wynoś się. Jesteś już za słaba, żeby dobrze pracować. Na dodatek minie wiele dni, nim zagoi ci się ręka.

— Ale ja jestem... Jestem ich właścicielką.

— Więc niech pracują na ciebie.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho. Sahira patrzyła na twarze swoich niewolnic, lecz one uparcie odwracały wzrok. Wreszcie ta, która nosiła jeszcze na plecach ślady bata, rzekła:

— Nie masz już niewolnic, Sahiro. Nie masz nic.

Nadzorca roześmiał się.

— Pod świątynię, kobieto! Proś Duzzahów o łaskę.

Chwilę potem Sahira szła ciemnymi uliczkami, przyciskając do piersi obolałą rękę. Wylewała gorzkie łzy. Pytała Najwyższego, czemu jej nie zabił, śmierć bowiem złejsza była od losu, który widziała przed sobą.

*

Sługa skłonił się i odszedł, zabierając ubranie i broń Kashima. Nagi wojownik przeszedł po ciepłej kamiennej podłodze i odsunął zasłonę, która wiodła do głównego basenu.

Pomieszczenie tonęło w kłębach pary. W gorącej sadzawce Kashim widział opasłe ciało paszy.

— Witaj, o potężny — rzekł.

Asimar wskazał mu miejsce po przeciwległej stronie baseniku. Kashim zanurzył się po pas w gorącej wodzie i siadł na kamiennym stopniu. Zaprawiona solami ciecz sprawiała, że nawet najmniejsze draśnięcie paliło żywym ogniem.

— Nie krzyw się, Kashimie Al'Shannagg. Woda wyparzy z ran całe plugastwo.

Na ciele wojownika pojawiło się przez ostatnie dni wiele śladów. Miał poharatane drzazgami ramię, liczne zadrapania, a jego lewy bok pokrywał ogromny ciemny siniak. Żebra dawały o sobie znać kłującym bólem przy każdym głębszym oddechu.

— Rad byłbym wiedzieć, dlaczego mnie wezwałeś, paszo — rzekł Kashim.

Asimar sięgnął za siebie po ciężki złoty kielich i pociągnął z niego kilka łyków.

— Wytłumacz mi, co robiłeś w podziemiach. Skąd dowiedziałeś się o Kaan'Baash?

— Dahal Al'Manik przysłał mi list, nim targnął się na swoje życie.

Pasza skrzywił się.

— Zrzucić całą winę na zmarłego. To zgrabne zagranie, żołnierzu. Nie mam powodów, by ci nie wierzyć, lecz jeśli okaże się, że kłamałeś... —

pogroził mu palcem.

— Możesz być pewien, paszo, że to właśnie dzięki Dahalowi trafiłem do Kaan’Baash.

Asimar przetarł spoconą łysinę ręcznikiem i skrzywił się nieznacznie.

— Więc wiesz, panie, o siedzibie zabójców? — spytał Kashim.

— Wiem i toleruję ich. Nie musisz słyszeć nic więcej. Nie wolno ci mówić o Nocnych Jastrzębiach z nikim, jeśli nie chcesz ściągnąć zguby na siebie i swoich przyjaciół. Są tak wściekli za trzy trupy, które padły z twojej winy, że z trudem ich powstrzymuję przed obdarciem cię ze skóry.

— Pozostaję za to wdzięcznym sługą Orlego Fortu.

— Mam nadzieję.

— Czy to już wszystko, panie?

— Nie. Jest jeszcze jedna sprawa — to mówiąc, podał Kashimowi drugi kielich.

Żołnierz upił z niego z obawą.

— Awansuję cię do stopnia kapitana. Dostaniesz własną kompanię.

Kashim zakrztusił się winem.

— Khy... Panie... Czym zasłużyłem na... ten zaszczyt?

Asimar roześmiał się.

— Czy to, że zabiłeś trzech spośród najlepszych szermierzy Ocalonej Krainy, wpadłeś do ich siedziby, a potem uciekłeś żywy, nie jest wystarczającym powodem? Zresztą zważ, o co pytasz, żołnierzu. To moja sprawa, kogo awansuję, i nie muszę się nikomu tłumaczyć. Szczególnie podwładnemu.

— Rozumiem, ale...

— Żadnego „ale”! Jutro na apelu uroczycie pasuję nowych oficerów. Odziej się odświętnie i podziękuj Najwyższemu za zaszczyt. Przygotuj się też do wyjazdu. Pojutrze nie będzie cię już w Tel’Halik.

— Jak to?

— Przestań tyle pytać, na wszystkie demony Marrenvan, bo gotów jestem przemyśleć jeszcze raz sprawę tego awansu! Gdy tylko poznasz swoich ludzi, ruszysz z długą misją na Żelazne Wzgórza. Nie spodziewaj się powrotu do miasta przed upływem miesiąca. Szczegółowe polecenia przyniesie posłaniec.

— Twoja wola jest dla mnie rozkazem — rzekł Kashim ponurym głosem.

— To wszystko.

Żołnierz wyszedł z basenu. Zaraz pojawiła się młoda służka, która

wytarła go miękkim ręcznikiem, patrząc ze wstydem w bok.

— Stoi przed tobą kapitan Świętych Jeźdźców, dziewczyno. — Pasza zarechotał. — Nie wstydz się i otrzyj mu również szablę, bo jeszcze się zaziębi i nie przedłuży szlachetnego rodu.

Kashimowi wcale nie było do śmiechu. Gdy niewolnica odeszła, pokłonił się jeszcze raz.

— Żegnaj, paszo.

— Żegnaj, Kashimie Al'Shannagg. Nie zawiedz mnie, a może wkrótce spotka cię kolejna nagroda.

*

Jelaya czekała, niespokojnie przewracając się w pościeli. Patrzyła co chwila w okno, gdzie jedwabna zasłona powiewała na wietrze. Dziewczyna odczuwała w łonie dziwne mrowienie, łączące w jedno pożądanie i niecierpliwość. Powietrze pachniało różanymi perfumami i korzennym gnany winem.

Serce Jelayi podskoczyło, gdy usłyszała ciche szurnięcie. Chciała podbiec do parapetu i spojrzeć, czy to ukochany stoi pod murem, lecz się powstrzymała. Zamiast tego ułożyła się w pozycji, którą podpatrzyła u posągu nagiej Erhy, stojącego przy ogrodowej sadzawce.

Nie minęła minuta, a cień pojawił się w oknie i zeskoczył lekko na podłogę.

— Wreszcie przyszedłeś, sokole.

— Wszyscy zbrojni w mieście nie zdołaliby mnie zatrzymać.

Jelaya pociągnęła lekko w dół dekolt koszuli. Kashim zajął miejsce naprzeciw łóżka i wpatrywał się w nią gorejącymi oczyma. Na jego piersiach, pomiędzy rozchylonymi połami dżelaby, Jelaya dostrzegła ciemne pręgi zadrapań. — Jesteś ranny...

— Najgłębszą raną były trzy noce spędzone bez ciebie.

Jelaya wyciągnęła smukłe ramię w jego stronę. Kashim wstał z mahoniowego krzesła i zaraz był już przy niej.

Uklęknął na łóżku, a Jelaya odpięła mu pas z ciężką szablą. Ich usta musnęły się. Pierwszy pocałunek był delikatny, ale drugi miał już w sobie żarłoczność dzikich zwierząt. Kashim przesuwał ciepłymi dłońmi wzdłuż jej ud, aż wreszcie dotknął wilgoci. Jelaya tylko jęknęła mu do ucha. Chwilę potem kłębili się wśród jedwabnej pościeli.

— Musimy być cicho, sokole — rzekła dziewczyna.

Kashim nie odpowiedział, zajęty całowaniem jej drobnych piersi. Tej

nocy wziął ją trzy razy, nim zasnęli wreszcie splątani jak dzika winorośl z kamiennym murem.

*

Koszmary zawsze przychodzą nieproszone i niespodziewane. Nie dopadły Kashima Al'Shannagga, gdy spał w więziennej celi i spodziewał się śmierci. Zjawiły się za to, gdy leżał przy ukochanej, w pościeli, która pachniała różami.

Przez następne dni Kashim nieraz usiłował sobie przypomnieć, jak dokładnie przebiegał sen. Niestety, zapamiętał z niego tylko pojedyncze obrazy i dominujące uczucie zagrożenia. Wiedział na pewno, że we śnie był ogień. Płonęło jakieś miasto, jednak niepodobne do Tel'Halik. W ogniu, wśród ciemnych sylwetek na koniach, ginęli dziwni ludzie o jasnej skórze, jakich nigdy nie widział na oczy. Czuł jednak, że są mu bliscy i serce ścisnęło się w jego piersi za każdym razem, gdy któryś padał pod ciosami widmowych jeźdźców.

Z ginącego miasta Kashim trafił w bardziej znajome miejsce — na pustynię, po której krążył długo, wśród bliźniaczo podobnych wydm. Wreszcie trafiał na schody, prowadzące w dół, w mrok. Szedł nimi długo, aż wreszcie znalazł się w wykutych w skale, zapomnianych grotach, gdzie ziemię zalegała warstwa zmurszałych kości. Doznał uczucia niewysłowionego żalu, jakby wszyscy nieżyjący od stuleci ludzie należeli do jego rodziny.

Najgorsza była jednak trzecia część wizji. Grobowiec zniknął i Kashim zobaczył wokół siebie wypaloną, czerwoną równinę. Bezsłoneczne niebo miało rudą barwę, trochę tylko jaśniejszą niż ziemia. Przed Kashimem wznosiło się ogromne, wiekowe drzewo. Było martwe — czarne i poskręcane. Jedynie na kilku gałęziach rosły jeszcze pojedyncze zielone liście. Pod drzewem stała kobieta z zamkniętymi oczyma. Nie mógł określić jej wieku. Jej gładka, choć przeraźliwie blada skóra zdawała się wskazywać na dwadzieścia parę lat, lecz pełen udręki wyraz twarzy przywodził na myśl zmęczoną staruszkę. Włosy kobiety były czarne jak inkaust z Tel'Amman, a sięgały jej do samych kostek.

Twarz o delikatnych rysach zwróciła się w stronę Kashima. Kobieta wyciągnęła rękę i skinęła palcem. Wojownik dostrzegł teraz, że ciało wokół jej paznokci było zielone. Wzdrygnął się, bo rozpoznał początek trupiej zgnilizny i zrozumiał nagle, co znaczyła bladość. Podeszedł jednak do zjawy, przyciągany potężną siłą.

Gdy stanął przed nią, kobieta podniosła powieki. Wojownik poczuł, jak strach paraliżuje go na widok dwóch ziejących czernią krwawych oczodołów. Głos, który przypominał syczenie węża, dobiegł z ust zjawy: „Czas, żebyś zobaczył. Otwórz oczy”. Potem przed Kashimem przeleciały krótkie jak mgnienie oka obrazy przedstawiające bitwy, żołnierzy wbijanych na pal, niewolnice obdzierane ze skóry, dziką orgię wypruwanych jelit i krwawiących strzępów mięsa, które z grubsza tylko przypominały ludzi. Wtedy nadeszło litościwe przebudzenie.

Zlany potem usiadł obok śpiącej Jelayi i długo zastanawiał się, co ten koszmar mógł znaczyć. Jedyne, do czego doszedł, to świadomość, że głos upiora był dokładnie tym, który uratował go przed Bestią z Kaan’Baash.

Rozdział 8. Jeźdźcy zachodu

Suk koło świątyni Al’Hassa wprost kipiał od ludzi. W czasie święta otwartych było tylko kilka straganów, lecz teraz sklepikarze wrócili, by nadrobić siedmiodniowe zaległości. Przekrzykiwali się głośno i oferowali wszelkiego rodzaju żywność: od pszennych placków po bardzo drogie ryby i melony z Tel’Amman lub przyprawy korzenne ze wschodnich oaz. Tu i ówdzie można było wypatrzeć mężczyzn, którzy zaczepiali kupujących i oferowali im różne inne rzeczy, niesione w małych zawiniątkach. Szczególnie często były to kindżały czy szable, bo podatek w suku zbrojnym był dziesięciokrotnie wyższy niż w warzywnym. Ci nielegalni kupcy rozglądali się na boki bojaźliwym wzrokiem, by odpowiednio wcześniej wypatrzeć wśród ludzi zwalistą sylwetkę odzianego w granatową chilę muhtasiba, opiekuna suku, który przechadzał się majestatycznie pomiędzy kramami i sprawdzał, czy wszystko biegnie właściwym torem.

Tłok byłby zapewne niezłą gratką dla złodziei, lecz większość odstraszyły nowe prawa, które od rana rozgłaszali żołnierze paszy. By uniknąć chaosu, do czasu wybrania nowego proroka zaostrożono kary. Za kradzież obcinano już nie jedną, lecz obie dłonie.

Na obrzeżach placu spotkało się przypadkiem dwóch przyjaciół: hodowca bydła Taliz oraz kupiec Kadar. Usiedli pod małym płóciennym daszkiem tuż przy straganie Kadara, by wymienić najnowsze plotki.

— Słyszałeś o nowych ukazach paszy? — spytał Taliz.

— Tak, i są one znakiem wielkiej mądrości.

— Niech cię sępy zeżrą, Kadarze. Naprawdę sądzisz, że wyłupienie oczu za oszukiwanie na wadze to kara sprawiedliwa?

— Jeszcze wczoraj powiedziałbym, że nie. Lecz w nocy zdarzyło się coś, co odmieniło moje zdanie.

— Mów, na Najwyższego. Pękam z ciekawości.

— Wyobraź sobie, że wracałem właśnie późną porą do domu. Szedłem ciemnymi zaułkami Szarego Stoku wprost z uroczystości obrzezania bratanka. Nagle, gdy byłem na uliczce Trzech Saurów, usłyszałem czyjeś krzyki i odgłosy wielu stóp. Skryłem się w cieniu, by przeczekać zamieszanie. Patrzę, a tu z bocznej... Hej! Precz z łapami, mały złodziejaszku! Zostaw te jabłka, bo inaczej, Najwyższy mi świadkiem,

zawlokę cię za zawszoną koszulę do muhtasiba!

Gdy brudny dzieciak odszedł od kramu na bezpieczną odległość, Kadar podjął opowieść:

— Patrę, a tu z bocznej uliczki wypada mężczyzna. Ubrany dobrze, lecz prosto; mógł być sługą kogoś możnego. Za nim pędzi dwóch zbirów w czarnych płaszczach i turbanach. Mieli w rękach taaaaakie wielkie noże. Dopadli biedaka na samym środku ulicy i rozsiekli prawie na kawałki. Z jego pociętej torby wypadło kilka zwojów. I wiesz, co jest najgorsze, Talizie? Nawet go nie ograbili! Po prostu zostawili go w kałuży błota na pastwę dzikich psów. Wyobrażasz to sobie? Co za czasy! Mordują na ulicach już nawet nie dla zysku.

— Może honorową sprawę do niego mieli...

— Gdzie tam. Nie widzi mi się.

— To jak niby? Zarabali go dla przyjemności?

— Może być, Talizie. Powiadam ci, straszne rzeczy wyprawiają ludzie, gdy zabrakło proroka.

— I dlatego cieszy cię nowy ukaz paszy?

— Na cnotę mej matki — tak! Może ukróci samowolę...

— Niech Najwyższy pomoże.

— Ej ty! Tak! Do ciebie mówię, mały! Chcesz stracić swoje złodziejskie rączki? Sio! Wynocha, bo odstraszasz klientów!

W tym momencie Kadar spostrzegł, że do jego kramu zbliżyło się trzech postawnych mężczyzn. Mieli na sobie białe chałaty i czerwone turbany. W rękach trzymali pałki. Taliz dyskretnie usunął się od straganu, by nie łączono go w żaden sposób z przyjacielem.

— Czego sobie życzycie, panowie? — spytał Kadar. — Wyśmienite, świeże oliwki! Najśłodsze owoce!

— Z rozkazu Duzzaha Vezamara i na mocy danej nam przez paszę sprawdzamy miary. Pokaż wszystkie odważniki, kupcze.

Kadar zbladł. Z trudem przełknął ślinę przez ściśnięte strachem gardło. W myślach przeklinał swoją chciwość, za którą pewnie przyjdzie mu słono zapłacić.

*

Po południu Rozbita Amfora przeżyła najazd żołnierzy. Całe wnętrze zostało zajęte przez zbrojnych. Stoliki zestawiono w długie rzędy, a z piwniczek wytoczono beczki trunków, które dopiero co przywiózł Alim. Okazja była niebagatelna — świeżo mianowani oficerowie przyszli prosto z

fortu fetować awans.

Kashim zaprosił wszystkich znajomych gwardzistów. Było to bez mała dwadzieścia osób, więc w grę wchodził niebagatelny koszt. Nie wypadało jednak oszczędzać. Jako dowódca oddziału Świętych Jeźdźców miał bowiem pobierać podwójny żołd. Zresztą pasza do każdego awansu łaskawie dodał mieszek z dziesięcioma złotymi centimami.

Przyjaciele siedzieli wokół Al'Shannagga i spełniali kolejne toasty za jego zdrowie oraz powodzenie. Kapitan odpowiadał, wznosząc puchar, jednak myślami był gdzieś daleko. Rozwagał listę awansowanych osób. Oprócz niego byli na niej głównie ludzie wierni ortodoksyjnym duchownym lub spokrewnieni z nimi. To akurat nie zaskoczyło Kashima, lecz zastanawiał fakt, że pasza mianował też kilka person co najmniej podejrzanych. Jeźdźcy Mas'Makaz, Al'Amath i Al'Samib zaczęli służbę ledwie dwa miesiące temu. Nie pochodzili z możliwych rodów, nie brali nigdy udziału w walce, a jednak powierzono im odpowiedzialną rolę dowódców.

— Teraz, przyjacielu, możesz śmiało pójść do Iznaka — rzekł Nahar, który siedział po prawicy Kashima. — Sęp z pewnością odda Jelayę oficerowi Jeźdźców.

— Wierz mi, Naharze, że bardzo bym chciał. Jutro jednak muszę opuścić Tel'Halik.

Siedzący obok żołnierze umilkli, gdy usłyszeli te słowa.

— Opuścić miasto?! Dlaczego?

— Pasza wyznaczył mi pierwsze zadanie.

— Przecież nie masz nawet oddziału!

— Poznam swoich ludzi jutro i od razu wyjedziemy na pustkowia.

Nahar uderzył ręką w stół.

— Na tysiąc skorpionów! Czyli Asimar musiał zdecydować, kto będzie pod tobą służył, jeszcze przed awansem. Wielka szkoda!

— Dlaczego?

— Zaraz po uroczystości poszedłem razem z kilkoma innymi chłopakami do dowódcy garnizonu i złożyliśmy prośbę o włączenie do twojej kompanii.

Kashim uśmiechnął się gorzko.

— Jestem człowiekiem, koło którego niebezpiecznie przebywać. Mam przecucie, że śmierć kroczy tuż za moimi plecami. Nie chcielibyście ode mną służyć.

— Przestań! Nie myślisz chyba, że wierzymy w jakieś fatum wiszące ci nad głową!

Żołnierze zaśmiali się gromko.

— Poza tym — dodał Nahar — twój ojciec był świetnym oficerem. Spodziewamy się, że nie będziesz gorszy. Może pasza rozważy jeszcze naszą prośbę...

Kashim westchnął i rzekł:

— Nie sądzę. Szczególnie ciebie, Naharze, Asimar będzie chciał ode mnie oddzielić.

— Chodzi o sprawę Muhhamara? Przecież...

— Nie pytaj o to. Są rzeczy, których nie wiesz i nie będziesz wiedzieć.

Nahar skrzywił się.

— Masz przede mną tajemnice?

— Nie tylko przed tobą. Przed wszystkimi swoimi żołnierzami również. Dlatego powtarzam jeszcze raz: nie jestem oficerem, pod którym chcielibyście służyć.

Kashim miał jeszcze jeden ważny powód, lecz nie mógł go wyjawić. Chodziło o sen z ubiegłej nocy. Al'Shannagg przeczuwał, że wszyscy, którzy pójdą za nim, zginą.

Za nic nie wzięłby pod komendę Nahara.

*

Ręka Muddy drgnęła i zawisła w bezruchu nad kartą papieru, a kalam z trzciny, ścięty skośnie zgodnie ze znaną szkołą kaligrafa Al'Banu, uronił małą kroplę inkaustu. Duzzah Kar'Shin, który siedział tuż obok, spostrzegł to zawahanie.

— O co chodzi, młodzieńcze? — spytał. — Jesteś zmęczony? Mogę wezwać kogoś innego, by skończył przepisywanie.

— Czuję się dobrze, o najmądrzejszy. Zdziwiła mnie treść dokumentu.

— Masz go kopiować, a nie rozmyślać o nim.

— Wybacz śmiałość, panie, lecz te ukazy...

— Tak?

— Czterech na pięciu mieszkańców Świętego Miasta jest według nich grzesznikami!

Kar'Shin zmarszczył czoło.

— Bo tak jest w istocie. Tel'Halik żyło ignorując słowa Księgi. Czas to naprawić.

— Ale kary, które...

Duzzah przerwał mu gniewnym spojrzeniem.

— Młody skrybo! Podawanie w wątpliwość mądrości starszych jest od

dziś również grzechem. Nie popełniaj go. Kary są adekwatne do win i zgodne z literą Księgi.

Mudda spojrział jeszcze raz na kartę. Zadrzał, gdy wyobraził sobie, jak mogą wyglądać spisane na niej kaźnie. Kar'Shin wstał i kontynuował wywód:

— Jeśli będę musiał wyłupić oczy połowie mieszkańców miasta — zrobię to! Jeśli będę musiał każdej niewieście wypalić żelazem łono — zrobię to, na Boga! To pokolenie, młody skrybo, będzie cierpieć i złorzeczyć. Jednakże następne wychowają się już w całkowitym posłuszeństwie wobec Księgi. Tel'Halik musi się oczyścić, choćby w strugach krwi.

*

Kapitan Al'Shannagg szedł wzdłuż rzędu stojących na bacność Jeźdźców, przyglądając się każdemu z wielką uwagą. Był wczesny ranek, a nad miastem wisała jeszcze mgła. Plac Orlego Fortu był pusty, jeśli nie liczyć Kashima i jego ośmiu żołnierzy.

Ludzie, których wyznaczył mu pasza Asimar, stanowili dziwną zbieraninę. Pierwszy był ponury olbrzym Zanar Masl'Dadruk, o głowę wyższy od dowódcy i niemal tyle samo szerszy w barach. Twarz miał pokrytą bliznami, a u boku zwisała mu broń wykonana na specjalnie zamówienie — wielki jatagan, którym nawet Kashim nie umiałby walczyć ze względu na ciężar.

Zanar nie był obcy Al'Shannaggowi. Zasłynął zarówno tym, że potrafił obalić dorosłego bacharna, jak również swoją niesubordynacją i skłonnością do bijatyk. Nie dalej jak trzy dni temu połamał dwóch pałacowych gwardzistów za to, że śmiali się z jego broni. Gdyby Zanar nie pochodził ze starego, zasłużonego rodu, już dawno wbito by go na pal.

Dokładnie to samo można było powiedzieć o Dahro Al'Serimie. Ten blady, niewysoki młodzieniec, który nie miał jeszcze na twarzy męskiego zarostu, zasłynął licznymi zuchwałościami i bezceństwami. Kradł, oszukiwał, a poza tym uwiódł niejedną dziewczynę z dobrego rodu, tylko po to, by ją zaraz porzucić. Jego życie stało więc w jaskrawej sprzeczności z Księgą i jedynie jego wuj Tehmar Al'Serim, głowa Pałacu Sprawiedliwych, ratował mu skórę. Dahro miał silny dar, lecz wykorzystywał go głównie do omamiania ludzi. Na plecach nosił mocną kuszę, choć Jeźdźcy wyraźnie preferowali łuki i traktowali taką broń pogardliwie, zostawiając ją pospolitemu żołdactwu.

Trzeci żołnierz nie popełnił czynów tak odrażających, jak Dahro, lecz w

oczach Duzzahów jego przestępstwa były cięższe. Harum Mel'Damak był poetą, a jego utwory dzieliły się na gorszące, heretyckie i bluźniercze. Harum był niewiele starszy od Dahro — niewielkiej postury, o delikatnych rysach twarzy i starannie wypielęgnowanym zaroście. Miał maniery dworzanina. Kashim wiedział jednak, że posługuje się szablą z zabójczą prędkością. Od obdarcia ze skóry chroniła Mel'Damaka matka, ponoć kochanica któregoś z potężniejszych Duzzahów. Harum przywodził Kashimowi na myśl Nahara. Był tak samo radosny, niechlujnie uczesany, jak również nieświadomy zła, które wokół się czai.

Czwarty w szeregu stał Fadl Al'Ruth. Solidny żołnierz, którego grzechem było nadmierne zamiłowanie do trunków. W pijackim szale zarąbał niedawno towarzysza broni. Pałac Sprawiedliwych uniewinnił go, ponieważ rodzina dowiodła, że działał pod wpływem złego uroku. Twarz Fadla była blada i wychudzona, ostatnie cztery miesiące spędził bowiem w celi. Wypuszczono go tuż po Świącie Wstąpienia.

Muin Makhar'Sawi, który stał obok Fadla, różnił się znacznie od poprzedników. Tamci grzeszyli i tylko rodzina wybawiała ich z opresji, a Muin był zupełnie niewinny, lecz pogrążyła go przeszłość ojca. Stary Hali, zaprzysięgły musalita, został skazany za herezję i uduszony publicznie pół roku temu. Nie pomogło mu nawet wstawiennictwo proroka Zerakhima, który namawiał kadiego do łaski, bo był pod wielkim wrażeniem *Kitab fi ma'rifat al-hiyal al-handasiyya* — księgi o wynalazkach technicznych, którą Hali Makhar'Sawi napisał w pięknym, archaicznym narzeczu Tel'Halik.

Muinowi długo próbowano udowodnić udział w przestępstwach ojca, zdołał się jednak wybronić. Mimo to przełożeni w Orlim Forcie patrzyli na niego podejrzliwie.

Muin nosił na plecach mocny łuk, z którego strzelał wyśmienicie. Kashim pamiętał, że młodzieniec wygrał zawody urządzone rok temu z okazji urodzin paszy. Przebił melon z dwustu stóp, co wprawilo w osłupienie wszystkich zebranych.

Szósty stał w szeregu Naur Bak'Sannam, ciemnoskóry i niski mężczyzna, który wywodził się z Żelaznych Wzgórz. Sam jego strój był już złamaniem reguł Jeźdźców. Na pancerz miał narzucony ured — góralski płaszcz z wilczej skóry, na ramionach ozdobiony wyprawionymi głowami tych zwierząt. Przy pasie zwisał mu ciężki ghank. Nie nosił brody, a na twarzy miał wypalone piętno niewolników. Ponoć rodzinna jurta sprzedała go, gdy zaraza uśmierciła całe stado. Od tego czasu Naur służył jako ochroniarz

pewnego kupca. Gdy uratował mu życie, został w nagrodę wyzwolony i przystąpił do Jeźdźców. Przyjęto go, bo zdał doskonale sprawdziany, lecz oficerowie mu nie ufali, sprzyjał bowiem buntowniczym góralom i nie kochał Świętego Miasta.

Kashim cieszył się z obecności Naura w oddziale. Mógł okazać się bardzo przydatny tam, dokąd zmierzali, bo znał prawie każde narzecze Żelaznych Wzgórz.

Przedostatnim członkiem grupy był Shamiraj Al’Karam. Wyróżniała go długa prawie do pasa broda i pobrudzona chila, właściwa Duzzahom z Pałacu Ksiąg, którą wkładał na zbroję. Shamiraj był niegdyś Duzzahem, ale porzucił służbę z własnej woli, nie podając żadnego powodu. Było to oczywiście bardzo podejrzane. Krążyły plotki, że Shamiraj przestał wierzyć Księdze, dlatego Święci Jeźdźcy, do których przystał, patrzyli na niego niechętnie. Tolerowano go tylko dlatego, że potrafił opowiadać wspaniałe historie i baśnie, a na dodatek był doświadczonym medykiem, znającym każdy rodzaj ran.

Ósmy żołnierz, który stał na samym końcu szeregu, był dla Kashima wielką niewiadomą. Kapitan znał tylko jego imię — Aahiz Makhar’Sahr. Nie widział nigdy tego długowłosego, wysokiego i bardzo szczupłego wojownika. Nie wiedział, jaką pełnił uprzednio służbę, co znaczyło, że mógł wykonywać dla paszy tajne zadania. Widać nie wywiązywał się z nich wystarczająco dobrze.

Kashim stanął naprzeciw szeregu i spojrzał jeszcze raz na podwładnych. Osobliwa to była kompania. Wszystkich jego ludzi Duzzahowie widzieliby chętnie tak daleko od Tel’Halik, jak to tylko możliwe.

— Wy już znacie mnie, a ja znam was. Nie będziemy zatem marnować czasu — rzeki Kashim. — Musicie wiedzieć, że jestem wyrozumiały i potrafię przymknąć oko na uchybienia w regulaminie — to mówiąc, spojrzał na Naura — jak również w sprawach religii — tu z kolei zawiesił wzrok na Shamiraju. — Jednego wszakże wymagam bezwzględnie: posłuszeństwa. Moje rozkazy mają być wykonywane natychmiast, choćby wydawały się wam szalone. W zamian możecie być pewni, że w walce stać będę w pierwszym szeregu i zrobię wszystko, byśmy powracali w dziewięciu z nawet najbardziej niebezpiecznych wypraw. Rozumiemy się?

— Tak — odpowiedzieli wszyscy, z wyjątkiem Zanara.

— Rozumiemy się? — powtórzył z naciskiem Kashim, podchodząc do olbrzyma.

— Tak, panie kapitanie.

— Dobrze. Teraz kolejna sprawa: dziś w południe wyruszamy. Macie trzy godziny na załatwienie prywatnych spraw.

— Dokąd jedziemy? — spytał niepewnie Dahro.

— Na sam koniec Żelaznych Wzgórz. Na dziką, zachodnią granicę Ocalonej Krainy. Mamy patrolować ją przez dwadzieścia dni, szukając rabusiów i buntowników.

Żołnierze zaszemrali. Tylko Naur wyszczerzył zęby.

— To już wszystko — rzekł Kashim. — Pamiętajcie! Trzy godziny i ani chwili dłużej. Kto się spóźni, zostanie pusty plac, a ja zgłoszę paszy dezercję. Wiecie, czym jest to karane według nowych edyktów?

Muin wzdrygnął się.

— Tak, kapitanie.

— Doskonale. W stajniach fortu udajcie się do Eupara. To mój znajomy, wyda wam najlepsze i najsilniejsze saury. Tam, dokąd jedziemy, byle jakie zwierzęta nie przeżyją długo. Rozejść się!

Gdy wszyscy żołnierze opuścili plac, Kashim pogrążył się w myślach. Wczoraj był u Jelayi i spędził kolejną cudowną noc. Przy rozstaniu obiecywali sobie wierność, lecz Al'Shannagg i tak czuł wielki ciężar na myśl o miesiącu rozłąki. Tym bardziej, że pasza wyznaczył im zadanie niebezpieczne i trudne.

*

W zadymionej jurcie pachniało tłuszczem, który wypełniał kaganki. Kilkunastu mężczyzn zebrało się wokół paleniska. Większość była siwa, mieli rozczochrane włosy oraz brudne pikowane, sięgające do kolan ubrania. Nieco ciemniejsza skóra, bardziej wydłużone oczy i dokładnie zgolony zarost odróżniały ich od ludzi równin. Popijali z glinianych czarek kumys i sprzeczali się w dziwnym narzeczu. W jurcie nie było żadnej kobiety. Surowe, niepisane prawo zabraniało im słuchać narad Czendów.

— Zima zabiła mi wiele zwierząt — mówił właśnie pomarszczony mężczyzna. — Moja jurta nie da więcej niż trzy bacharny.

— Gangush'Kiku! Każdy z nas ucierpiał równo — odparł mu zasuszony staruszek. — Jeśli nie dostarczysz umówionej liczby zwierząt, kto pociągnie wozy ze stalą do pustynnego miasta?

— Twoje żony, a może twoi synowie? — dodał inny mężczyzna, śmiejąc się.

— Ale jeśli bacharny nie wrócą, czeka nas głód! Mój ród nie zbierze

wystarczająco dużo suszonego mięsa, by przetrwać zimę.

— Więc będziecie jeść dzikie zwierzęta i korzenie! — krzyknął wysoki góral, który siedział po drugiej stronie jurty. — Wy, Degowie z niskich gór, jesteście zbyt delikatni. Moja jurta przetrwała cały rok bez żadnych zapasów, gdy padły nam stada. Karmiła nas natura.

— Przetrwaliście, bo zabijacie chorych i starców! Porządny Deg nigdy nie pójdzie za waszym przykładem!

— O czym w ogóle mówimy, Gangush’Kiku! Daj zwierzęta, bo wszystkie jurty zbiorą się, by cię ukarać.

— Spróbujcie tylko, szakale! Mam dziewiętnastu synów, a każdy z nich to wielki wojownik. W Wąwozie Żałobnej Pieśni możemy bronić się nawet przed armią pustynnego miasta.

— Jeśli sprzeciwisz się postanowieniu rady, twoja jurta spłonie, a twój ród zginie, głupcze!

Po tych słowach wybuchło straszne zamieszanie. Kilku Czendów wstało i zaczęło przekrzykiwać się nawzajem. Wygrazali przy tym pięściami i rzucali najgorsze przekleństwa. Przerwał to młodzieniec, który do tej pory siedział w cieniu, daleko od paleniska. Wzrostem prawie dorównywał mieszkańcom Tel’Halik, co czyniło go wysokim jak na Dega. Miał drobny nos i szlachetny profil. Wstał, położył dłoń na rękojęści ghanka i krzyknął donośnym głosem:

— Milczcie, głupcy!

Pozostali Czendowie spojrzeli na młodzieńca zdziwieni jego zuchwałością.

— Za pięć parszywych zwierzaków chcecie przelewać własną krew? Jesteście gorsi od mieszkańców pustynnego miasta!

— Tenzihu, zamilknij, zanim obrazisz... — rzekł jeden ze starców.

— Nie zamilknę, na Najwyższego. Gangush’Kik nie ma czym zapłacić, więc nie powinien płacić. Podobnie my! Wyślijmy w tym roku do Tel’Halik tylko połowę należnej stali. Pasza ma wiele spraw na głowie teraz, gdy brak proroka. Nie użyje armii, bo walczy z wewnętrznymi wrogami, a poza tym potrzebuje wielu żołnierzy, by wprowadzić ostrzejsze prawa.

— Ludzie z Tel’Halik nieraz pokazali, że nie znoszą niesubordynacji. Możesz się mylić, Tenzihu.

— Nie myślę się. Ludzie równin wyruszyliby nas ukarać, gdybyśmy wstrzymali trybut całkiem. Jednak zmniejszenie transportu nie będzie wystarczającym powodem. A w razie czego możemy się bronić! Pokażemy, że ludzie gór nie są tchórzami. Będą musieli się wycofać, gdy zadamy im

ciężkie straty.

Zapadło milczenie. Starcy odwracali wzrok od młodego Czendy.

— Tenzihu! — rzekł wreszcie jeden z nich. — Nie widziałeś rzezi pod murami Świętego Miasta ani kar, jakie spadły na nas po buncie. Gdybyś pamiętał to wszystko, byłbyś mniej pochopny w osądzaniu naszej odwagi.

— Wtedy zgubiła was zbytńia pewność! Gdybyście nie ruszyli pod Tel’Halik, wojna skończyłaby się inaczej.

— Nie posuwaj się za daleko, młodzieńcze...

— Na Jedynego! Od tego czasu dorosło wam nowe pokolenie nieustraszonych wojów! Nie kaźcie im gnić w jurtach, doić kobyły i niańczyć dzieci. Degowie odzyskali siłę i mogą przeciwstawić się ludziom pustyni! W górach zdołamy bronić się w nieskończoność, a...

Starzec przerwał mu machnięciem ręki.

— Widzę, że słowa mądrości nie trafiają do ciebie, Tenzihu Bakh’Dezi. Zatem zrobimy wedle twojej woli. Rada zagłosuje. Czy podporządkujesz się jej decyzji, niezależnie od tego, czy będzie dla ciebie pomyślna?

Młody Czenda przebiegł wzrokiem po zebranych w jurcie. Liczył młode i stare twarze.

— Tak — odparł.

— Zatem każdy, kto sądzi, że Degowie powinni posłać tylko pół należnego ludziom równin trybutu, niech podniesie rękę.

Jedenastu mężów wzniosło prawice.

— Kto jest przeciwny?

Pomysłu Tenzihana nie poparło dwudziestu pięciu Czendów. —

Będziecie tego żałować, tchórze — wydusił z siebie młodzieniec, po czym przedarł się w stronę wyjścia, roztrącając siedzących. Chwilę potem usłyszeli tętent kopyt jego konia.

— Ach, odziedziczył porywczosć po ojcu — rzekł starzec, kręcąc głową.

— Wróćmy teraz do sprawy brakujących zwierząt...

*

Kashim był na dziedzińcu przed czasem. Ponieważ akurat odbywała się musztra, schował się w cieniu arkad, gładził po karku saura i oglądał ćwiczących rekrutów. W pewnym momencie przeniósł wzrok na sylwetkę żołnierza, który wbiegł właśnie przez główną bramę i stał, rozglądając się uważnie. Kapitan poznał Nahara. Wyszedł z cienia i machnął mu dłonią. Al’Iarnak ruszył szybko w jego stronę.

— Chciałeś odjechać bez pożegnania — powiedział, gdy znalazł się koło

Al'Shannagga.

— Żegnaliśmy się wczoraj. Może byłeś zbyt pijany, by pamiętać — roześmiał się Kashim.

— A może to tobie wydawało się w pijackim majaku, że mnie ściskasz — zripostował Nahar.

— Gorąco tu. Chodźmy do cienia.

Usiedli na kamiennej ławie, opierając się o mur.

— Mam do ciebie wielką prośbę, Kashimie.

— Tak?

— Wiem, dokąd jedziesz. Dowiedziałem się od Hanhakha. Chciałem, żebyś zrobił coś dla mojego rodu, gdy znajdziesz się w Żelaznych Wzgórzach.

Kashim odparł:

— Jaką to sprawę mają Al'Iarnakowie na tych dzikich ziemiach?

— Chodzi o mojego siostrzeńca, Asamila. On również służył w Jeźdźcach i ponad miesiąc temu wyruszył z misją na Czerwone Pustkowia.

Kashim gwizdnął.

— Tak daleko? Nie słyszałem, by kogoś tam wysyłano...

— Nie słyszałeś, bo zadanie było tajne. Zlecone przez pałac, ponoć nawet przez samego Zerakhima. Jego oddział miał chronić Pierwszego Kartografa w trakcie pracy na tych przeklętych pustkowiach.

— Chodzi o Tarakana Al'Marana?

— Tak. Właśnie o niego. Problem w tym, że oddział nie wrócił jeszcze, choć dawno powinien znaleźć się w Tel'Halik. Rodzina bardzo martwi się o Asamila. Wiem, że zbaczanie z trasy, by załatwić prywatne sprawy, to ciężkie wykroczenie, ale proszę tylko, byś popytał górali o Tarakana i jego ludzi. Muszę znać ich los. Mój ród wynagrodzi...

— Nie potrzebuję nagrody, przyjacielu. Zrobię to. W zamian ty zrobisz coś dla mnie.

— Co masz na myśli?

— Zaopiekujesz się Jelayą. Zadbasz, by Iznak nie wydał jej za mąż pod moją nieobecność.

— Oczywiście, Kashimie. Masz moje słowo.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Na dziedziniec zaczęli przychodzić ludzie z oddziału Al'Shannagga.

— Zbieracie się już? — spytał Nahar.

Kashim skinął głową.

— Uważaj na swoich Jeźdźców. Niektórzy to nieźli zbóje.

— Bez obaw. Poradzę sobie.

Wymienili pożegnalne uściski i Nahar odszedł. Gdy był już na dziedzińcu, odwrócił się jeszcze i krzyknął:

— Niech Najwyższy kieruje twoimi krokami!

— Życzę ci tego samego, przyjacielu!

*

Godzinę później Jeźdźcy zatrzymali saury na szczycie wydmy, by spojrzeć po raz ostatni na mury Tel'Halik. Wiatr rozwiewał ich płaszcze, a twarze musieli zakryć chustami, chroniąc nozdrza przed piaskiem. Zwierzęta, pełne sił po długim pobycie w stajniach, rwały się do dalszego biegu.

— W drogę! — krzyknął Kashim. — Nie ma co się patrzeć. Miasto będzie tu jeszcze stało, gdy wrócimy.

Żołnierze zjechali w dół zbocza. Do Kashima zbliżył się Muin.

— Kapitanie.

— Tak?

— Dlaczego kierujemy się na północny wschód, zamiast prosto w stronę Żelaznych Wzgórz?

— Mam coś do zrobienia. Dziś zanocujemy w oazie Hazmud, a dopiero jutro wjedziemy na szlak. Nie nadłożymy wiele drogi.

— Widzę, że kapitan nie jest zbyt przywiązany do regulaminu Jeźdźców — zakpił Dahro, który jechał obok.

— Rzeczywiście, nie jestem. I dziękuj za to Najwyższemu, bo inaczej powiesiłbym cię na najbliższej gałęzi.

Jeźdźcy roześmiali się. Przed nimi widniało morze piaskowych wydm, pozbawione jakiegokolwiek życia. Nastrój jednak dopisywał im wyjątkowo, jakby opuszczając Tel'Halik, zostawili za sobą wszystkie zmartwienia.

*

Jednej tylko rzeczy Mudda nienawidził wśród swoich obowiązków. Było to asystowanie przy egzekucjach. Młody kapłan pisał szybko i był doskonałym kaligrafem, więc Pałac Sprawiedliwych wyznaczał go często do sporządzania protokołów z wykonania kar. Zazwyczaj chodziło o biczowanie, obcięcie ręki lub wyłupienie oka. Dzisiaj jednak wezwano Mudę, żeby spisał sprawozdanie z nawleczenia na pal Duzzaha Dazmareda.

Młodzieniec wiedział, że będzie to widok, jakiego wolałby nigdy nie oglądać. Nie zjadł od rana żadnego posiłku, bojąc się, że w trakcie kaźni zwymiotuje na sądową księgę. Teraz siedział na dywaniku i zapisywał słowa

sędziego, który czytał wyrok. Starał się nie patrzeć przy tym na Dazmareda. Skazaniec leżał na piasku z rozkraczonymi nogami, przywiązany do drewnianych kołków. Nieopodal leżał zaostrowany pal, do którego zaprzęgnięto dwa krzepkie bacharny. Dazmared krzyczał, płakał i złorzeczył, lecz Duzzah Yamzir czytał spokojnie:

— Rozpatrzywszy wszystkie dowody, jakie jej przedstawiono, i przesłuchawszy wszystkich świadków, ława sprawiedliwych pod światłym przewodnictwem kadięgo Himry Al'Dzahiz zdecydowała co następuje: Dazmared Al'Quizar jest winny herezji, oddawania czci demonom, sprofanowania Księgi i rzucania uroków na Duzzahów Yholeda i Vezamara. Za wszystkie te ciężkie przewinienia ława zdecydowała, w imię praw objawionych przez Najwyższego, pozbawić Dazmareda Al'Quizara godności kapłańskiej i zadać mu śmierć przez nawleczenie na pal. Wyrok jest prawny na mocy hisby, której udzielił ławie książe wiernych, pasza Asimar. Czy oskarżony ma coś do dodania?

— Vezamar i Yholed to synowie demonów, którym służycie ze strachu! Nie mają prawa władać miastem. Najwyższy ukarze was...

— Dość. Wykonać wyrok.

Dazmared zawył jak dzikie zwierzę. Muddzie zadrżały ręce i rozmazał kilka ostatnich liter.

— Dalej! — ponaglił Yamzir.

Poganiacz smagnął kosmate karki zwierząt. Bacharny ruszyły powoli. Z miejskich murów wszystkiemu przyglądali się ciekawscy strażnicy. Koniec pala dotknął już krocza Dazmareda. Ten krzyknął przeraźliwie. Ostrze chwilę wgniało tylko skórę, aż wreszcie przebiło się przez nią i zaczęło torować sobie drogę w głąb trzewi mężczyzny przez powiększający się szybko otwór. Ciałem Dazmareda wstrząsnął straszliwy spazm, a jego wycie odbiło się od miejskich murów. Na piasek trysnęła krew, mieszając się z kałem, Duzzah bowiem wypróżnił się w niekontrolowany sposób. Mudda wlepił wzrok w księgę i nie podnosił go, słysząc ryki skazańca.

Najwyższy nie sprzyjał Dazmaredowi. Ostrze, rozszarpawszy mu jelita, zaklinowało się pomiędzy zębami. Stracił przytomność dopiero po dłuższej chwili. Strażnicy podnieśli pal i okopali go w głębokim dole.

— Już po wszystkim, Muddo. Zanieś księgę do Pałacu — rzekł Yamzir.

Młody kapłan wstał, otrzepał z piasku swój dywanik i rzucił jeszcze jedno spojrzenie na pal, który stał już pionowo. Krew zmieszana ze smrodliwą breją, wypływającą z poprzębionych jelit, ściekała leniwie po

drewnie. Nagi mężczyzna wisiał krzywo, z kilkoma żebrami uwypuklonymi przez wciskające się pomiędzy nie ostrze. Mudda w krótkiej modlitwie prosił Jedyneho, by Dazmared nie odzyskał świadomości, nim serce przestanie mu bić.

*

Oaza Hazmud była zamieszкана przez garstkę ludzi. Leżała o niecały dzień drogi od miasta — za blisko, by podróżnicy zechcieli ją odwiedzać. Zresztą i tak nie znajdowała się na żadnym handlowym szlaku, a małe oczko wodne, które w gorącej porze miało zaledwie pięć stóp głębokości i kilkanaście stóp średnicy, nie pozwalało na prowadzenie tu upraw.

Wokół jeziora stał duży parterowy dom, kilka lepierek oraz zagroda z bacharnami. Gdy Jeźdźcy zjechali do oazy, z domu wyszedł stary mężczyzna, wspierając się na lasce. Obok niego stanęło dwóch silnych młodzieńców z kuszami.

— Cóż sprowadza w me skromne progi oddział Świętych Jeźdźców? — spytał starzec.

Kashim Al'Shannagg zeskoczył z saura i zdjął z twarzy zapyloną chustę.

— Witaj, Celbalu — rzekł. — Widzę, że Najwyższy wciąż błogosławi ci dobrym zdrowiem.

— Panicz Kashim! Chwała Jedynemu!

Wyrostki opuściły broń. Kashim i Celbal padli sobie w ramiona.

— Ta laska służy chyba stworzeniu pozorów. Jesteś silny jak bacharn, draniu.

— O nie, paniczu. Zestarzałem się już. Widzę, że pasza wreszcie docenił panicza waleczność.

— Tak, Celbalu. Jestem od wczoraj kapitanem. Mam nadzieję, że zdołam przywrócić rodowi choć część dawnej świetności.

— Proszę pamiętać, paniczu Kashim, że choć wolny, wciąż pozostaję wiernym sługą Al'Shannaggów.

— Cieszy mnie to przyjacielu, tym bardziej, że przybyłem prosić o przysługę. Porozmawiamy jednak o tym w cieniu drzew.

To mówiąc, kapitan odwrócił się do ludzi, którzy wciąż siedzieli na wierzchowcach i podejrzliwie rozglądali się na boki.

— Złaźcie z saurów, chyba że tyłki wam do nich przyrosły. Jesteście wśród przyjaciół, więc nie ma się czego obawiać. Spędzimy tutaj noc.

Celbal zawołał córki, by przyniosły żołnierzom zimnej wody, po czym zaprosił gościa do środka, by porozmawiać o starych czasach. Znali się

dobrze, Celbal bowiem wychowywał małego Kashima, gdy jego ojciec i brat pełnili zbrojną służbę z dala od domu. Kiedy wszyscy mężczyźni z rodu Al'Shannagg zginęli, a klan popadł w ruinę, większość niewolników wyzwolono za skromną opłatą. Wśród nich był Celbal. Dopisało mu szczęście, bo ożenił się z córką właściciela oazy, a kiedy ten umarł, stał się prawnym właścicielem Hazmud. Od tego czasu widywali się z Kashimem sporadycznie, raz na kilka lat.

*

Wieczorem, gdy powietrze zaczęło robić się coraz chłodniejsze, rozpalono przy jeziorku ognisko. Siedział przy nim Celbal wraz z rodziną oraz cały oddział Kashima. Jeźdźcy zupełnie wyzbyli się obaw. Jedli i żartowali z synami Celbala. Zanar zabawiał służbę rozrywaniem grubych powrozów, a Fadl zataczał się pijany od drzewa do drzewa. Harum siedział na brzegu sadzawki i smarował coś w dzienniku.

Oficer musiał skarcić tylko Dahro, który zaczął dobierać się do jednej ze służek, składał jej nieprzystojne propozycje i ścisnął ją za pośladki. Teraz Kashim nie spuszczał z niego oka, nawet rozmawiając z Celbalem.

— Dziwnych macie ludzi, paniczu.

Al'Shannagg przełknął kawałek mocno doprawionej pieczeni, po czym rzekł:

— Tak. To w części przestępcy, a w części wyrzutkowie. Jednak z tego, co dotąd widziałem, jestem o nich spokojny. Sprawdzą się w bitwie.

— Niech Najwyższy pomoże.

— Celbalu? Chyba czas, żebym powiedział ci, dlaczego zawitałem do Hazmud...

— Tak, paniczu?

— Chodźmy stąd. Lepiej, żeby nie widziało nas postronne oko. Starzec skinął głową. Wstali od ogniska i udali się za dom, gdzie czekały przywiązane do palików saury. Kashim podszedł do swojego wierzchowca i długo grzebał w jukach. Wreszcie wyciągnął mały przedmiot, który podał Celbalowi.

— Co znajduje się w tym pudełku? — spytał starzec.

— Sam jeszcze nie jestem pewien. Wiem jednak, że ma wielką wartość i że żaden Duzzah nie powinien zobaczyć tego na oczy. Boję się zabierać tę rzecz w niebezpieczną podróż. Przechowasz ją dla mnie?

— Oczywiście, paniczu.

— Tylko bądź ostrożny i nikomu o niej nie mów. Nie otwieraj też

pudełka i schowaj je tak, żeby go nie znaleziono, gdyby ktoś postanowił przetrząsnąć oazę. To sprawa życia i śmierci.

— Rozumiem doskonale.

Celbal zniknął w ciemnym domu, by ukryć przedmiot, a Kashim wrócił do ogniska, gdzie musiał zaraz odpędzić Dahro od córki gospodarza. Gdy już zbeształ żołnierza, grożąc mu obcięciem przyrodzenia, spoczął blisko płomieni i rozgrzał zziębnięte ręce.

Zaraz przysiadł się Muin.

— Kapitanie?

— Tak?

— Wysłali nas razem, bo chcą się nas wszystkich pozbyć, prawda?

— Tak.

— Czy zatem możliwe, że mamy nigdy nie wrócić do Tel’Halik? Że nie mogąc zgładzić nas zgodnie z literą prawa, pasza zastawił zasadzkę w dziczy, gdzie nie ma żadnych świadków?

— Też o tym myślałem, Muinie.

— I co?

— Nie mamy wyboru. Musimy wypełnić misję zgodnie z rozkazami i modlić się, by Najwyższy nas chronił. A w razie czego drogo sprzedamy skórę.

— Czy nie rozsądniej byłoby samemu gdzieś zniknąć?

— Masz na myśli ucieczkę? Nawet o tym nie myśl.

— Nic mnie nie trzyma w Tel’Halik, kapitanie.

— A mnie owszem. Wielu innych też.

Rozmowę przerwało pojawianie się Celbala, który wrócił z dwoma dzbanami słodkawego wina z daktyli. Zaraz zabrali się do picia, zagryzając wyśmienitą pieczenia. Tej nocy mogli odpocząć w bezpiecznym miejscu i nie wystawiać wart.

Trudno było zgadnąć, kiedy powtórzy się podobna okazja.

Rozdział 9. Dziewiętnasty prorok

Przykład, jakim była egzekucja Dazmareda, podziałał doskonale i nawet najbardziej krnąbrni Duzzahowie stawili się na zgromadzeniu. Do Kopuły Niebios przybyli o świcie wszyscy kapłani Tel’Halik. Mędrzec Yholed wygłosił mowę powitalną, prosząc, by w wyborze byli bezstronni i kierowali się tylko dobrem miasta. Każdy wiedział jednak, jak ma głosować. Rada trzech sprawowała w mieście nieoficjalną, lecz absolutną władzę i nikt nie odważyłby się przedstawić niemiłego jej pretendenta.

Po modlitwie i czytaniu Księgi na środek świątyni wyszedł Mazznar. Zaproponował kandydaturę mistrza Vezamara. Zebrani oklaskiwali długo pomysł, a sam Vezamar udawał zaskoczonego. Potem Mazznar zszedł i nikt nie odważył się już stanąć na jego miejscu. Przez pół godziny Yholed zachęcał Duzzahów, by podali innych kandydatów, lecz oni siedzieli w milczeniu. Gdy pewien nieszczęśliwie lotnej myśli kapłan wstał, by coś powiedzieć, natychmiast usadzono go przemocą. Wreszcie Yholed przerwał oczekiwanie:

— Niech Najwyższy błogosławi was za mądrość, jaką wykazaliście. Musimy więc tylko zagłosować. Słucham was, uczeni mężowie Tel’Halik.

Brodaty Duzzah, który siedział po prawicy Yholeda, wstał i powiedział:

— Ja, Vystar Al’Fellan, Pierwszy Kaligraf, popieram mistrza yezamara. Skrybowie skrzętnie zapisali każde słowo.

— Ja, Yamzir Makhar’Qizar — rzekł następny mężczyzna — trzeci kadi Pałacu Sprawiedliwych, popieram mistrza Vezamara.

I tak każdy kolejno wstawał, by wyrazić swoje poparcie. W końcu skrybowie mieli już w protokole nazwiska stu sześćdziesięciu spośród dwustu trzech zebranych Duzzahów. Yholed znów wyszedł na środek.

— Kto nie wyraża zgody, by mistrz Vezamar został postawiony przed sądem Najwyższego?

Czekano dłuższą chwilę, lecz nikt się nie zgłosił. Na niektórych twarzach widać było ślady walki, jednak wszystkim zabrakło odwagi.

— Zaprotokołować: brak sprzeciwu. Kto nie czuł się na siłach, by podejmować decyzję?

Jeden po drugim wstało pozostałych czterdziestu trzech mędrców. Przynajmniej na taki opór zdołali się zdobyć. Gdy skrybowie skończyli

pracę, Yholed podszedł do siedzącego nieopodal Vezamara, podniósł go, ucałował i wyprowadził na środek świątyni.

— Mędrcy Tel’Halik! Przedstawiam wam tego, który dzisiejszego wieczoru stanie twarzą w twarz z Bogiem!

Fala oklasków przetoczyła się niby grom pod pradawną kopułą.

*

Po Tel’Halik rozniosła się wieść, że tej nocy mistrz Vezamar stanie na szczycie Piaskowej Iglicy jako kandydat na dziewiętnastego proroka. Niektórzy przyjmowali ją z radością, ale większość ludzi wyrażała obawy. Nikt jednak nie komentował głośno decyzji zgromadzenia, bo w mieście pojawiło się zbyt wielu donosicieli.

Nahar miał tego dnia wyznaczoną służbę. Szedł zatłoczonymi targowiskami Szarego Stoku i przeklinał swój podły los. Święto skończyło się już, więc Jeźdźcy powinni robić, co do nich należało — wrócić na pustynię. Pasza wolał jednak zatrzymać ich w mieście. Tylko sześć oddziałów, łącznie z ludźmi Kashima, wyruszyło na szlak. Reszta, podobnie jak Nahar, zajmowała się bzdurami, które zaliczały się do obowiązków straży, muhtasiba lub innych urzędników.

Młody żołnierz opuścił właśnie kolejny ludny plac i zanurzył się w boczną uliczkę. Zaraz spał się i wyciągnął szablę. Przed nim, w mroku wąskiego przejścia, pięciu zbirów w brudnych chałatach i czerwonych turbanach biło jakiegoś kupca. Drewniane pałki śmigły w powietrzu, a napadnięty zwiął się, prosząc o litość. Nahar nie zastanawiał się długo.

— Zostawcie go, parszywe psy!

Tylko jeden mężczyzna przerwał i odwrócił się do Nahara. Miał paskudną twarz, poznaczoną śladami ospy, i krzywy, jakby źle zrosnięty nos.

— Precz, żołnierzyku. Działamy z rozkazu Duzzaha Yholeda. Ten człowiek popełnił grzech skąpstwa.

— Nie obchodzi mnie, z czyjego rozkazu działacie. Łamiecie prawo. Jeśli kupiec przewinił wobec księgi, odstawcie go do Pałacu Sprawiedliwych. Tam lepsi od was zasądzą i wymierzą mu karę.

— Idź precz, bo porachujemy ci kości.

— Spróbujcie.

— Na Jedynego! Możesz być pewien, że spróbujemy.

Nahar wywinął lekko szablą. Był niemal równie dobrym szermierzem co Kashim, choć nie posiadał daru, a jego ciosy miały mniej siły. Mężczyźni w czerwonych turbanach zostawili kupca. Ruszyli na Al’Iarnaka szerokim

półokręgiem, pewni przewagi.

Nahar walczył już z trzema przeciwnikami, lecz nigdy z pięcioma. Wiedział, że jeśli da się otoczyć, nie będzie miał szans. Lata treningów nauczyły go, że tylko w poematach wojownik stawia czoło niezliczonym wrogom. W prawdziwej walce jedynie mistrz mógł pokonać dwóch lub trzech atakujących naraz. Większej liczby ciosów po prostu nie da się sparować albo uniknąć.

Nahar chciał wyeliminować już na starcie jednego zbira i zyskać lepszą pozycję. Skoczył więc na mężczyznę wysuniętego najdalej na prawym skrzydle. Ciął go, rozrywając ostrzem chałat i owłosioną pierś. Nie wkładał w atak całej siły. Chciał poranić przeciwników, lecz w miarę możliwości nie zabijać. Zbój ryknął z bólu i odtoczył się w bok. Nahar naparł na drugiego i uderzył płaskim cięciem w twarz. Przeciwnik podniósł pałkę, by zablokować cios, był jednak za wolny. Koniec szabli rozorał mu policzki i rozciął nos. Trzej pozostali zbliżali się ostrożnie. Nahar uśmiechnął się. Teraz sytuacja wyglądała o wiele lepiej.

Wrogowie rzucili się do ataku ze wzniesioną bronią. Żołnierz chciał uciec w bok, lecz ranny, który leżał u jego stóp, chwycił go za nogi. Nahar wymierzył mu potężnego kopniaka, ale było już za późno, żeby wyrwać się ze zwarcia. Trzech zbirów otoczyło go, a pałki zaczęły uderzać z szybkością błyskawic. Nahar zwijał się jak wąż, ale i tak nie nadążał ze zbiciem wszystkich ciosów. Kilka razy ciężki obuch uderzył go w pancerz lub hełm, tłukąc boleśnie ciało. Żołnierz spróbował odzyskać inicjatywę i zdobył się na wypad. Ugodził jednego z przeciwników, ale jego pchnięcie zostało zbite, a ceną za chwilę nieuwagi było bolesne trafienie w udo i uderzenie w pierś, które wybiło mu powietrze z płuc.

Nahar roztrącił wrogów potężnym młyńcem i cofnął się pod ścianę. Chwilę odpierał przeciwników szerokimi cięciami. Ci jednak rzucili się do przodu w desperackim ataku. Nahar nie mógł cofnąć się dalej, a ostrza wystarczyło mu tylko na jednego wroga. Ciął go w bok i zranił ciężko, lecz pozostali chwycili żołnierza za ręce. Zaczęły się zapasy, które nie mogły skończyć się dla Nahara dobrze. Ćwiczył tę formę walki, był jednak niższy i słabszy od wrogów, a na dodatek boleśnie obity.

Na szczęście po chwili w wylocie uliczki zjawiono się kilku strażników uzbrojonych w piki. Nahar zrzucił z siebie jednego z brodaczy, drugiego kopnął w głowę i odtoczył się w bok. Potem krzyknął do strażników:

— Łapcie tych szakali!

Gwardziści podeszli niespiesznie, a mężczyźni w czerwonych turbanach zamarli w bezruchu. Jeden wstał z ziemi, uwalany błotem i krwią. Dowódca patrolu zbliżył się do Nahara, który rzekł:

— Napadli na kupca i...

Niespodziewany cios drzewcem powalił Świętego Jeźdźca na kolana. Strażnik zwrócił się do jednego z mężczyzn:

— Ten grzesznik was zaatakował?

— Tak. Głupiec chciał przerwać wyrok, wykonywany na mocy ukazu Yholeda. Już się z nim policzymy.

— To Święty Jeździec. Zabieramy go do fortu.

Brodacz splunął krwią.

— Poranił Gheza i Ibana, a Feziha prawie zabił. Mamy prawo do zemsty.

Strażnik popatrzył na pociętych szpetnie zbójów i na śmiertelnie zdziwionego Nahara.

— Dobrze, macie dwie klepsydry. Tylko nie okaleczcie go i nie zabijcie, bo pasza poobdziera was ze skóry.

Zbrojni odwrócili się, a potem wyszli z uliczki i zostawili Nahara samego z oprawcami. Ci zaraz chwycili pałki i rzucili się na leżącego. Obili go jak psa, opluli, zwymyślali.

Kilka minut potem patrol przeciągnął półprzytomnego żołnierza do Orlego Fortu, gdzie kapitan Mas'Makaz udzielił mu surowej nagany.

— Głupcze, głupcze, głupcze! Nie chcemy wojny z Duzzahami! — Krzyczał, chodząc wokół pryczy, na której Nahara mył i opatrywał medyk.

— Łamali... prawo — wyszeptał młodzieniec.

— Oni stanowią prawo, na tysiąc skorpionów! Jak można tego nie zrozumieć!

— Mędrzec Yholed... nie ma... żadnej władzy. Nie może... wysłać na ulicę swojej... świątynnej milicji.

Mas'Makaz walnął ręką w stół.

— Nie ma władzy teraz, ale już jutro będzie miał. Dlatego właśnie nie wolno się mu narażać. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, kto rządzi miastem?

— W tej chwili... Pasza Asimar...

Kapitan machnął ręką.

— Radzę ci zmańdrzeć, inaczej czeka cię krótka i nieciekawa przyszłość. Jeśli chodzi o karę, to dostaniesz oficjalną nagany i stracisz jeden żołądek.

Nahar krzyknął, gdy medyk połał rany leczniczym dekoktem.

— Jak zapiszecie to... w aktach? — spytał.

— Zgodnie z prawdą. Powiemy, że napadłeś przez pomyłkę pięciu służących Yholeda.

— To... kłamstwo... — szepnął Nahar.

— To polityka, durniu.

*

Oddział przez pół dnia przemierzał sypkie, strome wydmy i zмагаł się z niewyobrażalnym upałem. Żołnierze byli jednak wypoczęci i w dobrym humorze. Czas leciał szybko, urozmaicony opowieściami Shamiraja i sprośnymi przyśpiewkami Haruma. Kashim spoglądał na swoich ludzi z zadowoleniem. Okazali się wcale przyjemną kompanią. Tylko wybuchowość Zanara, głupie pomysły Dahro i dziwne milczenie Aahiza nie przypadły mu do gustu.

Po południu zrobili krótki postój. Saury wygrzewały się na piasku, a mężczyźni wbili w ziemię cztery paliki i rozpięli prowizoryczny baldachim, w którego cieniu zjedli posiłek. Gdy nadeszła pora modlitwy, tylko Fadl, Harum, Muin i Aahiz rozłożyli wraz z Kashimem dywaniki. Wielkolud, złodziejasek, góral i heretyk patrzyli na nich spokojnie i czekali, aż skończą modły. W oddziałach Jeźdźców rzadko się zdarzała osoba, która nie czciła codziennie Najwyższego. Cztery takie osoby w jednym patrolu to było coś, co pewnie nigdy się jeszcze nie przytrafiło.

Baldachim zwinięto i jeźdźcy ruszyli dalej na południowy zachód. Wkrótce wyjechali pomiędzy wydmy na spaloną słońcem równinę. Przecinała ją wstęga utworzona z zaschniętych kolein. Był to właśnie początek Wzgórnego Szlaku, który łączył Tel’Halik z ostatnią osadą Żelaznych Wzgórz.

Gdy wjechali na szlak, Kashim zbliżył wierzchowca do Fadla i rzekł:

— To prawda, że kiedyś chroniłeś karawany?

— Tak, kapitanie. Kilka razy przebyłem Wzgórny Szlak. Podróżowałem też dużo do Tel’Amman, Jedwabnych Oaz, a nawet do fortu Um’Magar.

— Sądzisz, że zdążymy dzisiaj do Ra’Manid?

— Nie mamy szans. Dobrze, jeśli będziemy tam jutro przed południem.

Kashim skinął głową, a potem krzyknął do ludzi:

— Dziś nie będzie miękkich poduszek! Nocujemy na pustyni.

Żołnierze nie wyglądali na bardzo zawiedzionych. Owszem, lubili wygody, lecz wiedzieli dokładnie, jaki los ich czeka, gdy decydowali się zostać Świętymi Jeźdźcami. Każdy w pewien sposób kochał dzikie pustkowia i tylko dlatego potrafili miesiącami patrolować bezludne obszary,

szukając demonów i potworów z Marrenvan, których nikt nie widział od wielu dziesięcioleci.

*

Dyby były ciężkie, grube i na dodatek okute żelazem. Salim dziękował jednak Najwyższemu, że trafił w nie, a nie na przykład w kolczastą obrozę czy do dołu pełnego głodnych szcurów. Zmierzch zbliżał się powoli, a kupiec wypatrywał go z utęsknieniem. Przez cały dzień słońce poparzyło mu okropnie nagie plecy i ogoloną głowę. Tylko chłód nocy mógł przynieść ukojenie.

Na placu przy Pałacu Sprawiedliwych stały jeszcze jedne dyby. Siedział w nich rozczochrany mężczyzna, a z jego pustych oczodołów wciąż ciekła krew. Wokół było tylko kilku ludzi, więc Salim mógł wreszcie odetchnąć od wyzwisk i zaczepek. Nikt nie rzucał już w niego nieczystościami czy zepsutymi owocami, ani nikt nie smagał kijem.

— Za co cię oślepił, przyjacielu? — rzekł kupiec do współwięźnia, by rozmową zabić czas.

Tamten wydał przeciągły jęk.

— Słyszysz mnie? Pytam, za co cię oślepił!

— Za... sfalszowane odważniki.

— No, no. Surowe są najnowsze prawa.

Mężczyzna milczał.

— Jeszcze tylko jutro i będę wolny — powiedział Salim. — A ty ile masz tu tkwić?

— Trzy dni.

— Więc rozchmurz się! Trzecia część kary już za tobą.

Odpowiedź składała się z kilku wymamrotanych przekleństw.

Wkrótce zaszło słońce, a w mieście zaczął się niezwykle ruch. Wierni przybywali tłumnie na czuwanie do Pierwszej Świątyni. Straż pałacowa, wraz z Duzzahami, oprowadziła Vezamara po ulicach zgodnie z dawnym obyczajem. Każdy mógł zobaczyć kandydata i zgłosić sprzeciw, jeśli jego osobę uważał za niegodną. Jak łatwo się domyślić, żadnych sprzeciwów nie odnotowano.

Zmęczonego już Duzzaha zaprowadzono do pałacu, obmyto, wypchniono i ufryzowano. Kondukt odprowadził go pod bramę Zakazanego Ogrodu. Vezamar przekroczył ją z dziesięcioma kapłanami, którzy pełnili funkcję świadków. W tym czasie w Pierwszej Świątyni proszono, by Najwyższy zesłał Vezamarowi błogosławieństwo.

Jedenastu Duzzahów rozpoczęło mozolną wspinaczkę po stromych schodach Iglicy. Na każdym półpiętrze Vezamar zatrzymywał się, by odmówić krótką modlitwę. Dworzanie siedzieli na dachach pałacowych budynków i patrzyli na wieżę. W jej dwustuletniej historii zdarzyło się już dwa razy, że Najwyższy był tak rozsierdzony przedstawionym mu kandydatem, iż zrzucił go z samego szczytu. Teraz nic nie zapowiadało podobnej rewelacji, lecz mimo to czekano w napięciu.

Minęła godzina, nim Vezamar wraz z towarzyszami dotarł prawie na sam szczyt Iglicy, do miejsca, gdzie znajdowały się komnaty proroka. Sypialnia, biblioteczka, pracownia i mała kuchnia, wraz z nieliczną służbą, miały zapewnić Płomieniowi Najwyższego spokój i oddalenie od ziemskich spraw. Choć prorocy zazwyczaj spędzali w pałacu tyle czasu, ile w Iglicy, to teoretycznie była ona prawie całkiem samowystarczalna. Wybraniec mógł żyć w niej przez wiele lat.

Komnaty mieszkalne nie były jednak celem pochodu. Vezamar z kapłanami piął się jeszcze wyżej po coraz węższych stopniach. Wkrótce stanęli pod okutymi złotem drzwiami. Jeden z Duzzahów odpiął od pasa masywny klucz, który Zerakhim przekazał mu przed odejściem. Otworzył nim wrota.

Na samym szczycie Piaskowej Iglicy znajdowała się Kaplica Objawień. Duzzahowie mogli tu się dostać tylko jeśli mieli przedstawić Najwyższemu kandydata na nowego proroka. Na co dzień jedynie prorok miał prawo wejść do kaplicy. Nic więc dziwnego, że starcy trzęśli się z emocji, gdy przekraczali próg.

Kaplica, mimo niedużych rozmiarów, zapierała dech w piersiach. Ściany zdobiły freski, które przedstawiały sceny z Księgi. Osadzono w nich ogromną liczbę szlachetnych i półszlachetnych kamieni. Okna były wielkie i łukowate, a światło księżyca, przechodząc przez kolorowe witraże, zalewało wnętrze wielobarwnymi refleksami. Ołtarz wykuto kunsztownie ze szczerego złota.

Vezamar zatrzymał się naprzeciw niego i padł na kolana. Podobnie uczyniła reszta Duzzahów. Najstarszy zaintonował pieśń, którą zaraz podchwyciły wszystkie gardła. Vezamar czekał spokojnie, bez śladu strachu. Wierzył Wysłannikowi Niebios i wiedział, że Najwyższy go zaakceptuje.

W pewnym momencie jasny niczym słońce błysk poraził oczy Duzzahów. Przy akompaniamencie ogłuszającego huku pojawiła się nad ołtarzem ognista kula. Ludzie, którzy stali na ulicach i siedzieli na dachach

domów, westchnęli z zachwytu, za jej przyczyną bowiem Piaskowa Iglica rozjarzyła się niby wielka świeca. W kaplicy Duzzahowie zasłaniali oczy, truchlejąc przed mocą Najwyższego. W powietrzu rozbrzmiał głos, głęboki i pełen dostojności:

— Jesteś prawdziwie wierzącym, Vezamarze Al’Hariri, a twoja droga jest słuszna. Biorę cię za syna i pasterza mego ludu w Ocalonej Krainie.

Chwilę potem kula zniknęła. Długo jeszcze mędrzy odzyskiwali wzrok, siedząc bez ruchu w ciemnej kaplicy. Kilku, poruszonych tym, że widzieli samego Boga, płakało. Vezamar wznosił dziękczynne modły.

Niecałą godzinę potem na placu Świątynnym stał tłum równie wielki, jak w czasie pierwszego kazania Zerakhima. Pół miasta czekało w napięciu. Wreszcie na tarasie ukazało się dwóch Duzzahów. Niektórzy rozpoznali w nich mędrców Mazznara i Yholeda. Ten pierwszy uniósł ręce ku niebu i krzyknął:

— Ludu Tel’Halik! Mamy proroka!

Na taras wyszedł Vezamar, odziany w odświętną szatę. Tłum szalał z radości, bo wierzono, że groza ostatnich dni jest wynikiem braku władzy. Spodziewano się, że gdy nowy prorok zasiądzie w Piaskowej Iglicy, sprawy przybiorą lepszy obrót.

*

Manhaur mieszka tutaj. To pewne jak ziemia pod naszymi nogami — rzekł Naur, odkładając kość.

Żołnierze zaszemrali, lecz groźne spojrzenie Kashima natychmiast ich uciszyło.

Przybyli do Ral’Manid w południe, po nocy spędzonej na bezludziu. Mieli tylko uzupełnić zapasy w karawanseraju i ruszyć zaraz w drogę, lecz gdy wjechali do osady, otoczył ich rozradowany tłum. Mieszkańcy wzięli jeźdźców za oddział, który pasza obiecał wysłać, by upolować drapieżnika dziesiątkującego stada bacharnów.

Kashim dowiedział się, że od wielu nocy zwierzęta ginęły z zagród. Rano zostawały po nich tylko ślady krwi i strzaskane ogrodzenia. Starsi mieszkańcy Ral’Manid z łatwością rozpoznali w tym dzieło manhaura, największego drapieżcy w Ocalonej Krainie. Wysłano więc gońców do Tel’Halik, by prosili paszę o pomoc.

Kapitan przez chwilę chciał powiedzieć osadnikom prawdę i ruszyć dalej, lecz w końcu uznał, że Święci Jeźdźcy nie powinni zostawiać bezbronnych na pastwę losu. Nakazał więc postój w Ral’Manid do czasu, gdy zwierzę

zostanie upolowane.

Żołnierze nie byli zadowoleni z tego niespodziewanego obowiązku, bo o sile i szybkości manhaurów krążyły ponure legendy. Kapitan był jednak nieustępliwy. Przez resztę dnia przeszukiwali okoliczne pustkowia, aż pod wieczór Shamiraj znalazł grootę, wokół której leżały sterty kości. Zaraz sprowadził do tego miejsca resztę oddziału. Naur, jako najbardziej doświadczony tropiciel, zbadał ślady.

— Jesteś pewien? — spytał Kashim, gdy usłyszał jego wyrok.

— Tak. Gad musi spać w środku. To dorosły samiec. Zastawimy sidła?

Kapitan dokładnie obejrzał wejście do jaskini.

Wreszcie rzekł:

— Nie. Ziemia jest zbyt kamienista.

— Jak więc to zrobimy?

— Naur, daj mi trochę pomysłu.

Al'Shannagg obszedł okolicę i zajrzał do ciemnej jamy. Żołnierze kurczowo trzymali broń, jakby spodziewali się, że drapieżnik zaraz wyskoczy z ciemności. Tymczasem Kashim rozważał wszelkie możliwości. Próba schwytania manhaura w sieć była pomysłem z góry skazanym na niepowodzenie. Zwierzę potrafiło rozerwać każde więzy. Użycie saurów i zastrzelenie go z daleka także nie wchodziło w grę, bo mniejsze jaszczury panicznie bały się manhaurów. Tymczasem pieszego łucznika bestia łatwo by dogoniła.

— Trzeba będzie się napracować — rzekł do swoich ludzi Al'Shannagg.

— Fadl! Jedź do osady po garniec palnej oliwy.

Żołnierz wskoczył na siodło i oddalił się, znikając za wzgórzem. Pozostali rozłożyli się na ziemi daleko od wejścia i czekali cierpliwie. Nie śpieszyło im się wcale. Wiedzieli, że z każdą godziną zwierzę robi się coraz bardziej powolne i ospałe za sprawą nocnego chłodu.

Gdy Fadl wrócił, Kashim rozstawił swoich ludzi w trzech półkolach. Najdalsze od jaskini składało się z Dahro, Muina i Shamiraja. Uzbrojeni w łuki i kusze wbijali wzrok w ciemność, gotowi wypuścić strzały, gdy tylko manhaur wyjdzie z kryjówek. Środkowy rząd zajęli najbardziej krzepcy wojownicy: Zanar, Kashim i Naur, którzy trzymali w dłoniach ciężkie szable. Mieli bardzo niebezpieczne zadanie — jeżeli gad przełamie pierwszy szereg, rzucą się do walki wręcz. Na samym przedzie, tuż pod jaskinią, stali Aahiz, Fadl i Harum. Władali długimi pikami i mieli trzymać nimi manhaura w szachu, do czasu gdy łucznicy naszpikują go strzałami.

Pozostało już tylko wywabić ofiarę. Fadl wylał dzban do wnętrza jamy. Strumyk oliwy spłynął głęboko po kamieniach, a mężczyzna podpalił go. Zaraz cofnął się i chwycił pikę. Nie trzeba było długo czekać. Ogień i dym wygoniły drapieznika z kryjówki w kilka chwil.

Kiedy wypadł przed jaskinię, żołnierze cofnęli się z respektem. Był to ogromny samiec — trzy razy większy od konia i dwa razy większy od bacharna. Jego płaski łeb wieńczyła korona kościanych płytek, które ciągnęły się wzdłuż grzbietu aż po sam ogon. Manhaur poruszał się na krótkich, szeroko rozstawionych nogach, był jednak niewiarygodnie szybki. W jego paszczy widniało kilka rzędów ostrych, trójkątnych zębów, a każda z łap była uzbrojona w długie pazury.

Już na początku walka przybrała zły obrót. Potwór rzucił się na Haruma, a piki, które miały go powstrzymać, połamały się na łuskach. Harum próbował wyszarpnąć szablę, lecz w mgnieniu oka manhaur chwycił go w paszczę. Zęby zgrzytnęły na płytkach zbroi. Żołnierz krzyknął z bólu, a potwór rzucił nim o kamienną ścianę i zwrócił się w stronę pozostałych wrogów. W tym momencie trafiły go trzy pociski. Jednakże tylko bełt z kuszy Dahro zdołał przebić łuski, choć i tak nie wyrządził zwierzęciu krzywdy.

— Zanar, Naur! Do ataku! — krzyknął Kashim, rzucając się naprzód. Fadl i Aahiz wycofali się z zasięgu szalejącej bestii. Pozostali gorączkowo przygotowywali się do drugiej salwy.

Al'Shannagg wiedział, że ta walka potrwa sekundy. Jeśli nie powalą manhaura w kilku pierwszych atakach, gad wybije cały oddział. Dlatego nie zastanawiał się nawet, czy użyć daru. Leciał na bestię, wspomagany przez geniusze powietrza, szybciej niż galopujący saur. Dopadł gada i ciał go w bok, otwierając głęboką ranę. Zaraz potem cudem uniknął miażdżącego ciosu ogona. Zanar dopadł bestię z drugiej strony, lecz uderzenie potężnej łapy wyrzuciło go w powietrze i powaliło na piasek. Naur spuścił na łeb manhaura dwa szybkie ciosy, które rozcięły łuski i kostny grzebień chroniący oko. Przecięte ślepie zaczęło wypływać z oczodołu. Zwierzę ryknęło i ugryzło Naura w bark. Góral krzyknął przeraźliwie, gdy jego kości zaczęły pękać z suchym trzaskiem. Gdyby nie zbroja, zęby rozcięłyby go na pół.

W tym momencie kolejne dwie strzały i bełt wbiły się w bestię. Pocisk Muina trafił w podgardle, gdzie łuska jest cieńsza, i zagłębił się aż po pióra. Manhaur wypuścił z zębów ciało Naura, które padło na ziemię bezwładnie niczym kłęb szmat. Kashim zaatakował potężnym pchnięciem, znów

wykorzystując dar. Szabla wbiła się dokładnie w poprzednią ranę i sięgnęła głęboko do trzewi. Zwierzę, zaślepione bólem, uderzyło Kashima ogonem, który najeżony był ostrymi, kościanymi płytkami. Kapitan krzyknął i padł na kolana.

Ogon wzniósł się do kolejnego ciosu, lecz na szczęście gdzieś z boku wypadł Zanar. Wielkolud uderzył z krzykiem. Imponujący cios rozłupał twarde pancerz na karku potwora, przeciął grube węzły mięśni i strzaskał kręgi, do połowy zagłębiając się w szyi. Łapy ugięły się pod manhaurem, a zaraz potem zwierzę upadło i zatrzepotało nimi w agonii. Wzbiło przy tym tuman kurzu i przewróciło Zanara oraz Fadla, który usiłował dobić je piką.

Po kilku chwilach potwór znieruchomiał. Kashim splunął, by oczyścić usta z piasku, i wstał. Jego ludzie również podnieśli się z ziemi. Shamiraj dopadł do Naura, a Dahro i Muin pobiegli zobaczyć, co z Harumem. Zanar wciąż siedział na piasku bladej jak śmierć i przyciskał rękę do boku. Kashim dokładnie sprawdził zbroję. Na szczęście cios przebił płytki tylko w trzech miejscach, a rana była lekka.

— Żyjesz? — spytał Zanara.

— Nie wiem. Boli jak diabli.

— To był dobry cios.

— Dziękuję, kapitanie.

Muin wracał spod skały i prowadził wraz z Dahro oszołomionego Haruma.

— Co z nim? — spytał Kashim.

— Tylko ogłuszony. Chwała Najwyższemu.

Al'Shannagg podszedł teraz do Shamiraja, który rozpiął pancerz Naura i z zatroskaną twarzą badał jego pierś. Z kącika ust górala wyciekała strużka krwi.

— Obojczyk jest złamany, podobnie co najmniej dwa żebra — rzekł Shamiraj. — A jeśli krew pochodzi z przebitego płuca, jedynie Najwyższy zdoła tu pomóc.

Kashim chwycił rannego za brodę i zajrzał mu do ust.

— Miał szczęście. Przygryzł sobie tylko język. Połóżcie go na zdrowym boku, bo udławi się krwią.

Zanar powoli prostował i zginał obolałe ramię.

— I jak z twoją ręką? — zapytał Kashim.

— Kości są całe, a reszta się rusza. Czego więcej wymagać?

— Dobrze. Aahiz, Dahro! Ściągnijcie nosze z saura. Dowieziemy na nich

Naura do osady.

To mówiąc, Kashim podszedł do martwego gada. Obejrzał dokładnie jego ciało. Głowę planował zabrać. Była wystarczająco cennym trofeum, by zawisnąć w Sali Wojennej domu Al'Shannaggów. Wcześniej jednak dwrócił się do żołnierzy i powiedział:

— Walczycie lepiej niż większość Jeźdźców, z którymi dotychczas przyszło mi służyć.

Odpowiedziało mu kilka uśmiechów. Mając takich ludzi przy boku, mniej martwił się o niebezpieczeństwa, które mogła nieść przyszłość.

*

Następnego dnia gońcy na wszystkich placach i Duzzahowie we wszystkich świątyniach Tel'Halik czytali zbiór praw, zarządzonych przez proroka Vezamara, a spisany ręką mędrca Kar'Shina. Reguły obowiązywały już od świtu, więc ci, którzy nie zdążyli się z nimi zapoznać, narażali się na surowe kary z rąk bojowników w czerwonych turbanach. Ulice wypełniły się krzykami kobiet, które linczowano za wyjście z domu bez opiekuna czy w nieodpowiednim stroju. Straż prowadziła na kaźń kolejnych kupców, sprzedających nieodpowiednie towary, jak również ludzi, którzy złamali reguły czystości, na przykład nie myjąc szyi, stóp i rąk przed wypowiedzeniem słów Księgi. Sprowadzano też z całego miasta zielarki, kurtyzany albo graczy w karty, których zajęcia zostały prawnie zakazane.

Dziesiątki donosicieli od rana nadstawiało uszu i pisało do Pałacu Sprawiedliwych notki o każdym słowie, które choć trochę niezgodne było z Księgą. Wczorajszą radość zastąpił strach. Ludne jeszcze niedawno ulice w ciągu jednego dnia opustoszały. W tawernach mało kto rozmawiał z nieznanymi, a nawet przy przyjaciółach zachowywano ostrożność. Cichszymi i mniej zatłoczonymi, jakby przygasłymi bazarami krążyła straż oraz kilkunastoosobowe oddziały Czerwonych Turbanów.

Wielu miało nadzieję, że zmiany są tymczasowe. Powiadano często, że prorok Vezamar musi tylko uporać się z niewiernymi, którzy rozplenili się w mieście za czasów Zerakhima, a potem przywróci stare obyczaje. Co rozsądniejsi nie wierzyli w to zupełnie i przygotowywali się na długi czas smutku i niepokoju. Tak czy inaczej, miasto zamarło w kleszczach rady trzech mędrców oraz zbrojnych paszy Asimara.

Podobnie działo się w osadach i oazach, które leżały wokół Tel'Halik. Zaczęły tam docierać grupy Czerwonych Turbanów, prowadzone zazwyczaj przez ortodoksyjnego Duzzaha. Obwieszczały one nowe prawa i od razu

przystępowały do ich egzekucji. Często trzeba było przy okazji poćwiartować krnąbrnego zarządcę czy dla przykładu obić paru kmiotków, którym nie w smak były święte zasady. Starych Duzzahów, pełniących w tych miejscach funkcje Pierwszych Lektorów, oddalano i zastępowano nowymi, posłusznymi Vezamarowi. Nie ominęło to nawet malutkich miścin, takich jak oaza Hazmud.

W stronę większych osiedli, a w szczególności Tel'Amman, wysłano prawdziwe małe armie. Dziewiętnasty prorok chciał w ciągu miesiąca trzymać w rękę całą Ocaloną Krainę, a posłuszni mu oficerowie wiedzieli, że niebezpiecznie było go zawieść.

*

Jeźdźcy opuścili Ral'Manid zaraz po wschodzie słońca, choć stary medyk, obejrząwszy Naura, nalegał, by dać mu kilka dni odpoczynku. Góral, który oprzytomniał w nocy, zbył go jednak brzydkim przekleństwem. Kashim, wiedząc że opóźnienie misji byłoby dla Dega dyshonorem, kazał ruszyć w drogę. Ranny jechał na bacharniej skórze rozpiętej między bokami dwóch saurów. Minęły trzy godziny, nim zwierzęta nauczyły się iść równo obok siebie. Wcześniej przy każdym ich szarpnięciu twarz Naura szarżała z bólu.

Pozostali ranni, włączając Al'Shannaggą, czuli się dobrze. Ręka Zanara, choć spuchła, wydawała się nieuszkodzona. Harum wykpił się z niebezpiecznej przygody tylko kilkoma siniakami.

Humor dopisywał żołnierzom, bo po pierwszej wspólnej walce zaczęli się spoufalać. Głowę manhaura, która była pamiątką tego zdarzenia, Kashim oddał pewnemu garbarzowi w Ral'Manid. Miał odebrać ją, już wyprawioną i wypchaną, gdy oddział będzie wracał do Świętego Miasta.

Wypoczęte zwierzęta trzymały dobre tempo, a droga była równa i twarda, więc przez cały dzień przejechali wielki obszar równin i zbliżyli się znacznie do Żelaznych Wzgórz. Kapitan miał nadzieję zobaczyć je już następnego dnia wieczorem. Obóz rozbito zatem po zmierzchu, gdy ciemna, bezksiężycowa noc uniemożliwiła dalszą jazdę.

W tej samej chwili, w której oddział skończył rozbijać namioty, do Ral'Manid przybyło piętnastu jeźdźców. Szybkim krokiem udali się do domu zarządcy. Mimo oporu służby sforsowali drzwi, a potem wyciągnęli mężczyznę na ulicę, przywiązali do saura i powlekli wokół osady. Łuna jego płonącego domu oświetliła całe Ral'Manid i osobę Duzzaha, który stał na placu i czytał słowa Kar'Shina. Mieszkańcy, obudzeni krzykami zarządcy,

obserwowali kapłana ze zgrozą.

*

Wejdz — rozbrzmiał dziwny, jakby syczący głos. Mudda przekroczył niepewnie próg. Wnętrze pomieszczenia, leżącego we wschodnim skrzydle pałacu, było skromne. Na ścianach wisały co prawda piękne gobeliny, ale były niemal jedynym wyposażeniem komnaty. Poza nimi stało tu tylko krzesło, naprzeciw którego znajdował się szeroki parawan. Właśnie za nim siedział tajemniczy rozmówca Muddy.

Starsi Duzzahowie ostatnio często wyznaczali młodzieńcowi jakieś zadania, lecz zdziwił się, gdy wezwano go nocą do pałacu. Jeszcze bardziej zdziwił go materiał, który miał na spotkanie przygotować.

— Czy zbadałeś to, o co cię proszono?

— Tak, panie. — Mudda nie miał pojęcia, z kim rozmawia, lecz przyjął, że musi to być osoba znacząca.

— Usiądź więc i opowiadaj.

Młody kapłan zajął miejsce.

— Wybacz ciekawość, panie, lecz dlaczego interesuje cię właśnie ta osoba? — spytał.

— Czy znasz ją, Muddo?

— Człowiek ów służył do niedawna razem z moim bratem.

— Ach tak. Wiedz zatem, że to sprawa sekretna, nieprzeznaczona dla twoich uszu. A teraz mów.

Mudda wyciągnął zza pazuchy kawałek pergaminu, na którym wynotował dane z genealogicznych tomów.

— Ród Al'Shannagg jest stary. Przodkowie kapitana Kashima zamieszkiwali pustynię jeszcze przed nadejściem pierwszego proroka i już wtedy byli uznawani za szlachetną krew. Po Wielkim Sądzie wzmianki o Al'Shannaggach pojawiają się w roku siedemdziesiątym drugim. Zostali upamiętnieni jako fundatorzy ówczesnego Pałacu Księgi. Od tego czasu coraz częściej widnieją w spisach zbrojnych mężów Tel'Halik. Niemal każdy z przodków Kashima podjął orężną służbę, czy to w straży, czy też wśród Świętych Jeźdźców. Dokonywali często walecznych czynów, jak Tamur Al'Shannagg w trakcie Wojny Samozwańców, który...

— Tak stare dzieje mnie nie interesują, kapłanie. Ogranicz się proszę do faktów, które mogły mieć wpływ na kapitana Kashima.

— Jak sobie życzysz, panie. Godne uwagi jest to, że dom Al'Shannagg nadzwyczaj długo kultywował trzecią krew. Pradziad Kashima, Sahdi, był

trzeciokrwistym, jednym z bardzo niewielu w tamtych czasach. Zbuntował się jednak przeciw decyzji ojca, który wyznaczył mu za żonę starszą już, a na dodatek spokrewnioną kobietę. Wziął zamiast niej dziewczynę z rodu Makhar'tallah, która należała do czwartego pokolenia. Urodziła mu między innymi syna Rahmata, który był ojcem Kashima. Rahmat i jego bracia nominalnie byli czwartej krwi, choć dar nie osłabł w nich zbytnio i tylko reguły Księgi przyporządkowały ich dalszej linii. Teraz dochodzimy do sprawy zamotanej i skomplikowanej, której nie udało mi się do końca wyjaśnić.

— Zamieniam się w słuch, kapłanie.

— Chodzi o rodzoną matkę Kashima i liczne pytania związane z jej osobą. Kapitan Rahmat pełnił służbę na Żelaznych Wzgórzach w niebezpiecznych czasach, gdy Degowie podnosili głowę i buntowali się przeciw władzy Świętego Miasta. Tam właśnie, w odległej, górskiej osadzie, trafił na kobietę o bardzo jasnej skórze i osobliwych oczach. Nazywała się Anda'Kien, co w języku Degów znaczy „Ta, która przyszła znikąd”. Gospodarze mówili tylko góralskim narzeczem i tłumaczyli Rahmatowi pochodzenie imienia bardzo pokrętnie. Zrozumiał tylko, że dziewczynka przybłąkała się do jurty w wieku pięciu lat.

— Choć Anda'Kien była małomówna i zamknięta w sobie, Rahmat zakochał się w niej do szaleństwa. Miała ponoć niezwykle piękne ciało i czarne jak smoła włosy, które sięgały prawie do kostek. Kapitan zdecydował się wziąć ją za żonę, co było w tamtych czasach pomysłem całkowicie szalonym. Dalsza część opowieści nie pochodzi z oficjalnych źródeł i poznałem ją, przepytując jedną z żyjących do dziś żon Rahmata. Nie dziwię się, że kapitan unikał podania szczegółów małżeństwa genealogom Tel'Halik. By zdobyć Anda'Kien, dopuścił się bowiem podwójnej zdrady. Degowie nie dają swoich kobiet mężczyznom z równin, więc Rahmat oszukał ich, że chce przystąpić do klanu. Zawarł z jego głową, niejaki Nobru, braterstwo krwi. Ożenił się z Anda'Kien, a potem wywiózł ją szybko z rodzinnej jurty. Przez trzy lata mieszkał z nią w Tel'Halik. Byli szczęśliwi, choć rodzina Rahmata niechętnie patrzyła na kobietę niepewnego pochodzenia. Anda'Kien powiła Rahmatowi syna, którego nazwali Kashim.

— Wiadomo, jakiej krwi była ta dziewczyna?

— Nie, panie. I jest to drugi, obok jej pochodzenia, nierozwiązany sekret. Nie ma oficjalnej wzmianki o tym, jakoby posiadała dar. Jednak żony kapitana Rahmata twierdzą coś dokładnie przeciwnego. Ponoć była Widzącą

i lunatykowała, a pożar jednego z domów rodu był jej sprawką. Miała wzniecić ogień wzrokiem w osobliwym transie, w jaki wpadła podczas kolejnej wizji.

Zza parawanu dobiegł odgłos, który przypominał syk rozsierzonego saura. Po plecach Muddy przeszedł dreszcz.

— Na tysiąc skorpionów! — krzyknął rozmówca. — Dlaczego o tak ważnej rzeczy nie powiadomiono Duzzahów?!

— Rahmat nakazał trzymać wszystko w tajemnicy. Dopiero po śmierci jego i dziewczyny rodzina zaczęła głośno mówić o bardziej osobliwych zdarzeniach.

— Czyli Kashim może nie być piątokrwistym?!

— Tak, panie. Przypisano go do piątej linii, bo Duzzahowie uznali jego matkę za niespokrewnioną z linią proroka. Jeśli rzeczywiście miała dar, to krew Kashima powinna być lepsza. Nie dowiemy się jednak o ile, bo nie ma możliwości, by poznać, którego pokolenia była jego matka.

— Jak umarła ta... kobieta?

— To trzecia zagadka. Po urodzeniu Kashima zaczęła gasnąć w oczach. Coraz częściej nawiedzały ją koszmary i straszne widzenia, których znaczenia nie potrafiła zrozumieć. Była wiecznie blada, niewyspana i osłabiona. Wreszcie pewnego ranka po prostu nie wstała z łóżka. Ostatnie dni życia spędziła w katatonicznym transie, z którego ocknęła się tylko na chwilę przed śmiercią, by przekazać Rahmatowi słowa, których kapitan nigdy nikomu nie wyjawiał. Potem umarła, pogrążając go w rozpacz. Wkrótce zdarzyła się kolejna tragedia.

— Masz na myśli Wojnę Stali?

— Tak, panie. Zginął wtedy prawie cały ród Al'Shannagg. Zanim dojdę do przebiegu wojny, muszę jeszcze wspomnieć, że w jej pierwszych dniach jurta Nobru przysłała Rahmatowi wiadomość. Jego brat krwi pytał, czy kapitan stanie po stronie Degów. Al'Shannagg, rozdarty pomiędzy służbą Tel'Halik, a obowiązkiem wobec rodu żony, wybrał to pierwsze. Wkrótce dom Al'Shannagg spotkały liczne nieszczęścia. Dwóch wujów Kashima padło, gdy osłaniali oddziały wycofujące się z gór. W następnych starciach zginęła większość męskich członków rodu. Wreszcie nadszedł czas i na samego Rahmata, który poległ bohatersko w bitwie u bram Świętego Miasta. Kashim został sam, wychowywany przez służbę i dwie kobiety, które Rahmat poślubił niedługo przed śmiercią, szukając ukojenia w ich ramionach. Jedna z nich nawet powiła mu córkę i dwóch synów. Ta pierwsza

żyje do dziś i ma się dobrze, ale obaj męscy potomkowie zmarli. Pierwszy w wieku ośmiu miesięcy, a drugi dziesięciu lat. Służba rozpowiadała, że na rodzie Al'Shannagg wisi straszna klątwa. Kashim, wbrew obawom, dożył jednak wieku dojrzałego. Ród był już wtedy na krawędzi ruiny. Kobiety pozbawione mężów i jakiegokolwiek dochodu rozprzedawały powoli majątek i pozwalały wykupić się niewolnym, aż wreszcie rodzinie Al'Shannagg został tylko jeden dom i troje służących. By zrozumieć miarę tego upadku, musisz wiedzieć, panie, że za czasów świetności Al'Shannaggowie byli bardzo zamożni. Posiadali dwa faddany doskonałej ziemi u brzegu Shaprut, między kanałami Jezid i Taura. Co roku osiągnęli wielkie zyski, sprzedając w Tel'Halik pszenicę. Na dodatek mieli faktorię handlową w Jedwabnych Oazach, spore stado bacharnów i dzierżawili podatki z sześciu karawanserajów. Dziś ród pozbawiony jest jakiegokolwiek dochodu z wyjątkiem żołdu kapitana Kashima. To wszystko, co mogę rzec, panie.

Osoba za parawanem długo milczała, jakby rozważając opowieści Muddy. Wreszcie rzekła:

— Dowiedziałem się ciekawych rzeczy, lecz to mi nie wystarczy, młody kapłanie. Muszę znać więcej szczegółów z życia Kashima, jego ojca, matki i całego rodu.

— To niemożliwe, panie! W księgach...

— Wiem, Duzzahu. Dlatego właśnie zbadasz wszystko osobiście. Wyjedziesz do Żelaznych Wzgórz, a nawet i do samego Marrenvan, jeśli tam zaprowadzi cię ślad. Dostaniesz na drogę sto pięćdziesiąt centim... Albo jeszcze lepiej całe dwa złote dinary. Oczywiście będziesz miał eskortę w postaci kilku zaufanych zbrojnych. Jeśli sprawisz się dobrze, czeka cię nagroda ponad najśmielsze oczekiwania.

Mudda zbladł, gdy usłyszał sumę oferowaną przez tajemniczego rozmówcę. Dwieście złotych centim! Można za to kupić wielki dom, tuzin niewolników i stadninę saurów!

— Twoja szczodrość, panie...

— Daruj sobie gładkie mowy, kapłanie. Zamiast trawić na nie czas, przygotuj się do drogi. Pamiętaj, że oczekuję wyników twych badań wkrótce. Mogę ci dać miesiąc, najdalej dwa. Jeśli do tego czasu nie otrzymam informacji, osobiście zadbam, żebyś skończył na palu.

Kapłanowi stanęła przed oczyma scena egzekucji Dazmareda. Zadrżał.

— Bądź pewien, że cię nie zawiodę, panie.

— Możesz odejść. Pamiętaj tylko o jednej rzeczy.

— Tak, o szczodrobliwym?

— Nikomu nawet nie wspomnij o naszej rozmowie. Badania prowadzisz na własny użytek z własnych, zaoszczędzonych środków. Rozumiesz mnie?

— Oczywiście. — Mudda uklonił się na pożegnanie.

*

Złe sny nadeszły, gdy Kashim spał przy ognisku, okryty płaszczem Świętego Jeźdźca. Dahro i Harum, którzy siedzieli na warcie, sprzeczali się o coś cicho. Śpiące saury nie wydawały żadnego głosu. Zonar chrapał ciężko, a Naur stękał przy każdym ruchu.

Tymczasem przed Kashimem otwarły się wrota piekieł. Znów zobaczył bitwy i rzezie, lecz ku swemu przerażeniu zorientował się, że tym razem uczestnicy krwawych scen są mu znajomi. Widział Shamiraja, jak dusi się z płucami przebitymi sztyletem. Widział Zanara z głową przerażoną na pół. Widział Dahro, padającego z bełtem w oku. Czuł bezsilną rozpacz, gdy obserwował, jak wszyscy jego ludzie giną jeden po drugim. Obrazy rozmyły się wreszcie i ustąpiły miejsca innemu, mniej krwawemu, lecz równie niepokojącemu.

Kashim znalazł się na spalonym, czerwonym pustkowiu, które rozciągało się tak daleko, jak okiem sięgnął. Ciężkie, szare chmury całkowicie przesłaniały niebo. Wojownik zorientował się, że zna to miejsce. Jednak nigdzie nie było już umierającego drzewa. Zamiast niego przed Kashimem wznosił się ogromny stos czaszek. Na samym szczycie, deptając kości bosymi stopami, stała ciemnowłosa zjawa. Okryte białą koszulą piersi nie ruszały się, a powieki były zaciśnięte. Kobieta wyglądała jak posąg złej bogini, który stał w zapomnianym przez ludzi miejscu.

Kashim znajdował się u podnóża stosu. Czekał chwilę, lecz nic nie nastąpiło. W końcu, kierowany przeczuciem, klęknął, a wtedy upiór otworzył oczy. Choć Al'Shannagg wiedział już, co go czeka, ziejąca czernią głębia, obramowana sinymi strzępami mięśni, zmroziła go tak samo jak za pierwszym razem. Wargi kobiety poruszyły się.

Powiedziała: „Wracasz do domu. Wracasz do mnie”. Te dziwne słowa rozbrzmiewały w głowie Kashima jeszcze długo po przebudzeniu.

Rozdział 10. Powrót do domu

Piątego dnia podróży żołnierze dostrzegli na horyzoncie ciemne sylwetki Żelaznych Wzgórz. Napoili wierzchowce obok wieży, która była ostatnim posterunkiem przed terytorium Degów. W jej grubych murach bez przerwy pełniło straż kilkunastu zbrojnych. Pouczali podróżnych, że wkraczają na ziemię, gdzie siły paszy nie mogą zapewnić im bezpieczeństwa. Kończyła się pierwsza część wyprawy. Zaczynała się druga, bardziej ryzykowna.

Tylko dwie osoby cieszyły się, widząc coraz bliżej majestatyczne kamienne wzniesienia. Pierwszą był Naur. Rany bardzo mu doskwierały. Nie władał prawą ręką, a twarz cały czas miał ściągniętą bólem. Ożywił się jednak na myśl o powrocie w rodzinne strony i zapewniał towarzyszy, że górskie powietrze szybko go uzdrowi.

Drugą osobą, która widziała w Żelaznych Wzgórzach coś więcej niż tylko niebezpieczeństwo, był Kashim. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, lecz na myśl o czerwonych skałach i wysokich szczytach radowało mu się serce. Nigdy nie był w tej okolicy, lecz krajobraz wydawał mu się znajomy.

Reszta jednak martwiła się i wyrażała swoje obawy głośno. Al'Shannagg musiał uciszyć Shamiraja, który opowiadał, że Degowie pożerają dzieci i obdzierają jeńców ze skóry. Były Duzzah zamknął co prawda usta na rozkaz kapitana, lecz wielu żołnierzy wierzyło w jego historie. Tylko Naur powstrzymywał ich przed głośnym narzekaniem na górali.

Przez trzy kolejne dni oddział zagłębiał się w czerwoną, skalistą krainę. Naur rzeczywiście zaczął wyglądać lepiej, zupełnie jakby tutejsze powietrze miało leczniczą moc. Nie trafili na bandy rabusiów ani buntowników. Co jakiś czas mijali tylko położone przy Wzgórnym Szlaku jurty, których Czendowie podejmowali żołnierzy z Tel'Halik niezbyt radośnie, ale także bez oznak wrogości. Na każdym postoju Kashim wypytywał tych niskich, zasuszonych jakby tubylców, używając Naura jako tłumacza. Dowiedział się, że w okolicach szlaku zamieszkują rody raczej przyjazne władzy Świętego Miasta. Radykałów i buntowników można było spotkać w wysokich górach, gdzie patrole Świętych Jeźdźców nie miały dostępu.

Właśnie w trakcie jednej z takich rozmów Kashim trafił na pierwszy ślad Tarakana. Pewien stary Deg, wykształcony w Tel'Halik, co wśród ludzi gór było rzadkością, widział Pierwszego Geografa ponad sześć tygodni temu.

Tarakan podróżował z tuzinem Gunda'Tian (znaczyło to w lokalnym narzeczu „wiedzmi żołnierze”, a Degowie zwali tak Świętych Jeźdźców ze względu na ich dary). Śpieszył się ponoć bardzo i w każdej mijanej osadzie kupował ogromne ilości jedzenia. Potrzebował prowiantu na dwa miesiące i prowadził ze sobą mrowie jucznych zwierząt.

Rozmówca Kashima nie wiedział nic ponadto, więc ten dał mu kilka srebrnych centim i nakazał ludziom dalszy marsz. Miał nadzieję, że więcej wyjaśni się w Umm'al'Biyara, największej osadzie Degów, która leżała w Żelaznej Dolinie.

*

Święte Miasto powoli ochłonęło z szoku, jakim były pierwsze dni rządów proroka Vezamara. Ludzie przywykli do nowych praw i choć widok Czerwonych Turbanów wciąż przyprawiał ich o dreszcze, pokornie wypełniali polecenia Duzzahów. Coraz mniej osób trafiało do lochów pod Orlim Fortem, choć egzekucje wciąż odbywały się kilka razy dziennie.

Nie wszyscy jednak poddali się nowej władzy i nie chodzi tu bynajmniej o musalitów czy kujarszytów, którzy i za Zerakhima musieli pozostawać w ukryciu. Oprócz wszelkiej maści heretyków przetrwała garstka wolnomyślicieli, związana z naukami osiemnastego proroka, podobnie jak założona przez niego Akademia. Dwaj jej uczniowie, Yari i Mashid, spotkali się właśnie w ciemnym kącie tawerny Pustynny Szczur. W południe było tu jeszcze dość pusto, więc mogli rozmawiać bez obaw o donosicieli i szpiegów.

— Dlaczego mnie wezwałeś, Yari?

— Zbiry Yholeda odkryły pracownię skryby Fahima.

— Na Najwyższego! To zła wiadomość. Wszystkie pisma stracone?

— Tak. Razem z oryginałami, które Fahim kopiował.

Mashid zmartwił się bardzo.

— Zginęło wiele bezcennej wiedzy. Trzeba zabezpieczyć resztę manuskryptów.

— Wziąłem kilkanaście do domu. Dzień i noc przepisuje je mój zaufany sługa. Biedak nie poradzi sobie jednak ze wszystkim.

— Przyślij mi parę. Postaram się pomóc.

— Nie. Mój informator w Orlim Forcie mówi, że straż zainteresowała się tobą. W każdej chwili mogą ci przetrząsnąć dom.

— Znajdę więc innych, na przykład...

— Cisza! Święty Jeździec!

Mashid umilkł i odwrócił się. Próg tawerny faktycznie przekroczył żołnierz, który szukał w to skwarne popołudnie ochłody przy kielichu zimnego trunku. Rozejrzał się po sali i wybrał miejsce odległe od dwóch młodzieńców, lecz oni już nie podjęli rozmowy. Zaczęli głośno rozprawiać o ostatnich wyścigach saurów. Zdążyli się nauczyć, że chwila nieostrożności może się skończyć śmiercią na palu. Nie wiedzieli, że ze strony tego akurat zbrojnego nic im nie grozi.

Nahar, bo to on właśnie odwiedził tawernę, przeczesał dłonią zmierzwioną czuprynę, po czym wezwał obsługę. Kończył właśnie całonocną służbę i czuł, że musi się solidnie napić. Miał wyjątkowo paskudny dzień, co ostatnio stawało się niestety regułą. Musiał ścigać krnąbrnych duchownych, nieprawomyślnych poetów i zbyt mało religijnych prostaczków. Zadanie to napawało go pogardą do nowych porządków i do własnej osoby. Marzył o tym, by opuścić Tel'Halik i poczuć znowu suchy pustynny wiatr. Pasza jednak wciąż nie wypuszczał jeźdźców z miasta. Wyznaczał im za to absurdalne zadania, które leżały poniżej godności obrońcy Ocalonej Krainy. Krążyły plotki, że Asimar boi się, by Vezamar nie usunął go w gorączce zmian. Dlatego właśnie trzymał w Orlim Forcie najlepszych ludzi, których widok codziennie przypominał prorokowi, że jego władza wcale nie jest tak absolutna, jakby wynikało z praw Tel'Halik.

*

Było słoneczne popołudnie dziesiątego dnia wyprawy, gdy jeźdźcy wyjechali ze skalnego przesmyku w długą i szeroką Żelazną Dolinę. Powietrze rozbrzmiewało tu dźwiękiem uderzających kilofów, a w okolicznych zboczach czerniły się kopalniane szyby. W oddali widać było las lepionych z gliny dymarek, w których osmoleni górale wytapiali drogocenny metal. W oczy rzucały się też czerwone ściany fortu, górującego nad doliną jako symbol panowania Tel'Halik. U jego stóp rozciągało się Umm'al'Biyara. W skład osady wchodziło kilkadziesiąt okrągłych jurt, liczne zagrody pełne zwierząt i parę kamiennych domów, które postawili sobie robotnicy i nadzorcy ze Świętego Miasta. Naur skrzywił się, patrząc na dolinę.

— Widzicie symbol upadku Degów. Tylko najpodlejsi z naszego rodu żyją tu, wśród cuchnących wyziewów i wywyższających się ludzi równin. Wielu kusi złoto, którego w górach się nie używa, i wizja łatwego zarobku w kopalniach, ale jedyne, co dostają, to niewola i upokorzenie. Niestety, wymuszono na nas, by wszystkie spotkania Czendów odbywały się właśnie

w tym mieście, pod czujnym okiem wojsk. A fort...

— Naur, wystarczy — rzucił Kashim. — Zamilcz, nim powiesz coś, za co będę cię musiał ukarać.

Góral zacisnął wargi.

— Pojedziemy do fortu? — spytał Shamiraj.

— Nie — odparł kapitan. — Znam jego komendanta. To wyjątkowy dureń, który nie będzie w stanie nam pomóc. Lepiej zatrzymać się w jurcie u tutejszego Czendy i zawrzeć bliższą znajomość z góralami.

Dahro zaklął.

— Dlaczego mamy spać w cuchnących owcami namiotach, zamiast w murach twierdzy?

Naur spiorunował go wzrokiem, a Kashim odparł:

— Bo tak ci każe. Jeśli będę miał kaprys, położysz się spać nawet w kopalnianym szybie.

— Tak, kapitanie — odpowiedział bez entuzjazmu żołnierz.

— Doskonale. Teraz kilka słów do wszystkich. Tutejsi Degowie są mniej czuli na punkcie honoru niż ci z wysokich gór. Musicie jednak uważać na kilka rzeczy. Noście cały czas broń przy sobie, lecz nie eksponujcie jej zbyt, bo jest to postrzegane jako niemiły objaw braku zaufania. Nie wpatrujcie się w kobiety Degów, a już pod żadnym pozorem ich nie dotykajcie. Rodzina dziewczyny utnie wam przyrodzenie i wepchnie do gardła. To stary góralski obyczaj.

Zanar, Fadl i Dahro zarechotali. Naur rzekł:

— Kapitan nie żartuje. Naprawdę tak robimy.

Uśmiech zamarł na ustach żołnierzy, a Kashim kontynuował:

— Traktujcie starszyznę z szacunkiem. Degowie są bardzo przeczuleni na tym punkcie. Nie wchodźcie do żadnej jurty bez zaproszenia jej właściciela. Czy o czymś zapomniałem, Naur?

— Bakshalam, kapitanie!

— Ach tak. Wiedźcie, że obowiązuje tu szczególne prawo gościnności, zwane właśnie Bakshalam. Jeśli poprosicie o gościnę w jakiejś jurcie, zostanie wam udzielona natychmiast i bezterminowo. Gospodarze wierzą, że popełniliby straszny grzech, krzywdząc jakkolwiek gościa, który korzysta z Bakshalam. Możecie ich zwymyślać, zbałamucić im córkę, nasikać do ogniska, a i tak będą siedzieć z uśmiechem. Jest tylko jedno „ale”. Zemszczą się w dwójnasób, gdy tylko opuścicie jurte. Tak więc bądźcie uważni — to, że gospodarze wydają się uradowani i przyjacielscy, wcale nie znaczy, że nie

popęłniliście jakiegoś strasznego występku. Możecie się z nimi zaprzyjaźnić i żartować, a gdy tylko wyjdziecie za próg, dźgną was ghankiem w plecy.

— Barbarzyństwo — powiedział Shamiraj.

— Powstrzymaj takie osądy — odparł Naur. — Dla nas barbarzyństwem jest to, że kobieta — największe piękno, jakie zesłał nam Jedyny — musi się w Tel’Halik kryć za dziesięcioma zawojami.

Kashim ściągnął wodze saura i rzekł:

— Dość już rozmów. Jedziemy do osady znaleźć gościńkę. Potem oporzadzicie wierzchowce, a ja pójdę do fortu zameldować nasze przybycie.

Żołnierze skinęli głowami i zaraz puścili się galopem w dół zbocza. W popołudniowym słońcu ich pancerze błyszcząły tak, że było je widać z samego końca doliny.

*

Jurty Degów były dużymi budowlami, w każdej bowiem musiał się zmieścić cały ród, który liczył czasem i czterdzieści osób. Aby zapewnić najlepszą ochronę przed zimnem i palącym słońcem, co roku każda rodzina doczepiała do pokrycia jurty kilka nowych skór. Starych nie zdejmowano, więc ściany budowli robiły się coraz grubsze i grubsze. Wiekowe jurty potrafiły po złożeniu ważyć tyle, że musiano przewozić je na ośmiu jucznych bacharnach. Wielkie ilości drewna, potrzebne do wykonania szkieletu, górale zdobywali w odległych miejscach. Dlatego właśnie sama jurta często była wielokrotnie cenniejsza niż wszystko, co się w niej znajdowało. Każdy ród uważał swoją siedzibę za największy skarb.

Wnętrze jurt zawsze było podobne, od wieków planowane zgodnie z tradycją. Na środku znajdowało się wielkie palenisko, a w dachu nad nim widniał otwór. Nieopodal paleniska wkopana była w ziemię kamienna misa. Gotowano w niej wodę otoczakami wyjętymi z płomieni. Służyła też jako piec chlebowy. Po rozgrzaniu ścian obkładano je cienką warstwą ciasta i w ten sposób powstawały ogromne placki, będące obok nabiału podstawą pożywienia Degów.

Wokół paleniska leżały zawsze futra, na których mogli usiąść domownicy, a z tyłu stały gliniane naczynia z owczym mlekiem, kumysem, serem i innymi zapasami. Przy ścianach znajdowało się kilka odgradzonych zasłonami „pomieszczeń”. Jedno należało do Czendy i jego małżonki, jedno było zarezerwowane dla gościa, a pozostałe służyły dorosłym i żonatym członkom rodu. Dzieci spały wraz z osobami wolnego stanu wokół paleniska.

Dokładnie tak wyglądała siedziba rodu Bakh’Agzi, w której Kashim z

oddziałem spędzał wieczór. Stary Czenda cieszył się bardzo z gości. Co chwila rozkazywał żonie przynosić kolejny dzbanek kumysu czy główkę sera. Jego liczni synowie zarzucali żołnierzy pytaniami o najnowsze zdarzenia w Tel’Halik. Kobiety, choć siedziały po przeciwnej stronie ognia, nie wydawały się spłoszone. Wręcz przeciwnie — podśmiewały się z opowiadań gości i słały im zalotne spojrzenia. Wiele dziewcząt z Umm’al’Biyara marzyło, aby zostać żoną żołnierza i przeprowadzić się do Świętego Miasta.

Kashim radował się rozmową z gościnnymi góralami i bawił dobrze, mimo że ledwie godzinę temu wyprowadziła go z równowagi rozmowa z komendantem Abashimem. Ten niezbyt lotny mężczyzna, który chorobliwie nienawidził Degów i węszył wszędzie spisek, uroił sobie, że patrol Jeźdźców ma sprawdzić, czy zarządza osadą w odpowiedni sposób. Dlatego zorganizował naprędce egzekucję pięciu buntowników. Nieprzyjemny spektakl popsuł Kashimowi humor. Na dodatek oficer poznał wieści z Tel’Halik, które nie napawały radością. Vezamar na stanowisku proroka źle wróżył Świętemu Miastu, podobnie jak uchwalone przez niego prawa.

Teraz jednak Al’Shannagg zapomniał o zmartwieniach. Gospodyni właśnie skończyła przygotowywać potrawkę z baraniny. Było to świąteczne danie, przyrządzone wyłącznie z powodu gości, Degowie bowiem niechętnie zjadali swoje zwierzęta. Żołnierzom podano dużą miskę i wielki na cztery łokcie płąt świeżo upieczonego chleba. Naur musiał poinstruować przyjaciół co do sposobu spożywania posiłku, gdyż górale nie używali naczyń innych niż wspólna misa. Łyżki i noże, do których przywykli mieszkańcy Świętego Miasta, nigdy się tu nie przyjęły.

Zamiast nich wykorzystywano właśnie tutejszy chleb. Degowie nabierali na niego potrawę jak na talerz, a z mniejszych kawałków robili szpatułki, które napełniali daniem i zjadali. Wymagało to jednak odrobiny zręczności, by jedzenie nie spłynęło z kawałków placka. Żołnierzom przez dłuższy czas nie udawało się donieść do ust całej porcji i brudzili się, budząc tym samym wybuchy wesołości u dziewcząt, które wszystko obserwowały.

Kashim zauważył w pewnym momencie, że Jeźdźcy nie są jedynymi gośćmi jurty. W odgrodzonym zasłonami pomieszczeniu rozbrzmiewały co jakiś czas podniesione głosy kilku młodzieńców. Wreszcie ciekawość zwyciężyła i Kashim spytał starego Czendę:

— Gospodarzu! Kto rozmawia za tą zasłoną?

— Trzech moich synów spiera się z Tenzihem, Czendą jurty Bakh’Dezi.

Gorąca głowa! Pochodzi z wysokich gór. Wasz komendant bardzo go nie lubi i groził mu już stryczkiem.

— Nasz komendant za dużo wiesza, a za mało rozmawia.

— Istotnie, żołnierzu z równin. Abashim ma złą reputację i wiele jurt przysięgło mu śmierć. To tylko wzmacnia jego obawy. Boi się opuszczać fortecę, a nim uda się na spoczynek, zagląda pod łóżko, by sprawdzić, czy nie czai się tam kilku Degów z ghankami.

Żołnierze roześmiali się, podobnie jak synowie górala. Kashim uznał, że nadszedł czas na zadanie poważniejszych pytań.

— Wiesz może, mądry Bakh'Agzi, gdzie kryją się oddziały rabusiów i buntowników?

Synowie starca popatrzyli na niego stropieni, a on sam odparł:

— Nie lubimy o tym mówić, żołnierzu. Wielu ludzi gór uznaje, że nawet Deg przestępca jest lepszy od człowieka równin. Nie wydajemy naszych banitów. Wolimy radzić sobie z nimi sami.

Kashim skinął głową, choć liczył bardzo na jakąś informację.

— Jeśli nie życzysz sobie odpowiadać na pytania dotyczące twojego ludu, może chociaż pomożesz mi w sprawie mojego. Znasz może uczonego z Tel'Halik, który zwie się Tarakan Al'Maran?

— Gościłem tego człowieka. Był obyczajny i pełen godności. Niestety, szybko pojechał, kierując się z ludźmi dalej na zachód. Wziął ze sobą przewodnika z jurty Skahn. Potem już nigdy o nich nie słyszałem. Podobno zaginał na Czerwonych Pustkowiach.

Al'Shannagg chciał zapytać o coś jeszcze, ale w tym momencie z zasłoniętej części pomieszczenia wyszło czterech mężczyzn. Trzech przypominało Czendę zarówno ubiorem, jak i wyglądem, czwarty jednak prezentował się zgoła osobliwie. Niemal równy wzrostem Kashimowi, górował nad rodakami o głowę. Miał też bardziej delikatne oblicze. Zmierzył siedzących przy ogniu żołnierzy nienawistnym spojrzeniem. Zamarł jednak, gdy jego wzrok dotarł do twarzy Kashima. Stał dłuższą chwilę, zupełnie jakby zobaczył zjawę. Wreszcie odwrócił się i wyszedł spiesznym krokiem. Nie pożegnał się nawet z gospodarzem, co było u Dega niezwykle zachowaniem.

Kashim siedział chwilę zamyślony. Wreszcie zerwał się na równe nogi i pobiegł za Tenzihem, lecz nie zdążył go dogonić, bo gdy wypadł z jurty, młodzieniec właśnie oddalał się na rączym koniu. Kashim wrócił do ognia i przeprosił Czendę za zamieszanie.

— Znasz go? Patrzył, jakbyś zabił mu ojca — rzekł Naur.
— W życiu nie widziałem tego mężczyzny — odparł Kashim.
Po chwili zwrócił się do gospodarza:
— Gdzie znajduje się jurta Bakh’Dezi?
— O dwa dni drogi stąd, jeśli zna się górskie skróty, lub o pięć dni, jeśli pojedzie się drogą.
— Dlaczego pan pyta, kapitanie? — Zaciekawiał się Muin.
— Zamierzam tam jechać.
Zanar jęknął.
— Przecież to nie ma nic wspólnego z zadaniem!
Shamiraj dodał:
— Przed chwilą powiedział pan, kapitanie, że to obcy człowiek. Po co go odwiedzać?
— Wyznałem tylko, że nigdy nie widziałem go na oczy. Wydał mi się jednak znajomy. A ja jemu.
Czenda pokiwał głową, jakby doskonale wiedział, o co chodzi.
— Jeśli wyprawa do Bakh’Dezi was nie interesuje — rzekł Kashim — i wolicie towarzystwo Abashima, możecie zostać w Umm’al’Biyara do mojego powrotu.
Nie było chętnych.

*

Gdy nad Żelazną Doliną rozpostarła się upstrzona gwiazdami płachta nocy, w odległym Tel’Amman dopiero zachodziło słońce. Na brzegu Shaprut siedzieli zmęczeni długim dniem rybacy, plotkowali i patrzyli na szeroką, majestatyczną rzekę. Jej wody błyszcząły teraz karmazynem. Po drugiej stronie nurtu widać było misterną siatkę pól i kanałów nawadniających, gdzieniegdzie poprzerywaną palmowymi zagajnikami. Wracali stamtąd niewolnicy, prowadzeni przez nadzorcę. Zmierzali w stronę szerokiego drewnianego mostu. Nieopodal znajdowała się przystań, gdzie poławiacze pereł zwijali żagle i przywiązywali swoje łodzie do nabrzeża.

Za rybakami, na niedużym wzgórzu, wznosiło się miasteczko — spiętrzona, jakby chaotyczna zbieranina domków o bielonych ścianach i płaskich dachach. Na samym szczycie stała otoczona ogrodem, rozłożysta willa.

Salman Makhar’Bakhr siedział właśnie w gabinecie o wielkich oknach i patrzył na przepływającą w dole rzekę oraz na krzątających się ludzi. Jego pomarszczona dłoń trzymała kalam, jednak zawisła w bezruchu nad kartą

pergaminy.

Dziś Salman czuł jeszcze większy spokój ducha niż zwykle. Wieczorem przeszedł po ogrodzie, wśród soczyste zielonych oliwnych drzewek, a potem przysiadł na trawie i długo delektował się aromatycznym wywarem z owoców yar, które dopiero co przywiózł kurier z Jedwabnych Oaz. Następnie, widząc że słońce chyli się ku zachodowi, rozłożył dywanik i pogrążył się w modlitwie.

Zaczął od wyznania wiary, zwanego Buhari, którego nikt nie miałby odwagi wypowiedzieć głośno w Tel'Halik. Starzec był bowiem musalitą. Po spełnieniu obrządku swego kościoła przystąpił do kontemplacji Księgi. Niespodziewanie, gdy recytował święty tekst, poczuł szczególną rzecz — roztopił się niemal w słowach, zupełnie jakby to nie on je wypowiadał. Zdawało mu się, że jego serce przestało bić, że nie ma już rąk, nóg, ust ani reszty starczego ciała. Istniało tylko wieczne słowo, które wypełniało całkowicie umysł Salmana i grzmiało, jakby mówił sam Bóg. Po skończonej modlitwie wszystko wydawało się jaśniejsze, a każdy najmniejszy szczegół od czerwonej plamy ptaszka na zieleni krzewu po zapach wieczornej rosy wydawał się arcydziełem sztuk. W

tym nastroju mężczyzna usiadł w gabinecie, by skończyć poemat o poławiaczach pereł, w którym grzązł już od paru ładnych dni, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Tym razem był pewien, że mu się to uda.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, przytknął kalam do pergaminu i zaczął pisać pięknymi, zamaszystymi literami:

Twarde ma serce naczelnik czterech poławiaczy,
a każdy z nich ma inną skórę i budowę ciała.
Długo się spierali, nim zapadła decyzja,
komu powierzą przewodnictwo grupy.
Łódź o pięknych kształtach odbiła od brzegu
i po kolei rzucała ich w fale.
W końcu stracili nadzieję,
miesiąc mijał za miesiącem.
Kotwica zarzucona u brzegów Tahluka
zatrzymała raz jeszcze bieg zmęczonej łodzi.
Skoczył do wody poławiacz chudy i kudłaty.
Wyrwano mu boczne zęby, żeby był odporny.
Właśnie wypłuł oliwę, jest bardzo spragniony,
pali go gorączka niesiona przez nędzę.
Ojca mu zabito, zaś on mówi: pójdę,
może mi los ofiaruje wreszcie jakąś zdobycz.
Jest południe, woda pochłania nędzarza,
a jego towarzysze patrzą na wodę bezradnie.

Wypływa na powierzchnię, w ręku trzyma zdobycz
błyszczącą jak płomyk żaru na małym węgielku.
Proponują mu cenę, lecz on się nie zgadza.
Pan go pyta: Nie sprzedasz?
Przed perłą kłaniają się maszty,
a on ją tuli do piersi obiema rękami.

Salman przerwał, niepewny, czy zakończenie jest dostatecznie piękne, czy też może dopisać jeszcze jeden wers. W tym momencie, jak to często się zdarza, myśli uciekły mu gdzieś w bok. Przypomniawszy sobie, że w szufladzie czeka list, który przyniósł mu gołąb ubiegłego wieczoru. W piśmie lojalny przyjaciel z Tel'Halik ostrzegł Makhar'Bakhra, że nowy prorok jest mu wrogi i że wysłał ponoć do Tel'Amman innego rządcę. Salman nie dał się wyprowadzić tą wieścią z równowagi. Wiedział dokładnie, jaką sobą przedstawia wartość.

Gdy pierwszy raz stanął u brzegów Shaprut czterdzieści lat temu, wiele pól wokół miasteczka leżało odłogiem, muł i osady zatykały już nawet wielki kanał Jazid, a rolnicy, pogrążeni w krwawych waśniach o ziemię, nie dbali o swe obowiązki. To Salman, drogą namów, a czasem rozważnie udzielanych kar, wprowadził nowy sposób rządzenia prowincją. Podzielił wszystkie majątki na osobno nawadniane poletka o boku jednego kirata, ustalił zasady dziedziczenia ziemi i odpowiedzialności za kanały. Z Tel'Amman popłynął do Tel'Halik strumień złota oraz karawany obładowane płodami rolnymi.

Zanim Makhar'Bakhr przybył do Tel'Amman, wokół widać było pstrą mozaikę źle nawodnionych ogródków, pociętych płotami. Teraz z jego okna rozciągał się piękny widok na idealnie zadbaną, zieloną szachownicę pól.

Jakby tego było mało, starzec słynął nie tylko jako administrator. To właśnie on napisał „Prawa rządzenia” — księgę, którą skopiowano już ponoć w stu egzemplarzach i z której uczyli się młodzi urzędnicy na dworze proroka. Potem Makhar'Bakhr zajął się poezją i również w niej osiągnął niemały sukces, tworząc na starość wiersze uważane przez wielu estetów Świętego Miasta za niedościgły wzór. Sam prorok Zerakhim nadał mu tytuł Mędrca Mędrców i uważał za osobistego przyjaciela, co było najwyższym możliwym zaszczytem dla wiernego.

Nic więc dziwnego, że Salman nie traktował ostrzeżeń poważnie. Vezamar, ten popędliwy parweniusz, nigdy nie odważyłby się go zdjąć z urzędu. Rządca chciał więc odpisać przyjacielowi, że jego obawy są zbyteczne, lecz na razie nie miał czasu, zajęty codziennymi obowiązkami.

Starzec odłożył kalam i jeszcze raz uważnie obejrzał rękopis. Teraz był

pewien, że dzieło jest skończone. Ostrożnie i jakby z namaszczeniem odsunął go na bok i już chciał się zabrać do następnego pomysłu, gdy z podwórka dobiegły jakieś hałasy. Wyraźnie rozróżniał w nich syczenie saurów i szczęk broni.

Salman nie drgnął nawet i w spokoju czekał, aż zjawi się sługa i wyjaśni mu całą sytuację. Nuzat przybiegł zdyszany po paru sekundach.

— Panie! — krzyknął. — Jacyś zbrojni wdarli się do domu! Mufa, Hudzwiri i Asar próbują ich powstrzymać. Powinieneś, panie...

W tym momencie gdzieś z głębi posiadłości dobiegł agonálny jęk. Nuzat zadrżał i zaczął się modlić. Salman tylko odetchnął głęboko. Powoli odsunął krzesło i wstał od stołu. Był zaskoczony, lecz nie bał się, gotów zaakceptować każdy los, jaki zapisał mu Najwyższy.

Po chwili ktoś zerwał zasłonę, która wisała w drzwiach gabinetu. Do środka weszło pięciu brodatych mężczyzn w czerwonych turbanach, z obnażonymi szablami w dłoni.

— Jak śmiecie wchodzić bez pozwolenia! — krzyknął Nuzat i rzucił się, by ich powstrzymać.

Jeden z żołnierzy ciął go z rozmachu szablą. Sługa zwałił się na dywan i zaraz znieruchomiał w szybko powiększającej się kałuży krwi.

— Czemu zabijacie tych niewinnych ludzi? Czy to nie po mnie przyszliście? — Rzekł Salman.

Jeden z mężczyzn wyszczerzył zęby.

— Widzę, że nie jesteś głupi, starcze. Płomień Najwyższego, wspaniały prorok Vezamar, postanowił zdjąć cię z urzędu. Od jutra twoje obowiązki przejmie komendant Al'Safadi, który jest w drodze z Tel'Halik.

— Jeśli prorok Vezamar był niezadowolony z moich rządów, wystarczyło, by napisał, a w jeden dzień opuściłbym ten dom.

— Milcz, psie! Nie tobie pouczać proroka.

Salman zmierzył rozmówcę uważnym wzrokiem. Czuł jedynie dojmujący smutek, gdy widział młodych oprawców, którzy wpadli pogwałcić spokój gabinetu, gdzie od dziesiątek lat nie słyszano nawet podniesionego głosu. Żał mu też było, że wojownicy nie mają respektu wobec cudzego wieku, zasług ani mądrości. Powiedział spokojnie:

— „I rzekł wtedy Sammar: napomnij bliźniego, gdy widzisz, że błądzi, choćby był ci panem lub nauczycielem. Najmądrzejszy bowiem łącznie najgłupszym stać się może, gdy brakiem sprzeciwu utwierdzony brnie coraz głębiej w omyłkę”.

— Nas też nie będziesz uczył. Na kolana! Błagaj o zmiłowanie! Prorok powiedział, że nie jesteś już potrzebny w Ocalonej Krainie. Od nas zależy, czy cię wbijemy na pal, czy może tylko zaprzęgniemy do sochy.

Starzec stał bez ruchu. Wojownik spurpurowiał z wściekłości. Postąpił naprzód i pchnął Salmana, lecz ten zaraz wyprostował się i przyglądał szaty.

— Zabij mnie lepiej, synu świni, bo dla twojego proroka nie będę nawet orał pola.

Szabla błysnęła w powietrzu.

Salman Makhar'Bakhr upadł na podłogę tuż obok biurka. Ostatnimi gasnącymi szybko myślami zastanawiał się, czy słudzy zdołają ocalić jego poemat. Tak pragnął, by odczytano go w sali natchnień Pałacu Książ.

Kiedy rządca wydał ostatnie tchnienie, jego zabójca splunął na ciało, po czym krzyknął:

— Szybciej, psy! Wymieść stąd i spalić wszystkie heretyckie śmieci. Musimy przygotować dom na powitanie komendanta!

*

Następnego dnia Al'Shannagg wziął jednego z synów Czendy jako przewodnika. Wypytał go dokładnie o drogę i gdy okazało się, że wyprawa będzie musiała pokonać naprawdę strome, niebezpieczne wzniesienia, kazał Naurowi zostać w jurcie. Góral protestował, dowodząc kapitanowi, że bez jego pomocy rozmowy z Bakh'Dezimi będą trudne. Kashim jednak nie ustąpił. Nie chciał narażać rannego człowieka, a poza tym kości Naura, bez kilku dni odpoczynku, mogły się źle zrosnąć.

Późnym popołudniem ośmiu żołnierzy wyruszyło na szlak, zwany przez górali Ścieżką Kozic. Jeszcze przed zmierzchem okazało się, że droga potrwa dłużej, niż sądzono. Saury, urodzone i wychowane na równinach, bardzo niechętnie wchodziły na skalne półki czy skakały nad rozpadlinami. Tylko gad przewodnika, wprawiony w takich trasach, z łatwością pokonywał przeszkody. Okazało się również, że Shamiraj, Muin i Fadl źle znoszą wysokości. Ich blade ręce kurczowo zaciskały się na wodzach za każdym razem, gdy wierzchowiec zbliżał się do przepaści. Kapitan chciał odesłać tę trójkę do Umm'al'Biyara, lecz żołnierze stanowczo odmówili. Zresztą bez przewodnika i tak nie trafiliby z powrotem.

Obóz rozbito na niewielkim szczycie, gdzie ludzie spali stłoczeni z wierzchowcami. Niektórzy nie mogli zmrużyć oka w obawie, że we śnie spadną w otchłań.

Trzeba było czekać aż do południa, by gady wystarczająco się ogrzały i

były zdolne do dalszej wspinaczki. Zamiast połowy trasy ujechali zaledwie jedną trzecią. Kashim kłął w myślach, wiedząc, że jego kaprys będzie kosztował żołnierzy wiele czasu.

Trzeci dzień był bardzo męczący. Jeźdźcy wstali przed świtem, a zwierzęta zmuszono do wysiłku, nim jeszcze porządnie się obudziły. Nie stanowiło to ryzyka, teraz bowiem wyprawa pokonywała rozległy płaskowyż. Saury mogły się potykać i zataczać, byle tylko parły do przodu.

Im bliżej było do jurty Bakh'Dezi, tym częściej Kashimowi zdawało się, że zna okolicę. Kolczaste krzewy, rozpadliny, samotne skały — wszystko to kiedyś już widział.

Gdy wyprawa zatrzymała się wreszcie na nocleg, żołnierze padali z nóg. Była już niemal północ i wyziębnięte saury nie mogły dalej iść. Kashim czuł się dość dobrze, więc postanowił pełnić wartę pierwszy. Jego ludzie oporządzili wierzchowce, ściągnęli z nich derki i rozłożyli na ziemi. Potem szybko zasnęli okryci ciepłymi płaszcami. Wokół zapadła cisza, przerywana czasem czymś chrapnięciem.

Kashim siedział i wpatrywał się w ognisko. Czuł się dziwnie rześko, jeśli wziąć pod uwagę długą podróż.

Każdy żołnierz wie, jak dłużą się minuty na samotnej warcie. Kashimowi zdawało się, że ślęczy przy ogniu już wiele godzin, lecz księżyc wskazywał, że upłynęła ledwie połowa zmiany. Znużony monotonnym tańcem płomieni, zaczął wbijać wzrok w ciemność, jakby w nadziei, że poza kręgiem światła zobaczy coś ciekawego. Podskoczył niemal ze strachu, gdy rzeczywiście dostrzegł tam jakiś kształt. Kształt, który nie mógł należeć do nocnego zwierzęcia.

Do ogniska zbliżała się kobieta. Jej biała skóra odcinała się wyraźnie w mroku. Z początku Al'Shannagg miał nadzieję, że to jakieś zagubione góralskie dziecko, jednak po kilku chwilach groza zaczęła mu ścisnąć gardło. Zaciśnięte powieki, czarne włosy, blada twarz, lniana koszula — wygląd przybyłej nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Kashim spotkał zjawę ze snów! Siedział jak sparaliżowany, a ona zbliżyła się i zatrzymała dokładnie po przeciwnej stronie ogniska. Wyciągnęła w jego kierunku trupa rękę. Rzekła powoli:

— Tutaj miałeś się urodzić. Tutaj miałeś umrzeć. Zostań.

Ruszyła w stronę ogniska. Kashim drgnął, gdy jej stopy znalazły się w płomieniach, lecz zjawa przeszła przez ogień, nie doznając krzywdy. Mężczyzna poczuł przeraźliwe zimno, które wionęło od jej ciała. Mimo

trupiej zieleni wokół paznokci i krwawych, pustych oczodołów Al'Shannagg czuł nieodpartą chęć, by objąć ją ramionami. Zjawa wyciągnęła jednak ręce pierwsza. Dotknęła jego piersi, a żołnierz krzyknął. Lodowate dłonie odmroziły mu ciało. Zjawa otworzyła usta. Kashim dostrzegł w nich równe białe ząbki i kłębiące się wokół opuchłego języka robactwo.

— Zostań! — powtórzył upiór.

W tym momencie ciężka dłoń Zanara potrząsnęła Al'Shannaggiem.

— Kapitanie! Usnął pan na warcie.

Kashim otworzył oczy i spojrział na żołnierza. Ponad jego grubą twarzą widział także zmartwione oblicza Muina i Fadla.

— Przepraszam. Widać nie doceniłem swojego zmęczenia.

— To był ciężki dzień, kapitanie. Wszyscy jesteśmy wyczerpani. Ale, na Najwyższego, dlaczego pan tak krzyczał?

— Krzyczałem?

Fadl i Muin skinęli głowami.

— Miałem koszmar. Nawiedziła mnie we śnie Erha. Już wszystko w porządku.

— Może pan iść spać, kapitanie. Teraz moja warta.

Kashim skinął głową. Zsunął pancerz i rzucił się na pled. Gdy był już pewien, że nikt nie patrzy w jego stronę, sięgnął pod koszulę. Syknął zaraz z bólu. Spojrział na swoją pierś i zadrżał, bo zobaczył na niej czerwony, przypominający odmrożenie odcisk dłoni.

*

Nahar i Mudda nie rozmawiali często, bo dom Al'Iarnak był duży i miał wiele drzwi. Można było w nim mieszkać i nie widzieć kogoś z członków rodziny przez tydzień. Na dodatek obaj młodzieńcy często nocowali poza rezydencją. Nahar korzystał z kwatery w Orlim Forcie, a Mudda ze swojego gabinetu. Jednak kiedy się spotkali, zamieniali zawsze choć kilka słów. Nie inaczej było tego chłodnego ranka, gdy idący na poranną musztrę Nahar wpadł przed furtką na Muddę, który właśnie wracał do domu. Duzzah był niewyspany i blady. Jego włosy sterczały w nieładzie na boki, a szata wyglądała na niepraną od wielu dni.

— Znowu siedziałeś do rana nad księgami, bracie? — spytał żołnierz.

— Żeby tylko. Wiedz, że to słodki trud. Ale wyznaczono o wiele gorsze zadanie.

— Wyznaczono? Pasza, pałac, jakiś starszy Duzzah?

Mudda pokręcił głową, dając do zrozumienia, że tego wyjawić nie może.

— To ważna osoba i nieroztropnie byłoby się jej sprzeciwiać — odrzekł.

— Co konkretnie robisz? Jeźdźcy nie mają teraz wiele zajęć, więc może...

— Nie, bracie. To praca dla uczonego, a nie dla żołnierza. Prowadzę badania nad genealogią pewnej szczególnej osoby. Będę musiał wyjechać do Żelaznych Wzgórz, żeby porozmawiać ze świadkami.

— Aż do Żelaznych Wzgórz? Na Najwyższego! To przecież bardzo niebezpieczne.

— Będę miał silną ochronę i miszek złota.

Te słowa nie uspokoiły Nahara.

— Mimo wszystko bądź ostrożny. Dla górali zemsta jest ważniejsza od pieniędzy. Jeśli spotkasz Kashima, pozdrów go ode mnie.

— Nie omieszkam — odparł Mudda. — A jak powodzi się tobie?

— Źle. Jakże inaczej w tak podłych czasach.

— Uważaj na podobne słowa. Jeśli wyrwą ci się w złym towarzystwie, możesz trafić do Pałacu Sprawiedliwych.

— Wiem.

Stali przez chwilę w milczeniu, jakby każdy spodziewał się, że ten drugi zaraz coś powie.

— No to... żegnaj — rzekł w końcu Nahar.

— Niech Najwyższy cię strzeże, bracie.

Wymienili pocałunki i rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Nahar westchnął, myśląc o misji Muddy. Do wielu zmartwień, które ostatnio na nim ciążyły, doszło właśnie kolejne.

*

Jurta Bakh'Dezi nie była bogata. W niej i w kilku mniejszych szałasach mieszkało razem prawie osiemdziesiąt dusz. Żywiło ich niewielkie stado i cierpkie owoce, które zbierano z krzewów w okolicznych wąwozach. Resztę rzeczy górale kupowali za wierzchowce chwytane i ujeżdżane przez młodych Bakh'Dezich.

Ciężko żyło się temu szczepowi Degów. Zamieszkiwał wysokie, nieprzystępne góry i gospodarzył na całkiem jałowych ziemiach. Na dodatek nie podporządkował się rozkazom z fortu w Umm'al'Biyara, przez co ludzie Abashima szykanowali Bakh'Dezich i uniemożliwiali im handel w Żelaznej Dolinie. Jednakże trudne warunki tworzą twardych ludzi. Jurta Bakh'Dezi była poważana, bo wojownicy, którzy się z niej wywodzili, słynęli z odwagi, nieustępliwości i wielkiego kunsztu. W opowieściach o dawnych wojnach, powtarzanych wieczorami przy ogniskach, często przewijała się nazwa rodu.

Mówiono, że idealny Deg powinien być sprytny jak Tan’Ganczar, urodziwy jak Mbadan’Czien i waleczny jak Bakh’Dezi.

Kashim wiedział, że wjechanie bez zezwolenia na ziemię szczepu, który słynie z nienawiści do ludzi równin, może być niebezpieczne. Dlatego ostatniego dnia podróży, gdy przewodnik zapewniał, że jurta jest już niedaleko, nakazał podwójną ostrożność. Żołnierze dopięli pancerze i włożyli hełmy, czego starali się zazwyczaj unikać ze względu na palące słońce. Jechali powoli i uważnie rozglądali się na boki. Nie trzymali broni w dłoniach, lecz byli gotowi w każdej chwili jej użyć.

Okazało się, że nawet wzmożona czujność nie pomogła Świętym Jeźdźcom. Wpadli w zasadzkę w wąskim wąwozie, gdzie z grot i jaskiń, które otaczały szlak, wysypali się nagle górale. Przeciwnicy byli wysocy, odziani w wilcze skóry, a w dłoniach ściskali ostre jak brzytwa ghanki i dwubrzusne łuki. Przewodnik zaczął coś krzyczeć w narzeczu Degów, machając rękoma i wskazując Kashima.

Al’Shannagg siedział spokojnie w siodle mimo kilkunastu strzał wymierzonych w swoją pierś. Jego ludzie też nie okazywali strachu. Tymczasem siwy wojownik odziany w bogaty ured kłócił się z przewodnikiem. Wreszcie zniecierpliwiony kapitan spytał:

— O co chodzi, Inzimie?

— To strażnicy ziem Bakh’Dezi. Nie chcą nas wpuścić i nalegają, byśmy zawrócili.

— Powiedz, że prosimy o Bakshalam. Chcemy uzupełnić zapasy wody i porozmawiać z szanownym Czendą Tenzihem.

Góral przetłumaczył słowa żołnierza. Mężczyzna w uredzie odkrzyknął coś, żywo gestykulując.

— On mówi, że Bakshalam dotyczy Degów, a nie Gunda’Tian.

Kashim westchnął i zdjął hełm, by otrzeć czoło z potu. Ten gest przyniósł nieoczekiwany rezultat. Gdy górale zobaczyli jego twarz, cofnęli się przerażeni o krok. Siwiejący wojownik opuścił ostrze i długo wpatrywał się w oczy Al’Shannagga.

Wreszcie rzekł cicho kilka słów.

— Co powiedział? — spytał zaskoczony Kashim.

— „Drzwi jurty są zawsze otwarte dla mężczyzny z rodu Bakh’Dezi, nawet jeśli wraca po wielu latach”.

*

W malej kotlinie, poniżej jurty i innych zabudowań, Bakh’Dezi zrobili

zagrodę dla koni. Ponieważ teren sprzyjał, nie musieli używać wiele drewna, drogiego i rzadkiego tu materiału. Stoki kotliny były zbyt strome nawet dla małych górskich koników. Jedyne łagodniejsze podejście zostało odgrodzone płotem, dzięki czemu półdzikie wierzchowce nie mogłyby wyrwać się na wolność. Mały strumyk, który spływał ze skał, zapewniał im świeżą wodę, a rzadka trawa porastająca ziemię sprawiała, że Degowie nie musieli się martwić o jedzenie dla stada.

Do tej właśnie zagrody zaprowadzono Kashima, gdy przybył do jurty. Jego żołnierze zostali przy zabudowaniach, oporządzali i poili wierzchowce. On tymczasem zszedł stromą ścieżką pod sam płot.

Jesień była porą chwytania dzikich koni. Ich stada przemieszczały się w niższe partie gór, gdzie łatwiej było je łapać. Przez zimę zwierzęta chętnie trzymały się człowieka, a wiosną były już całkowicie oswojone.

Tenzih właśnie ujeżdżał szczególnie dorodnego wierzchowca. Koń został już złamany. Zlany potem i pianą jeździł wokół kotliny zgodnie z poleceniem pana. Co jakiś czas próbował jeszcze zrzucić go z grzbietu, lecz wysiłki te były coraz radsze.

— Witaj! — rzekł głośno Kashim i oparł się o ogrodzenie.

— Witaj, człowieku z równin — odpowiedział Tenzih.

Mówił dobrze językiem Świętego Miasta, bo w obecnych czasach musiał to umieć każdy Czenda. Ściągnął wodze i zwrócił konia w stronę Kashima.

— Biegacz doniósł mi, że przybędziesz. Nie miej mi za złe, że nie zejść uściskać ci ręki. Trzeba zajeździć tego ogiera, bo inaczej jutro będę musiał powtarzać wszystko od nowa. Jesteś więc synem Rahmata Al'Shannagga?

— Tak. Umarł, gdy byłem mały. Nie pamiętam nawet jego twarzy. Czy przypominam go? Czy to dlatego tak na mnie patrzyłeś w Umm'al'Biyara?

Koń zakwiczał i podskoczył. Tenzih ścisnął go udami i szarpnął za sznur. Zwierzę zaczęło się obracać z zadem przy ziemi.

— Jesteś podobny do Rahmata, lecz nie to mnie uderzyło. Chodzi o podobieństwo do... innej osoby. Dlaczego tu przyjechałeś?

— Czemu pytasz?

Tenzih zmusił konia, by zbliżył się do Kashima.

— Bo wolałbym nie widzieć cię w swojej jurcie. Jesteś Bakh'Dezim, ale jesteś też synem zdrajcy i wiemy.

— Jestem Bakh'Dezim? — rzekł Kashim zdziwiony.

— Tak. Rahmat Al'Shannagg zawarł braterstwo krwi z Nobru, moim ojcem. Tym samym wszedł do klanu, choć gdyby to ode mnie zależało,

wymazałbym go dawno z pamięci rodu.

Wierzchowiec znów zarżał, a Tenzih smagnął go po szyi wodzami.

— Co takiego uczynił mój ojciec, że zwiesz go zdrajcą?

— Raczej czego nie uczynił, człowieku z równin. Chętnie mieszkał pod naszym dachem, jadł nasz chleb. Ochoczo wziął jedną z naszych kobiet. Jednak gdy posłaliśmy do niego wieść, że klan szykuje się na wojnę, nie zjawił się. Co więcej — ruszył do walki po stronie wrogów.

— Z tego co wiem, Degowie nie uważają, że syn dziedziczy grzechy ojca.

— Istotnie. Nie mamy takiego zwyczaju. Ale jesteś do niego bardzo podobny i również służyysz Świętemu Miastu. Nieroztropnie byłoby pozwolić ci mieszkać w naszej jurcie. Tym bardziej...

To mówiąc, ponownie zawrócił konia.

— Tym bardziej, że masz w sobie dziedzictwo Anda’Kien. Widać to w twoich oczach.

Kashim zamilkł na chwilę, jakby bał się zagłębiać w tę sprawę. Wreszcie zapytał:

— Jaka była moja matka? Opowiedz mi!

Tenzih zrobił jeszcze jedno koło, a potem lekko zeskoczył z grzbietu zwierzęcia, które odbiegło w głąb kotliny i dołączyło do reszty stada. Czenda podszedł do wojownika. Oparł się o ogrodzenie i wytarł spocone dłonie w pikowaną szatę.

— Nie powiem ci wiele, ale nie ze złej woli. Nie znałem Długowłosej. Odeszła z twoim ojcem, gdy miałem zaledwie dwa lata. Wiem tylko to, co słyszałem od starszych kobiet.

— Każdy szczegół jest dla mnie na wagę złota.

— Była piękna jak letni poranek, lecz zarazem niebezpieczna jak nocny drapieżnik.

— Miała dar?

— Była wiedźmą, jeśli o to pytasz. Wieszczyła, rozmawiała ze zwierzętami, czasem wpadała w wielodniowy trans, z którego budziła się na wpół żywa.

— Jak... Czy wiesz, jak wyglądała?

— Miała od dziecka bardzo bladą skórę. Czarny warkocz sięgał jej prawie do kolan, a po rozpleceniu wlokła włosy po ziemi.

Przed oczyma Kashima stanął obraz zjawy z koszmarnych słów.

Jej słowa zaczęły nabierać sensu.

Tenzih opowiadał dalej:

— Wydarła serce wielu wojownikom Bakh’Dezi. Nawet...

— Twojemu ojcu?

— Tak.

— Dlatego tak niechętnie mnie widzisz?

— To jeden z powodów.

— Uroda, o której powiedziałaś, nie wydaje się typowa dla kobiet z gór.

— Istotnie. Wiedźma przybłąkała się do naszej jurty w wieku, pięciu lat. Przygarnęła ją moja babka i wychowała jak kobietę Bakh’Dezi.

— Opowiedz więcej. Dlaczego ludzie z twojego klanu traktują, mnie z respektem? Co w moim wyglądzie przypomina Anda’Kien?

— Nie potrafię wskazać dokładnie, choć twoja twarz przywodzi mi ją na myśl. Zapytaj starszych wojowników. Z Anda’Kien wiązało się wiele historii, ale tylko jedna osoba może ci o wszystkim opowiedzieć.

— Na Najwyższego! Będę wdzięczny do ostatnich dni, jeśli podasz jej imię.

— To Nobru, mój ojciec. Nie ciesz się, żołnierzu. Nikt nie widział go od wielu lat.

— Nobru Bakh’Dezi żyje? Dlaczego nie zasiada w jurcie razem ze starszyzną?

— Pytasz o zbyt wiele. To bolesna sprawa, która nie wychodzi poza nasz ród.

— Jestem członkiem rodu.

Tenzih zdenerwował się.

— Nie pozwalaj sobie na tyle. Nie masz z nami wspólnej krwi. Zarówno Rahmat, jak i twoja matka nie byli od urodzenia Bakh’Dezimi.

— Wybacz moją niezręczność, Czendo Tenzihu.

Młody góral skinął głową.

— Kiedy opuszczacie jurte? — spytał.

— Jutro rano.

— Dobrze. Nie wracaj tu więcej, młody Al’Shannaggu. Twój widok wywołuje w naszej pamięci wspomnienia, które chcielibyśmy pogrzebać na zawsze. Poza tym nie lubimy zbrojnych z równin. Ciebie chroni przynależność do rodu, lecz inni żołnierze są dla nas zwykłymi najeźdźcami.

*

Z wnętrza budynku dochodziły odgłosy walki. Wywrotowcy albo byli nadzwyczaj czujni, albo też ktoś ostrzegł ich o planowanej obławie. Razem

ze służbą stawili zbrojny opór. Trzydziestu Czerwonych Turbanów atakowało pomieszczenia nielegalnego skryptorium, lecz zdeterminowani młodzieńcy zdążyli już zasłać ich ciałami kilka sal, choć musieli się ciągle cofać.

— To trwa za długo! — krzyczał na ulicy Duzzah Nasarem. — Parszywe psy wygubią mi wszystkich ludzi! Rozkazuję wam natychmiast wkroczyć do akcji!

Właśnie kilku mężczyzn wywlekło przed budynek konającego sługę. Tłukli go okutymi pałkami, aż szczególnie silny cios rozłupał czaszkę. Krzyki rannego przeszły w agonalny charkot i zaraz ucichły.

Pięciu Świętych Jeźdźców w pełnych pancerzach stało na ulicy i obserwowało ponure widowisko. Twarze mieli całkiem blade.

— Na co czekacie?! — krzyknął Nasarem.

— Tym ludziom nie została udowodniona wina — odparł spokojnie oficer. — Chwywanie ich nie należy do naszych obowiązków.

Twarz kapłana spurpurowiała.

— Kapitanie Darhir! To robota dla żołnierzy, a nie moich wiernych! Jeśli zaraz nie ruszycie do ataku, osobiście powiadomię paszę o tej haniebnej niesubordynacji!

Groźba odniosła skutek. Oficer wyciągnął powoli ostrze. Wiedział, że pasza w tej sytuacji posłałby go do głębokiego lochu. Odwrócił się do oddziału, mówiąc:

— Nie ma rady. Wchodzimy do środka.

Żołnierze unikali spojrzenia dowódcy i kierowali wzrok na bruk.

— Nie, kapitanie. Nie po to zostaliśmy Jeźdźcami, by plamić szable niewinną krwią — rzekł niski chłopak o zmierzwionej czuprynie.

— Wydałem rozkaz! — powiedział z naciskiem oficer. — Kto się sprzeciwi, stanie przed paszą. Przypominam, że dla ciebie, Naharze, może to oznaczać wyrok śmierci.

Żołnierz ściągnął usta w bezsilnej złości, ale wyjął szablę, podobnie jak jego towarzysze, i ruszył w stronę wejścia.

— Dlaczego tak jest... Dlaczego? — spytał Nahara idący obok Jeździec.

— Nie wiem, Sahim. Jeśli Najwyższy to widzi, powinien dawno spuścić gromy na Asimara, Pałac Sprawiedliwych, a w szczególności...

— Nie szeptać! — krzyknął oficer. — Do środka!

Przeszli nad zakrwawionym progiem, dzwoniąc pancerzami. W środku sieni kilku rannych mężczyzn wydało okrzyki radości. Wiedzieli, że walka

nie potrwa już długo, bo młodzi wywrotowcy, choć waleczni i odważni, nie mogli równać się z najbardziej elitarnymi szermierzami Tel'Halik.

Święci Jeźdźcy podzielili się. Część ruszyła po schodach, część zniknęła w bocznych drzwiach. Nahar starał się trzymać z tyłu. Widział, jak pod szybkimi ciosami padają kolejni obrońcy. Jeden, drugi. Czyjaś głowa potoczyła się po schodach. Trzeci. Łomot rozbijanej barykady. Krew zbryzgała białą ścianę. Jakiś głos wzywa Najwyższego. Czwarty, piąty. W wąskich korytarzach obrońcy mogą walczyć tylko w pojedynkę, a w walce jeden na jednego nie sposób pokonać Świętego Jeźdźca. Pada szósty trup. Czerwone Turbany patrzą z podziwem.

Nahar dotarł wraz z Sahimem do gabinetu na samym końcu lewego skrzydła. Zapędzili dwóch mężczyzn i starego skrybę w ślepy zaułek. Stąd nie było już żadnych wyjść, a przez wąziutkie okna nie dało się precyzyjnie. Pisarczyk upuścił pałkę na ziemię i zaczął się modlić, zaciskając kurczowo powieki. Pozostali dwaj nie mieli jednak zamiaru kapitulować. Przewrócili masywny stół i stali za nim, wyzywając żołnierzy.

Sahim rzucił się na nich. Strzaskał przeszkodę siłą daru, a zaraz potem rozrąbał bok pierwszego przeciwnika, ale drugi w tym samym momencie chwycił go za nogi i obalił na ziemię. Nahar zareagował natychmiast. Jego ręka wystrzeliła jak atakujący grzechotnik, a pióro szabli wbiło się przeciwnikowi w nasadę szyi. Na leżącego Sahima bryzgnęła krew. Ranny przewrócił się i zacharczał. Posoka zalewała mu płuca przez przebitą tchawicę. Konał w cierpieniu, a oczy niemal wychodziły mu z orbit.

Nahar skończył to szybkim, mocnym cięciem. Skulony w kącie skryba zaskomlił, błagając o łaskę.

— Niech Najwyższy ma cię w opiece! — rzekł Sahim. — Uratowałeś mi skórę. Że też dałem się podejść temu biednemu draniowi.

Nahar milczał. Przepęniała go straszliwa odraza. Do siebie, do Sahima, do Duzzahów, Czerwonych Turbanów i do szabli, którą ścisnął w dłoni. Z trudem powstrzymywał łzy cisnące się do oczu.

Gdy cały oddział opuścił budynek, okazało się, że nikt nawet nie został draśnięty. To było łatwe zwycięstwo, które bynajmniej nie przysporzyło wojownikom chwały. Stali cicho i obserwowali, jak Czerwone Turbany wnoszą na ulicę kolejne poszatowane ciała. Duzzah Nasarem nie wyczuł podłego nastroju Jeźdźców i zaczął poklepywać kapitana Darhira po plecach.

— Doskonale, doprawdy wybornie! Za tak wspaniałą pokaz szermierki Jedyny z pewnością wybaczy wam opieszałość.

Kilku strażników wyciągnęło ze środka wierzgającego i złorzeczącego mężczyznę w bogatej szacie.

— Dzięki wam — rzekł Duzzah. — Złapaliśmy jednego z przywódców spisku. To Samir Makhar'Sawi, brat tego heretyka Halego, którego straciliśmy rok temu. Mieliśmy Samira na oku od dawna. Na torturach pięknie wyśpiewa, kto jeszcze z tego parszywego rodu zdradzał Księżę i Najwyższego.

Nahar nie słuchał kapłana, pogrążony w czarnych myślach. Nie zwrócił więc uwagi na nazwisko Makhar'Sawi, które powinno zabrzmieć w jego uszach znajomo.

Rozdział 11. Skała Sępów

Po wieczornym czytaniu Asimar został pilnie wezwany do Duzzaha Yholeda. Pasza gotował się ze złości na myśl, że będzie musiał wycierać dywany u kapłana, który nie miał żadnej oficjalnej władzy. Prorok Vezamar darzył jednak Yholeda wielkim poważaniem. Narazić się temu drugiemu znaczyło narazić się pierwszemu, czego pasza wolał uniknąć, bo co dzień na wydmach za murami przybywał nowy pał.

Asimar siedział więc pokornie, wraz z kilkoma zbrojnymi, w poczekalni Pałacu Ksiąg. Duzzah nie rozkazał wpuścić go do prywatnych komnat, co było oczywistym wyrazem lekceważenia. Stary, ale wciąż krzepki Asimar chętnie skrzyłby mu za to kark gołymi dłońmi.

Po kilkunastu minutach pojawił się niewolnik i oznajmił, że mędrzec Yholed jest gotów na przyjęcie gościa. Pasza wstał, sapnął ciężko, po czym ruszył za sługą w głąb pałacowych korytarzy.

Yholed oczekiwał go w małej kapliczce, siedząc na dywaniku i studiując Księgę. Malowidła na ścianach przedstawiały sceny z życia proroków i najsłynniejszych mędrców. Jedno ukazywało samego Yholeda, który czytał prostaczkom słowo Najwyższego. Pasza musiał stłumić śmiech.

Duzzah tymczasem zamknął tom i odłożył go ostrożnie na stojak. Wskazał paszy dużą poduszkę.

— Czemu wzywasz mnie, jakbym był twoim podwładnym? — spytał Asimar, gdy tylko zajął miejsce. — Dlaczego, na tysiąc skorpionów, próbujesz mnie upokorzyć przed moimi własnymi ludźmi?

— „Spokój to droga mądrości, gniew to droga głupoty”. Tak mówi Księga, Asimarze. Bądź więc spokojny i nie złość się za małą lekcję pokory, jaką ci urządziłem.

Pasza zrobił się momentalnie czerwony.

— Uważaj, Yholedzie. Nie jestem twoim uczniem, żebyś miał prawo pouczać mnie w jakikolwiek sposób. Zważ, kogo próbujesz obrazić. Mam na skinienie ręki cały Orli Fort, a ty jedynie bandę fanatycznych obszarpańców.

— Mylisz się, paszo. Mnie wspiera prorok, Czy odważysz się wystąpić przeciw niemu?

Asimar sapnął.

— Dość przekomarzań — rzekł po chwili. — Po co mnie wezwałeś,

Yholedzie? Jestem zajęтым człowiekiem.

— Wezwałem cię, bo duchownych niepokoją działania Świętych Jeźdźców. Twoi żołnierze są niepokorni, łamią nakazy Księgi i nie chcą współpracować z naszą milicją. Rozumiemy, że to świetni, dumni wojownicy. Są jednak niepotrzebni w Tel’Halik. Powiem więcej: w czasie reform lepiej byłoby, gdyby robili to, co do nich należy, czyli chronili pustkowie przed demonami, zamiast siedzieć w Świętym Mieście i mieszać nam szyki.

Pasza pokręcił głową.

— Trzymam ich tu, by zapobiec rewolcie wśród ludu. Wiecie przecież, jak niepopularne są wasze nowe edykty.

— Lud się nie zbuntuje, paszo. Wszyscy informatorzy są co do tego zgodni. Poza tym mamy straż i Czerwone Turbany — siłę równie dobrą do rozpędzania motłochu, jak twoi Jeźdźcy. Podaj mi więc prawdziwy powód, dla którego trzymasz ich przy sobie.

Asimar milczał zakłopotany.

— Boisz się o skórę i stanowisko? Nie musisz. Wiemy, że nie jesteś ideałem wiernego, lecz doceniamy twoje doświadczenie i zasługi. Nic ci nie grozi, dopóki współpraca będzie układała się dobrze. A jeśli przy pomocy Świętych Jeźdźców chciałeś realizować własne polityczne cele, musisz o tym zapomnieć. Mam dla ciebie dekret od samego Vezamara.

To mówiąc, Yholed sięgnął do stojaka ze zwojami. Podał paszy list opatrzony wszystkimi niezbędnymi pieczęciami i oznaczony symbolem Piaskowej Iglicy. Asimar otworzył dekret powoli, zupełnie jakby miał przeczytać własny wyrok śmierci. Podniósł pismo do oczu i zaraz zaklął szpetnie.

— Oczy cię nie mylą, paszo. Do końca tego miesiąca w Tel’Halik ma zostać tylko piąta część garnizonu. Pozostali Jeźdźcy ruszą na szlak. Przypominam, że tymczasem mają być posłuszni wobec Duzzahów. A to oznacza wspólne akcje z milicją świątynną.

Asimar nie wytrzymał. Rzucił zwojem o ścianę.

— Jeźdźcy przysięgali strzec prawa — rzekł dobitnie — a Czerwone Turbany działają bez oparcia na pisanej regule! Dlatego moi ludzie nigdy nie będą z nimi współpracować!

Starzec uśmiechnął się.

— Status milicji świątynnej wkrótce się zmieni. W Pałacu Sprawiedliwych mędrcy kończą odpowiedni dokument. Najdalej w ciągu

trzech dni trafi on w ręce proroka. Czerwone Turbany staną się oficjalną miejską służbą, równą w prawach straży. Roztropnie byłoby dla ciebie już dziś żyć w zgodzie z ich dowódcami. Vezamar nakazał, by przestępców ścigano bez względu na wagę urzędu czy szlachezną krew. Tak więc jeśli przewinisz w czymś wobec Księgi, paszo...

Asimar poczuł na plecach dreszcz. Stracił wielki atut, a w ręce przeciwników trafiła mocna karta. Ziemia usuwała mu się spod stóp.

— Czy to wszystko? — spytał.

— Tak, Asimarze. Posłuchanie zakończone. Przemyśl uważnie moje słowa i czytaj często Księgę. Nie wątpię, że będziesz postępował słusznie.

Pasza skłonił się i wyszedł. W korytarzu zaczął myśleć o tym, że czas poradzić się ukrytego sprzymierzeńca.

Snaar z pewnością będzie wiedział, jak ukrócić ambicje Duzzahów.

*

Jurta Bakh'Dezi przyjęła wyjazd Kashima z ulgą, a jego oddział rozpoczął ponowną przeprawę przez góry. Mijały dni. Ludzie byli wyraźnie niezadowoleni, że tyle czasu i sił poświęcili na dotarcie do Czendy Tenzih, by opuścić go zaledwie po kilku godzinach. Kashim nie uważał jednak, że tydzień został zmarnowany.

Wieczorem czwartego dnia saury wspięły się na grań, z której widać było Żelazną Dolinę. Żołnierze odetchnęli. Wreszcie czekał ich nocleg w przyjaznej jurcie. Pośpiesznie zjechali po stromym stoku.

Naur od dawna oczekiwał powrotu oddziału. Zaczął się powoli martwić, bo w jego mniemaniu wyprawa na ziemie Bakh'Dezi powinna zająć najwyżej pięć dni. Gdy więc zobaczył pędzących w stronę osady Jeźdźców, wyszedł im na spotkanie.

Żołnierze uściskali górala z radością. Tydzień wypoczynku sprawił, że jego rany prawie się zagoiły. Naur wypytywał o przebieg wyprawy. Szczególnie interesowała go rozmowa Kashima z Tenzihem, lecz oficer nie był skłonny o niej opowiadać. Zbył żołnierza kilkoma słowami.

Godzinę później siedzieli w największej jurcie Umm'al'Biyara, wokół ogniska. Stary Czenda z chęcią wysłuchał wiadomości o klanie Bakh'Dezi. Niestety, on także nie mógł pomóc Kashimowi. Nie miał pojęcia, gdzie może się podziewać Nobru, a nawet sądził, że człowiek ten od dawna nie żyje.

Żołnierze objadali się świeżym chlebem, który był miłą odmianą od podróżnych racji. Ustalano szczegóły dalszej trasy. Al'Shannagg zamierzał dotrzeć aż do Mal'Fasud i zatoczyć tam szerokie koło, rzekomo szukając

band, które kryły się daleko od fortu. W rzeczywistości miał nadzieję, że w Ostatniej Osadzie dowie się czegoś więcej o wyprawie Tarakana.

Naradę przerwali synowie gospodarza, którzy wynieśli ze spiżarni dwa duże garnki kumysu. Jeźdźcy przywitali ten gest brawami. Kashim próbował protestować i tłumaczył, że jutro rano powinni wyruszyć. Mimo to czarki z trunkiem zaczęły krążyć pomiędzy zebranymi. W tym właśnie momencie sprawy przybrały zły obrót.

Drzwi jurty uchyliły się, a do wnętrza wkroczył komendant Abashim w otoczeniu ośmiu kuszników. Natychmiast zapadła cisza. Kilku synów starego Czendy położyło ręce na rękojeściach ghanków.

— Łamie pan tutejsze prawa, komendancie, wchodząc bez zaproszenia i pod bronią do cudzego domu — powiedział wódz.

— To ja stanowią prawa, góralu — odparł Abashim. — Przybywam aresztować przestępcę.

Kashim wstał, otrzepał jeździeckie szarawary i rzekł:

— Gdyby tu siedział jakiś przestępca, z pewnością moi ludzie by go ujęli.

— Kapitanie Al'Shannagg, przestępca jest członkiem pańskiego oddziału!

W tym momencie połowa ludzi Kashima zbladła. Shamiraj skulił się, Dahro dyskretnie sięgnął po sztylet, Zanar położył rękę na rękojeści szabli, a Harum wyszeptał krótką modlitwę. Jednak żaden z nich nie był człowiekiem, którego szukał komendant.

— Dostałem pilną wiadomość z Pałacu Sprawiedliwych w Tel'Halik, by aresztować i doprowadzić przed oblicze kadiego heretyka i zdrajcę Muina Makhar'Sawiego.

Żołnierz, którego imię padło, wyglądał jak rażony gromem. Kashim zapanował nad sobą mimo wielkiego zdziwienia.

— Muin jest dobrym żołnierzem i wiernym sługą Świętego Miasta — odezwał się spokojnie. — Nie pozwolę zakuć go w kajdany bez ważnych dowodów.

Abashim zmarszczył niskie czoło.

— Obciążają go zeznania Samira Makhar'Sawiego.

Muin jęknął.

— To twój stryj? — upewnił się Kashim.

Młodzieniec skinął głową. Dwóch kuszników ruszyło w jego stronę. Zagrodzili im drogę synowie Czendy, a ludzie Kashima sięgnęli po broń.

— Są aż dwa powody, dla których nie dam wam Muina — rzekł

Al'Shannagg. — Po pierwsze, łamiecie święte dla górali prawo Bakshalam. Chcecie skrzywdzić gościa pod dachem gospodarza. Tubylcy nigdy na to nie pozwolą.

Naur i Czenda skinęli głowami.

— Ja tu rządę! — krzyknął Abashim. — Górskie ścierwa mają mnie słuchać.

Degowie mruknęli gniewnie. Błysnęły wyciągnięte ghanki. Kuznicy wycelowali broń.

— Komendancie, czy pasza byłby zadowolony, gdyby konsekwencją pańskich rządów w Żelaznej Dolinie był rozlew krwi i bunt w prowincji?

— Jaki bunt? Co też mówicie! Nie będzie żadnego buntu!

— Krew za krew — powiedział Czenda. — Jeśli moi synowie zginą, inne rody pomogą w zemście.

Abashim zaklął. Sytuacja przerastała jego prosty żołnierski rozum. Po chwili uśmiechnął się jednak przebiegle i pogładził po brodzie.

— Nie będziecie przecież wiecznie siedzieć w jurcie. Wystawię strażę na zewnątrz i aresztujemy przestępcę, gdy tylko przekroczy próg.

— Po naszym trupie! — Zanar pogroził komendantowi szablą.

Kashim uspokoił wojownika ruchem ręki.

— Tu dochodzimy do powodu drugiego: nie oddam mojego człowieka również dlatego, że Muin nie jest byle strażnikiem czy żołnierzem. To Święty Jeździec. Podlega paszy i tylko pasza może go sądzić. Pałac Sprawiedliwych musi wpięrsz prosić o zgodę Asimara. Takie jest prawo Tel'Halik.

Abashim wyszczerzył zęby.

— Takie było prawo Tel'Halik, kapitanie. Teraz Święci Jeźdźcy podlegają wszystkim sądom, a nawet milicji świątynnej.

Kashim zamilkł zaskoczony. Jego ludzie szemrali, słysząc tę ponurą nowinę.

— Potrzebuję czegoś więcej niż pańskie słowa, komendancie.

— Zapraszam do fortu. Tam przedstawię odpowiednio poświadczone pisma, które otrzymałem ze Świętego Miasta.

— Pójdę je przeczytać — odpowiedział Al'Shannagg — by upewnić się, że w pełni zrozumiałeś dekrety mędrców.

Abashim zmilczał tę obrazę. Kashim tymczasem zapiął pancerz, poprawił szablę i ruszył w stronę drzwi.

— Kapitanie, to może być podstęp! — krzyknął Zanar.

— Spokojnie. Ufam, że komendant wie, co by się stało, gdyby spróbował

mnie uwięzić.

Na zewnątrz czekał cały garnizon Żelaznej Doliny. Abashim musiał się bać Jeźdźców, bo ściągnął pod jurte prawie osiemdziesięciu ludzi. Kashim przeszedł pomiędzy ich szeregami i ruszył za komendantem w stronę mającego nad osadą fortu.

*

Pasza poczuł znajomy dreszcz i cierpki zapach w powietrzu. Otworzył oczy i oderwał głowę od poduszki.

— Myślałem, że już nie przyjdiesz — rzekł i usiadł na łożu. W rogu sypialni stała ciemna, okryta płaszczem sylwetka.

— Nie miałem czasu — rozległ się syczący głos. — Tylko nie mów, że w mieście dzieje się coś ważniejszego niż to, co wyrabiają szalone siwobrode kozły. — Asimar wstał i narzucił na siebie szatę.

— Przygotowywałem pewne plany na przyszłość — padła odpowiedź.

Pasza siadł za małym stolikiem, który znajdował się nieopodal łóżka. Nalał kubek wody ze złotego dzbana, po czym wskazał przybyszowi miejsce naprzeciw.

Snaar usiadł i odsunął kaptur. Gadzie łuski błyszcząły w świetle księżyca.

— Nie układa ci się dobrze z kapłanami? — spytał.

— Przeklęci! Myślą, że mogą wszystko. Gdy Vezamar zasiadł w Piaskowej Iglicy, całkiem postradali rozum. Ośmielają się grozić mi i wyrzucać Jeźdźców z miasta! Dlaczego nic nie robisz, Snaar?

— Przywiązujesz wagę do mało istotnych spraw. To motłoch, który stęsknił się za władzą pod rządami Zerakhima. Najwyższy o nich nie dba. Zbliża się czas ognia i mieczy. Będą się liczyć tylko wojownicy. Nie bój się więc o stanowisko czy bezpieczeństwo. Jesteś potrzebny Jedynemu.

To właśnie pasza chciał usłyszeć. Napięcie ostatnich dni spłynęło z niego.

— Dlaczego jednak pozwalasz im na tak wiele?

— Są użyteczni, paszo. Będziemy potrzebowali armii silnej, licznej i zdyscyplinowanej. Duzzahowie już teraz, choć nieświadomie, zapewniają nam to ostatnie. Tresują pospólstwo, by na jeden znak z Piaskowej Iglicy ruszyło na pole walki.

Asimar roześmiał się.

— Nie mogę się doczekać, gdy ci krwiopijcy zobaczą, że władza została im dana tylko na krótki czas. Gdy znowu zadrzą przed moimi ludźmi.

— Ten dzień się zbliża, Asimarze. Zbliża się, w miarę jak armia demonów rośnie. Wkrótce nadejdzie czas sądu, a Najwyższy okaże

wdzięczność wiernym sługom, takim jak ty.

*

Niemożliwe! — krzyknął Shamiraj i omal nie wypuścił dokumentu z dłoni.

— Pieczęcie są autentyczne — powiedział Al'Shannagg. — Zresztą Abashim jest za mało lotny, by samemu napisać coś takiego.

Żołnierze stali wokół z ponurymi minami. Mieli się czego obawiać. Wiadomości z Tel'Halik wskazywały, że ludzie podobni do nich siedzieli już dawno w lochach Pałacu Sprawiedliwych lub zginęli na palu. Pasza Asimar został odsunięty od władzy.

— Kapitanie, nie mogę wrócić do miasta — rzekł cicho Muin.

— Ma rację. Zamęczą go jak ojca i stryja — dodał Fadl.

Kashim myślał. Ludzie Abashima otoczyli jurte szczelnym kordonem, a komendant dał im zaledwie dwie klepsydry na podjęcie decyzji. Czenda i jego synowie byli już uzbrojeni i gotowi do walki. Kobiety modliły się pod karbunkulem, na którym spisano słowa Księgi.

— Co robimy, kapitanie?

Al'Shannagg wyjął szablę.

— Najwyższy mi świadkiem, że nie oddam mojego człowieka psom z Czerwonego Fortu.

Zanar klepnął się po piersi.

— Będziemy walczyć?

— Mam nadzieję, że nie. Przede wszystkim nie możemy narażać życia mieszkańców jurty.

— Zginąć w obronie prawa Bakshalam to zginąć z honorem — zauważył Czenda.

— Wybacz, ale właśnie honor nie pozwala nam wciągnąć twojego rodu w konflikt. Stracilibyśmy twarz, kryjąc się za plecami niewinnych.

— Rozumiem — odparł Czenda. — Niech Najwyższy ma was w opiece, wojownicy z równin.

— Zapnijcie pancerze i przygotujcie broń — rozkazał Kashim. — Komendant to tchórz. Postawimy wszystko na jedną kartę.

Zasłona w wejściu jurty uchyliła się. Abashim dał znak, a kusznicy wymierzyli broń. Na zewnątrz wyszło dziewięciu Świętych Jeźdźców w hełmach, płytkowych zbrojach i z ciężkimi szablami w dłoniach. Szli zwartym klinem, jakby gotowali się do walki. Ten popis odwagi zrobił niemalże wrażenie na żołnierzach z fortu. Niejednemu zadrżała ręka na widok

zdeteminowanych spojrzeń wroga. Komendant krzyknął:

— Stójcie! Kapitanie Al'Shannagg! Proszę natychmiast powstrzymać ludzi, bo rozkażę strzelać.

Kashim zatrzymał oddział ruchem ręki.

— Mamy ważną misję zleconą przez samego paszę. Odważysz się nam przeszkodzić, komendancie Abashim?

— Stoi za mną większa władza niż pasza!

— Władza Duzzahów może jest większa w Tel'Halik, lecz na pustkowiach, gdzie królują Święci Jeźdźcy, to pasza ma więcej do powiedzenia. Czy sądzisz, że duchowni ze Świętego Miasta ochronią cię przed zemstą naszych towarzyszy?

Abashim nerwowo zacisnął usta. Widać było, że walczy z własnymi myślami.

— Żądam tylko wydania kryminalisty! — rzekł.

— Ten kryminalista na razie bierze udział w tajnym zadaniu. Potrzebny jest mi każdy człowiek, komendancie. Nie mogę oddać go w wasze ręce. Odstawię go osobiście do Pałacu Sprawiedliwych, gdy spełni swoją powinność.

— Dlaczego miałbym w to uwierzyć?

— Wezmę za niego odpowiedzialność. Mówię to przy wielu świadkach, komendancie.

Po tych słowach Kashim machnął ręką. Oddział ruszył do przodu w stronę zagrody z saurami.

— Będziemy strzelać, kapitanie.

— Więc strzelajcie, na Najwyższego. Tylko zastanówcie się wcześniej nad konsekwencjami.

Święci Jeźdźcy spokojnym krokiem doszli do wierzchowców i zaczęli przygotowywać je do drogi. Nie zwracali uwagi na dziesiątki bełtów wymierzonych w plecy. Z jurty wyszło kilka kobiet, które zniosły Kashimowi sakwy z prowiantem.

Abashim stał i dyszał ciężko. Nie potrafił zdobyć się na wydanie rozkazu, ale nie mógł też pozwolić odjechać przestępcy wolno. Tymczasem po niecałej minucie saury były już objuczone, osiodłane i gotowe do drogi. Jeźdźcy wskoczyli na nie, a Al'Shannagg pożegnał ukłonem stojącego na progu Czendę. Zaraz potem oddział przejechał przed Abashimem i jego kuznikami. Kashim, mijając komendanta, rzucił jeszcze:

— Żywię nadzieję, że Czendy Bakh'Agzi i jego jurty nie spotkają żadne

szykany. Inaczej będziecie mieli do czynienia zarówno ze zbuntowanymi góralami, jak i ze mną.

Abashim nie odrzekł nic. Gotował się ze złości. Myślał tylko o tym, jak w najbardziej zajadły sposób napisać donos, który zaraz pośle gołębiem do Tel'Halik.

*

Kilka godzin później, gdy oddział zostawił Żelazną Dolinę daleko za plecami, Muin przerwał milczenie i spytał:

— Co ze mną będzie, kapitanie?

Kashim spojrzał na młodego żołnierza.

— Uciekniesz dzisiejszej nocy. Weźmiesz saura i zapas jedzenia. Na straży będzie stał Al'Serim i nic nie zauważy.

— Zupełnie nic — zachichotał Dahro. — Będę ślepy jak kret i głuchy jak kamień.

— A potem? Czy to wszystko ma sens? W Tel'Halik...

— W Tel'Halik nie masz nic. Cała twoja rodzina siedzi pewnie w lochu i czeka na wyrok. Musisz zaszyć się daleko od oczu Duzzahów. Nie chcę i nie powinienem wiedzieć gdzie. Wybierz jakąś osadę tutaj w Żelaznych Wzgórzach lub na dalekiej północy. Odczekaj rok czy dwa.

— Ale to narazi was! Muszę się stawić w Pałacu Sprawiedliwych!

— Jesteś odważny, Muin, lecz również młody i naiwny. Jeśli awansowano mnie, choć dokonałem przestępstwa, pasza musi mieć wobec mnie jakieś plany. Taka głupota jak jeden dezertter w oddziale z pewnością nie pośle mnie na pal. Co do strażnika, który pozwoli ci uciec, wybrałem Dahro nieprzypadkowo. Ze wszystkich nas cieszy się największą protekcją.

Al'Serim potwierdził skinieniem głowy.

— Kapitanie — rzekł Muin — będę modlił się co rano, by Najwyższy wam sprzyjał. Mam nadzieję, że kiedyś się jeszcze spotkamy.

— Ja również tego pragnę, Muinie. Byle w spokojniejszych czasach. A teraz pora stanąć gdzieś i przespać się kilka godzin. Ten nawis skalny wygląda zachęcająco.

Oddział rozbił obóz, a wszyscy żołnierze, zanim udali się na spoczynek, zegnali się długo z Makhar'Sawim. Opowiadali o dzbanach wina, które wypiją, gdy znów się spotkają, nie wiedząc, że los zdecyduje inaczej. Już nigdy nie zobaczyli Muina.

*

Mijały dni, a terror rozpętany w Świętym Mieście się nie kończył.

Aresztowanych przesłuchiowano pod czujnym okiem teologów, a ci z ich opowieści wyławiali kolejne osoby, które nie przywiązywały należytej wagi do Słowa. Każdy mieszkaniec Tel'Halik, od chłopca stajennego po zauszników proroka, zaczął zastanawiać się, czy i w jego postępowaniu nie dałoby się znaleźć śladu grzechu. Codzienne czytania Księgi stały się tak popularne, że w świątyniach brakło miejsca. Duzzahowie musieli otworzyć na nowo Kopułę Niebios, po tym jak tłum zdeptał przed wejściem do Pierwszej Świątyni kilka starszych osób.

Bogatsi oczywiście nie tłoczyli się razem z pospólstwem. Zamiast tego płacili młodym kapłanom za lekcje i rozmowy, które wskazywały zbożny i zgodny z Księgą sposób życia. Iznak Makhar'ad znalazł takiego nauczyciela każdej ze swoich córek. Jelayi trafił się Duzzah Tantahar, słynący z tego, że mimo młodego wieku dorównywał mądrością wielu siwobrodym znawcom Księgi.

Jelaya spotykała się z nim w południe w ogrodzie, oczywiście pod czujnym okiem sługi. Nawet wobec duchownych mężczyzn nie rezygnowano z zasad przyzwoitości. Od pierwszej lekcji kapłan przypadł jej do gustu. Jego chłopięca, delikatna uroda oczarowywała i budziła zaufanie. Na dodatek nie zachowywał się z wyższością właściwą Duzzahom. Przypominał raczej starego przyjaciela.

Tego dnia Tantahar mówił o wiecznej kaźni w Marrenvan, którą można ściągnąć na siebie pewnymi grzechami. Wspomniał także, że są czyny grzebiące drugą osobę, nieświadomie wciągniętą w zło.

— Takim postępkim, szczególnie niemiłym Najwyższemu, jest chociażby cudzołóstwo — rzekł Duzzah i sięgnął po daktyla. — Wyobraź sobie, że chcąc zażyć rozkoszy z ukochaną osobą, cudzołózca sprowadza na nią najgorszą możliwą karę. Wieczne potępienie! Ale o tym mówić nie będziemy. Temat jest nieprzystojny, a dodatkowo ten grzech z pewnością cię nie dotyczy, Jelayo.

Dziewczyna siedziała na dywaniku ze spuszczoną głową. Kapłan nie mógł zobaczyć jej twarzy, bo była ukryta za muślinowym kwefem, jednak mógłby przysiąc, że wyrażała zmartwienie.

— Czy chcesz o coś spytać? — rzekł.

— Tantaharze, czy niedochowanie czystości w domu ojca jest równe cudzołóstwu?

— O tak! Złamanie obowiązków wobec głowy rodu to dla Najwyższego taka sama rzecz jak niewierność wobec małżonka. Natomiast ten, który

bierze kobietę bez zezwolenia jej ojca, jest również przestępcą. Zasługuje na potępienie podobnie jak dziewczę, które wpuściło go do łoża. Ale dlaczego pytasz? Czy... ten grzech dotyczy ciebie, dziecko?

Jelaya walczyła z własnymi myślami. Od wyjazdu Kashirna często czuła się winna, szczególnie gdy widziała ojca, pod którego dachem zgrzeszyła, odpłacając haniebną niewdzięcznością za utrzymanie i opiekę. Dopóki w Tel'Halik był jej sokół, górę brała namiętność. Jednak gdy znalazł się daleko, zwyciężyło sumienie. Dziewczyna od dłuższego czasu chciała zrzucić ciężar ze swojej piersi. Nie było lepszej sposobności ku temu od rozmowy z Tantarzem, któremu ufała bardziej niż własnym siostrą.

— Zrobiłam to — powiedziała wreszcie, wybuchając płaczem. — Czy Jedyny kiedykolwiek mi wybaczy? Gdybym mogła to odczynić!

Kapłan zasępił się. Jelaya szlochała cicho w obawie, by nie zobaczył tego sługa, który spacerował po ogrodzie.

— Jestem przeklęta. Mój ukochany też!

— Wystarczy, dziecko. Ten błąd nie musi zniszczyć ci życia ani zaufania, jakie Jedyny pokłada w nas wszystkich.

Jelaya otarła spuchnięte oczy.

— Co mogę zrobić, Tantarze?

Kapłan zamyślił się.

— Najważniejsze jest, by mąż, który wziął twoje ciało, udowodnił przed obliczem Najwyższego, że kocha cię prawdziwie i nie zrobił tego jedynie z żądzy. Musi dołożyć wszelkich wysiłków, by pojąć cię za żonę. Poza tym: „Tak jak przyjaciel bardziej uważa na przyjaciela, który skradł mu cenny przedmiot, tak i Najwyższy baczej się nam przypatruje, gdy przeciw niemu przewinimy”. Musicie żyć w przykładowej zgodności ze słowami Duzzahów i Księgą. Każde następne wykroczenie będzie przez Najwyższego oceniane surowiej.

— Naucz mnie. Chcę żyć według Księgi i uratować ukochanego przed otchłanią.

— To nie zależy od ciebie, córko. Mężczyzna także ma przestrzegać świętych reguł. Jeśli sobie życzysz, podaj mi imię młodzieńca, a ja porozmawiam z nim osobiście.

Jelaya pokręciła głową.

— Nie mogę. Zresztą nie ma go w Tel'Halik.

— Zatem żołnierz? Albo goniec? Nie musisz odpowiadać. Rozumiem, że chcesz zatrzymać to w tajemnicy. Zrobimy to więc w inny sposób. Ja będę

rozmawiał z tobą, a ty będziesz rozmawiać z nim, i przekażesz mu wiedzę, którą zyskasz. Oboje macie jeszcze wielkie szanse, by Najwyższy zesłał wam błogosławieństwo i będziecie mogli żyć zgodnie z Jego wolą.

Dziewczyna po raz pierwszy od dawna uśmiechnęła się.

— Dziękuję ci, Tantarharze.

— Chcę dla ciebie tylko szczęścia, córko. Wróćmy teraz do wersetów, których miałaś się dziś nauczyć.

*

Przez tydzień oddział Kashima podążał dalej na zachód Wzgórnym Szlakiem ku Ostatniej Osadzie. Po drodze w każdej mijanej jurcie Al'Shannagg wypytywał zarówno o los Tarakana, jak i o zbójów czy rebeliantów. W obu sprawach odsyłano go wciąż dalej. „Buntownicy? ”, mówili Degowie. „Kto ich widział w naszych okolicach! Żyją daleko, gdzie nie sięga ramię pustynnego miasta”.

Mimo to Jeźdźcy czuli na sobie coraz więcej wrogich spojrzeń, w miarę jak oddalali się od Żelaznej Doliny. Degowie z dzikich obszarów spluwali na ich widok przez ramię, a w rozmowie byli powściągliwi. Żołnierze mieli się więc na baczności w obawie przed niespodziewanym atakiem.

Ósmego dnia wyprawa wjechała na łagodnie pofalowaną nizinę Tczu'Sel. Był to jedyny obszar Żelaznych Wzgórz, gdzie nie można było narzekać na brak wody. Stoki porastała trawa, a w okolicy wznosiło się wiele jurt, w których trzymano liczne stada. Gdy Jeźdźcy o poranku wyjechali na żyzne, zasłane mgłą wzgórza, myśleli, że w tym miejscu chmury wiszą tuż przy ziemi, zasłaniając część szczytów. Wkrótce okazało się, że to nie chmury, lecz wielotysięczne stada owiec.

W Tczu'Sel znajdował się najbardziej wysunięty posterunek Tel'Halik. Była to tylko duża, kamienna chata, która zapewniała schronienie piętnastu żołnierzom. Niemniej obecność zbrojnych na tej nizinie dawała Jeźdźcom jako takie poczucie bezpieczeństwa. Jechali spokojnie i zabijali nudę wszelkiego rodzaju rozmowami. Zanar i Harum sprzecali się właśnie na temat pewnej opowieści.

— Na grób ojca, nie kłamię!

— Niemożliwe. Kto ci nagadał podobnych głupot?

— Widział ją mój brat cioteczny, gdy był na dalekiej północy.

— Twój brat jest starym pijanicą i miał majaki.

— O co chodzi? — zainteresował się rozmową Dahro.

— O kobietę z rdzawymi włosami.

— Ach! To prawda, Zanar. Ona istnieje!

— Chyba w twoich snach, lubieżniku. Księga wyraźnie mówi, że zagładę przetrwali tylko ciemnowłosi.

— A białowłosi? — wtrącił się Fadl. — Pamiętasz syna Bahara? Miał białą jak śnieg skórę i od urodzenia białe włosy.

— Nawet Najwyższy nie mógłby zawrzeć całej wiedzy o świecie na trzystu błogosławionych stronicach — rzekł Shamiraj. — To, że Księga o czymś nie wspomina, nie znaczy, że to nie ma prawa istnieć.

— Tylko bez herezji! — przerwał mu Kashim. — Nie mam zamiaru wyciągać kogoś z lochów za takie gadanie.

Shamiraj wzruszył ramionami.

— Rdzawe włosy! — rozmarzył się Harum. — Wyobraź to sobie, Zanarze.

— No nie wiem. Wydaje mi się to trochę obrzydliwe.

Dahro roześmiał się.

— Nie lubisz egzotyki, przyjacielu?

Do rozmowy włączył się Aahiz:

— Gdyby taka kobieta istniała, rodzice dawno wydaliby ją za mąż do Tel'Halik, w zamian za worek złota.

— Nieprawda — odparł Shamiraj. — Mogą ją ukrywać, by nie spotkała jej krzywda ze strony Duzzahów, którzy interpretują Księgę jak nasz przyjaciel Zanar.

— Och. Posuwasz się zbyt daleko. Sądzę, że...

— Dość — przerwał im Kashim.

Wskazał ręką pasterza, który właśnie wyłonił się zza wzgórza, wiodąc swoje zwierzęta.

— Przydałoby się zasięgnąć języka. Naur!

Góral skinął głową i pojechał razem z Kashimem w stronę mężczyzny. Stary Deg mówił tylko w swoim narzeczu. Jednak wykorzystując Naura jako tłumacza, Kashim dowiedział się wreszcie konkretnych rzeczy.

— Rabusie i buntownicy? — rzekł pasterz. — Są bliżej niż byście chcieli. Banda Kamudżyna Jednookiego ma za kryjówkę Skałę Sępów, wznoszącą się dwa dni na południe od Mal'Fasud. Kamudżyn to zły człowiek. Nie respektuje praw pustynnego miasta, ani praw Degów. Zawarł pakt z demonami, a one uczyniły go niepokonanym w walce. Gdy brak mu żołnierzy i kupców do napadania, rabuje nasze jurty. Każe sobie dostarczać haracz.

— Ilu ma ludzi? — spytał Kashim.

— Jedni mówią, że piętnastu, inni, że pięćdziesięciu. Kto wie?

— Możesz mnie skierować do kogoś, kto przeżył napad?

Starzec uśmiechnął się szeroko, prezentując bezzębne dziąsła.

— Nikt nie przeżywa. Jeśli ktoś jest na tyle naiwny, by złożyć broń, ludzie Kamudżyna zabierają go do Skały Sępów i przybijają łańcuchami nieopodal jaskini. Tam drapieżne ptaki i palące słońce dokonują reszty.

Kapitan podziękował za informacje. W końcu trafił na jakiś ślad.

— Jedziemy do Mal’Fasud? — w głosie Naura brzmiała nadzieja.

— Tak. Koniec z głędzeniem o kobietach. Spróbujemy zapolować na tego Kamudżyna.

Słowa Kashima nie zasmuciły żadnego z żołnierzy. Wręcz przeciwnie — byli w końcu Świętymi Jeźdźcami i mieli za zadanie walczyć w imieniu miasta, zamiast włóczyć się tygodniami po bezludziu.

*

Wysłannik przyszedł, gdy prorok Vezamar był pogrążony w wieczornej modlitwie. Dziwny, syczący głos, który rozległ się nagle tuż obok, sprawił, że Duzzah podskoczył ze strachu.

— Bądź przeklęty! Mógłbyś mnie wcześniej uprzedzić — Vezamar otarł pot z czoła.

— Czy popełniłeś jakiś występki, Vezamarze? Księga mówi: „Ten, co splamił swoje sumienie, spływa potem przy każdym dźwięku i za każdym cieniem ze strachem się ogląda”.

— Nie twoja rzecz, Wysłanniku. Bedzie mnie sądził tylko Najwyższy. Zresztą nie ma człowieka, który nie wystraszyłby się na moim miejscu. Zakradłeś się tu jak zabójca.

— Przyszedłem, bo mnie wzywałeś — powiedział gad i usiadł na pufie obok stojaka z Księgą. — Powiedz, czego chcesz, Vezamarze.

Prorok wstał i przygładził szatę.

— Chodzi mi o to niewierne ścierwo, Asimara. Jego ludzie ośmielają się sprzeciwiać moim decyzjom. Ma w swoich szeregach wielu heretyków i przestępców, którzy kryją się przed sprawiedliwością dzięki służbie. Dla dobra Tel’Halik należałoby się pozbyć paszy i jego podwładnych, lecz stanowią zbyt wielką siłę. Pomóż mi!

— Nie powinieneś się niepokoić, Vezamarze. To ciebie Najwyższy wybrał na syna, nie jego. Teraz z pewnością nie dopuści, by Asimar przeszkodził w wypełnianiu planu.

— Te słowa nie uspokajają mnie do końca. Jeśli pasza nie jest ważny, dlaczego nie mielibyśmy go usunąć?

Gad prychnął.

— Bo i tak odchodzi już w przeszłość. W czas sądu to nie wojownicy będą się liczyć, lecz wierni i oddani duchowni. Nie musimy zabijać Asimara. Z dnia na dzień będzie tracił wpływy. Część jego ludzi zdecyduje się na współpracę, reszta wyląduje w lochu.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz.

— Jestem głosem Jedynego, Vezamarze. Jako prorok powinieneś wykazać więcej wiary. Jeśli moje słowa ci nie wystarczą, wiedz, że wkrótce otrzymasz do dyspozycji siłę równą Świętym Jeźdźcom.

— A więc twoje Jastrzębie wychodzą z podziemi?

— Tak. Czas już nadszedł.

*

Dwie noce Jeźdźcy spali w jurtach niziny Tczu'Sel. Potem szlak zaprowadził ich znów w pustynne, skaliste rejony, gdzie trawę widywało się równie rzadko jak wodę. Jednak przez krótki czas, który spędzili na zielonych wzgórzach, saury wypały się porządnie. Mal'Fasud zbliżało się szybko, a wraz z nim — po niemal trzech tygodniach — ostateczny cel podróży.

Czas był ku temu najwyższy, bo żołnierze coraz bardziej tęsknili za domem. Kashima dręczyło wspomnienie ostatnich nocy z Jelayą. Nie mógł się doczekać, by znów wziąć ją w ramiona.

W gorące popołudnie, dwa dni drogi od Ostatniej Osady, oddział wpadł na jadącą w przeciwnym kierunku grupę Degów. Gdy tylko górale wyjechali zza załomu skały, Al'Shannagg czuł już, że zbliżają się kłopoty. Trzydziestu dwóch wojowników na kucach miało zarośnięte twarze, porwane ubrania, a na dodatek niektórzy nosili hełmy żołnierzy Tel'Halik lub części ich pancerzy. Byli uzbrojeni po zęby, czego wyraźnie zakazywało prawo.

Kashim wykrzyczał kilka komend. Święci Jeźdźcy dobyli broni, Shamiraj i Fadl włożyli zdjęte z powodu upału szyszaki.

Górale tymczasem stanęli w odległości stu kroków i naradzali się z przywódcą. Gdy Kashim zobaczył jego pooraną bliznami twarz i czerwoną opaskę na oku, domyślił się, z kim mają do czynienia. Zaczął szybko szacować szanse. Bandyci byli znacznie niżsi i gorzej uzbrojeni od jego ludzi. Z pewnością nie walczyli też równie dobrze, ale mieli znaczną przewagę liczebną. Siły były wyrównane, co nawet w wypadku zwycięstwa

zapowiadało spore straty.

Górale wyciągnęli poszczerbione ghanki i ruszyli w stronę oddziału. Nie biegiem jednak, lecz powoli i spokojnie. Gdy podjechali na pięćdziesiąt kroków, ich przywódca krzyknął:

— Rzadko psy z pustynnego miasta zapuszczają się na zachód od Tczu'Sel. Nie wiecie, że to rejony wolnych Degów? Poznajcie me imię: jestem Kamudżyn, a to moja słynna kompania. Czeka was śmierć!

— Jeśli takiś pewien, czemu strzepisz język, zamiast atakować? — odparł Kashim.

— Uważaj na słowa, bo zginiesz na Skale Sępów. Chcę złożyć łaskawą ofertę, więc lepiej mnie nie obrażaj. A teraz słuchajcie, psy! Nie pali mi się do bitki z Gunda'Tian i nie po to wyjechałem na szlak. Honor nakazuje mi jednak przegnać was z ziemi Degów. Dlatego jeśli rzucicie broń i oddacie ją wraz z pancerzami i wierzchowcami, pozwolę wam wziąć zapasy prowiantu i wrócić o własnych siłach do posterunku Tczu'Sel.

— Święty Jeździec nie złoży broni wobec nikogo.

— Umrzecie więc wszyscy!

Naur skłonił się do ucha kapitana i wyszeptał kilka słów. Kamudżyn miał już dać znak do ataku, gdy Kashim zawołał:

— Kal'Shuttah! Rozwiążemy to według starożytnego prawa gór.

Rozbójnik zaśmiał się.

— A to dobre! Szczur z pustynnego miasta chce powoływać się na honorowy kodeks Degów!

Kashim rzekł donośnie:

— Jestem Kashim Al'Shannagg Bakh'Dezi. Moim ojcem był Rahmat Al'Shannagg, brat krwi Czendy Nobru, a matką Anda'Kien Bakh'Dezi. Jestem Degiem, choć wychowałem się w Tel'Halik.

Tylko duchy przodków, gdyby zjawily się tu nagle, wywarłyby większe wrażenie na góralach. Cofnęli się, szepcząc cicho we własnym narzeczu. Na twarzy Kamudżyna Jednookiego odmalowało się zaskoczenie, które szybko jednak ustąpiło miejsca złości.

— Kłamiesz! Nie jesteś synem Rahmata! Anda'Kien zaniemogła zbyt szybko, by urodzić dziecko.

— Mogę przysiąc na Księgę, podobnie jak moi ludzie. Jeśli nie uhonorujesz reguły, okryjesz się hańbą wobec własnych ludzi.

Kamudżyn splunął.

— Dobrze więc. Nie wierzę ci, lecz nie mam wyboru. Kal'Shuttah!

Będziemy walczyć na śmierć i życie. Jeśli wygrasz, moi ludzie odejdą i nie będą was dręczyć do opuszczenia Żelaznych Wzgórz. Jeżeli to ja zwyciężę, twój oddział złoży broń, jak żądałem, i pieszo uda się do Tczu'Sel. A teraz przysięgajcie!

Kashim odwrócił się do swoich jeźdźców i rzekł:

— Musicie zobowiązać się, że uhonorujecie umowę. Pytam więc: czy przysięgacie, że postacie zgodnie z nią, w ramach świętego prawa Kal'Shuttah?

— Przysięgamy — odparli żołnierze. Znali opowieści o niezwykłym kunszcie Kashima i byli pewni jego zwycięstwa.

Kamudżyn Jednooki zwrócił się do górali:

— Czy postacie zgodnie z honorowym porozumieniem, nawet jeśli padnę z ręki tego mężczyzny?

— Tak — odrzekli rozbójnicy bez chwili wahania. Wydawało się, że oni również pokładają wielką wiarę w umiejętnościach wodza.

Oba oddziały zeszły z wierzchowców. Naur wraz z kilkoma Degami Kamudżyna wyznaczył w pyle na środku szlaku wielkie koło. Zbrojni stanęli za linią, a Kashim i Kamudżyn przygotowywali się spokojnie do walki. Młody oficer patrzył uważnie na przeciwnika i rejestrował każdy szczegół. Rozbójnik był nadzwyczaj zwinny jak na swój wiek. Poruszał się z gracją. Pod jego rozpiętą czarną koszulą rysowały się grube węzły mięśni. Blizny, które pokrywały całe ciało, świadczyły, że wyszedł już z wielu potyczek. Częściowa ślepotą z pewnością utrudniała mu walkę, lecz mimo to wyglądał na godnego przeciwnika.

Rozbójnik włożył na siebie pancerz bardzo podobny do tego, jaki miał Kashim. Żołnierze zaszemrali, widząc to, bo byli pewni, że zbroja została zdarta ze Świętego Jeźdźca. Obaj przeciwnicy tymczasem ustawili się w środku koła w odległości dziesięciu stóp. Naur i jeden z ludzi Kamudżyna zbadali ich, by sprawdzić, czy nie mają ukrytej broni. Potem opuścili krąg i dali sygnał do rozpoczęcia walki.

Deg nie czekał długo. Rzucił się z rykiem na Kashima i zasypał go lawiną ciosów. Oficer cofnął się, parując wszystkie, po czym kontratakował. Ghank górala zbił jednak łatwo pchnięcie. Zaczął się śmiertelny balet, w którym szybko okazało się, że żadna ze stron nie ma przewagi. Al'Shannagg był zaskoczony umiejętnościami starego wodza. Kamudżyn miał szybkość grzechotnika i zmyślność lisa. Znał dziesiątki wyszukanych sztuczek i nigdy nie było się pewnym, który z jego ataków jest tylko lekką paradą, mającą

odwrócić uwagę. Był o wiele lepszy od niejednego Jeźdźca czy Nocnego Jastrzębia.

Poświęciwszy całą uwagę obronie, Kashim atakował z rzadka, lecz jego potężne cięcia nieraz prawie wytrąciły góralowi broń z ręki.

Sam wódz także wydawał się zaskoczony poziomem wroga. Nie przegrał w życiu żadnego pojedynku i uważał się za najlepszego szermierza Ocalonej Krainy. Wyglądało, że o wyniku starcia zadecyduje to, kto pierwszy popełni błąd.

Wypadło na Kashima. Skupiony na ostrzu wroga, nie zdołał uniknąć zdradzieckiego podcięcia. Runął jak długi na ziemię. Odtoczył się w bok i szybko wstał, lecz Kamudżyn nie zamierzał dać mu szansy na wyjście z opresji. Uderzył w głowę, chwytając ghank oburącz.

Ostrze trafiło w hełm tak mocno, że aż się wyszczerbiło, nie zdołało jednak przebić grubej warstwy stali. Szyszak został dosłownie zerwany z głowy Kashima, a on sam zatoczył się, ogłuszony. Z rozbitej skroni ciekła mu krew. Kamudżyn mógł zadać ostateczny cios, lecz powstrzymał dłoń. Dopiero teraz zobaczył dokładnie twarz przeciwnika. Przez dłuższą chwilę oglądał orli nos i szare oczy Kashima i wreszcie rzekł cicho:

— Na Najwyższego. Ty rzeczywiście jesteś synem Anda’Kien!

Wbił ghank w ziemię i podbiegł podtrzymać słaniającego się żołnierza. Krzyknął do ludzi, których zaskoczył ten nagły zwrot wydarzeń:

— Wody! I rozłóżcie w cieniu miękkie pledy!

Kashim, idąc wsparty na ramieniu Kamudżyna, spytał:

— Nie rozumiem. Dlaczego darowałeś mi życie? Znałeś moją matkę?

— Nie tylko znałem, ale i kochałem. Podobnie jak twojego ojca. Moje prawdziwe imię brzmi Nobru Bakh’Dezi. Jestem twoim wujem.

Rozdział 12. Odpowiedzi

Żołnierze i górale rozbili obozowisko w cieniu skalnego nawisu, by ochronić głowy przed słońcem. Byli wobec siebie życzliwi i nic nie świadczyło o tym, że jeszcze godzinę temu mieli zamiar powyrzynać się nawzajem. Kashim wraz z Nobru siedzieli w pewnym oddaleniu i rozmawiali bez świadków.

— Dlaczego opuściłeś jurte? — spytał Al'Shannagg.

— Wiesz przecież, co stało się po powstaniu. Święte Miasto darowało buntownikom życie, lecz żaden z przewodzących rebelii Czendów nie mógł już nigdy zasiąść w radzie. Poza tym wszyscy mieli przysiąc posłuszeństwo prorokowi.

— Nie chciałeś się zgodzić?

— Musiałbym chyba oszaleć! Równało się to utracie honoru. Zresztą, choć wykłuli mi oko w bitwie pod bramą, byłem wciąż krzepkim wojownikiem. Pragnąłem zemsty, lecz nie mogłem narażać jurty na gniew pustynnego miasta. Zostawiłem więc ród pod opieką Tenziha, a sam wybrałem wygnanie. Szybko okazało się, że jest dużo ludzi, którzy nie znaleźli sobie miejsca po upadku powstania.

— To cały twój oddział?

— Skąd! Dzięki Najwyższemu, że akurat jechałem załatwiać pewną delikatną sprawę i nie mogłem brać wielu żołnierzy. W Skale Sępów mam setkę zbrojnych. Gdybym z nimi przy boku wpadł na wasz patrol, nie byłoby rozmów. A teraz powiedz mi: kiedy zginął Rahmat?

— W bitwie pod bramą. Padł razem z dwiema dziesiątkami Świętych Jeźdźców, którzy bronili głównej ulicy. Ale czemu oszczędziłeś mi życie? Przecież Bakh'Dezi go nienawidzą!

Stary wódz westchnął.

— Dwadzieścia lat temu nienawidziłem Rahmata z całej duszy i życzyłem śmierci jego nasieniu. Jednakże w czasie długich, samotnych nocy miałem wiele okazji do namysłu. Teraz mogę powiedzieć, że rozumiem jego wybór. Więcej go wiązało z Tel'Halik niż z Degami. Musiał walczyć choćby ze strachu o Anda'Kien.

— Jaka była moja matka? Podobno dobrze ją znałeś.

Twarz Nobru ściągnęła się z bólu, jakby słowa Kashima otworzyły dawną

ranę.

— Aż za dobrze. Anda’Kien... Piękna i tajemnicza jak księżyc w pełni. Nie było i nie będzie drugiej takiej kobiety w Ocalonej Krainie. Omal nie postradałem rozumu, gdy wybrała Rahmata. Mimo to przez wszystkie te lata ani razu nie życzyłem jej źle. Wiedz, że to właśnie jej oczy uratowały ci życie. Nigdy nie mógłbym ich zapomnieć, a twoje wyglądają dokładnie tak samo.

Siedzieli chwilę w ciszy, aż wreszcie Kashim rzekł:

— Przykro mi... z powodu mojego ojca i Anda’Kien. I dlatego, że ród Al’Shannagg sprzeniewierzył się rodowi Bakh’Dezi.

Nobru machnął ręką.

— Nie żałuj. Twój ojciec postąpił dobrze. Sam bym tak zrobił na jego miejscu. Mam nadzieję, że Anda’Kien była z nim szczęśliwa.

— Powiedz mi, skąd Anda’Kien wzięła się w twojej jurcie? Podobno wraz z ojcem przyprowadziłeś ją z dalekiej wyprawy.

— To wielki sekret. Nie mówiliśmy nikomu, by nie narażać dziewczyny, która od pierwszego spojrzenia rzuciła na nas urok. Anda’Kien pochodzi z Ziemi Trupiego Szeptu.

— Degowie zwą tak Ul’Thandzar?

— Tak. To nawiedzona kraina na północ od Żelaznych Wzgórz. Pusta i bezludna — ciągnie się setki farsangów aż do bezkresnego, słonego jeziora. Jechaliśmy w głąb tych ziem przez dwadzieścia dni, tropiąc stado dzikich koni. Dwudziestego pierwszego dnia przy samotnej skale trafiliśmy na Anda’Kien.

— Na Ul’Thandzar nie ma żadnej osady! Żadnego plemienia!

— Właśnie dlatego trzymaliśmy wszystko w tajemnicy. Przez wygląd i pochodzenie Duzzahowie mogli ją skojarzyć z demonami. Anda’Kien znaleźliśmy w małej grocie, gdzie kryła się przed słońcem. Była wygłodzona i odwodniona, a na nasz widok wpadła w histerię. Dwie godziny trwało, nim zdołaliśmy ją wyciągnąć na zewnątrz. Miała na sobie tylko trochę podartych szmat i warstwę brudu. Mówiła w obcym języku. Muszę przyznać, że wydała mi się odpychająca. Dopiero w jurcie, gdy kobiety ją umyły, uczesały i ubrały, a oznaki wygłodzenia powoli zniknęły, dostrzegłem jej piękno. Nauczyła się szybko naszej mowy i żyła jak inni Bakh’Dezi, a po trzech latach weszła do klanu. Twierdziła, że nie pamięta nic sprzed spotkania z nami. Wiedziała tylko, że szła wiele dni przez pustynię, a głód i pragnienie pomieszały jej rozum.

— Mówiłeś coś o obcym języku...

— Tak. Mowa, jakiej nigdy nie słyszałem. Na dodatek umiała w niej jeszcze pisać. Często skrobała coś na ziemi lub kamieniach. Do dziś pamiętam te dziwne szlaczki, zupełnie niepodobne do liter pustynnego miasta.

— Mógłbyś kilka narysować?

Nobru podniósł patyk i nakreślił w pyłe parę symboli. Kashim poczuł, jak cierpnie mu skóra. Dokładnie takie same litery były na skrawku, przez który zabito Jalbola i Tabo, a Mudda omal nie wpadł w obłąd.

— Wiesz co to znaczy? — spytał stary wódz, gdy zobaczył jakie wrażenie znaki wywarły na Kashimie.

— Tak. Wybacz, ale nie mogę powiedzieć. To... sprawa Świętego Miasta.

— Jak sobie życzysz.

— Powiedz mi jeszcze, proszę, czy moja matka była wysokiej krwi?

— Nigdy nie widziałem silniejszej wiedźmy. Nie w pełni kontrolowała swoje moce, ale znała przyszłość, czasem leczyła dotykiem rany albo przywracała do życia martwe zwierzęta. Zdarzało się jej też wywoływać pożary lub unosić nad ziemią. Niektórzy się tego bardzo bali.

Kashim odkorkował bukłak. Wypił kilka łyków wody i podał go Nobru.

— To już wszystko, co chciałem wiedzieć, Czendo. Dziękuję za poświęcony mi czas. Puścisz nas wolno?

— Tak, ale nie jedźcie w kierunku Mal’Fasud, jeśli nie ma potrzeby. To moje tereny i ludzie niechętnie widzą tam żołnierzy.

— Niestety, Nobru. Mamy do wykonania misję. Idę tropem uczonego z Tel’Halik o imieniu Tarakan, który...

— Szukasz biedaka Tarakana? Możesz zatem oszczędzić sobie podróży. Wiem o jego wyprawie wszystko.

Kashim aż zerwał się z miejsca.

— Nobru! Najwyższy postawił cię na mojej drodze! Dajesz odpowiedzi na każde z pytań, które od wielu dni dręczyły mój umysł.

Jednooki Czenda uśmiechnął się.

— To radość pomóc bratankowi, choćbym spotkał go pierwszy raz w życiu. Siadaj i nie wzburzaj się tak, bo jeszcze krew uderzy ci do głowy. Powiem od razu, by ostudzić twój zapał, że Tarakana nie ma wśród żywych.

Al’Shannagg wrócił na miejsce.

— Tarakan zginął? Jak to się stało? Skąd w ogóle go znasz?

— Będę opowiadał po kolei. Znam go, bo prosił mnie przez Czendę

Gangush’Kika o pozwolenie na przemarsz do Czerwonych Pustkowi. Z początku chciałem odmówić, choć to żołnierze są mi wrogami, a nie uczeni. Gdy przyszedł osobiście, jego szczerłość i mądrość zrobiły na mnie wrażenie. Pozwoliłem mu odkupić trochę zapasów ze Skały Sępów i z chęcią posłuchałem o jego badaniach nad geografią Ocalonej Krainy. Ostrzegalem, że podróż za Czerwone Pustkowia jest niemożliwa, ale Tarakan był uparty. Pożegnaliśmy się jak przyjaciele i ruszył na szaloną misję.

— Ze wszystkimi ludźmi?

— Tak. Z całym oddziałem. Życzyłem mu dobrze i bardzo ucieszyłem się, gdy zwiadowcy po wielu dniach donieśli, że wraca. Nie mogłem w to uwierzyć, ale stary lis osiągnął to, czego pragnął. Przejechał diabelską równinę. Stracił przy tym dwie trzecie z trzydziestu saurów, jak również czterech ludzi. Niestety, najgorsze spotkało go już w Żelaznych Wzgórzach. Nieopodal Mal’Fasud został zaatakowany przez duży oddział Gunda’Tian.

— Tarakana zaatakowali Święci Jeźdźcy?!

— Ja również nie mogłem uwierzyć, bo jego misję zlecił sam prorok. Ktoś widać chciał, żeby uczony nie dotarł do Tel’Halik. Domyślałem się nawet dlaczego, ale o tym za chwilę. Tarakan nie był ułomkiem, a żołnierzy miał twardych jak skały. Walczył i zabrał ze sobą do grobu większość napastników. Niestety, cały jego oddział padł. Gdy przybyłem na miejsce z czterema dziesiątkami górali, tylko kilku napastników trzymało się jeszcze na nogach. Zabraliśmy ich do Skały Sępów, gdzie konali w boleściach przez wiele dni.

— Nikt z oddziału Tarakana nie przeżył?

— Nikt. Jego ludzie zginęli z honorem, więc pochowaliśmy ich należycie. Teraz uważaj. Było tam jeszcze jedno ciało, które nie należało do nikogo z wyprawy. Diabeł Tarakan przywiódł zza granic świata żywą istotę. Człowieka, podobnego do nas.

Kashim poczuł na plecach dreszcz.

— Czy ten człowiek był podobny do Anda’Kien?

— O nie! Miał prawie czarną skórę, płaski nos i krótkie członki. Wyglądał nad wyraz szpetnie, ale krew ciekła z niego zupełnie jak z Dega, Manara czy mieszkańca Tel’Halik.

Al’Shannagg zastanawiał się nad tym chwilę i doszedł do wniosku, że Duzzahowie mieli się czego bać. Gdyby Tarakan przywiódł do Świętego Miasta żywy dowód na to, że Księga w jednym miejscu się myli, konsekwencje byłyby nieobliczalne.

— To bardzo, bardzo ważna wiadomość. Zdajesz sobie z tego sprawę, Nobru?

— Może dla was, ludzie pustyni. My Degowie zawsze przyjmowaliśmy nieco inną wersję Słowa, za co zresztą tak nienawidzą nas Duzzahowie. Wierzymy, że nie tylko wybrani Sammara przetrwali Wielki Sąd. Wywodzimy się z innej linii, która schroniła się w czeluściach Żelaznych Wzgórz. Może i ludom, które żyły na nieznanach krańcach świata, udało się przetrwać.

Kashim skinął głową. Podobne słowa w Tel’Halik karano śmiercią, lecz znajdowali się daleko od Świętego Miasta. Mogli popuścić wodze wyobraźni. Młody oficer zaczął rozumieć, w czym Duzzahowie tak usilnie chcieli przeszkodzić Zerakhimowi. Wciąż nie miał pojęcia, jaką w tym rolę odgrywała Bestia czy zabójcy z Kaan’Baash, ale wiedział już, że sprawa, przez którą został wtrącony do więzienia, a która Dahala kosztowała życie, jeszcze się nie skończyła. Wprost przeciwnie — teraz, uzbrojony w nową wiedzę, z groźnym dowodem w rękę, miał zamiar podjąć grę na nowo.

— Nawet nie wiesz, jak mi pomogłeś, Nobru. Żal mi, że muszę cię zaraz opuszczać.

— Co zrobisz?

— Wrócę do Tel’Halik. — Kashim przerwał na chwilę. — Została do poruszenia sprawa, którą ciężko mi wspominać.

— Chodzi o mnie?

— Owszem. Miałem za zadanie szukać buntowników w Żelaznych Wzgórzach i znalazłem ich. Rozumiesz, że muszę powiedzieć o tym paszy. Ciężko mi na sercu, ale składałem przysięgę.

— Mówisz zupełnie jak Rahmat. Ale to nie jest problem, bratanku. W górach nie złapie mnie nawet cała armia pustynnego miasta. Niech pasza przyśle żołnierzy, a moi ludzie zdobędą na nich jeszcze więcej broni. Nie boimy się walki.

— Dobrze, stryju.

— Chyba nie jedziesz już zaraz?

— Taki miałem zamiar. A o co chodzi?

— Pomyślałem, że w tak gorące popołudnie nie warto wyruszać na szlak, a grzechem byłoby rozstać się, zanim wychylimy razem garniec kumysu.

Kashim roześmiał się.

— Oczywiście. Wyjeżdżałem z Tel’Halik jako człowiek równin, ale teraz wyszło, że jestem już pół Degiem. Powinienem zacząć przestrzegać waszych

zwyczajów.

*

Rozdzierający krzyk odbił się od ścian pomieszczenia, powędrował dalej i dotarł do najdalszego zakątka lochów. Więźniowie zadrżeli, świadomi, że zaraz to na nich może nadejść kolej. Tymczasem w ponurej sali tortur mędrzec Yholed pogładził się w zadowoleniu po brodzie.

— Zatem jesteś gotów, w imię Najwyższego, wyjawić swoich współników w bezbożnym dziele?

Łzy spłynęły po policzkach skulonego młodzieńca. Był już ślepy i nie mógł chodzić. Oczy wypalono mu żelazem, a nogi pogruchotano w wymyślnych maszynach. Ciało rozciągano i biczowano na przemian, lecz litościwa śmierć nie nadchodziła. Wreszcie mistrzowie z Pałacu Sprawiedliwych poddali go próbie szczurów. Dolną połowę ciała więźnia zamknięto w skrzyni, do której wpuszczono oszalałe z głodu gryzonie. Wystarczyło kilkadziesiąt upiornych sekund, w trakcie których zwierzęta rozszarpywały mu jądra i ogryzały golenie do kości, by zrobić wszystko, czego żądają oprawcy. Ci wyciągnęli ciało ze skrzyni. Krew zalała posadzkę krwią.

— Tak... — rzekł więzień głosem, który z trudem przeszedł przez opuchnięte od krzyku gardło.

— Mów więc.

— Mamy... Akademię... naucza się w niej... według doktryny... proroka Zerakhima...

— Tyle wiem, głupcze. Powiedz mi coś nowego albo wrócisz do skrzyni.

Twarz więźnia ściągnęła się w panicznym strachu na samą myśl o torturze.

— Spotkania odbywają się... co trzynaście dni... Najbliższe będzie pojutrze...

— Gdzie?

Mężczyzna zaszlochał.

— Gdzie?!

— W podziemiach... Pałacyku Skrybów.

Zadowolony Yholed przygładził brodę.

— Tak jak podejrzewaliśmy. Zasłużyłeś na litość, grzeszniku. Teraz osądzi cię Najwyższy.

To mówiąc, skinął ręką jednemu z oprawców. Do jeńca podszedł Vammaz, zwany przez więźniów Skałą. Był to niezwyklego wzrostu i tuszy

okrutnik, który giął w rękach szable i łamał kości. Jeniec zamknął oczy i na chwilę zbudziła się w nim jeszcze obawa przed śmiercią. Zatrząsał się, gdy poczuł na szyi ciężkie dłonie. Zaraz potem oprawca jednym cuchem skrzył mu kark, a strach więźnia rozpułynał się w ciemnej otchłani nieistnienia.

*

Żołnierze ucieszyli się, gdy Kashim powiedział im, że wracają do domu. Nawet ponura wiadomość o śmierci Tarakana nie przytłumiła tej radości.

Po dwóch tygodniach, gdy wyprawa przebyła jeszcze raz Tczu'Sel i dotarła z powrotem do Żelaznej Doliny, w jurcie Czendy Dirkusha urządzono prawdziwe święto, które trwało dwa dni i dwie noce. Komendant Abashim gotował się ze złości, widząc, że Muin nie wrócił z oddziałem. Wysłał zaraz list do Tel'Halik, lecz Kashim był spokojny.

Następnego dnia Jeźdźcy pożegnali Żelazną Dolinę. Gdy tylko zniknęła za ich plecami, spotkali na szlaku młodego Duzzaha, który jechał w otoczeniu dwunastu gwardzistów. Jego szata była porwana, a twarz pokryta pyłem. Pograżony w myślach nie zwrócił uwagi na jadących z naprzeciwka żołnierzy.

— Mudda! Na Jedyne! Co tu robisz?!

Duzzah poderwał głowę.

— Kashim! Wiedziałem, że jesteś gdzieś w tej stronie świata, lecz nie spodziewałem się ciebie spotkać — odparł.

Nie wyglądał na zbytnio uradowanego, zatrzymał jednak ludzi, bo nie wypadało rozminąć się, nie zamieniwszy kilku słów.

— Jakie są wieści ze Świętego Miasta? — spytał Al'Shannagg.

Mudda wskazał głową swoją eskortę, po czym dał znak Kashimowi, by odjechali gdzieś dalej. Żołnierz i kapłan oddalili się na kilkadziesiąt kroków, uważnie obserwowani przez podwładnych.

— Nie mogłem tego powiedzieć przy obcych uszach, ale jest ciężko. O wiele ciężej niż za Zerakhima. Musisz bardzo uważać, Kashimie, bo zjawisz się w miejscu, którego reguł nie znasz. Tel'Halik to zupełnie inne miasto niż to, które pamiętasz. Wszędzie kryją się płatni donosiciele. Rządzą Czerwone Turbany i ortodoksyjni Duzzahowie. Odsunięty od władzy Asimar nie opuszcza Orlego Fortu, gdzie strzeże go w dzień i w nocy piąta część jeźdźców.

— Dlaczego to mówisz? Zdawało mi się, że sprzyjałeś reformie?

— Dalej sprzyjam. Tel'Halik powinno żyć w większej zgodzie z Księgą. Jednak to, co dzieje się w mieście, to nie reforma. To terror. Poczujesz, gdy

zobaczysz opustoszałe ulice i las pali, jaki wyrósł pod murami.

— Co z Naharem?

— Źle. Po tym, jak pobiły go Czerwone Turbany, stał się małomówny i zamknięty w sobie. Stracił radość życia. Może widok bezkresnych piasków uleczyłby jego duszę, ale pasza wybrał go do osobistej ochrony. Teraz całymi dniami snuje się po korytarzach Orlego Fortu, a wieczorami pije na umór. Jeśli chcesz mi się jakkolwiek odwdzięczyć za informacje, proś o jego przeniesienie.

— Do mojego oddziału?

— Oszalałeś?! Myślisz, że zapomniałem o przedmiocie, który jest w twoich rękach? Gdy tylko Duzzahowie dowiedzą się o nim, a wiedz, że uważnie się twojej osobie przyglądają, skończysz na palu, niezależnie od protekcji, którą darzy cię pasza.

— Wiem już, dlaczego ta mała rzecz jest tak ważna. Ona nie pochodzi z Ocalonej Krainy, prawda, Muddo?

Kapłan zacisnął zęby i przez dłuższą chwilę się wahał. W końcu odparł:

— Tak. Została spisana przez myślące istoty nieujęte w Księdze. Wszystko wskazuje na to, że Zerakhim miał wobec tego fragmentu jakieś plany.

— Chcę skontaktować się z uczniami proroka. Możesz mi w tym pomóc?

— Chyba słońce pomieszało ci zmysły! To pewna śmierć! Ci ludzie są uważnie obserwowani przez Czerwone Turbany. Mają tajne spotkania w Pałacyku Skrybów, ale szpiedzy Duzzahów wiedzą o wszystkim. Nie rozwiązano jeszcze Akademii tylko dlatego, że Vezamar czeka, na dogodny moment, by schwytać całą siatkę za jednym zamachem.

Twarz Kashima poszarzała.

— Na Najwyższego! Muszę ich ostrzec!

— Rób, co chcesz. Nie daję ci nawet trzech dni życia od momentu, w którym przekroczysz bramy Tel'Halik. Tylko nie wciągaj w to Nahara. Lepsze podłe życie niż okrutna śmierć.

— Kto przewodzi akademii?

— Atollah, Pierwszy Skryba.

— Dziękuję ci, Muddo.

— Jeszcze jedno. Wiedz, że oni się ciebie boją, Kashim. Musi być w tobie coś szczególnego. Nie zmarnuj tego.

Kashim skinął młodemu Duzzahowi na pożegnanie.

— Nie dostaną mnie łatwo. Tego możesz być pewien.

*

Dziwna nostalgia ogarnęła Kashima, gdy ze szczytu wydmy spoglądał na Żelazne Wzgórza, które właśnie zostawili za sobą. Po twarzach jego ludzi widać było, że czują coś podobnego. W końcu spędzili ponad miesiąc wśród czerwonych skał, pasterskich jurt i niskich górali. Zegnali tę krainę jak przyjaciela, z cichą nadzieją, że jeszcze kiedyś tu wrócą.

Długo stali w milczeniu, aż w końcu zwrócili wierzchowce na wschód. Po dwóch dniach drogi byli w Rał'Manid i po raz pierwszy od dawna spali w murowanym budynku. Choć minęło dużo czasu, mieszkańcy osady wciąż jeszcze pamiętali zwycięstwo nad manhaurem. Przywitali jeźdźców radośnie, a Kashim odebrał od rzemieślnika spreparowany łeb drapieżcy.

Podczas gdy Al'Shannagg i jego ludzie bawili na dalekim zachodzie, nadeszła zima. W dzień słońce nie przypiekało już tak strasznie, a nocą zbroje pokrywały się szronem. Gady stawały się coraz bardziej ospałe i nie dawały sobie narzucić szybszego tempa. Żołnierze, choć tęsknili za miastem, nie śpieszyli się zbyt. Zboczyli nawet na północny wschód, w stronę osady Hazmud. Spędzili tam noc, a Kashim wziął od Celbala swoją cenną szkatułkę.

Następnego dnia w południe oczom jeźdźców ukazała się Piaskowa Iglica. Nieco później dostrzegli wyniesione nad pustynię mury Tel'Halik. Choć wiedzieli, że w mieście nie spotka ich gorące powitanie, nie mogli powstrzymać okrzyków radości. Czekał na nich wielki żołąd i kilka tygodni wolnego czasu.

Słowa Muddy niestety okazały się prawdziwe. Nieopodal głównej bramy stały dziesiątki pali, na które były nawleczone ciała w różnych stadiach rozkładu. Zwłok skazańców nie zabierano z miejsca kaźni, więc pod starszymi palami leżały białe kości. Przy bramie straż pełniła, oprócz gwardii, kilkunastu mężczyzn w czerwonych turbanach.

Miasto wyglądało jak pogrążone w półśnie. Kopuły pałaców lśniły złotem, a z warsztatów dochodziły odgłosy wytężonej pracy, lecz na ulicach było mało ludzi. Zamiast chodzić po bazarach, plotkować, targować się i śmiać, przemykali szybko pod ścianami. Większość tawern zamknięto na głucho. Na każdym placu stały dyby. Kobiet Kashim nie widział w ogóle. Żołnierze, nieco zdziwieni przemianą, jaka dotknęła Święte Miasto, skierowali się w stronę Orlego Fortu, by zdać paszy sprawę ze swojej misji.

*

Na dalekiej północy, dziesiątki dni drogi od Tel'Halik, Miidża Bachari

odłożyła konopną linę i pozwoliła odpocząć palcom. W namiocie było tak gorąco, że mało który człowiek ze Świętego Miasta wytrzymałby tam dłużej niż minutę. Nomadzi potrafili jednak znieść wiele.

Stara kobieta, która siedziała nieopodal i zaplatała drugi powróż, rzekła:

— Dość już, dziecko. Zniszczysz sobie śliczne dłonie. Idź odetchnąć, napój zwierzęta.

— Chcę skończyć tę linę, babciu Kamo. Przecież mężczyźni muszą wyjechać jutro, a nam wciąż brakuje dziesięciu stóp.

— Spokojnie, dziecko. Zdążymy. Twoje rówieśnice bawią się na dworze. Nie musisz być bardziej pracowita od nich.

Miidza przetarła czoło.

— Inaczej by się ze mnie śmiały. Mówiłyby, że nie jestem prawdziwą Manar, babciu. Że nie potrafię ciężko pracować!

— Jesteś lepszą Manar niż wiele innych kobiet, choć nie masz naszej krwi. Nie wierz w rzeczy, które opowiadają zawistne dziewczynki.

Miidza podeszła do wyjścia z namiotu. Wyjrzała na zewnątrz.

— Włóż chustę! — krzyknęła staruszka. — Nie chcesz chyba znów się sparzyć!

Dziewczyna westchnęła i narzuciła na głowę kawałek kolorowej tkaniny.

— Chciałabym być taka jak reszta naszego ludu. Mieć ciemną skórę i czarne jak węgle oczy. Chciałabym nie bać się słońca.

— Nie wiesz, co mówisz, dziecko. Jesteś piękna taka, jaka jesteś.

W odpowiedzi Miidza wzruszyła tylko ramionami.

Na zewnątrz mężczyźni zajmowali się wybieraniem najbardziej krzepkich bacharnów. Spędzili całe stado do zagrody i rozważali, które ze zwierząt mają większą szansę przeżyć wielodniową podróż bez wody. Na początku zimy bowiem, gdy słońce paliło słabiej niż zwykle, dorośli mężowie z ludu Manar wyruszali daleko na południowy wschód, do Słonej Oazy. Sprzedawali tam zwierzęta w zamian za bryły soli. Bez niej bacharny często chorowały i szybko umierały, a ich mięso, będące niemal jedynym pożywieniem nomadów, smakowało znacznie gorzej. Gdy mieli więcej zwierząt, kupowali też ubrania i narzędzia. W tym roku zapowiadało się, że zrobią dobry interes.

Kazi, młodszy brat Miidzy, biegał podekscytowany między zwierzętami. Niedawno skończył czternaście lat, mógł więc wyruszyć na pierwszą w życiu wyprawę. Od wielu dni był niespokojny, bo czekał niecierpliwie, aż karawana uda się w pełną niebezpieczeństw podróż.

Miidza obserwowała przez chwilę mężczyzn, szczególną uwagę poświęcając co bardziej urodziwym. Była już dojrzała i gotowa, by wyjść za mąż. Niestety, żadna swatka nie zjawiła się jeszcze w namiocie przybranego ojca. Mężczyźni uważali Miidzę za wyjątkową piękność, bali się jednak, że dzieci, które im urodzi, będą zupełnie niepodobne do ludu Manar.

— Idź napić zwierzęta. — Kama wyrwała dziewczynę z zamyślenia. Miidza skinęła głową i opuściła namiot, kryjąc bladą piegowatą skórę i włosy koloru rdzy pod grubą chustą.

*

Wieczór Kashim spędził jak za starych, dobrych czasów — w Rozbitej Amforze. Miał już za sobą audiencję u paszy i radosne powitanie w rodzinnym domu. Zdążył także wysłać przez zaufanego gońca wiadomość do Jelayi. Teraz mógł poświęcić się przepijaniu potrójnego miesięcznego żołdu.

Tawerna i jej właściciel zmienili się, podobnie jak wszystko w Tel'Halik. Ze ścian zniknęły bogate gobeliny, a stolików nie odgradzały już jedwabne zasłony. Usunięto każdy najdrobniejszy przedmiot, który mógł się kojarzyć ze zbytkiem, nie wyłączając nawet srebrnych świeczników i porcelanowych mis na owoce.

Gości nie było wielu, ot, kilku zapracowanych rzemieślników i zmęczonych całodniową służbą gwardzistów. Kashim nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej panowała w Rozbitej Amforze taka cisza. Tylko przy jednym ze stolików grupa Czerwonych Turbanów przekrzykiwała się pijanymi głosami.

Alim zeszczuplał i posmutniał. Przez ciągłe inspekcje świątynnej milicji oraz częste wizyty w Pałacu Sprawiedliwych, gdzie musiał udowodniać, że nie skłania młodzieży do rozpustnego życia, jego twarz poryły głębokie bruzdy. Włosy zaczęły mu siwieć, a oczy miał podkrążone ze zmęczenia. W ciągu miesiąca postarzał się o kilka lat.

Kashim nie siedział sam. Obok niego sączył wino Nahar. Spotkali się w południe w Orlim Forcie i od tego czasu opowiedzieli sobie już wszystko, co mieli do opowiedzenia, pili więc w ciszy. Nahar rozpoczął właśnie żałobę, podobnie jak cały ród. Wieści, które przywiózł Kashim z dalekiego zachodu, jednoznacznie dowodziły, że jego kuzyn nie żyje.

— Twoi jeźdźcy nie przyjdą? — spytał w końcu Al'Iarnak.

— Nie. Wiedzą, gdzie spędzam wieczór, ale po tylu dniach musimy od siebie odpocząć.

Młody żołnierz skinął głową.

— Mudda prosił mnie — powiedział Al'Shannagg — bym wstawił się za twoim przeniesieniem.

— To niemożliwe. Nie marnuj czasu, Kashimie.

— Dlaczego tak uważasz?

— Pasza nie zatrzymał w forcie przypadkowych jeźdźców. Wszyscy, którzy go chronią, są z bogatych rodów.

— Chyba rozumiem, o co chodzi. Lis Asimar chce się dodatkowo zabezpieczyć?

— Tak. Wie, że Duzzahowie nie mogą pozwolić, by zginęło tylu szlachetnie urodzonych. Nie zdecydują się wystąpić przeciw paszy, dopóki go bronimy.

Kashim wypił z kielicha ostatni łyk.

— Mudda mówił, że źle znosisz służbę w forcie. Ale przecież nie może być taka straszna. Cały czas dach nad głową, bezpieczne warunki — próbował pocieszać przyjaciela.

— Mylisz się. Jedyne, co mi z niej przychodzi, to gnuśność i nuda. Masz rację co do jednego: wolę takie zadanie od patrolowania ulic z Czerwonymi Turbanami. Oddałbym jednak prawą rękę, żeby wyjechać z tego przeklętego miasta choćby na tydzień.

— Ja również wolałbym mieć cię w oddziale, Naharze. A teraz powiedz mi jeszcze jedno. Odnoszę wrażenie, że widziałem w forcie wiele nowych twarzy. Skąd pasza wziął tych wszystkich oficerów?

Nahar wzruszył ramionami i dolał sobie wina.

— Niech mnie rozszarpia sępy, jeśli wiem. Ponoć byli wcześniej w jakiejś tajnej służbie podległej prorokowi, ale to wydaje się mało prawdopodobne. Od kilku tygodni pojawiają się znikąd, zdają idealnie wszystkie próby i są natychmiast pasowani na Świętych Jeźdźców. Wkrótce potem dostają awans, choć nie byli jeszcze ani razu na pustkowiach. Widziałem jednak, że pasza jest im bardzo niechętny.

— Zupełnie jakby ktoś siłą wciskał mu nowych rekrutów?

— Tak.

— Vezamar chce mieć większą kontrolę nad Orlim Fortem. Nie wróży to dobrze.

Nahar Al'Iarnak skinął głową.

— Weźmiemy jeszcze jeden dzban? — wskazał puste naczynie.

— Nie. Muszę być w miarę trzeźwy.

— Odwiedziny u oblubienicy?

— Nie bądź zbyt domyślny — Kashim zaśmiał się.

— No to nadrobimy zaległości jutro po służbie. Właśnie! Co masz zamiar robić do wieczora?

— Załatwię kilka prywatnych spraw. Nic ważnego i nic, w co chciałbym cię mieszać.

Nahar westchnął.

— Powalczmy chociaż — zaproponował. — Jutro po drugim czytaniu schodzę z warty. Spotkamy się na dziedzińcu fortu. Muszę sprawdzić, czy jeszcze umiem trzymać szablę.

— Z chęcią. Weź od mistrza Abaherima tępe żelaza. Pokażę ci kilka sztuczek, których nauczyłem się od stryja.

— Stryja? Nie mówiłeś, że masz w rodzinie jakiegoś szermierza.

— Bo sam o tym nie wiedziałem. Opowiem ci po drodze.

— Idziemy pod dom Makhar'adów?

— A co? Nie chcesz mi dotrzymać towarzystwa? Poza tym przydasz się do odwrócenia uwagi straży.

*

Shamiraj wynajmował mały pokój w budynku przyległym do Pałacu Ksiąg. Tam właśnie udał się wieczorem, gdy wydał już część żołdu na nielegalne traktaty i odpisy kazań Zerakhima. Teraz musiał zapłacić nadzorcy dwumiesięczny czynsz i pokazać, że jeszcze żyje.

Smutne wieści czekały na Shamiraja w Tel'Halik. Pod jego nieobecność aż czterech znajomych zostało aresztowanych za herezje. Jeden zginął na palu, trzech do dziś siedziało w podziemiach Pałacu Sprawiedliwych. Były Duzzah zobaczył teraz wyraźnie, że wstąpienie do Jeźdźców było najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić człowiek w jego sytuacji. Gdyby nie służba dla Orlego Fortu, Czerwone Turbany dawno by go aresztowały.

Sylwetka domu ukazała się już na końcu ulicy. Coś jednak było nie w porządku. Całe szczęście, że w mieście żołnierz nie wyzbył się ostrożności, jaką wpoili mu pustkowie. Spostrzegł, że w oknie zarządcy pali się światło mimo bardzo późnej pory. Udźar słygnął z lenistwa i z pewnością nie mógł o tej godzinie pracować. Shamiraj schował się w cieniu przy ścianie. Skulony zakradł się pod parapet i zajrzał ostrożnie do środka. W pomieszczeniu, które otwierało się na sień, stało kilku Czerwonych Turbanów.

Żołnierz natychmiast cofnął głowę. Z pewnością to na niego czekali. Chcieli go aresztować mimo protekcji paszy! Shamiraj zastanawiał się chwilę, gdzie mógłby się ukryć, aż w końcu zdecydował, że najlepiej będzie

wrócić na noc do Orlego Fortu. Trzeba zaszyć się w garnizonie i nie wychodzić na miasto, dopóki wszystko choć trochę się nie uspokoi...

*

Kilkanaście minut potem dwóch żołnierzy szło stromym zaułkiem, który wiódł z Szarego Stoku do Dzielnicy Rzemieślników.

— No, no — powiedział Nahar, gdy opowieść Kashima dobiegła końca. — Nie miałem pojęcia, że przyjaźnię się z półkrwi góralem. Wybacz, ale nie przypominasz ich wcale.

— Taki sam ze mnie góral, jak z mojego ojca. Degowie...

Przerwał nagle, bo z mroku dobiegły krzyki i odgłos szamotaniny.

— Idziemy, Nahar! — rzekł natychmiast i wyjął szablę z pochwy.

Za zakrętem pięciu mężczyzn w czerwonych turbanach biło pałkami kobietę. Próbowwała powstrzymać ich para jej służących.

— Zostawcie moją panią! — krzyczał gruby eunuch.

— Twoja pani jest rozpustną dziwką. Odsuń się, bo połamiemy ci nogi.

— Dość, psy! — krzyknął Kashim. Mężczyźni odwrócili się, bardziej zaskoczeni niż przerażeni. Kobieta upadła w błoto, a niewolnicy natychmiast podbiegli ją podnieść.

— Na Najwyższego! Wino pomieszało ci rozum, Jeźdźcze? — rzekł jeden z Turbanów, a reszta zarechotała paskudnie.

— Nahar, idziemy na nich! — powiedział Kashim.

W tym momencie ręka przyjaciela spoczęła mu na ramieniu.

— Zostaw...

Al'Shannagg zamarł ze zdziwienia.

— Co? Zamierzasz puścić to płazem?

— Prawo jest po ich stronie, Kashimie.

— Jakie to prawo pozwala bić kobietę, która wyszła zgodnie z obyczajem w kwefie i w towarzystwie służby?

Brodacz w czerwonym turbanie odparł:

— Gdzie się podziewałeś przez ostatnie tygodnie, człowieku? Wiedz, że zbroja Jeźdźca nie usprawiedliwia nieznajomości prawa. Mimo że ze służbą, ta suka opuściła dom po zmroku. Na dodatek ma kwef w innym kolorze niż chałat.

— Co?

— Kobiety mają ubierać się w jednym kolorze, by żadnym szczegółem nie różnić się od pozostałych i nie zwracać na siebie uwagi — powiedział Nahar. — Idziemy stąd.

Kashim chwilę stał, kurczowo ściskając szablę, i dygotał ze złości. Wreszcie schował broń.

— Zabierzcie ją do Pałacu Sprawiedliwych zamiast linczować — powiedział jeszcze Nahar, nim odszedł z przyjacielem. — Prawo tego zabrania.

— Prawo to my, żołnierzu. Wyoście się.

— Chodźmy, Kashimie.

— Nie zamierzasz...

— Idziemy! Porozmawiamy potem — rzekł z naciskiem Nahar, chwycił przyjaciela za rękę i pociągnął w dół uliczki.

Gdy Czerwone Turbany zniknęły za zakrętem, Kashim powiedział:

— Jak możesz, Naharze? To wbrew honorowi Jeźdźca!

— Czasy się zmieniły, Kashimie. Kodeks Jeźdźców też. Na Najwyższego, przywiąż większą wagę do tego, co się wokół ciebie dzieje. Wypytaj sługę lub znajomego Duzzaha o nowe prawa. Jest ich wiele, a kary są ciężkie. Tłumaczenie, że dawno nie byłeś w Tel’Halik, nie uratuje ci skóry, jeśli popełnisz błąd.

Al’Shannagg ściągnął wargi w grymasie złości i więcej się nie odezwał.

*

Jelaya była w rozterce od chwili, w której Phari doręczył jej list pisany ręką Kashima. Serce łomotało jej jak dziki ptak w klatce. Czowała ciężar rozmów z Tantaharem. Przygotowując się na przybycie ukochanego, ufryzowała włosy, natarła ciało wonnościami i zniosła do sypialni wykwintne smakołyki. Zabrała tam również egzemplarz Księgi, który podarował jej młody kapłan.

Kashim zjawił się niedługo po zmroku. Wspiął się po ścianie cicho niczym kot i lekko wylądował na podłodze sypialni. Jelaya spostrzegła od razu, że bardzo się zmienił. Tygodnie spędzone na pustkowiach wyszczupliły mu twarz i spaliły skórę na ciemny brąz.

— Witaj, sokole — rzekła.

— Witaj, kwiecie Świętego Miasta — wojownik podszedł do łoża kochanki.

Jelaya powstrzymała go ruchem dłoni. Wstała i cicho zbliżyła się, by złożyć na ustach Kashima pocałunek delikatny jak muśnięcie jedwabiu. Żołnierz pachniał wiatrem i słodkim winem. Cofnęła się, gdy spróbował jej dotknąć. Wskazała mu fotel, który stał przy kolumnie nieopodal łóżka.

— Czymś cię uraziłem, Jelayo, że nie witasz mnie tak wylewnie jak

kiedyś?

Dziewczyna uśmiechnęła się. Usiadła, a jej koszula podwinęła się, odsłaniając aż do ud białe nogi.

— Czas zabaw minął, sokole. Jeśli chcesz mnie mieć, udowodnij, że ci zależy.

Kashim uśmiechnął się.

— Jakiegoż to dowodu żądasz?

— Poproś ojca o moją rękę.

— Wiesz dobrze, że odmówi.

— Może tak, a może nie — rzekła słodko Jelaya.

Kashim usiadł w fotelu.

— Zrobię to, na Najwyższego. Przejechałem setki staj, by wrócić do ciebie. Nocami śniłem o smaku twoich ust, a...

— Wystarczy, sokole. Z radością przyjmę cię do łóża, gdy będę pewna twoich intencji. Wiedz, że także bardzo tęskniłam. Ale teraz opowiadaj, mamy wiele czasu do rana.

— O czym, ukochana?

— O piaskach, pustkowiach i wszystkim, co widziałeś — rzekła, a w jej oczach rozpałała się ciekawość.

Kashim westchnął. Przychodząc tu, miał nadzieję na coś więcej niż rozmowę. Zaraz jednak powstrzymał podobne myśli. Jelaya Makhar'ad była córką wysokiego rodu, a nie nierządnicą. Musiał traktować ją z należnym szacunkiem. Wziął kielich korzennego wina, który stał nieopodal fotela. Przepłukał gardło i przygotował się na długą opowieść.

Przez wiele godzin Jelaya chłoneła rozmarzona historie o dalekich ziemiach. Westchnęła kilka razy, gdy Kashim opowiadał o walce z manhaurem czy przygodzie Muina. Wreszcie zasnęła, a on zorientował się, że snuje opowieść tylko do głuchych ścian. Opuścił więc sypialnię, a idąc przez ogród, zdecydował, że jutro zjawi się u Iznaka z propozycją małżeństwa. Na tysiąc skorpionów! Miał w końcu zaszczytne stanowisko i niemały żołąd. Może to przekona starego skąpca, by oddał mu córkę.

*

Rano, gdy przejmujący chłód wdzierał się do komnat Orlego Fortu, pasza Asimar cierpiał szczególnie dotkliwie. Stare rany i początki reumatyzmu dawały mu się we znaki, więc służba wstawiała grubo przed świtem i przygotowywała w łaźni gorącą kąpiel. Prosto z łóża pasza szedł do baseniku, w którym spędzał zazwyczaj około dwóch godzin, rozgrzewając obolałe

członki i świntuszając ze służkami. Dopiero potem ubierał się i zaczynał codzienne obowiązki. Dzień kończył dokładnie w ten sam sposób.

O ile podczas wieczornych kąpieli często udzielał audiencji, to o poranku przyjmował tylko w niezwykłych sprawach. Jedyne pewien zamaskowany, wysoki mężczyzna, który pojawiał się w środku fortu nie wiadomo skąd, był zawsze wpuszczany do paszy bez względu na porę.

Tego ranka przybył jeszcze przed wschodem słońca i zażądał widzenia z Asimarem. Przestraszona służba zaprowadziła go więc do łaźni, gdzie pasza dopiero co wskoczył do basenu. Kłęby pary unosiły się w powietrzu, lecz mimo to Snaar zdjął maskę dopiero, gdy zajął miejsce za parawanem.

— Witam cię — powiedział pasza. — Musisz mieć ważny interes, skoro przychodzisz o tak nietypowej porze.

— W rzeczy samej, paszo — rzekł gad. — Bardzo niepokoi mnie obecność w mieście jednego z twoich ludzi.

— Kogo masz na myśli?

— Kashima Al'Shannagga. Młodego Jeźdźca, którego poradziłem ci awansować i wysłać z daleką misją.

Pasza wzruszył rumianymi od ciepłej wody ramionami.

— Nie rozumiem. Zrobiłem dokładnie to, co proponowałeś, Snaar. Kashim wyjechał na długo i sprawił się dobrze.

— Mam wobec niego istotne podejrzenia. Sądziłem, że zdołam je wyjaśnić, zanim wróci z Żelaznych Wzgórz, sprawa jednak okazała się bardzo skomplikowana. Moi informatorzy nie skończyli jeszcze pracy. Do czasu, gdy rozwieją wszystkie moje wątpliwości, wolałbym, aby tego człowieka nie było w Tel'Halik.

Pasza zmrużył oczy.

— O co chodzi, Snaar? Masz w ręku siłę nie mniejszą niż moi Jeźdźcy, a boisz się jednego żołnierza?

Gad syknął gniewnie.

— To sprawy nie na twój rozum, Asimarze.

— Obrażając mnie, nic nie wskórasz, Wysłanniku. Raczej proś.

— Nie zamierzam bawić się w prośby. Rozkazuję ci odprawić go zaraz z kolejną misją. Jeśli się nie podporządkujesz, utracisz moje poparcie i pomoc!

Asimar obmył twarz, zastanawiając się nad słowami Snaara.

— Biedak musiał napędzić ci wielkiego stracha, skoro jesteś tak napastliwy. Dobrze. Wyślę Kashima z kolejną misją. Ale wiedz, że ściągniesz na niego publiczną uwagę. Zastanów się, czy nie wolałbyś tego

uniknąć.

— Co masz na myśli?

— Sądzisz, że ludzie nie będą plotkować, jeśli dostanie nowy przydział zaraz po powrocie? Za moich rządów nigdy nie zdarzyło się, by odebrano któremuś z Jeźdźców choć dzień należnego odpoczynku. Tym bardziej nie ma powodu dziś, gdy tylu zbrojnych czeka beczynnje.

— To mnie nie martwi, paszo. W każdym razie nie tak bardzo, jak obecność Al'Shannagga w Świątym Mieście.

Rozdział 13. Znów w drodze

Kashim wiedział, że podchody nie mają sensu. Musiał skontaktować się ze zwolennikami Zerakhima szybko — zanim świątynna milicja rozbije Akademię. Miał nadzieję, że wieści o misji Tarakana i przedmiot, którym się opiekował, pomogą zachwiać władzą Vezamara. Mieszkańcy Tel’Halik musieli się przecież dowiedzieć, że prorok i jego Duzzahowie kłamią.

Występowanie przeciw tak potężnej osobie było szaleństwem i Al’Shannagg wiedział o tym, lecz nie mógł wybaczyć Vezamarowi śmierci Tarakana, Muhhamara, Dahala i innych sprawiedliwych mężów, którzy zginęli tylko dlatego, że badali prawdę. Był pewien, że szalony starzec i jego stronnictwo odpowiadają za zło, jakie spotkało Święte Miasto. Zabójcy z Kaan’Baash musieli służyć właśnie jemu.

Kashim postanowił skontaktować się z buntownikami w sposób, na który naprowadził go Mudda. Wczesnym rankiem wyruszył do Pałacyku Skrybów, by spotkać się z Atollahem, głową Akademii. Bruk pokrywała warstwa szronu, a wszystkie okna były szczelnie zasłonięte. Choć słońce zaczęło już wschodzić i rozproszyło szarzynę przedświtę żółtymi promieniami, na ulicach nie było żywej duszy. Kashim miał nadzieję zastać starca w jego komnatach, by porozmawiać z nim bez świadków. Spóźnił się jednak. Już dwie ulice dalej usłyszał krzyki dochodzące od strony pałacyku. Natychmiast przyśpieszył kroku, pełen złych przeczuc. Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń i zobaczył, co się dzieje pod wielkim, prostokątnym budynkiem, niemal zawył z rozpacz.

Przybył o jeden dzień za późno.

Na zewnątrz stało kilkudziesięciu uzbrojonych gwardzistów i wozy, na które wyprowadzano związanych młodych ludzi. Przy bramie leżała sterta okrwawionych ciał. Czerwone Turbany przetrząsały budynek, wyrzucając przez okna pisma i pergaminy, które zaraz zbierali pomocnicy Duzzahów. Akademia została zniszczona.

Kashim patrzył na twarze aresztowanych i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wśród nich było tak wielu szlachetnie urodzonych, że Duzzahowie musieli chyba oszaleć, jeśli chcieli wtrącić ich do lochu. Na wozach stali synowie znamienitych rodów Mel’Bahawi, Al’Dasam, Al’Ushr. Vezamar nie bał się nikogo w Ocalonej Krainie, skoro zezwolił na podobny krok.

Kilku gwardzistów zaczęło spoglądać na Kashima podejrzliwie. Żołnierz zdał sobie sprawę, że nie może tu dalej sterczeć. Odwrócił się plecami do Pałacyku Skrybów i ruszył w dół ulicy. Wzbierała w nim bezsilna wściekłość, a w głowie kołatały myśli. Czuł, że niewidzialna sieć zacisnęła się, skrępowała mu wszelkie ruchy. Cóż bowiem mógł zrobić? Ludzi, którzy stanęliby po jego stronie, potrafił wyliczyć na palcach. Wiedza, za którą wielu oddało życie, była teraz zupełnie bezwartościowa.

Kashim rozważał najbardziej szalone plany. Miał ośmiu wiernych żołnierzy i Nahara. Mogli wejść do Pałacu Proroka i przedrzeć się do Piaskowej Iglicy. Zabiliby Vezamara, a potem zginęli w bohaterskiej walce. Tylko co by to dało? Zostaje przecież jeszcze Yholed i Mazznar, a za nimi wielu innych, równie groźnych. Może więc porzucić służbę i spróbować wszystkich zamordować, jednego po drugim? Ale Kashima szkolono na żołnierza, nie na skrytobójcę. Wzniecić powstanie? Zbrojni są wierni Piaskowej Iglicy. Plebs jest zastraszone. Szlachetnie urodzeni wolą dbać o własne interesy. A może skłócić paszę z prorokiem i poprzeć tego pierwszego? Jak jednak to osiągnąć, gdy pasza był posłuszny Vezamarowi i bał się o swoją skórę?

Al'Shannagg klął i złorzeczył, lecz nie widział wyjścia z sytuacji. W przypływie desperacji zamierzał nawet wskoczyć na saura i pogalopować z powrotem do Żelaznych Wzgórz. Tam mógł przyłączyć się do bandy Nobru albo wyruszyć dalej, zobaczyć na własne oczy krainę, którą odkrył Tarakan. Wtedy jednak porzuciłby Jelayę. Jelaya! Musiał przecież brać ją pod uwagę w swoich planach.

Przystanął w końcu i odetchnął głęboko zimnym, porannym powietrzem. Był wolny i miał w zanadrzu groźną kartę. Może trzeba poczekać i zobaczyć, jakie zmiany przyniesie przyszłość? Tymczasem postanowił skoncentrować się na bliższych sprawach.

*

Tato! Przytroczyłem już bukłaki!

— Sprawdziłeś je po trzykroć? Każdy dziurawy worek to jedno martwe zwierzę!

— Tak, tato!

Gundzar klepnął syna po plecach.

— Dobrze, Kazi. Możesz zebrać rzeczy i przygotować się do drogi.

— Na pewno nie trzeba zrobić czegoś jeszcze?

— Nie.

Chłopiec był tak podekscytowany, że bez protestu przyjąłby nawet najcięższą pracę. Wyruszał po sól. Stawał się mężczyzną. Młodzi przyjaciele sinieli z zazdrości, widząc, jak uwija się przy zwierzętach.

Gundzar tymczasem podszedł do namiotu, przed którym czekały dwie kobiety. Ucałował w rękę starszą i pogładził po głowie młodszą.

— Na pewno nie zostawicie choć pięciu zbrojnych?

— Na pewno, matko.

— Lekceważysz znaki, Gundzar. Sprowadzisz nieszczęście. Miidza widziała wszystko wyraźnie, a wiesz, jaką ma moc.

— Już niejedno jej widzenie minęło się z prawdą. I tak mamy za mało ludzi, jak na rozmiary stada.

Rudowłosa dziewczyna podniosła głowę i przeszła Gundzara przestraszonym spojrzeniem.

— Błagam, ojcie! Każ kilku wojownikom pilnować osady. Jestem pewna, że...

Mężczyzna przerwał jej:

— Dość, Miidza. Nie pozwolę, byśmy zmarnowali tak dobry rok tylko dlatego, że miałaś przecucie.

— To więcej niż przecucie.

Gundzar wzruszył ramionami.

— Opiekuj się babcią. Oczekujcie naszego przybycia za trzydzieści dni.

Kama podała synowi małe zawiniątko z ubraniami i różnymi drobiazgami. Worki z prowiantem były już przytroczone do jednego z bacharnów, podobnie jak woda i zapasowe liny. Gundzar wypowiedział krótką modlitwę, po czym ruszył szybkim krokiem w stronę stada. Kazi siedział na grubym karku bacharna i machał na pożegnanie.

— To się źle skończy — wyszeptała Miidza.

— Nie mów nic. Wszystko jest w rękach Najwyższego.

*

Młodzi żołnierze od rana zalewali się potem na placu fortu. Choć po mieście krążyły plotki, że pasza traci powoli wpływy, do służby w szeregach Świętych Jeźdźców wciąż garnęły się rzesze rekrutów. Dzień w dzień wypruwali sobie żyły na morderczych treningach. Chcieli mieć cień szansy, by sprostać niezwykłym wymaganiom. Wiedzieli, że tylko co dziesiąty zostanie pasowany, lecz każdy myślał, że to właśnie on znajdzie się w grupie szczęśliwców.

Około południa mieli półgodzinną nieprzewidzianą przerwę. Wtedy to z

boku placu, w cieniu muru, spotkało się dwóch starszych Jeźdźców. Chwilę rozmawiali przyjacielsko, a w końcu chwycili za treningowe szable i zaczęli pojedynek. Jeden za drugim rekruci przerywali ćwiczenia, patrząc z podziwem na walczącą parę. Szermierze poruszali się bowiem z szybkością i gracją, o jakiej młodzi adepci mogli tylko marzyć. Ostrza błyskały w tumanach kurzu, wzbitych przez perfekcyjnie stawiane kroki i błyskawiczne wypady. W końcu cały plac, łącznie pięć dziesiątek żołnierzy, przyglądał się niezwykłemu przedstawieniu.

Najlepsze miało dopiero nadejść. W samym środku walki z fortu wyszedł jeden z gońców paszy. Zbliżył się do walczących i przerwał im, by przekazać wyższemu jakiś dokument. Wojownik rozwinął zwój. Obserwatorzy odwrócili się, sądząc, że oto przedstawienie dobiegło końca. Nic bardziej mylnego! Pojedynekowicz wpadł w szal, gdy tylko przeczytał wiadomość. Jego podniesiony głos ponownie przykuł uwagę wszystkich.

Żołnierz omal nie rzucił listu w twarz gońcowi. Partner powstrzymał go, a wtedy ten zaczął krzyczeć i wywijać w powietrzu dokumentem. Podarł go na strzępy, wziął wielki rozmach i rzucił szablą w stronę okien fortu. Broń zawirowała w powietrzu i odbiła się z brzękiem od jednej z kolumn. Przyjaciel próbował jakoś uspokoić wściekłego Jeźdźca, lecz ten wykrzyczał kilka bluźnierstw, po czym odwrócił się na pięcie i z wyrazem bezgranicznej furii na twarzy opuścił plac.

Rekruci patrzyli za nim dłuższą chwilę, nie potrafiąc dojść, co mogło wyprowadzić mężczyznę z równowagi. W końcu podjęli trening. W dzisiejszych czasach widywało się wiele dziwnych rzeczy.

*

Nahar znalazł Kashima w jego rodzinnym domu, gdzie pośpiesznie pakował dopiero co rozpakowane rzeczy. W tym czasie gońcy rozbiegli się już po mieście, by przed wieczorem dostarczyć wiadomość do każdego z podwładnych Al'Shannagga.

— Przesadziłeś — rzekł Nahar.

— Poniosło mnie. Nie mogłem uwierzyć, że pasza tak mnie potraktował.

— Rozumiem. Sam byłem zaskoczony tym wezwaniem.

— Dlaczego ja, na wszystkie sępy pustyni! Dlaczego teraz?

— Chcą się ciebie pozbyć z miasta, to pewne. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że jest coś, o czym mi nie powiedziałaś.

— I dalej nie powiem, lecz uwierz: ta rzecz nie tłumaczy decyzji Asimara.

- Kiedy jedziesz?
- Jutro rano. Porozmawiam jeszcze z Jelayą i załatwię kilka spraw. Uważaj na siebie. Sytuacja robi się coraz bardziej paskudna.
- Bądź spokojny. Dokąd cię posyłają?
- Na północne pustkowia. Miesiąc będziemy błądzić gdzieś za martwymi piaskami.
- Nahar westchnął rozmarzony.
- Może spotkasz demona...
- Chyba żartujesz. Jeśli nie pokazywały się przez pół wieku, dlaczego miałyby zacząć właśnie teraz?
- Zawsze musi być ten pierwszy raz. Zobaczymy się wieczorem?
- Tak. Będę w Rozbitej Amforze. Mam szczerą ochotę się upić.
- No to jest nas dwóch.

*

Tymczasem głęboko pod ulicami Tel’Halik, w samym sercu pradawnych jaskiń, od ścian odbijał się monotony śpiew. W Kaan’Baash modliło się czterdziestu ludzi w czarnych szatach. Jeszcze nie tak dawno świątynia rozbrzmiewała głosami dwa razy większej liczby wiernych, jednak dziś duża część Nocnych Jastrzębi była już na powierzchni. Od ponad miesiąca obejmowali ważne stanowiska w straży, Pałacu Sprawiedliwych a nawet w szeregach Świętych Jeźdźców. Jutro pozostali także mieli wyjść z konspiracji. Wszystko przygotowano i zaplanowano, a prorok Vezamar wydał już odpowiednie zezwolenia.

Nocne Jastrzębie dziękowały Najwyższemu za łaskę, która ich spotkała. Mieli stać się jego zbrojnym ramieniem w Tel’Halik. Grupą wierniejszą Księżde niż świątynna milicja, a jednocześnie silniejszą od Jeźdźców paszy Asimara.

*

Wszyscy członkowie oddziału zjawili się w formie na czas. Z ich twarzy łatwo było wyczytać gniew, nie mniejszy od gniewu Kashima. Ledwo wrócili do rodzin, żon i kochanek, a już nadeszły kolejne rozkazy. Tylko Shamiraj i Zonar cieszyli się z sytuacji. Widać było, że z chęcią opuszczą Święte Miasto. Pozostali, choć niemile zaskoczyły ich zmiany w Tel’Halik, woleliby spędzić tu jeszcze miesiąc.

Al’Shannagg był cichy i spięty. Jelaya płakała, gdy powiedział jej o nowej misji. Podobnie matki, które bały się, że stracą jedyne go żywiciela rodu. Na dodatek w nocy znów nadeszły sny. Kashim nie pamiętał ich już

rano, ale wiedział, że były pełne krwi i cierpienia. Nad wizją dominowała sylwetka czarnowłosej zjawy, która nawiedziła go pierwszy raz od wielu tygodni. Żegnał się z Naharem, jakby miał go już nigdy nie zobaczyć.

Okazało się, że nie tylko Kashim był pełen obaw. Gdy żołnierze, po sprawdzeniu ekwipunku i uprząży saurów, wyjechali na główną ulicę, zbliżył się do niego Harum. Twarz miał bladą z niewyspania.

— Dziś rano złożyłem ofiarę w Pierwszej Świątyni, kapitanie. Nie zobaczę już chyba Tel’Halik...

— Dlaczego tak myślisz?

— Miałem ubiegłej nocy sen.

Kashim popatrzył na żołnierza uważnie.

— Jaki sen, Harumie? Pamiętasz?

— Tak, kapitanie. Walczyliśmy wśród piasków z demonami zakutymi w stal. Słyszałem szcęk mieczy i dzikie krzyki. Potem ujrzałem martwe twarze Zanara, Fadla i Shamiraja. Zginęliśmy tam. Zabili nas wszystkich. To znak.

Kashim zawiesił wzrok na zbliżającej się bramie. Słowa Haruma wydobyły z jego pamięci szczegóły własnego koszmaru. Wyszeptał krótką modlitwę do Jedynego. Ubiegłej nocy widział bowiem dokładnie to samo.

Ośmiu Jeźdźców przejechało pod bramą, a gwardziści, którzy pełnili tam służbę, zasalutowali im. Kashim i jego ludzie spojrzeli za siebie tylko raz, ze szczytu wydmy, by pożegnać Święte Miasto, jego stłoczone domy, złote kopuły i smukłe wieże. Zaraz potem ruszyli galopem na północ. Wkrótce pochłonęła ich bezkresna pustynia.

*

Święci Jeźdźcy nie spodziewali się, że apel, który pasza zarządził wieczorem, będzie dotyczył czegoś niezwykłego. Spekulowano, że chodzi o nowe awanse, publiczne skarcenie jakiegoś oficera albo tym podobne sprawy. Żołnierze schodzili się więc na plac niechętnie i z pewnym opóźnieniem. Dowódcy zaczęli krzyczeć, by wprowadzić choć trochę dyscypliny. Ustawili zbrojnych w szeregu. Zachodzące słońce rzucało czerwone refleksy na wypolerowane pancerze i szyszaki.

Po dłuższej chwili z fortu wyszedł pasza w złoczonej zbroi i w towarzystwie dwóch adiutantów. Jego twarz była poszarzała i smutna, zupełnie jakby dowiedział się właśnie o śmierci kogoś bliskiego. Asimar stanął przed podwładnymi i rzekł:

— W imię Najwyższego!

— W imię Najwyższego! — odkrzyknęli żołnierze.

— Nowina, którą mam wam przekazać, jest przykra i rozczarowująca. Od dziesiątek lat nasz zakon strzegł Ocalonej Krainy przed wszelkim niebezpieczeństwem, zarówno zewnętrznym, jak i wewnętrznym. Wasi ojcowie walczyli z demonami Marrenvan, buntownikami, heretykami, dzikimi bestiami. Stanowili tarczę broniącą mieszkańców Świętego Miasta przed nieprzyjaznym, zewnętrznym światem. Niestety, Duzzahowie wraz ze szlacheckimi rodami nie docenili tych wysiłków. Dziś zamyka się wspinały rozdział w historii Świętych Jeźdźców. Prorok Vezamar powiedział mi, że od jutrzejszego dnia liczba zadań, jakie będziecie pełnić, ulegnie ograniczeniu. Wstrzymany zostanie też nabór rekrutów.

Żołnierze zaszemrali. Kilku odważyło się nawet głośno zakląć.

— Cisza! — ryknął kapitan Hanhakh.

— Będziemy od dziś patrolować tylko granice Ocalonej Krainy. Resztę zadań przejmie nowa jednostka, powołana przez Pałac Sprawiedliwych i Piaskową Iglicę. Zwać się będzie Jastrzębie Najwyższego i już jutro zobaczycie ich na ulicach. To doskonali wojownicy, bezgranicznie oddani Księdze. Szanujcie ich i bądźcie ostrożni. Niestety, na tym nie koniec. Prorok uznał za stosowne odebrać nam część przywilejów. Święci Jeźdźcy będą od dziś podlegać Pałacowi Sprawiedliwych. Dodatkowo w ciągu roku nasz garnizon zostanie przeniesiony do fortu Um'Magar.

Tego było już za wiele. Jeden z Jeźdźców, młody Jamar, wyciągnął szablę, rzucił ją na ziemię i krzyknął:

— Słońce pomieszało rozum tym przeklętym starcom! Nie pozwolimy odsunąć się w cień!

— Nie pozwolimy! — powtórzyło zaraz kilku innych, a razem z nimi Nahar.

— Na pałac! — rzucił ktoś. — Niech zobaczą, ile jesteśmy warci.

Pasza dał znak oficerom, którzy krzykiem i tęgimi razami spróbowali przywrócić porządek. Jednak Jeźdźcy byli zbyt wściekli, żeby zamilknąć. Po chwili brama dziedzińca otwarła się. Na plac wybiegło mrowie kuszników i halabardników ze straży. Pomędzy nimi maszerowało dostojnie trzydzieści odzianych na czarno sylwetek. Przy pasach zwisały im szerokie ghanki, a turbany zdobiły wyszyte srebrną nicią wersety Księgi. Na czele tych dziwnych żołnierzy szedł długobrody olbrzym o twarzy pokrytej śladami ospy.

— Cisza! — wrzasnął pasza, próbując uspokoić jeźdźców w obliczu nadchodzącej katastrofy.

Kusznicy wymierzyli broń w zebranych, a wielkolud rzekł:

— Prorok podejrzewał, że nie zdołasz utrzymać porządku wśród własnych ludzi, Asimarze.

Pasza poczerwieniał ze złości. Mężczyzna tymczasem wyciągnął ostrze w stronę zaskoczonych i rozdrażnionych Jeźdźców.

— Nazywam się Lammadż Miecz Najwyższego, psy! Od dziś moje imię będzie was przejmować strachem! — krzyknął. — Myślicie, że jesteście niezastąpieni? Że możecie grozić samemu prorokowi? Najwyższy ukarze was za zuchwałość. Ty! Tak, do ciebie mówię, krzykaczu. Wyjdź z szeregu. Zobaczymy, jaki jesteś twardy. Wyjdiesz jeszcze ty i ty. Będziecie walczyć z moimi Jastrzębiami. To rozwieje wszystkie wątpliwości.

Wskazani żołnierze spojrzeli pytająco na paszę. Ten skinął głową. Wyszli naprzód z zaciętym uśmiechem na ustach. Musieli przecież pokazać czarnym przybłedom, że Święci Jeźdźcy są najlepszymi szermierzami Tel’Halik.

Lammadż wybrał trzech Jastrzębi. Odziani na czarno wojownicy z radością ruszyli na spotkanie żołnierzy paszy. Obie strony czekały w napięciu na rozwój wydarzeń, a pojedyńkowicze podzielili się na pary, które zajęły wyrysowane na ziemi ćwiczebne kręgi.

— Zaczynajcie, w imię Jedyne! — krzyknął Lammadż.

Zbrojni rzucili się do walki. Już pierwsze sekundy skończyły starcie jednej z par. Jamar zaatakował z furią jednego z asasynów, lecz ten, zamiast parować cios, po prostu zniknął. Obserwatorzy zamarli, gdy zabójca pojawił się dokładnie za plecami młodego jeźdźca i potężnym ciosem rozłupał mu hełm wraz z czaszką.

Nieco dłużej walczył Rehim, weteran, który służył w Orlim Forcie od niemal dwudziestu lat. Wymieniał z przeciwnikiem błyskawiczne ciosy i uchronił się dwukrotnie przed jego darem, lecz wciąż był w defensywie, spychany przez przeciwnika ku krańcowi kręgu. Wreszcie Jastrzęb uderzył płaskim, potężnym cięciem w bok Rehima. Ten przygotował zastawę, lecz szabla nie wytrzymała spotkania z ciężkim ostrzem. Złamała się, a Święty Jeździec upadł, lądując poza kręgiem. Jego przeciwnik uniósł broń i wydał okrzyk triumfu.

Walczący w środkowym kręgu Aadżr Makhar’Dald z przerażeniem spostrzegł, że obaj jego towarzysze już przegrali. Chwila nieuwagi omal kosztowała go życie, ghank wroga bowiem prawie sięgnął jego szyi. Aadżr był dobrym szermierzem, na dodatek szóstej krwi. Nie dał się nabrać błyskawicznym, zdradzieckim pchnięciom, jakie przeciwnik wyprowadzał na

jego nogi po każdym ataku. Użył kilkakrotnie daru i wspomagał nim ciosy tak mocno, że asasyn przy parowaniu musiał aż przysiąść. Walczyli jeszcze kilkanaście sekund, aż w końcu Jeździec popełnił błąd. Ostrze wroga prześlizgnęło się po niedokładnej zastawie i spadło na jego bark. Rozrąbało pancerz, weszło na pół palca w ciało. Obojczyk trzasnął, a z rozplatanego barku trysnęła krew. Aadżr padł na kolana, krzycząc z bólu. Jastrząb obalił go kopnięciem w twarz.

Święci Jeźdźcy nie mogli w to uwierzyć. Nieznajomi wojownicy zwyciężyli w mniej niż minutę, a żaden nie został nawet draśnięty. Asimar stał blady jak ściana, a na brzydką twarz Lammadża wypełził uśmiech.

— No i jak? Kto z was, psy, odważy się wystąpić przeciw Jastrzębiom Najwyższego? No? Który tam jeszcze groził, że idzie na pałac, tchórze?

Wielkolud przeszedł wzdłuż szeregu Świętych Jeźdźców. Oni tymczasem spuszczały wzrok. Nahar nie mógł tego wytrzymać. Wystąpił naprzód i krzyknął do Lammadża:

— Ja! Będę walczyć i dowiodę, że jeźdźcy nie są gorsi od twoich brodatych siepaczy!

Dowódca Jastrzębi uśmiechnął się. Wskazał Naharowi krąg, z którego wyniesiono właśnie trupa Jammara. Jego zabójca stał w środku i opierał się o zakrwawiony ghank.

Nahar odpiął pas i odrzucił pochwę, by nie plątała mu się między nogami. Przekroczył linię i w tym momencie Jastrząb spokojnie ruszył do ataku. Wyglądał na pewnego zwycięstwa. Pierwsze kilka uderzeń było raczej próbą sił. Cięcia z nadgarstka miały sprawdzić, czy Nahar jest wystarczająco szybki, by zaczynać poważną walkę. Jeździec nie miał kłopotu z ich zbiciem i zaraz przełamał inicjatywę zabójcy, atakując go z furją.

Cały gniew, zebrany w Naharze przez ostatnie tygodnie, eksplodował teraz, znajdując ujście w osobie przeciwnika. Uderzenia młodego żołnierza były wściekłe i silne, ale zarazem bardzo dokładne. Po długiej wymianie ciosów zerwali zwarcie, obchodząc się wokół jak wilki. Nahar zaciskał kurczowo zęby. Po czole asasyna ściekła kropla potu. To Jeździec zaatakował pierwszy. Szybka sekwencja pchnięć i cięć zmusiła Jastrzębia do cofnięcia się o kilka kroków. W tym momencie asasyn uznał, że należy wyciągnąć najsilniejszą broń. Gdy Nahar spuścił na jego głowę oburęczne cięcie, rozpląnął się w powietrzu. Święty Jeździec nie okazał jednak nawet odrobiny zdziwienia. Padł do przodu i przekoziółkował po ziemi. Ghank świsnął w miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się kark Nahara. Tymczasem żołnierz

wstał, obrócił się i ciął jednocześnie na oślep. Miał szczęście. Czubek szabli trafił wykroczną nogę przeciwnika tuż powyżej kolana.

Asasyn cofnął się. Rana nie była głęboka, ale bolesna. Lammadź patrzył groźnie na podwładnego.

— Na proroka! — krzyknął Jastrząb, po czym rzucił się znów do walki.

Zadawał ciosy bardzo szybko i silnie, lecz nie takie jak Kashim Al'Shannagg. Nahar, wprawiony w walce z jednym z najlepszych szermierzy Tel'Halik, kontrolował sytuację. Dłuższą chwilę żaden z wojowników nie mógł zdobyć przewagi, aż wreszcie Nahar, po kolejnym ciosie, przyjął złą postawę. Ostrze miał wysunięte za daleko w bok, co natychmiast wykorzystał wyszkolony zabójca. Pchnął prosto w serce przeciwnika, wiedząc, że nie zdąży on zbić ciosu. Nie wiedział natomiast, że wszystko było jedynie wyuczoną, szermierczą sztuczką. Nahar odskoczył w bok. Błyskawicznie ciął wysunięte ramię wroga i odrąbał mu dłoń. Asasyn zawył, a z kikuta trysnęła jasna tętnicza krew. Nahar zrobił półobrót i rozplątał mu twarz, przecinając lewą brew, oko, nos i prawą część szczęki. Ranny ryknął, zwałił się w piach. Nahar splunął na jego ciało.

Pozostali dwaj Jastrzębie wyciągnęli broń i ruszyli ku niemu. Kilku Jeźdźców wystąpiło, by zagrozić im drogę.

— Dość! — zawołał pasza. — Pokazałeś, Lammadzu, że jesteście nie gorszymi wojownikami. A teraz wycofaj ludzi.

Wielkolud niechętnie powstrzymał asasynów.

— Rozejdźcie się do domów i garnizonów — rozkazał Świętym Jeźdźcom. — Zostaje tylko osobista ochrona paszy! Kto będzie się burzył przeciw decyzji proroka Vezamara, skończy na mękach.

— Słyszeliście? Rozejść się! — krzyknął Asimar.

Jeźdźcy zaszemrali, ale każdy z nich przysięgał wypełniać rozkazy z Piaskowej Iglicy. Zresztą setka kusz, wymierzona w ich piersi, nie pozostawiała wyboru.

Kilka osób wybiegło na środek placu, by zająć się rannymi. Reszta ruszyła powoli w stronę bramy. Odchodząc, przyjaciele zabitego rzucili Naharowi groźne spojrzeń.

*

Ludzie byli zdziwieni pojawieniem się w mieście Jastrzębi Najwyższego, lecz wkrótce do nich przywykli. Zresztą nie widywano ich często, bo prowadzili śledztwa w poważnych sprawach i szukali groźnych rebeliantów, zamiast ścigać kobiety za nieodpowiedni ubiór czy rozpędzać nielegalne

burdele. Nahar miał się na baczności, jednak zabójcy nie spróbowali zemsty. Mijał dzień za dniem.

W trudnych czasach, w obliczu surowych praw i nadużywających władzy Duzzahów, większości ludzi wiodło się źle. Dużo towarów zostało zakazanych, a bogatsi mieszkańcy Tel'Halik, bojąc się posądzenia o zbytki, kupowali mniej. Na rzemieślników, którzy mimo to bogacili się i rozwijali interes, patrzono podejrzliwie. Zarzucano im układy z kapłanami oraz donosicielstwo.

Nikt jednak nie wysnuwał podejrzeń wobec ślepego Udaja. Garncarz kupił niedawno dwa nowiutkie koła wraz z napędem i wyremontował pracownię. Zdołał nawet zapłacić za lekcje swojego wnuka w słynnej madrasie Um'Malahana. Takie nagłe wzbogacenie budziło wątpliwości, lecz powszechnie wiadano, że Udaj kochał starego proroka i był wielkim orędownikiem jego reform. Starzec nie skończył w Pałacu Sprawiedliwych tylko dlatego, że sąsiedzi uwielbiali jego opowieści i świadczyli o nim dobrze za każdym razem, gdy grupa Czerwonych Turbanów wykazywała zainteresowanie garncarzem.

Tego dnia na szczęście żaden nieproszony gość nie zjawił się w warsztacie. Ezih wraz z dziadkiem pracowali od rana i zrobili pełen piec naczyń. Teraz siedzieli obok buchającego żarem paleniska i odpoczywali. Pili zsiadłe mleko, jedli chleb i czekali, aż garnki skończą się wypalać. Minuty dłużyły się.

— Może opowiesz mi historię, dziadku?

— Wciąż ci nie dość? — zaśmiał się starzec. — Co drugi dzień masz czytania w szkole. Myślałem, że dasz trochę odpocząć mojemu schorowanemu gardłu.

— Proszę, proszę, proszę!

— No dobrze. O czym chcesz posłuchać?

— O demonach! Duzzah Fadżar nie chciał o nich mówić. Powiedział, że jesteśmy za młodzi.

— Jeśli tak mówi, zostaje mi tylko zastosować się do jego rad.

— Ale ja tak ładnie proszę!

Starzec potarł brodę.

— Hmm. Jesteś dojrzały ponad swój wiek. Sądzę, że możesz dowiedzieć się o nich tego czy owego.

— Tak?

— Księga mówi, że istoty zła występują w niezliczonej ilości rodzajów.

Mogą przybierać formę czystej ciemności, mgły lub zwierząt, jakich nie ma nigdzie na świecie. Jednakże najstraszniejszy z ich kształtów to okrutna parodia ludzkiego gatunku — wysokie, blade jak trup istoty o żółtych włosach. Walczą zakute od stóp do głów w stal i noszą zbroje zbyt ciężkie, by udźwignął je jakikolwiek człowiek. Zadają straszne ciosy mieczami dłuższymi niż dorosły mężczyzna. Mówią w języku piekieł, który brzmi jak psie szczekanie. W otchłaniach Marrenvan, daleko poza Ocaloną Krainą, mają swoje miasto, gdzie żyją w wiecznym mroku.

Ezih zatrząsł się ze strachu, gdy wyobraził sobie potwory, o których mówił dziadek.

— Demony mają, jak już rzekłem, wiele kształtów i wiele mocy, ale jedno tylko zadanie. Pragną dotrzeć do Shannyevan, krainy wiecznej światłości, by zabić naszego Pana, dopóki śpi, zmęczony Wielkim Sądem. Jeśli im się uda, Ezih, skończy się czas dany ciemnowłosym. Niebiosa runą na ziemię, a ona skruszy się pod ciężarem i rozpadnie na milion kawałków. To dlatego Święci Jeźdźcy patrolują najdalsze zakątki świata, by nie przepuścić przez ziemie środka choć jednej przeklętej istoty.

— Dziadku? Dlaczego prorok nie zbierze wielkiej armii i nie ruszy, by raz na zawsze zniszczyć demony?

— To nie takie proste, Ezih. Do Marrenvan idzie się rok i jeden dzień przez bezwodną pustynię. Nie ma tam słonecznego światła, więc nasi żołnierze nie mogliby stawić czoła widzącym w mroku potworom. Na dodatek powietrze Marrenvan to trujące opary, a z ziemi wystają co krok ostre niczym brzytwa skały. Żadna armia nie mogłaby tam przetrwać. Dlatego czekamy na demony w pięknych i pełnych wody krainach środka, które dał nam we władanie Najwyższy.

— Jeśli demony są potężne, jak Święci Jeźdźcy mogą z nimi walczyć?

— Istoty z Marrenvan tracą wiele sił w świetle dnia, a Jeźdźcami zostają tylko najlepsi szermierze, w których żyłach płynie krew proroka.

Ezih rozmarzył się.

— Kiedyś zostanę Świętym Jeźdźcem. I będę bronił Ocalonej Krainy! Starzec zaśmiał się serdecznie.

— Nie żartuję, dziadku — rzekł oburzony chłopiec. — Mam dar! Sam mówiłeś, że po matce jestem ósmej krwi. Potrafię podnosić wzrokiem monety i kamyki! A syn rzeźnika, Gashan, uczy mnie szermierki.

— Doprawdy? Skąd ją zna?

— Gashan ma nauczyciela, bo ojciec chce, by został zbrojnym.

Starzec westchnął.

— Ten chce być zbrojnym, tamten chce być zbrojnym. Wyobraź sobie, Ezih, jak wyglądałby świat, gdyby każdy chwycił za szablę i poszedł walczyć z potworami. Kto piekłby chleb, kto szył ubrania, kto robił naczynia? Jesteś dobrym garncarzem i przy garnkach powinieneś zostać. Zresztą i tak nie mógłbyś być Świętym Jeźdźcem, co najwyżej strażnikiem.

— Dlaczego, dziadku?

— Jeźdźcy długo nie będą przyjmować nowych rekrutów. Możesz jedynie udać się do Jastrzębi Najwyższego.

— O, nie! Oni nie wiedzą, jak walczyć! Przyszli znikąd i myślą, że są najlepsi!

Starzec pogroził mu palcem.

— Uważaj na słowa, Ezih. Jesteś prawie dorosły i powinieneś wiedzieć, że niektóre niebezpiecznie jest wypowiadać głośno. Zresztą... i tak nie pozwoliłbym ci pójść do Jastrzębi.

— Dlaczego?

Twarz Udają skrzywiła się w grymasie złości.

— Bo służą złemu człowiekowi i sami są źli. Ale, na Najwyższego, nie powtarzaj tego nikomu.

*

Kazi zadrżał i naciągnął na głowę futro. Posłanie wprawdzie rozścielił w pobliżu ogniska, lecz noc była przejmująco zimna. Zwierzęta stały stłoczone nieopodal, a z ich nozdrzy buchała para. Kazi spojrzął w bok. Jego ojciec jeszcze nie spał, wpatrzony w gwiazdy.

— Tato?

— Tak?

— Kiedy dotrzemy do Słonej Oazy?

— Pewnie jutro.

— Mówisz tak od trzech dni.

— Musieliśmy zboczyć za bardzo na południe, ale wkrótce dotrzemy.

— Skąd wiesz?

— Zwierzęta wiedzą, gdzie jest oaza, Kazi. Czasem są mądrzejsze od nas.

— Tato?

— Co?

— Czy nic się nie stanie Miidzy i babci?

— Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz?

Chłopiec nie odpowiedział. Patrzył w płomienie ogniska.

W tej samej chwili połowa namiotów osady Manar stała już w ogniu. W świetle pożaru po obozie krążyło kilkunastu wojowników na saurach. Mieli wyszywane srebrną nicią turbany i czarne szaty, a w dłoniach trzymali ostrza, jakich nikt w wiosce wcześniej nie widział. Na piasku leżały zakrwawione ciała kobiet, które odważyły się bronić dobytku. Reszta stłoczyła się przerażona na placyku wioski.

— Podłe suki! — krzyczał dowódca patrolu. — Wydajcie dziewczynkę, bo puścimy z dymem wasze śmierdzące gównem szałas!

Ciemnoskóre kobiety stały w milczeniu.

Miidza obserwowała wszystko przez szparę w namiocie.

— Do środka, dziecko — szepnęła babcia, która właśnie skończyła pracę. Odrzuciła na bok skóry, pełniące funkcję podłogi. Odgarnęła trzy stopy piasku i odsłoniła wkopaną w ziemię skrzynię.

— Wyjdę na zewnątrz, babciu! — powiedziała Miidza, choć bardzo się bała ciemnych postaci.

— Nie! Chodź tu zaraz, na Jedynego! Prawdziwa Manar zawsze słucha starszych!

Dziewczyna popatrzyła ze strachem na starą skrzynię, którą dawno temu przygotował dla niej ojciec.

— Uduszę się tam!

— Wytrzymasz jakiś czas. To nasza jedyna szansa.

— Nie. Boję się.

Kama nie miała czasu na rozmowę. Mimo swych pięćdziesięciu lat była jeszcze zdrowa i silna. Chwyła dziewczynkę za nadgarstek i zawlokła do dołu.

— Do środka!

— Nie chcę!

— Błagam cię, Miidza! Oni zaraz przyjdą! Wiesz co zrobią? Obedrą cię żywcem ze skóry! Kawałeczek po kawałeczku. A potem zarzną wszystkie kobiety, za to, że cię ukrywaliśmy. Przez ciebie nie będzie już Manar, dziecko!

Dziewczynka zeszła niepewnie na dno skrzyni. Drewno śmierdziało stęchlizną. Na zewnątrz rozległy się kolejne krzyki. Jakiś jeździec przejechał tuż obok namiotu.

— Leż!

Miidza skuliła się na dnie. Kama wyciągnęła zza pasa nóż, którym zwykle kroić chleb. Podała go wnuczce.

— Po co to, babciu?

— Wiele może się zdarzyć. Mogą nas zabić albo pognać w niewolę. Wtedy... — głos jej się załamał. — Wtedy będziesz miała wybór.

Miidza zaczęła rozumieć. Z oczu pociekły jej łzy. Staruszka zamknęła skrzynię, a huk opadającego wieka omal nie wydarł serca z piersi dziewczyny.

W środku było ciasno. Musiała leżeć z podkurczonymi nogami, a nad sobą miała tylko półtorej stopy przestrzeni. Za mało, by podnieść głowę czy obrócić kolana na drugą stronę. Miidza czuła, jak krew łomocze jej w skroniach. Tymczasem babka zaczęła pośpiesznie grzebać ją pod piaskiem. Okropny strach wślizgnął się do umysłu dziewczyny. Bała się, że nigdy nie ujrzy już światła i zginie w męczarniach, na głębokości nie większej niż sidła na króliki, jakie robią młodzi chłopcy.

Kama zdążyła właśnie zakopać skrzynię, gdy do namiotu wpadł wysoki wojownik.

— Ukrywasz się, starucho? Zaraz cię nauczymy porządku — ryknął, po czym chwycił Kamę za włosy i wywlókł na zewnątrz. Kobieta zawodziła, a na czoło ściekła jej strużka krwi.

— Kapitanie? Ta tutaj nie słyszała, jak kazaliśmy wszystkim wyjść na plac.

— Zostawcie ją! Jest głucha i niema! — krzyknęła jedna z kobiet.

Dowódca patrolu uśmiechnął się.

— Zamknąć mordy! Adżar! Spal dom tego ścierwa. Niech ma nauczkę.

Kama zawyła ze strachu i rozpaczy.

— Widzicie? A jednak mówi! — zarechotał oficer.

Jeden z żołnierzy podszedł do szałasu i przyłożył żagiew do płóciennego boku. Materiał zajął się natychmiast i wkrótce cały namiot stanął w płomieniach. Płonęły ściany, sprzęty i skóry, pod którymi leżała dziewczyna.

Miidza nie wiedziała, co się dzieje na górze, gdyż drewno i gruba warstwa piachu tłumiły wszelkie odgłosy. Zdawało się jej, że leży tak już wiele minut. Powoli zaczynała się dusić. Czerpała powietrze łapczywie dużymi haustami, lecz w płucach wciąż narastało to okropne, tępe uczucie, znajome każdemu, kto choć raz próbował wstrzymać do oporu oddech. W skrzyni robiło się gorąco. Coraz goręcej. Pot spływał po białych, piegowatych ramionach dziewczyny, a włosy lepiły się jej do czoła. Skurczone nogi bolały. Zaskomlała cichutko, bojąc się, że usłyszy ją ktoś na górze. Serce waliło jak oszalałe, a upał stawał się nie do zniesienia. Miidza

chwyciła kurczowo nóż. Wbiła jego czubek w udo, by nie wyć z przerażenia, bólu i rozpacz.

Na zewnątrz oficer kazał podpalić jeszcze trzy namioty. Chodził powoli wokół kobiet. Kama siedziała na piasku niczym żywy trup i patrzyła w płomienie nieprzytomnym wzrokiem.

— I jak, suki? Gdzie ukryłyście małą demonicę?

Kobiety milczały.

— Adżar! Jeszcze te dwa!

Żołnierz wykonał rozkaz.

— Puszczę z dymem całą wioskę! Czy warto stracić dorobek życia dla smarkuli obcej krwi?

Żadna z Manar nawet nie drgnęła.

— Adżar! Ten duży i tamten!

Piekła, jakie przeżywała Miidza, nie dało się opisać słowami. Cała skóra paliła, a ciało skręcało się, błagając choćby o łyk powietrza. Nie potrafiła już myśleć o tym, żeby być cicho. Chciała się wydostać, nawet gdyby na zewnątrz czekała śmierć. Zawyla i uderzyła całą sobą o wieko, lecz nawet nie drgnęło, przywalone piaskiem. Rzuciła się raz i drugi. Rozbiła sobie głowę. Krew spłynęła po rozpalonym czole. Miidza wiedziała już, że to koniec. Zakwiliła i chwyciła oburącz nóż. Bała się, że ostrze nie przejdzie między żebrami, więc przyłożyła je poniżej piersi, do splotu słonecznego. Nagle, gdzieś w kątku jej oka, błysnęło światło.

Wszystkie namioty w osadzie płonęły. Oficer ryczał jak rozwścieczony manhaur.

— Jedyne was ukarze, niewierne kurwy! A dziewczynę i tak w końcu znajdziemy! Nie myślcie, że możecie igrać z Jastrzębiami Najwyższego!

Kobiety w ciszy wiodły za nim wzrokiem.

— Na siodła! — krzyknął wreszcie.

Zbrojni niespiesznie wdrapali się na wierzchowce. Kilku splunęło jeszcze w stronę Manar, po czym odjechali i zniknęli w kręgu światła rzucanego przez dogasające namioty.

Kilka krzepkich niewiast musiało powstrzymać Kamę, która z wyciem rzuciła się w stronę gorących zgliszczy, by rozgrzebywać je gołymi rękoma. Pozostałe chwyciły za drągi. Zaczęły pracować szybko, ale bez nadziei. Spodziewały się, że w skrzyni znajdą tylko straszliwie umęczone, martwe ciało.

Czternaście dni od wyjazdu Kashima do Tel'Halik powrócił Mudda. Długa podróż tak zmieniła młodego Duzzaha, że rodzony brat omal go nie poznał. Kapłan wychudł, a na jego twarzy pojawił się bujny zarost. Gdy tylko zmył z siebie kurz, a służba przycięła mu włosy, włożył świeżą szatę i ruszył do Pałacu Ksiąg. Tam zgłosił się do samego mistrza Yholeda, który przyjął go bez zwłoki i skierował zaraz do małego pomieszczenia na tyłach budynku. Tajemniczy zleceniodawca już tam czekał, ukryty za grubą kotarą. Trudno było sobie wyobrazić, jak mógł dotrzeć na miejsce spotkania tak szybko.

Mudda zdał relację ze wszystkich niezwykłych rzeczy, jakich dowiedział się o Kashimie i jego rodzicach. Było tego wiele, bo Duzzah nie dość, że dotarł do jurty Bakh'Dezi, to jeszcze odnalazł kilku starych Degów, pamiętających Anda'Kien, oraz rozmawiał z każdym byłym sługą domu Al'Shannagg.

Tajemniczy rozmówca dłuższą chwilę milczał, jakby analizując wszystko, co właśnie usłyszał. Wreszcie rzekł:

— Sprawileś się doskonale, Muddo. Twój upór i talent zostały docenione. Kiedy opuścę pomieszczenie, za kotarą znajdziesz sakiewkę. Mam nadzieję, że kwota cię usatysfakcjonuje.

— Nie wątpię, szczodry panie.

— Wrócisz teraz do zwykłej pracy, lecz nie na długo. Sądzę, że znajdę lepsze zastosowanie dla twych umiejętności. Porozmawiam z mistrzem Kar'Shinem. Jeśli się zgodzi, zbadasz dla mnie sprawy jeszcze kilku interesujących osób.

Kapłanowi zaparło dech. Co prawda nieznajomy płacił doskonale, ale Mudda był genealogiem, a nie szpiegiem.

— Będę zaszczycony, panie, lecz moje badania...

— Jesteś przede wszystkim sługą Piaskowej Iglicy, a dopiero potem badaczem. Pamiętaj o tym.

— Tak, najmądrzejszy.

— Odchodzę. Oczekuj wiadomości już wkrótce.

Mudda skłonił się na pożegnanie i dopiero po fakcie zdał sobie sprawę, że nieznajomy przecież tego nie widzi. Tymczasem zza kotary dobiegło szurnięcie odsuwanej krzesła i szelest szaty. Chwilę potem skrzypnęły drzwi. Kapłan przeszedł na drugą stronę zasłony. Na stoliku leżał średniej wielkości wypchany trzos. Za miesiąc pracy była to zapłata z pewnością godziwa, lecz nic ponad to.

Mudda wziął mieszek w dłoń i odwiązał rzemień. Krzyknął ze

zdziwienia, gdy w środku błysnęło złoto. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Otrzymał w sumie trzy całe dinary. Więcej, niż obrotny kupiec zarabia w rok!

*

Harum grał na flecie smutną melodię. Żołnierze siedzieli wokół ogniska, zasłuchani w dźwięk instrumentu. Kashim polerował hełm, Fadl strugał z patyka małą figurkę, a Zonar z zaciętą miną ostrzył swoją szablę. Wprawdzie była tak ostra, że mógł nią rozszczepić upuszczony włos, lecz nie miał nic innego do roboty.

Już dwa długie tygodnie parli na północny wschód przez bezludne, pustynne ziemie. Zatrzymali się tylko w Um'Magar, by uzupełnić zapas wody, za fortem nie było bowiem nawet najmniejszej wioski.

Nomadzi z ludu Manar znają czternaście określeń na piasek. Kashim wiedział, że ten, na który wjeżdża jutro oddział, zwą „fimmdż”, czyli „martwe piaski”. Był to najgorszy rodzaj pustyni, gdzie nie dało się znaleźć choćby najmniejszej roślinki. Żadne zwierzę nie potrafiło wytrzymać w podobnych warunkach, więc podróżnik, który zapuścił się tutaj, mógł jechać i jechać, nie widząc śladu życia.

Monotonna linia wydm potrafiła pomieszać słabszym ludziom zmysły. Po wielu dniach zaczęli tracić orientację, dręczyły ich mdłości, wreszcie popadali w całkowitą apatię. Nomadzi nazywali to „pustynną chorobą”. Na szczęście żaden ze Świętych Jeźdźców na nią nie cierpiał. Żołnierze, którzy wstępowali do tej służby, mieli w sobie coś z samotników. Mogli spędzić w ciszy i pustce długie miesiące.

Jedyną osobą podejrzaną o pierwsze symptomy choroby był Kashim. Żołnierze nie wiedzieli, jak wiele problemów miał ich dowódca, więc jego ciągle przygnębienie uważali za niebezpieczny znak. Tymczasem Al'Shannagg cierpiał z zupełnie innych powodów. Nie miał pojęcia, co z sobą zrobić po powrocie do Tel'Halik. Czuł się słaby i bezsilny.

Hełm lśnił już jak lustro, a Kashim zaczął odczuwać zmęczenie. Żołnierze rozmawiali jeszcze przy ognisku, lecz on postanowił udać się na spoczynek. Zdjął pancerz, zawinął ciało w grube futro i skulił się na ziemi. Po kilku chwilach już spał.

Znów nadeszły wizje. Tym razem były przerażająco realne. Kashim widział bitwę wśród wydm, gdzie jego ludzie stawiali czoło demonom. Co chwila ktoś z krzykiem upadał na piasek, bryzgając krwią. Zonar padł z rozrąbaną głową, Dahro umierał z bełtem w oku. Fadl klęczał i trzymał

kurczowo wbitą w brzuch włócznię. Walka ciągnęła się wieki. W końcu na placu boju został już tylko Kashim i potężny, jasnowłosy demon.

Przeciwnik był silniejszy i miał dłuższe ostrze, lecz Al'Shannagg wziął nad nim górę szybkością i szermierczym kunsztem. Udało mu się wytrącić miecz z ręki wroga i wbić szablę w pachę, gdzie ciała nie chroniła lita stal. Demon padł na kolana. Hełm zsunął mu się z głowy, by ukazać twarz. Twarz przyjaciela.

Nahar patrzył na Kashima błagalnym wzrokiem, jednak ręka jeźdźca zadziałała wbrew jego woli i wymierzyła potężny cios. Głowa Al'Iarnaka potoczyła się po piasku. Al'Shannagg krzyknął.

W tym momencie pustynia zniknęła. Kashim znalazł się na czerwonych, spękanych pustkowiach. Znów była tu zjawa, tak samo blada i martwa jak uprzednio. Puste oczodoły były zwrócone w stronę wielkiego ogniska, które płonęło tuż przed nią. W dłoniach trzymała grubą księgę. Wydierała z niej strony powolnymi ruchami i rzucała je w ogień. Kashim przyglądał się temu dłuższą chwilę. Wreszcie zbliżył się i stanął obok. Czuł bijące od upiора przeraźliwe zimno, którego nie mogło przemóc nawet ognisko, znajdujące się na wyciągnięcie ręki.

Istota nie zwróciła na Kashima uwagi. Wojownik zajrzał do księgi i w tym momencie krew uderzyła mu do głowy. Opasły tom był historią jego życia. Właśnie przed chwilą płomienie strawiły ilustrację, która przedstawiała Kashima na zielonych stokach Tczu'Sel. Następna kartka ukazywała go w trakcie walki z manhaurem. Kolejna wyobrażała ulicę Świętego Miasta.

Al'Shannagg krzyknął. Upiór spalił już trzy czwarte księgi i cofał się dalej, ku jego narodzinom. Kashim czuł, że gdy ostatnią kartkę strawią płomienie, przestanie istnieć. Rozpłynie się w nicości. Nowa stronica — Kashim i Nahar walczą na dziedzińcu fortu. I jeszcze jedna — wraz z Dahalem wznoszą toast w Rozbitej Amforze.

Al'Shannagg ocknął się wreszcie. Musiał to powstrzymać. Spróbował wydrzeć upiorowi tom, lecz z przerażeniem zorientował się, że nie może nawet drgnąć. Jak skamieniały patrzył na swoje uciekające życie. Zjawa dotarła już do początków jego kariery w straży. Do czasów świątynnej szkoły. Do dzieciństwa. Do pierwszego kroku. Do pierwszego wypowiedzianego słowa. Wreszcie została już tylko jedna, jedyna stronica. Przedstawiała kobietę przy nadziei, łudząco podobną do zjawy, kobietę, która siedziała w ogrodzie obok zbrojnego mężczyzny o orlim nosie.

Kashim jęknął. Blada dłoń upiора chwyciła kartkę i zaczęła ją powoli

oddzierać. Niewyobrażalny ból przeszedł ciało Al'Shannagga. Tymczasem kobieta rzekła cicho: „Zabić wiedzę jest najgorszą zbrodnią. Nie zabijaj, gdy do ciebie przyjdzie”. Strona oddzieliła się od księgi. Wszystko wokół zalała ciemność. Kashim Al'Shannagg przestał istnieć.

Rozdział 14. Dzień Krwi

Jelaya wpatrywała się w okno, za którym strugi deszczu zalewały ogród. Po ulicach biegały uradowane dzieci. Starsi mężczyźni modlili się, składając Jedynemu podziękowania za dar niebios. Nie każdej zimy padał deszcz. Czasem Święte Miasto nie widziało go przez trzy lata z rzędu. Woda, która spadała z chmur, była więc błogosławieństwem i znakiem pomyślności.

Obok dziewczyny siedział Tantarhar. Czekał cierpliwie, aż Jelaya wyrwie się z zamyślenia. Wreszcie, gdy zwróciła na niego oczy, rzekł:

— Minęło już tyle czasu, a ty wciąż nie powiedziałaś, czy twój kochanek wstąpił na prawą drogę.

— Nie wiem. Widuję go o wiele rzadziej, niżbym chciała.

— Wiem, że te słowa mogą zranić, dziecko, ale może on ciebie unika? Może boi się odpowiedzialności?

Jelaya pokręciła głową.

— Ufam mu.

— Ufać można, gdy powierza się komuś troskę złąta czy opiekę nad domem. Tu chodzi o znacznie więcej. O twoją duszę! Popełniłaś straszny grzech i uszłaś już większą część drogi do Marrenvan. Od naszej ostatniej rozmowy nie zrobiłaś ani kroku wstecz.

— Staram się, Tantarharze! Żyję zgodnie z każdym słowem Księgi!

— A on? Oboje musicie być czyści, by Najwyższy zechciał znowu na was spojrzeć.

— Ten mężczyzna również się stara. Jest dobry i jedyne, co można mu zarzucić, to niechęć wobec Duzzahów.

— Jedyne? Moje biedne dziecko! To, że jesteśmy namiestnikami Boga na ziemi, oznacza, że całkowicie popiera On nasze dzieło. Czyniąc coś niemilego kapłanom, występujemy przeciw Najwyższemu!

Jelaya posmutniała. Przez długie wieczory spędzone nad Księgą nabrała do niej ogromnego szacunku. Bała się koszmaru Marrenvan, tak dobitnie pokazanego w świętych wersetach. Drżała, gdy próbowała sobie wyobrazić, jak potworne jest wieczne cierpienie. Tortury, które trwając milion lat, dopiero się zaczynają.

Tantarhar dostrzegł jej strach.

— Jelayo! Jesteś wierna Najwyższemu i mądra, lecz to za mało, by

nauczać innych Księgi! Wskaż tego mężczyznę, a porozmawiam z nim. Tylko Duzzahowie mogą mu pomóc. Przekazując grzesznika kapłanom, zrzucasz na nich odpowiedzialność za jego duszę. To najlepsze, co możesz zrobić, jeśli zależy ci na odkupieniu win.

Jelaya nie odpowiedziała. Patrzyła na deszcz za oknem.

*

Biała dłoń była pokryta odciskami od rękojeści miecza, a jednak poruszała się z gracją. Pióro, które trzymała, kreśliło na kartach księgi zgrabne i kształtne litery:

16 dzień miesiąca Shilean, 654 rok Ery Uzurpatorów

Wielu z nas coraz bardziej się niepokoi. Eryl pomieszała chyba zmysły kawalerowi von Deller. Nie wiem, skąd wziął człowieka, który skłonił go do tej szalonej wyprawy, lecz ów mąż musiał się mylić. Upływa niemal miesiąc, odkąd minęliśmy ostatnią osadę dzikich Marovian. Zapasy, choć przed wyruszeniem uważaliśmy je za przesadne, zaczęły się kurczyć. Całe szczęście, że te gadzie wierzchowce, które sprzedano nam w Stregojarze, nie muszą wiele pić. Konie nie wytrzymałyby długo na tym przeklętym przez bogów pustkowiu.

Najgorszy jest upał. Blachy zbroi nagrzewają się niemiłosiernie. Jeśli nie zdejmie się jej choć trzy razy dziennie, skóra parszywieje i pokrywa się czerwonymi plackami. Von Deller jednak niechętnie patrzy na jazdę bez pancerzy. Twierdzi, że lada chwila spotkamy dzikich Kirajczyków, choć na razie nie widzieliśmy nawet pustynnego szczura. Dobrze chociaż, że dał się namówić na zdjęcie hełmów, ale i to dopiero gdy jeden kawaler stracił czucie i ciężko się potłukł, spadając z siodła.

Rycerzy trzyma przy von Dellerze sprawa honoru, ale giermkowie zaczynają się burzyć. Wczoraj dwóch gotrlandzkich toporników uciekło nocą, zabierając wierzchowce i sześć skór wody. Zostało nas osiemnastu. Zaledwie połowa tych, którzy opuścili Unborg. Część wycofała się, część zginęła w starciu z maroviańskimi zbójnikami.

Jeśli chodzi o zbiegów, to pewnie nie pokonają nawet połowy drogi. Wjechaliśmy w pustynię zbyt głęboko, aby się wycofać. Dlatego modłę się do Aarie, opiekunki podróźnych, by wreszcie postawiła na naszej drodze choć ślad żywych istot. Wiem, że ojciec wykląłby moje imię, gdybym zaginął bez wieści na zachodnich pustkowiach, zamiast poświęcić życie watce z yaurańskimi hordami.

Brenvan Aam Caerleigh, kawaler Złotej Róży

Mężczyzna wytarł dokładnie pióro, po czym schował je wraz z kałamarzem do drewnianej skrzyneczki. Księgę zostawił otwartą, by atrament zdążył porządnie wyschnąć. Wyszedł z wozu i spojrzał na bezkresne morze wydm, które rozciągały się przed nim. Po co bogowie stworzyli tak wielką połąć suchego piasku? Czy za nimi żyli jeszcze ludzie? A może, jak mówił sędziwy prałat z Vickney, jest tam tylko kraniec świata? Miejsce, gdzie horyzont styka się z ziemią, odległe na tyle, żeby śmiertelnicy nie mogli podpatrzeć mechanicznej konstrukcji nieboskłonu, znanej jedynie bogom?

*

Minęły kolejne trzy dni, tak samo monotonne i spokojne jak poprzednio. Kashim długo myślał nad znaczeniem słów, które usłyszał z ust zjawy. Oczywistą interpretacją byłoby, że powinien wrócić do Tel'Halik i bronić prawdy, lecz czuł, że chodzi o coś więcej.

„Nie zabijaj, gdy do ciebie przyjdzie...”. Przecież na razie chronił wiedzę. Dlaczego miałyby nagle uczynić coś przeciwnego?

Było południe, słońce jednak nie dokuczało zbyt mocno. Żołnierze dziękowali Jedyemu, że patrol na północnych pustkowiach przypadł im w zimie. Latem panowały tam temperatury ponad siły saurów.

Parli przed siebie w dobrym tempie. W ciągu tygodnia mieli dotrzeć do Kamienia Czterech Wiatrów, który wyznaczał północną granicę Ocalonej Krainy.

Nagle stało się coś, co rozbiło natychmiast nudę podróży. Fadl, pełniący funkcję zwiadowcy, pojawił się na szczycie pobliskiej wydmy. W oczach miał prawdziwy obłęd — strach przemieszany z radością.

— Kapitanie! — krzyknął. — Tam coś jest! Błysk wśród piasków!

Żołnierze poderwali głowy. Kashim pogonił saura i wspiał się na wzniesienie. Stał obok Fadla. Istotnie, gdzieś daleko, na horyzoncie, co chwila migotały srebrzyste odbłaski.

— To nie miraż, kapitanie. Wiem dobrze.

— Tak, Fadl. To nie miraż — rzekł Kashim.

Czuł, jak tętno gwałtownie mu przyśpiesza. Odwrócił się i napotkał pytające spojrzenia ludzi. Harum trzymał w dłoniach świętą tabliczkę i szeptał modlitwy. Pozostali chwycili za broń, tak bladzi, jakby się bali tego, co mogą zaraz usłyszeć.

— Jedziemy — powiedział Al'Shannagg. — Przygotujcie się do walki!

Kilka minut przedzierali się przez piaski w stronę tajemniczego światła. Nie mówili nic, bo podejrzenie, jakie pojawiło się w ich głowach, było zbyt śmiałe, by wyrazili je na głos. Po kilku minutach, gdy zbliżyli się dostatecznie, okazało się, że podejrzenie było słuszne.

Przez pustynię jechała grupa demonów. Dziesięć postaci w błyszczących zbrojach dosiadało saurów. Przy siodłach zwisały im długie włócznie i ogromne miecze. Stalowe tarcze zdobiły obrazy bestii z piekła rodem. Między wierzchowcami toczyły się dwa wozy. Miały bardzo szerokie, okute koła, dzięki którym nie tonęły w sypkim podłożu. Siedziało na nich kilka bladokórych bestii, ubranych w ćwiekowane kaftany, z kuszami na plecach.

— Niemożliwe — wyszeptał Shamiraj. — Na Jedyne! Nie zjawiały się

od lat.

Zanar splunął na piasek.

— Czy to ważne? Jesteśmy tu po to, żeby je zabić.

— Racja — rzekł Dahro z dziwnym błyskiem w oku. — Wyobraźcie sobie, jaką chwałą się okryjemy, gdy wrócimy z tymi zbrojami do Tel’Halik. Pierwsze ubite demony od czasów siedemnastego proroka!

Harum milczał, blady jak wapno. Dokładnie taką karawanę widział we śnie.

— Niewielu skorzysta z chwały, Dahro — powiedział spokojnie Fadl. — Patrz, jacy są liczni. Większość nas polegnie, jeśli zaatakujemy.

Kashim pokręcił głową.

— To nie ma znaczenia. Przysięgaliśmy na Księgę chronić Ocaloną Krainę przed demonami. Musimy walczyć.

— Racja — przytaknął Aahiz. — Poza tym ryzyko jest wielkie, ale Duzzahowie darują nam za ten czyn wszystkie winy. Pomyślcie, jaka to okazja.

— Jedyna w życiu — dodał Naur.

— Dość gadania. Do broni! — rozkazał Al’Shannagg. — Shamiraj! Byłeś kapłanem. Pobłogosław nas przed walką.

Żołnierze zebrali się wokół Al’Karama, a ten uniósł tabliczkę z wersetami Księgi, po czym rzekł:

— „Tyś jest mym światłem i moją drogą. Pewnie prowadzisz dłoń zbrojną w szablę. Spraw, by była szybka i nie znała litości dla wrogów Słowa. A jeśli zwyciężą, ciało me na pastwę sępów i larw porzucając, niechaj zasiądę w Shannyevan u boku przodków, przy Twym świętym łożu. Tak niech się stanie! ”.

— Tak niech się stanie — odparli jeźdźcy. Zgodnie ze zwyczajem pożegnali się i wymienili uściski. Wreszcie, gotowi na śmierć, ruszyli w stronę wroga.

Mieli szczęście. Demony spostrzegły ich, gdy byli zaledwie sto stóp od karawany. Zwróciły się natychmiast w ich stronę, nakładając hełmy i sięgając po włócznie.

— W imię Jedyne! — Święci Jeźdźcy rzucili się do szarży.

Bestia, która miała na hełmie rogatego konia, wyciągnęła dłoń w ich stronę i wykrzyczała jedno słowo. Nie brzmiało ono jak szczekanie, lecz do złudzenia przypominało „Stójcie! ”. Nie było jednak czasu się nad tym zastanawiać. Demony z wozów wymierzyły kusze i wypuściły bełty.

Dwa wbiły się w pierś saura, który należał do Zanara. Zwierzę padło i wzbiło tuman pyłu, a jeździec cudem uniknął zmiżdżenia. Trzeci pocisk uderzył w wierzchowca Kashima i wbił się w brzuch. Saur zwolnił, kwicząc z bólu, ale uderzenia ostróg zmusiły go do dalszego biegu. Shamiraj i Dahro tymczasem puścili wodze i odpowiedzieli na strzały przeciwnika. Mimo że strzelali w biegu, byli zabójczo celni. Bełt Dahro wszedł dokładnie w szczelinę hełmu jednego z demonów. Strzała Shamiraja wbiła się w pachwinę drugiego, w miejsce niechronione przez stalowe płyty. Chwilę później żołnierze Świętego Miasta wpadli na wrogów. Ci zdążyli nastawić włócznie, lecz jeźdźcy łatwo odbili ostrza w bok za pomocą darów. Demony sprawiały wrażenie zaskoczonych.

Zaczęła się walka, w której szybkość, precyzja i krew Najwyższego mierzyły się z brutalną siłą, doskonałymi zbrojami i ogromnymi ostrzami. Kashim wiedział, że przewagę liczebną przeciwnika należy znieść jak najszybciej. Korzystał więc z daru, nie martwiąc się o to, że wyczerpie siły. W potężnym ataku przebił napierśnik i serce jednego z wrogów, po kilku ciosach ściął głowę drugiemu. Kątem oka zobaczył, jak włócznia demona w skrzydlatym hełmie strąciła z siodła Fadla. Żołnierz upadł na piasek, ściskając drzewce, które wystawało z brzucha.

Dahro nie dołączył się do chaosu rąbiących ostrzy i uderzających włócznie. Pognał wierzchowca naokoło wozów, kierując udami, podczas gdy ręce naciągały pośpiesznie kuszę. Dwa bełty poleciały w jego stronę. Jeden trafił i przygwoździł udo wojownika do boku saura. Al'Serim nie przejął się jednak bólem. Wymierzył we wroga i wypuścił bełt, który z głuchym pacnięciem wbił się mu w szyję. Zaraz pognał saura, by uniknąć dwóch kolejnych pocisków. Demony, które broniły wozów, były mało celne. Z pomocą Jedynego miał szanse powystrzelać je wszystkie.

Tymczasem na przedzie kolumny padały w piach kolejne trupy. Harum zmagął się z dwoma demonami i parował rozpaczliwie ich ciosy. W tym momencie do walczących dobiegł Zanar. Chwycił jednego z wrogów za pas i ściągnął na ziemię. Przydepnął uzbrojoną w miecz rękę i spuścił na hełm miażdżący cios. Szabla nie przebiła go, wgniotła tylko. Spod przyłbicy trysnęła krew, a demon zawył, lecz jeszcze się ruszał. Zaraz na jego głowę spadł kolejny cios. I jeszcze jeden. Ręce potwora znieruchomiały dopiero, gdy hełm był już całkiem zmiżdżony. Tymczasem Harum pokonał swojego wroga kunsztownym pchnięciem i zwrócił się ku następnemu.

Kashim zwarł się z demonem, który powalił Fadla. Był on sprawnym

wojownikiem i z łatwością parował ciosy Al'Shannagga. Miał bardzo długie ostrze, więc kapitan postanowił skrócić dystans, by utrudnić mu walkę. Zatrzymał w górze miecz i zmusił saura do dwóch kroków w przód, lecz w tym momencie zobaczył, jak wielki orzeł, wymalowany na tarczy wroga, leci ku jego twarzy. Cios zgiął nosal szyszaka i zrzucił Kashima z siodła.

Oficer zaraz poderwał się na nogi. Krew z rozbitego nosa zalewała mu usta. Obrócił się, by odnaleźć wzrokiem demona, lecz zamiast niego zobaczył pędzącego topornika, który wznosił ciężką broń. Przykucnąwszy, Kashim zatrzymał go szybkim cięciem, które rozplątało ćwiekowaną skórnię i ukryty pod nią brzuch. Bestia padła na ziemię. Z sięgającej od biodra do biodra rany wyślizgnęły się jelita.

W tym momencie Kashim usłyszał za sobą łomot łap saura. Obrócił się, lecz było za późno. Ciężkie, proste ostrze walnęło go w bok. Nieopodal upadł Harum z głową rozplataną od czubka po szczękę.

Dahro miał już kuszę gotową do strzału. Powstrzymał nieco wierzchowca i wymierzył w wóz. Zobaczył, że dwóch przeciwników także w niego celuje, opierając broń o drewnianą poprzeczkę. Żołnierz zawierzył Najwyższemu. Pociągnął dźwignię i trafił jednego z wrogów w pierś. Druga bestia w tym samym momencie wypuściła swój bełt. Ból rozbłysnął czerwienią pod czaszką Al'Serima. Pocisk z mlaśnięciem wbił mu się w oko i sięgnął mózgu. Jeździec był martwy, zanim jeszcze jego bezwładne ciało zsunęło się z siodła.

Zanar Mal'Deadruk był strasznym przeciwnikiem w bliskiej walce. Doświadczony w wielu karczemnych bójkach, miał instynkt, bez którego nawet najlepszy szermierz nie przeżyje długo na polu bitwy. Bezbłędnie wiedział, kiedy z tyłu czaiło się niebezpieczeństwo. Właśnie wytrącił miecz z ręki wrogiego jeźdźca, gdy poczuł na plecach znajome mrowienie. Odwrócił się natychmiast i zablokował cios topornika. Wielki, biały mężczyzna o ryżej brodzie krzyknął coś w szczekliwym języku. Prawdopodobnie przekleństwo. Zanar kopnął go w krocze, ciął szybko i zmiażdżył mu żebra. Natychmiast musiał uniknąć zadanego z boku ciosu, bo jeździec, którego nie zdążył wykończyć, chwycił wiszącą przy siodle buławę. Zanar odskoczył i poświęcił ułamek sekundy na przejrzanie sytuacji. O jego drugi bok prawie otarł się gad innego demona, który walczył z Naurem, a z przodu, nad martwym ciałem Aahiza, stanęła właśnie bestia z rogatym koniem na hełmie. Doświadczenie mówiło Zanarowi, że było tu zdecydowanie za ciasno. Naparł na przeciwnika, odbił jego uderzenie i przetoczył się pod brzuchem saura. Będąc

po drugiej stronie, cofnął się szybko kilka kroków. Demon odwrócił się i zaszarżował. Zonar uśmiechnął się. Byli teraz na granicy pola walki. Mógł się bić bez obawy o zdradziecki cios.

Kashim poderwał się na nogi i wypluł krew zmieszaną z piaskiem. Czuł przeraźliwy ból boku. Płytki pancerza zatrzymały cięcie, ale sama jego siła złamała mu przynajmniej jedną kość. Obok Shamiraj tarzał się w piasku z zakutą w stal bestią. Usiłował przebić jej gardło kindżalem, lecz ona broniła się rozpaczliwie, okładając go po głowie pancerną rękawicą. Al'Shannagg nie miał czasu pomóc przyjacielowi, bo wróg, który obalił go na ziemię, nadjechał właśnie drugi raz, tym razem z włócznią. Kashimowi brakło już sił, ale skupił całą wolę i wydał krótki rozkaz geniuszom piasku. Ziemia pod łapami wrogiego saura zapadła się nagle. Zwierzę runęło z kwikiem, a demon wyleciał z siodła i gruchnął o ziemię. Siła uderzenia musiała strzaskać mu lewe ramię, bo zwisało bezwładnie, gdy podniósł się na nogi. W prawym wciąż jednak ścisnął miecz. Kashim skoczył, by dokończyć dzieła.

Zonar bez problemu zwyciężyłby swojego przeciwnika, jednak instynkt nie zdołał ostrzec go przed bełtem, który wyleciał z wozu. Pocisk ugrzązł w trzewiach Świętego Jeźdźca, trochę powyżej krocza, zgrzytnął o miednicę i zatrzymał się tam, wbity w kość. Ból był niewyobrażalny, zalał wojownika paraliżującą falą. W tym momencie miecz wroga błysnął mu gdzieś przed oczyma. Zonar poczuł tępy łomot, jakby ktoś uderzył go młotem w głowę. Zapadł w ciemność. Z jego przerażanej głowy bryznęła na demona szara breja.

Kusznik, którego bełt powalił Świętego Jeźdźca, cieszył się zwycięstwem tylko przez krótką chwilę. Zaraz pojawił się przy nim Shamiraj ze zmasakrowaną twarzą i krótką rękojęścią mizerykordii, która sterczała z pomiędzy żeber. Chwycił kusznika za głowę i otworzył mu gardło kindżalem. Ciało rozstało się w dwie strony i ukazało wielką, rozdziawioną ranę, w której widać było blade chrząstki tchawicy. Coś wśród czerwonych, splątanych strzępów zatrzepotało, gdy umierający próbował krzyknąć. Upadł, tryskając na deski wozu gorącą posoką.

Shamiraj zwał się zaraz z nóg. Czuł się, jakby tonął. Chwytał łapczywie powietrze, a klatka piersiowa unosiła się przy każdym oddechu, jednak w głowie zaczynało go ćmić. Wiedział, co to znaczy. Wąskie ostrze, które przed śmiercią wraził mu w bok poprzedni demon, musiało przebić płuca. Shamiraj, krztusząc się krwią, zaczął szeptać wersety Księgi.

Naur walczył od pierwszego ciosu z cichą desperacją. Nie miał szczęścia

— rzuciło się na niego dwóch roślących przeciwników z dwuręcznymi mieczami. Honor górala nie pozwalał wezwać pomocy. Bronił się, a ghank jęczał pod potężnymi ciosami. W pewnym momencie Naur musiał przerzucić ostrze do lewej dłoni, bo prawa była już tylko opuchniętym skórzanym workiem, pełnym powybijanych stawów i zerwanych ścięgien. Deg nie poddał się jednak. Degowie nie poddają się nigdy. Zepchnięty do obrony czekał cierpliwie jak wilk, który podchodzi ofiarę, aż wreszcie zdarzyła się odpowiednia okazja. Przy kolejnym zwarciu jego wierzchowiec odtrącił na bok saura jednego z demonów. Ten zachwiał się w siodle i niemal upuścił broń. Cenne kilka sekund, które minęło, nim wróg był gotowy do walki, Naur poświęcił na wyeliminowanie jego towarzysza. Gdy ten wznosił ręce, by zadać cios zza głowy, góral pchnął błyskawicznie i trafił pod wzniesiony napierśnik, w okolice splotu słonecznego. Ghank rozerwał oczka kolczugi i wszedł głęboko w ciało. Góral wyrwał ostrze i odwrócił się do drugiego przeciwnika. Okazało się jednak, że demon potrzebował na złapanie równowagi mniej czasu, niż się zdawało. Wyprowadził właśnie pchnięcie, które weszło ukośnie w brzuch Dega, przebijając się przez trzewia i wychodząc plecami. Cios musiał rozciąć kręgosłup, bo Naur poczuł, że jego nogi nagle znikają. Był świadomy tylko piekącego bólu rany, jakby przecięto go na pół i postawiono górną część ciała na rozżarzonej blasze. Chwycił przeciwnika za ramię, nim ten zdążył wyrwać ostrze. Bał się, że zmasakrowane palce nie utrzymają stalowego karwasza.

Przeciwnik szarpnął ręką, lecz nie zdołał uwolnić miecza. W tym momencie ghank spadł na jego ramię, rozciął zbroję i prawie je odrąbał. Naur czuł, że zapada się w ciemność. Włożył całą siłę w drugi cios, który trafił w bark demona, zgiął blachy naramiennika i złamał mu obojczyk. Zaraz potem góral osunął się powoli z siodła.

Kashim Al'Shannagg splunął krwią. Jego przeciwnik znieruchomiał wreszcie, gdy szabla sześć razy zagłębiła się w różne szczeliny pancerza i przebiła ukryte pod nimi ciało. Święty Jeździec obrócił się, by zobaczyć, co dzieje się wokół. Dopiero teraz usłyszał, że jest już cicho. Ziemię zaścielały zakrwawione ciała. Wierzchowce rozbiegły się, kilka syczało, wydając ostatnie tchnienie. Cały oddział Kashima nie żył. Zanar leżał na stoku wydmy z przeciętą na pół głową. Shamiraj siedział na wozie, wpatrzony szklistymi oczyma w pustkę. Fadl wyglądał, jakby się modlił, klęcząc podparty na włóczni, która przebiła go na wylot. Wierzchowiec Dahro ciągnął jego ciało za uwięzioną w strzemieniu nogę. Naur leżał na ziemi z okropną, szeroką na

cały brzuch raną i nogami wykręconymi pod nienaturalnym kątem. Na ciele jednego z demonów leżał martwy Harum, o twarzy zdeformowanej przez idące od czoła po szczękę rozcięcie. Aahiz, oparty o koło, wciąż patrzył na rękojeść miecza wbitego w swoją pierś.

Walka jednak się nie skończyła. Został jeszcze ostatni demon. Był wzrostu Kashima, lecz o wiele szerszy w barach. Na hełmie miał złotą figurkę, która przedstawiała dziwnego konia z jednym rogiem. Symbol na tunice, narzuconej na powgniataną zbroję, przedstawiał takie samo zwierzę. Demon był ranny. Czyjaś szabla rozcięła mu udo. Opierał się na półtoraręcznym mieczu o pofalowanej na kształt płomienia głowni.

Kashim ryknął wściekle. Przed oczyma latały mu czerwone płyty. Śmierć przyjaciół doprowadziła go do obłędu. Rzucił się na demona z niewyobrażalną żądzą mordy, chciał porąbać jego ciało, a potem rwać je zębami i gołymi palcami.

Demon wzniósł ostrze. Wymienili kilka silnych ciosów. Kashim, choć oślepiiony furją, nie stracił resztek rozsądku. Szybko zauważył, z jakim trudem jego zmęczony wróg manewruje ostrzem. Zamiast cięć zaczął zadawać niemal same pchnięcia, o wiele szybsze i trudniejsze do sparowania. Wkrótce pióro szabli weszło w bok demona tuż powyżej pachwiny. Istota jęknęła i zamarła na chwilę, a Kashim uderzył raz jeszcze, celując w głowę. Nadwerżone nity, które mocowały pasek hełmu, puściły. Lekko ukośne cięcie zrzuciło go z głowy demona i rozbiło mu jednocześnie skroń.

Przed Kashimem klęczał młody mężczyzna o szerokiej, nieco kanciastej twarzy wykrzywionej bólem. Miał białą skórę i zielone oczy. Długie, pofalowane, jasne włosy spływały mu na ramiona. Al'Shannagg wzniósł szablę, by rozłupać to oblicze na pół. Zamarł jednak, uderzony nagłym podobieństwem tej sceny do swego ostatniego snu. Usta demona poruszyły się.

— Czekasz? Zabij, barbarzyńco — powiedział. Słowa były pokraccie akcentowane, lecz Kashim zrozumiał je bez problemu. Nieznajomy władał mową Świętego Miasta.

Kashim otrząsnął się. Demony znały wiele sztuczek. A jednak... „Nie zabijaj, gdy do ciebie przyjdzie”.

— Uderz!

Al'Shannagg nie uderzył. W tym momencie wpływ krwi i ciężka rana zrobiły swoje. Oczy demona łypnęły białkami, a jego ciało zważyło się na ziemię.

Kashim uklęknął na piasku. Użył daru zbyt wiele razy i otrzymał kilka ciężkich ciosów. Złamane żebro kłuło przy każdym oddechu. Poczł, że również traci przytomność. Chwilę potem leżał już na ziemi obok Jasnowłosego.

*

Gdzieś daleko, pod prowizorycznym dachem z rozpiętego między palmami płótna, ocknęła się dziewczyna o rdzawych włosach. Czuła straszliwe mdłości. Kręciło jej się w głowie. Oblizwała spękane wargi i spróbowała się ruszyć. Powstrzymał ją niespodziewany ból.

— Leż, dziecinko. Masz wybitą bark — rzekł kobiecy głos.

— Babcia Kama?

— Jestem tutaj, malutka. O nic się już nie bój. Dziękuj Jedynemu za cudowne ocalenie. Nie spodziewaliśmy się, że odkopimy cię żywą. To trwało tak długo.

To mówiąc, wybuchła płaczem. Miidza rozejrzała się. Babka siedziała na nadpalonym taborecie, za jej plecami widać było kobiety, które przeczesywały cierpliwie pogorzelisko. Wzniesiono już kilka prowizorycznych namiotów.

— Jak... jak długo?

— Najmniej trzysta wersetów.

Dziewczynka zamarła. Wiedziała, że nie można przeżyć tyle w zakopanej skrzyni.

— A ile spałam?

— Prawie tydzień. Karmiliśmy cię i myliśmy we śnie. Znachorka bała się, że już nigdy nie otworzysz oczu.

Miidza nie odpowiedziała, wpatrzona w płócienny baldachim. Przez jego liczne dziury prześwitywało słońce. Blask. Zaczęła przypominać sobie ostatnie chwile przed utratą świadomości. Najpierw był jasny blask. A potem zjawiała się postać — zamglona, niewyraźna. Była piękna, o białej jak mleko skórze i rudych, kręconych włosach, które sięgały kostek. Miała błękitne jak niebo oczy, a na głowie wieniec z kwiatów. Powiedziała coś głosem bardziej kojącym niż głos rodzonej matki. Ale co powiedziała? Miidza rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie każdy szczegół. Nagle słowa kobiety rozbrzmiały znów w jej głowie. Powtórzyła je, poruszając bladymi wargami.

— „Będiesz żyć. Tak sprawię, moje ukochane dziecko. Nie umrzesz, dopóki jest ktoś, z kogo losem zostałaś związana. Bądź silna. Jestem z tobą”.

— Co szepczesz, Miidza?

— Nic, babciu. To tylko sen. Dziwny sen.

*

Gdy Jasnowłosy otworzył oczy, zbliżał się już wieczór. Spostrzegł, że ręce ma solidnie skrepowane. Ktoś zdjął z niego cały pancerz i opatrzył ranę. Mimo to mężczyzna czuł się słabo. Wiedział, że obrażenia mogą okazać się śmiertelne.

Kashim kończył właśnie usypywać ósmy kopiec. Ocknął się dawno i zaczął zbierać z pola walki ciała towarzyszy. Czuł w piersi dziwną pustkę. Nie było w nim żalu, rozpaczy — nic.

Chodząc jak niezdarnie prowadzona kukła, zaciągał kolejne trupy pod wydmę i zasypywał grubą warstwą piasku. Dopiero gdy skończył, po jego brodzie ściekło kilka łez. Długą chwilę klęczał naprzeciw grobów bez ruchu, sparaliżowany dojmującym smutkiem. Wreszcie wstał i odmówił krótką modlitwę. Potem zatknął nad grobami oręż poległych.

Saury nie uciekły daleko, ale nie było sensu ścigać wszystkich. Ściągnął z powrotem do wozów tylko trzy, które nie odniosły w walce ran. Gdy uwiązał, oporządził i napił wierzchowce, wrócił do Jasnowłosego. Ten patrzył na niego podejrzliwie spod złotej grzywy.

— Dlaczego mnie nie zabiłeś, barbarzyńco? — spytał, kalecząc słowa.

— Uważaj, co mówisz. Jestem człowiekiem Świętego Miasta, a nie brudnym owcopasem.

— Nie rozumiem?

— Nazwałeś mnie barbarzyńcą. Takie miano noszą najdziksze plemiona Degów.

— U nas nazywamy barbarzyńcami dzikich, którzy żyją na zachodzie. Takich jak ty.

— Dziki? To ty pochodzisz z przeklętych ziem Marrenvan. Żyjesz daleko od Piaskowej Iglicy i cywilizacji, a mnie zarzucasz dzikość.

— Marrenvan? Mój kraj zwie się marchią Learfeld, a tej nazwy nigdy nie słyszałem.

Kashim miał mętlik w głowie.

— Co ze mną zrobisz? — spytał Jasnowłosy.

— Jeszcze nie zdecydowałem. Może ubiję cię jak psa, a może zabiorę jako więźnia.

Mężczyzna splunął.

— Lepiej utnij mi głowę, zamiast oddawać w niewolę swoim yaurańskim władcom.

— Yau... co? Nie służę nikomu prócz proroka i paszy Asimara.
Jasnowłosy zmrużył oczy.

— Nie żartuj, barbarzyńco. Poznaję twoją zbroję i hełm. Takie same noszą hordy gadzich władców.

Ostatnie słowa uderzyły Kashima z siłą wojennego młota. Stała mu przed oczyma Bestia, która nie wiadomo skąd wzięła się w Świętym Mieście. Ten człowiek mógł wiedzieć coś, co pomoże rozwikłać jej zagadkę.

— Zdecydowałem — rzekł Al'Shannagg. — Będziesz moim jeńcem. Nie obawiaj się, nie wydam cię nikomu. Zresztą gdyby ktoś ze Świętego Miasta dowiedział się, że darowałem życie demonowi, czekałaby mnie śmierć.

— Nie nazywaj mnie demonem, barbarzyńco.

— Nie nazywaj mnie barbarzyńcą, demonie.

Po pełnej napięcia chwili obaj roześmiali się cicho. Jasnowłosy umilkł zaraz, gdy rwący ból zbudził się w jego ranie.

— Nazywam się Kashim Al'Shannagg Bakh'Dezi, kapitan Świętych Jeźdźców miasta Tel'Halik. Jak cię zwa?

— Brenvan Aam Caerleigh znaku Jednorożec, kawaler zakonu Złotej Róży, syn lorda Gwidona, pana Caerleighmarch.

*

Kashim miał wystarczająco czasu, by zastanowić się dokładnie nad sytuacją. Podróż z Jasnowłosym była śmiertelnie niebezpieczna. Gdyby natknęli się na jakikolwiek inny patrol, a w miarę zbliżania się do Świętego Miasta szansa na to rosła, czekała ich śmierć. Obaj byli ranni, wycieńczeni i nie mogli stawić czoła żadnemu poważniejszemu przeciwnikowi.

Na dodatek jeńca można było wwieźć do miasta. Czerwone Turbany były czujne i nawet najlepsze przebranie mogło nie wystarczyć. Brenvan tymczasem potrzebował pilnie wiedźmy lub zielarki. Pióro szabli musiało naruszyć jego trzewia. Dwa dni po walce nad raną zaczął unosić się smrodliwy zapach, wkrótce na jej brzegach pojawiła się ropa, a brzuch Jasnowłosego opuchł i zaczerwienił się. Wojownik ledwo mógł jechać i zagryzał wargi z bólu za każdym razem, gdy saur nim zatrzęsnał.

— Umrę, Kashimie. Widziałem już wiele ran w życiu i wiem, że ta jest śmiertelna. Wkrótce zaczną mi gnić wnętrzności.

— Wiem.

— Dlaczego więc mnie nie dobijesz, na litościwą Saari!

— Zdążymy cię jeszcze uratować. Niedługo będziemy w okolicach miasta, a wtedy raną zajmie się wiedźma. Kobieta z Darem potrafi czynić

cuda.

Jasnowłosa wzdrygnął się.

— Czarownica?! Prędzej zginę, niż oddam się w jej ręce!

— Nie czarownica. Krew Najwyższego. Taka jak moja.

— Też jesteś czarnoksiężnikiem? Wiedziałem! Dlatego w ośmiu wyrąbaliście całą karawanę. Mówisz mi, że nie jesteś z Yauranu, a władasz ich mroczną magią!

— Zamilcz. Jesteś moim więźniem i uczynię z tobą, co zechcę.

Brenvan chciał coś odrzec, lecz nagle zasłabł i oparł się ciężko na szyi saura.

— Bez Widzącej umrzesz w cierpieniu — powiedział Kashim. — Naprawdę tego chcesz?

Jeniec nie odpowiedział.

Następnego dnia przyszła gorączka, która przerodziła się stopniowo w groźną maligenę. Twarz Jasnowłosego zlewała się obficie potem. Co chwila tracił przytomność. By kontynuować podróż, Kashim musiał przywiązać go do siodła. Na dodatek przyszło mu czyścić Jasnowłosego piaskiem, bo ten ufajdał się jak dziecko.

Wreszcie znaleźli się zaledwie o trzy dni drogi od Tel'Halik. Tutaj Kashim skręcił na południowy wschód. Zamiast jechać w stronę miasta, zdecydował się szerokim łukiem dotrzeć do oazy Hazmud. Był pewien, że ani Celbał, ani nikt z jego rodziny nie doniesie Duzzahom, nawet gdyby sprawa dotyczyła demona.

O dwa dni drogi od osady Jasnowłosa zaczął gasnąć w oczach. Jego oddech był krótki i przerywany, serce łomotało. Nie odzyskiwał już przytomności. Rana cuchnęła niemożliwie i co dwie godziny trzeba było zmieniać opatrunek, bo stary przesiąkał gnijącą, kleistą mazią. Kashim wziął z wozów wiele zapasowego materiału, lecz płótno zaczynało się kończyć. Wreszcie musiał używać nawet części własnego ubioru. Był zdecydowany walczyć o życie jeńca do końca. Rana powaliła go zbyt szybko, by zdążyć odpowiedzieć Al'Shannaggowi choć na setną część pytań.

Kiedy daleko pomiędzy wydrami zaczęły prześwitywać budynki oazy, Kashim podziękował Najwyższemu modlitwą. Jeźdźcy zjechali ze wzniesienia i stanęli przed domem, a ze środka wybiegła uzbrojona służba. Kashima rozpoznano natychmiast i ludzie zaczęli podchodzić do niego, machając radośnie rękoma, lecz w tym momencie skóra, która okrywała nieprzytomnego Brenvana, zsunęła się na ziemię. Trudno opisać szok,

jakiego doznali mieszkańcy Hazmud. Dzieci z płaczem uciekły do matek, mężczyźni ponownie chwycili za oręż. Nie dowierzając oczom, patrzyli na jasnowłosego potwora, który leżał na grzbiecie saura. Z cienia ganku wyszedł Celbal.

— Mówiłem, że zawsze jesteś mile widziany, paniczu Al'Shannagg — rzekł. — Nie spodziewałem się jednak, że przyprowadzisz kiedyś istotę przekłątą. Demona!

— To nie demon, Celbalu, ale człowiek, choć inaczej wygląda. Czy udzielisz nam gościny?

— Przysiągłem, że mój dom jest pańskim domem, paniczu, i zamierzam się tego trzymać.

Służba co prawda szemrała, lecz nikt nie wyraził sprzeciwu. Brenvana wniesiono do jednej z bocznych izb mieszkalnych. Stary zielarz Amid zaczął badać jego rany. Tymczasem w oknach pojawiły się dziesiątki ciekawskich głów. Każdy z mieszkańców oazy przybył, by obejrzeć prawdziwego demona.

— Celbalu — zwrócił się Kashim do stojącego obok sługi. — Musisz zobowiązać wszystkich do milczenia. Jeśli choć słowo dotrze do Duzzahów, ród Al'Shannagg będzie stracony.

— Zrozumiałem to w chwili, gdy zobaczyłem tego człowieka — odparł starzec. — Rozkażę im przysiąc na Księgę. Zresztą i bez tego nie poszliby z donosem. W Hazmud nie lubimy Duzzahów.

— Cieszy mnie to, przyjacielu. Gdybym...

Przerwał, bo Amid właśnie skończył oglądać ranę. Zakrył ją płótnem i pokręcił głową wyraźnie zatroskany.

— Nie zdołam pomóc białoskóremu. Rana jest zbyt przeżarta zgnilizną, by ją oczyścić. Umrze w ciągu trzech nocy, chyba że sprowadzicie tu wiedźmę. Musiałaby jednak mieć silną krew, by uzdrowić jego ciało.

— Znam kobietę, która dysponuje odpowiednimi umiejętnościami. Będę jednak potrzebował twojej pomocy, Celbalu.

— Jak już mówiłem, zawsze chętnie służę rodowi Al'Shannagg.

Rozdział 15. Zdrada!

Jeszcze przed wschodem słońca zaufany goniec opuścił oazę i pognął w stronę Tel’Halik. Jego saura całą noc trzymano w mieszkalnej izbie, by nie zziębnał i rano był w pełni sił. Trud się opłacił — wierzchowiec pokonywał rażno wzniesienia. Drogę, która normalnie zajmowała cały dzień, przebył w zaledwie siedem godzin.

Gońcem był syn Celbala, sprytny i rezolutny młodzieniec. Strażnikom przy bramie powiedział, że zamierza tylko kupić maści dla chorującego na stawy ojca. Jednak gdy znalazł się na ulicach Tel’Halik, zamiast do medyka ruszył w stronę alei Ślepców.

Tam znalazł wąski dom, dokładnie opisany przez Kashima. Stał na progu i krzyknął do środka:

— Pani Zebari!

Nikt mu nie odpowiedział.

— Pani... och!

Kotara odsunęła się, ukazując szpetną twarz wiedźmy. Czarownica w jednym ręku trzymała nóż, a w drugim dygoczącą jeszcze kure.

— Czego, smarku? Jestem zajęta.

— Pani Zebari! Mam pilną sprawę. W osadzie Hazmud jest ranny, który...

Wiedźma zmrużyła oczy.

— Przyjmuję tylko w swoim domu. Nie jestem dziewczką służebną, żeby biegać do każdego chorego. Przynieście go tu dyskretnie. W nocy. Wtedy pomyślimy.

— Ten człowiek umiera. Nie mamy czasu!

— Głuchy jesteś chłopcze? Sio — rzekła i potrząsnęła nożem.

— Jeździec Kashim Al’Shannagg prosił, by to pani dać — powiedział chłopak, wyciągając zza pasiastego chałatu sakiewkę.

Zebari zważyła ją w dłoniach. Więc jednak mężczyzna, za którym kroczy śmierć, zjawiał się ponownie w jej życiu. Może widzenia były prawdziwe? Może rzeczywiście ich los przeplatał się w jakiś tajemniczy sposób? Z drugiej strony... Zebari wiedziała, że wchodzenie w interesy z tym człowiekiem mogło się źle skończyć. Wciąż wisiało nad nim widmo tajemniczej bestii, której wiedźma nie chciała wchodzić w drogę. A jednak,

wbrew rozsądkowi, rzekła:

— Dobrze, chłopcze. Wejdz. Zbiorę rzeczy i pojedziemy.

Czuła, że kiedyś tego pożałuje. Czas miał pokazać, że się nie myliła.

*

Wiedźma przyjechała do Hazmud późną nocą. Zaprowadzono ją do sali, w której leżał na stole Brenvan. Wzdrygnęła się, gdy zobaczyła jego białą skórę i jasne włosy.

— Witaj, Zebari — odezwał się Kashim z ciemnego kąta.

Wiedźma obróciła się w jego stronę.

— Najwyższy pomieszał ci zmysły, człowieku! — syknęła. — To wcielone zło!

— Trzewia ma takie same jak my, Zebari. Zdołasz je połatać.

— Jak mogłeś sprowadzić demona pod samo Tel’Halik!

Kashim uśmiechnął się i wyszedł z cienia.

— Nie wiedziałem, że jesteś tak wierząca. Twoje praktyki też nie są zgodne z Księgą, więc co ci przeszkadza Jasnowłosość?

Wiedźma zacisnęła usta.

— Wyleczysz go?

Podeszła do ciała i zdjęła opatrunek. Zaraz zrobiła krok w tył, uderzona smrodem gnijącego mięsa.

— Ten mężczyzna jest już jedną nogą w Shannyevan... to znaczy w Marrenvan, bo tam pewno zdąży jego lud po śmierci. Mogę spróbować, ale to będzie trudne i potrwa wiele dni.

— Zapłacę dużo, Zebari. Dostaniesz tu dobrą gościnę.

— Zrobię co w mojej mocy, wojowniku.

*

Zebari nie myliła się. Zadanie było rzeczywiście bardzo trudne. Przez trzy dni niemal nie wychodziła z komnaty. Zabraniała też komukolwiek tam wchodzić. Na jej rozkaz zabito ćwiekami okiennice. Tylko Kashim zdołał się na chwilę wdrzeć do pracowni, lecz zaraz wyszedł, zdjęty obrzydzeniem. Wśród wyrysowanych na blacie magicznych znaków leżało nagie ciało Brenvana. Nie oddychał i wyglądał, jakby już był martwy. Obok stołu stały misy pełne gnijącego mięsa. W brzuchu jasnowłosego widniała natomiast wielka krwawa dziura. Wiły się w niej jakieś dziwne, blade nitki.

— Idź precz! — syknęła wiedźma, która właśnie wróciła z podwórza, niosąc wiadro wody.

— Przeżyje? Przecież wyjął mu połowę wnętrzości!

— Teraz geniusze ziemi odtwarzają je z martwej materii. To potrwa, ale jeśli się uda, będzie jak nowy.

Minął kolejny dzień. Kashim odchodził od zmysłów. Myślał, co teraz zrobić, lecz wszystkie ścieżki, jakie się przed nim otwierały, wyglądały mało zachęcająco. Nie mógł wrócić do Tel’Halik, chyba że w przebraniu. Wzięto by go do Orlego Fortu na długie przesłuchanie. W końcu stracił cały oddział i nie ma żadnych świadków, którzy potwierdziliby walkę z demonami.

Zresztą nie chciał już wracać do Świętego Miasta. Nie chciał służyć kłamliwym Duzzahom czy Asimarowi. Chciał poznać prawdę. Tymczasem musiał czekać.

Całe dni włóczył się po oazie i okolicach. Nuda i brak jakiegokolwiek zajęcia dręczyły go strasznie. Na dodatek wciąż miał przed oczyma obraz Jelayi. Nie widział jej przez miesiąc i odchodził już od zmysłów. Znajdowała się tak blisko! Wystarczyło kilka godzin jazdy, by spędzić noc u jej boku!

Piątego dnia w południe wiedźma skończyła pracę. Rozkazała otworzyć wszystkie okna, a sama wyszła na podwórze, blada i słaba. Kashim popędził zaraz obejrzeć swojego jeńca. Leżał on wciąż na blacie nagi i zimny. Pierś jednak poruszała się miarowo. Po ziejącej w podbrzuszu dziurze nie został żaden ślad, choć skóra w tym miejscu była jakby bielsza i nienaturalnie gładka. Al’Shannagg odetchnął z ulgą i wyszedł do Zebari. Czarownica podciągnęła wysoko rękawy i splukiwała twarz wodą. Dzieci patrzyły na nią z zabobonnym strachem.

— Co teraz? — spytał Kashim.

— Teraz, mój drogi, zapłacisz co najmniej drugie tyle, ile dostałam na początku. Potem twój przyjaciel Celbal wyśle paru krzepkich parobków, by odprowadzili mnie do domu.

— Co z nim?!

— Będzie długo spał. Jest wycieńczony.

— To dla mnie ważne, Zebari. Powiedz, jak długo!

— Trzy, cztery dni.

Al’Shannagg westchnął. Oczekiwanie wydawało mu się gorsze niż piekielne męki. Przez ten czas ciekawość i nuda zjedzą go ze szczętem.

Podziękował mimo wszystko wiedźmie, wynagrodził ją i odesłał. Razem z nią puścił do Jelayi list, w którym pisał, że czuje się dobrze, jest niedaleko miasta i najbliższej nocy ją odwiedzi.

Następnego dnia w południe wziął od Celbala proste, nierzucające się w oczy ubranie. Nie mógł wziąć szabli, lecz pod dżelabą ukrył długi kindżał.

Potem dosiadł szybkiego wierzchowca i ruszył w stronę Świętego Miasta.

*

W ogrodzie rodu Makhar'ad cykały setki świerszczy. Monotonny dźwięk natrętnie wciskał się w uszy i doprowadzał strażników do szału. Chodzili po ścieżkach szybkim krokiem, wyraźnie zirytowani. Nie poświęcali wiele uwagi otoczeniu, więc nie mogli dostrzec mężczyzny, który cicho przekradł się pod sam dom. Tam przystanął, by upewnić się, że nikt nie patrzy w stronę ściany. Potem szybko wdrapał się po grubej winorośli. Owady całkiem go zagłuszały.

Jelaya czekała na niego, siedząc na łóżku. W ciemności Kashim nie zauważył na jej twarzy wyrazu zażenowania.

— Witaj, o najpiękniejsza — rzekł.

— Witaj, mój sokole — odparła.

Podszedł, by ją ucałować, ale nie wstała z łóżka.

— O co chodzi?

Jelaya zaczęła chlipać, ocierając rękawem zażawione oczy.

— Chcę dobrze dla nas obojga. Uwierz mi. Tylko porozmawiają, a potem znów będziemy razem. Poprosisz ojca o moją rękę.

— Co?

W tym momencie drzwi otwały się, a do pomieszczenia wpadło pięciu kuszników w czerwonych turbanach i wysoki kapłan z buławą w rękę. Kashim wyszarpnął sztylet i rzucił się w stronę okna. Gdy był już na parapecie, zobaczył, że na dole, w ogrodzie, także na niego czekają.

— Rzuć broń, Kashimie — rozkazał Duzzah. — Nie chcemy uczynić ci krzywdy.

Al'Shannagg zastanawiał się, czy nie zaatakować. Bełty obaliłyby go po kilku krokach, ale uniknęłyby więzienia, a Jelaya zobaczyłaby w pełni konsekwencje swojego czynu.

— Odłóż nóż, kochany — błagała dziewczyna.

W Kashimie wezbrała bezgraniczna rozpacz. Wciąż jednak potrafił myśleć. Była szansa, że z tego wybrnie. Duzzahowie mieli tylko podejrzenia, co przy protekcji paszy może nie wystarczyć. Wypuścił broń z ręki. Kusznicy zaraz podbiegli, by go skępować. Gdy wyprowadzano go z sypialni, spytał:

— Dlaczego, Jelayo?

— Bo Słowo jest ważniejsze od wszystkich doczesnych spraw — odparła przez łzy.

Kashim czuł, że to tylko wyuczona formułka. Chciał coś rzec, lecz

strażnicy przemocą wyciągnęli go z komnaty, a potem zwlekli na dół po schodach. Mężczyźni rodu Makhar'ad czekali w pokoju gościnnym. Popatrzyli na Jeźdźca z wściekłą zaciętością.

— Zemsta należy do nas, Tantaharze — powiedział Iznak.

— Dopiero po tym, jak swój wyrok wyda sąd — rzekł Duzzah.

*

Kashim Al'Shannagg nie trafił do znajomej celi w Orlim Forcie. Zabrano go do Pałacu Sprawiedliwych i zamknięto w ciasnym, wilgotnym karcerze. Powietrze co chwila rozbrzmiewało tam przeraźliwymi krzykami torturowanych.

Przez wiele godzin nikt nie przyszedł do Kashima. Jeniec leżał sam w mroku i myślał o swojej sytuacji. Bał się, że właśnie w tej chwili Czerwone Turbany przeszukują jego dom i oazę Hazmud. Powszechnie wiadano bowiem, że utrzymuje z Celbalem bliskie kontakty. Jeśli tam trafią na Jasnowłosego, Al'Shannagga czekała prawdopodobnie śmierć na palu. Jeśli nie, to wybatożą go najwyżej i wsadzą w dyby za uwiedzenie Jelayi.

Jelaya! Tak bardzo się kochali, a tak mało się znali. Rozmawiał z nią tylko kilka razy. Na dodatek nigdy o przyziemnych sprawach. Nie znał nawet jej stosunku do Duzzahów i reform Vezamara. Jak mógł zaufać jej bez reszty! Przeklinał się w myślach, a jednocześnie cierpiał.

Po długim czasie przyniesiono Kashimowi marny posiłek. Próbował dowiedzieć się czegokolwiek, lecz strażnik nie chciał zamienić z nim nawet słowa. Wojownik nie miał żadnego ukrytego złota, więc przekupstwo też nie wchodziło w grę. Mógł tylko czekać.

Następnego dnia zaczęły się przesłuchania. Al'Shannagga nie torturowano jednak, co przyjął za dobrą monetę. Dwóch kapłanów zalewało go natomiast potokiem pytań. Gdy nie chciał odpowiadać, ogromny i łysy strażnik tłukł go kułakiem po brzuchu. Duzzahowie grozili różnymi torturami, a gdy Kashim tracił przytomność, odchodzili, by zjawić się ponownie po pewnym czasie. Mijały dni, a przesłuchania wciąż wyglądały tak samo.

— Dlaczego zdradziłeś Księżę, heretyku?

— Nie zdradziłem. Jestem wierny słowu.

— Więc skąd masz ten przedmiot?!

— Jaki przedmiot?

— Ten, który wziąłeś z warsztatu Jalbola.

— Nie byłem tam nigdy.

- Łżesz. Widziano cię.
 - Kto mnie widział? Zapewne kłamię.
 - Gdzie jest ten przedmiot?
 - Jaki przedmiot?
 - Z warsztatu Jalbola!
 - Nie byłem w żadnym warsztacie!
 - Dlaczego próbowałeś wciągnąć Jelayę Makhar’ad do swojego spisku?
 - Nie prowadzę żadnego spisku.
 - Gdzie jest przedmiot z warsztatu Jalboa?
 - Już mówiłem.
 - Odpowiadaj, synu, inaczej każę cię wrzucić do celi z Fahidem Skręcikarkiem. Lubi takich delikatnych młodzieńców jak ty. Rozerwie twoją zasraną rzyć na strzępy! Wszystkie flaki wylecą ci drugą stroną! A teraz mów prawdę! Dlaczego opuściłeś swój oddział?
 - Nie opuściłem. Wszyscy zginęli w walce z demonami.
 - Dlaczego nie wróciłeś prosto do Tel’Halik, by o tym donieść?
 - Bo śmierć podwładnych okryła mnie hańbą jako dowódcę.
 - Kłamiesz! Zostawiłeś ich wśród piasków i uciekłeś do miasta.
 - Nieprawda.
 - Czy szanujesz władzę proroka Vezamara?
 - Tak.
 - Dlaczego wypuściłeś heretyka Muina?
 - Nie wypuściłem. Uciekł mi.
 - Kto jeszcze jest w twoim spisku?
 - Nie ma żadnego spisku.
 - Gdzie jest przedmiot, który zabrałeś z warsztatu Jalbola?
 - Nie wiem o żadnym przedmiocie. Nie znam żadnego Jalbola.
 - Dlaczego zdradziłeś Księżę?
 - Nie zdradziłem, jestem jej posłuszny.
 - Dlaczego opuściłeś swój oddział?
 - Nie opuściłem.
 - Jesteś posłuszny Księdze?
 - Tak.
 - Jesteś musalitą?
 - Nie.
- Potok bliźniaczo podobnych pytań ciągnął się w nieskończoność. Kashim znosił go ze spokojem. Był Świętym Jeźdźcem i potrafił wiele wytrzymać.

Na dodatek wiedział, że jeśli śledczy bawią się w podobne podchody, to nie mają przeciw niemu dowodów. Ze wszystkich jego bezprawnych czynów wiedzieli tylko o wizycie w warsztacie (choć i tego nie byli pewni — ktoś musiał po prostu widzieć Kashima w okolicy domu Jalbola) oraz o Muinie (ale tylko tyle, ile mógł napisać Abashim w swoim raporcie). Al'Shannagg, mimo wycieńczenia, był więc dobrej myśli.

*

Pasza skrzywił się, gdy sługa doniósł, że w jego komnatach czeka zamaskowany mężczyzna. Odłożył srebrną łyżkę i odsunął talerz. Usługujące mu kobiety natychmiast wyniosły resztki posiłku. Asimar nie widział Snaara od czasu zajścia z Jastrzębiami. A szkoda. Miał mu wiele do powiedzenia. Wstał od stołu i szybkim, zdecydowanym krokiem wyszedł z jadalni. Skierował się w stronę gabinetu, po drodze zabierając czterech Jeźdźców ze swojej osobistej ochrony. Zostawił ich za drzwiami, a sam wszedł do środka.

Wysłannik Niebios czekał rozparty wygodnie w fotelu. Przeglądał zwoje, które leżały na biurku, i jak gdyby nigdy nic czytał tajne edykty. Asimar zatrasnął drzwi. Gotował się ze złości. Gad spojrzał na niego.

— Mam do ciebie kolejną prośbę, paszo.

— Nie obchodzą mnie już twoje prośby, jaszczurko.

Oczy Snaara zwięzły się.

— Przepraszam. Użyłem niewłaściwych słów. Mam dla ciebie nowy rozkaz.

Pasza sapnął. Podeszedł do biurka i oparł się o blat.

— Tak? Jakież to rozkaz miłościwy pan raczy wydać?

— Nie lubię ironii, Asimarze. To nielogiczna, ludzka maniera. Jeśli chodzi o sprawę, to dotyczy ona Kashima Al'Shannagga.

— Nie rozumiem! Przecież kapitan Al'Shannagg siedzi w Pałacu Sprawiedliwych. Nie mam żadnego wpływu na jego proces!

— Teraz jeszcze nie masz, ale wkrótce to się zmieni. Duzzahowie mogą sądzić Kashima jedynie z wykroczeń przeciw Księdze. Dowiodą mu, że sprowadził na złą drogę cnotliwą dziewczynę, za co grożą mu dyby lub bat. Jedyne poważny zarzut to dezercja. To ty, paszo, będziesz go z niej rozliczał.

— Chcesz, żebym go uniewinnił? Nie musiałeś się fatygować. Jest niewiele dowodów, więc zrobię to tak czy inaczej.

— Myślę o czymś dokładnie przeciwnym, paszo. Rozkazuję ci ogłosić Kashima zdrajcą i skazać na śmierć.

Asimar pogładził się po łysinie.

— Do diabła, Snaar! Twoje gry coraz bardziej mnie denerwują! Najpierw go awansowałem, a teraz mam posłać na pal? Oszalałeś?

— Nie muszę się tłumaczyć, Asimarze. Powiem tylko, że śledztwo moich ludzi ujawniło nowe, niepokojące okoliczności. Al'Shannagg jest zagrożeniem dla przyszłości Świętego Miasta. Musi zginąć.

— Dlaczego miałbym cię słuchać?! — Krzyknął pasza. — Zdradziłeś mnie! Upokorzyłeś! Obiecywałeś, że odzyskam wpływy, a tymczasem tylko je utraciłem na rzecz twoich fanatyków w czarnych płaszczach!

Gad wstał i zmierzył Asimara groźnym wzrokiem.

— Wiesz chyba, że mogę położyć cię trupem w mgnieniu oka — powiedział. — Nie musiałbym nawet kiwnąć palcem.

— Dość gróźb, jaszczurko! Jeśli się odważysz, Jeźdźcy uznają to za czyn Duzzahów i ruszą na pałac.

— Nie zwyciężyliby straży, Jastrzębi i Czerwonych Turbanów.

— Nie, ale połowę zabraliby ze sobą do grobów. Trzy czwarte zbrojnych mężów Tel'Halik ległoby martwych. Tego właśnie pragniesz, Snaar? Kto wtedy wygra twoją nadchodzącą wojnę?

Gad syknął.

— Masz wciąż wiele do stracenia, paszo. Chodzi mi tylko o jednego człowieka. Jednego nieliczącego się oficera z twojej armii!

— Dlaczego nie zabijesz go sam? Wystarczy wydać rozkaz Jastrzębiom.

— Powinieneś wiedzieć, że Kashim jest poważany przez wielu Świętych Jeźdźców. Aby uniknąć niepokojów, wszystko musi się odbyć w majestacie prawa.

Pasza zastanowił się.

— Dobrze — rzekł w końcu. — Spełnię twoją prośbę, choć czynię to bardzo niechętnie. Teraz łaskawie opuść mój fotel i gabinet. Wyoś się stąd, Snaar.

Gołym okiem widać było, że ostatnie słowa Asimara rozzłościły gada. Pokłonił się jednak paszy, włożył maskę i wyszedł, owijając się szczelnie płaszczem.

Asimar usiadł za biurkiem i tworzył w myślach plan zemsty. Nie mógł sprzeciwić się Wysłannikowi. Konsekwencje byłyby zbyt wielkie. Mógł jednak wypełnić jego polecenie niekompletnie. Nie da mu wtedy wystarczającego pretekstu do wszczęcia wojny, a odegra się za wyniosły ton.

*

Celbal czekał niecierpliwie przez kilka dni. Białoskóry zaczynał się

powoli budzić, a Celbalowi ciężko było mu wytłumaczyć gdzie jest i co robi Al'Shannagg. Starzec nie wiedział, co ma począć z tym dziwnym człowiekiem, więc posłał synów do miasta, by szukali Kashima. Powrócili ze złymi nowinami.

W Tel'Halik mówiono już powszechnie o tajemniczej sprawie kapitana Świętych Jeźdźców. Ubiegłego dnia, gdy przenoszono go z Pałacu Sprawiedliwych do Orlego Fortu, wielki tłum zgromadził się na ulicach i obserwował przemarsz jeńca. Krążyły niesamowite plotki. Jedna z nich mówiła, jakoby Kashim wpadł w szal powodowany przez pustynną chorobę i pozabijał wszystkich podwładnych. Inna utrzymywała, że padł ofiarą spisku, bo sprzeciwiał się Duzzahom.

Na trasie przemarszu Al'Shannagga stali jego przyjaciele. Nahar i inni znajomi Jeźdźcy dodawali mu siłę, krzycząc, że pasza na pewno go uniewinni. Towarzyszyli mu aż do bram więzienia. Tam Kashima zamknięto w większej i wygodniejszej celi niż uprzednio. Na dodatek mógł cieszyć się pełnym spokojem, przynajmniej na jedną noc. Sąd był zaplanowany na jutro.

Kapitan miał nadzieję, że spotka znajomego strażnika i będzie mógł chociaż przekazać rodzinie, Naharowi i Jelayi pożegnalne listy. Niestety, Hazim nie miał dostępu do jeńca. Zamiast niego drzwi strzegło dwóch ponurych, milczących drabów.

Następnego dnia rano zaczęły się obrady. Pasza Asimar wraz z oficerami zasiadł w sali sprawiedliwości, gdzie wysłuchali oskarżyciela, a potem dyskutowali niemal godzinę. Wreszcie posłano po Kashima, by odczytać wyrok.

Choć procesy w Orlim Forcie były tajne, to ich wynik ogłaszano publicznie. Na dziedzińcu zebrał się więc tłum gapiów, którzy chcieli poznać finał fascynującej sprawy. Był wśród nich syn Celbala, a także Nahar oraz Phari, który śledził wszystko z rozkazu Jelayi.

Z podziemi fortu wyprowadzono Kashima. Był słaby i blady, a koszula wisała na nim w strzępach. Spodnie miał brudne i podarte, jednak kroczył dumnie.

Z pałacu wyszedł pasza w otoczeniu honorowej straży, odziany w paradną zbroję. Dwóch Jeźdźców wyprowadziło Kashima na środek placu. Asimar uważnie przyjrzał się skazańcowi. Kashim odwzajemnił spojrzenie i starał się wyczytać z twarzy paszy wyrok. Ludzie szemrali z niecierpliwości, bo południowe słońce mocno przypiekało ich nieosłonięte głowy.

Asimar w końcu rozwinął trzymany w prawej dłoni zwój i rzekł:

— Na mocy reguły Świętych Jeźdźców i odwiecznego prawa Tel’Halik zebrała się dziś rada oficerów, której celem było osądzenie kapitana Kashima Al’Shannagga, oskarżonego o haniebną dezercję. Oświadczam, że rozpatrzyliśmy wszystkie oblicza sprawy i wierzymy, że Najwyższy pozwolił nam odnaleźć prawdę. Uznajemy kapitana Kashima Al’Shannagga za winnego!

Wojownik osłabł nagle i przygarbił się. Nadzieja, która dodawała mu sił, odeszła. Pasza tymczasem mówił dalej:

— Zostanie on pozbawiony stanowiska i wykreślony z ksiąg Świętych Jeźdźców. Poniesie także przewidzianą przez prawo karę. Będzie nią...

Pasza przerwał na chwilę, zadowolony z siebie. Miał nadzieję, że Snaar to widzi i skisnie z bezsilnej złości.

— .. wieczne wygnanie! Wyrok zostanie wykonany dziś o zachodzie słońca!

A więc jednak nie pal ani garota. Kashim uśmiechnął się blado. Werdykt dawał mu szansę, choć banicję zawsze poprzedzał sąd niebios, w czasie którego wielu skazańców ginęło.

Tłum zafalował, krzycząc i bijąc brawa. Wygnanie było wielkim spektaklem, a ostatnie wydarzyło się ponad trzy lata temu. Pasza podarował gawiedzi wspaniałe widowisko.

*

Ostatnie godziny Kashim spędził w celi na modlitwach do Jedynego. W tym czasie zakłócono mu spokój tylko raz, gdy na zewnątrz, pod bramą więzienia, wybuchła jakaś gwałtowna sprzeczka. Kashim rozpoznał głos Nahara. Przyjaciele próbowali się do niego dostać, lecz straż była nieubłagana i nieprzekupna.

Al’Shannagg był dziwnie spokojny. W ciągu ostatnich dni stracił siedmiu przyjaciół i zbratał się z demonem. Porzucenie za plecami Nahara i Jelayi wydawało się smutne, lecz nie potrafił nad tym rozpaczać. Zbyt wiele żalu, wiszącego nad każdą myślą niczym ołowiana chmura, zebrało się już w jego głowie. Nieco bardziej dręczyła go sprawa rodziny. Matki i siostra zostawały teraz bez żywiciela. Mógł jedynie mieć nadzieję, że Nahar i Celbal pomogą im przeżyć.

Wieczorem Kashima nakarmiono, ubrano w prosty, ale czysty chałat, po czym wyprowadzono z więzienia pod silną eskortą. Strażnicy wiedli go do bramy, gdzie czekał już tłum gapiów.

*

Bardzan Żelazna Ręka był znanym łuczniakiem. Trafiał ze stu kroków jaskółkę. Na dodatek miał wielką siłę i władał potężnym dwubrzusznym łukiem, który mało kto potrafił naciągnąć. O Bardzanie opowiadano, że jedną strzałą zdoła powalić bacharna. Dziś miał strzelać do celu o wiele mniej wytrzymałego niż bacham i znacznie większego niż jaskółka.

Łucznik siedział spokojnie na blankach i patrzył na tłum, który kłębił się wzdłuż bramy. Nie zauważył, jak ubrana w białą dzelabę postać stanęła tuż obok.

— Tyś jest Bardzan? — spytał nieznajomy.

Łucznik odwrócił się. Mężczyzna był otyłym i wysokim eunuchem. Jego spocona twarz błyszczała w słońcu.

— Tak. Czego chcesz? Zaraz muszę zjawić się nad bramą!

Eunuch wyciągnął grubą sakiewkę.

— Są osoby, którym zależy, by kapitan Al'Shannagg przeżył. Bardzo by się ucieszyły, gdybyś dzisiaj nie był w formie, Bardzanie.

Żołnierz zmarszczył czoło. Zajrzał podejrzliwie do sakiewki i wytrzeszczył oczy. W środku było samo złoto.

— Ten nieszczęśnik musi mieć naprawdę bogatych przyjaciół — rzekł, upewniwszy się, czy monety nie są fałszywe. — Możesz ich powiadomić, że nie spotka go krzywda.

*

Kashim stał w cieniu pod ogromnym łukiem bramy. Strażnicy oddzielali go od cizby. Wysoki Duzzah czytał reguły sądu niebios i prawa, jakich pod karą śmierci musiał przestrzegać na wygnaniu. Wojownik uśmiechnął się, gdy zdał sobie sprawę z ironii losu. Dwadzieścia lat temu Rahmat Al'Shannagg okrył się dokładnie w tym miejscu wieczną chwałą. Teraz jego syna miano tu wykląć i wygnać z miasta.

— .. a jeśli kiedykolwiek nawiedzisz wieś, miasteczko lub posterunek, który należy do Ocalonego Ludu — mówił Duzzah — zostaniesz natychmiast zabity, a twoje ciało będzie rzucone sępom na pożarcie. Od tej chwili nie należysz już do naszej historii. Jesteś istotą przeklętą i samotnie krążyć będziesz na granicy między Marrenvan a ziemiami środka. Tak niech się stanie!

— Tak niech się stanie! — odpowiedzieli strażnicy. Kashim rzucił ostatnie spojrzenie na tłum. Nie widział w nim arii Nahara, ani Jelayi, ani nawet Pharięgo. Raz tylko gdzieś w morzu ludzkich głów mignęła mu twarz siostry. Poza tym było coś jeszcze... Czuł niepokój, zupełnie jakby skupił się

na nim czyjś zły wzrok. Potrząsnął głową. To nie była dobra pora na przeczcucia i zmartwienia.

Strażnicy przeprowadzili Kashima na drugą stronę bramy. Duzzah rzekł:
— Łucznik zacznie strzelać, gdy będziesz osiemdziesiąt kroków od wrót. Ma trzy strzały. Każdy grot pokryty jest maścią ze zmijowego korzenia. Jedno draśnięcie i skonasz w mękach. Biegnij!

Ludzie patrzyli na Kashima i czekali w napięciu. Al'Shannagg odwrócił się w stronę pustyni. Czuł zew bezkresnej przestrzeni i zapach piasku, niesiony przez gorący wiatr. W jednej chwili przemógł całą słabość i rzucił się naprzód. Biegł jak szalowiec, zataczając się i robiąc co chwila zwroty. Miał nadzieję, że nie wybrano zbyt dobrego łucznika. Ludzie wybiegli przed bramę, by lepiej wszystko widzieć.

Bardżan tymczasem uśmiechnął się. Napiął potężny łuk i uważnie wycelował. Musiał się skupić. Wypadało strzelać blisko, ale wtedy ryzykował, że uciekinier w nagłym zwodzie wejdzie prosto pod strzałę. Żelazna Ręka wypuścił pocisk, który wbił się w piasek tuż obok nogi Kashima. Łucznik udał zmieszanie. Część gapiów biła brawo, inni gwizdali. Bardżan wycelował po raz drugi. I tym razem strzała chybiła, przelatując nad głową Al'Shannagga. Została już tylko jedna szansa.

Podniecenie tłumu sięgało zenitu. Nikt nie zwrócił uwagi na szczerbie zawiniętą w płaszcz, zakapturzoną postać, która wspięła się na mury i nie spuszczała z oczu Bardżana. Łucznik wypuścił strzałę. Doświadczenie mówiło mu bezbłędnie, gdzie trafi, gdy była jeszcze w połowie lotu. Odetchnął z ulgą. Kashim nie miał szans wejść pod pocisk. Wtedy jednak zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

Strzała, jakby pchana niezmierną siłą, zaczęła zbaczać z toru. Leciała teraz prosto w plecy uciekiniera i lawirowała w powietrzu na oczach zaskoczonych tłumu. Gdyby ktoś odwrócił się w tył i spojrzał na mury, zobaczyłby, że spod płaszcza dziwnej postaci wystaje pokryta łuską, szponiasta ręka, która porusza się dokładnie tak samo jak pocisk.

Przeraźliwy ból szarpnął Kashimem, który był już dobre sto pięćdziesiąt kroków od muru. Strzała weszła w jego bark tuż powyżej łopatki, a potem wyszła pod obojczykiem. Al'Shannagg padł twarzą w piasek, lecz natychmiast się podniósł. Biegł dalej chwiejnym krokiem.

Tajemnicza postać zeszła z murów. Ciemnymi uliczkami ruszyła w stronę pałacu. Czuła ulgę, wiedząc, że dziś zażegnane zostało wielkie niebezpieczeństwo.

*

Przy pasterskiej furtce czekało niecierpliwie trzech mężczyzn. Jeden był stary, miał siwą brodę i krzaczaste brwi. Kwadratowe szczęki i szerokie bary pozostałych dwóch sprawiały, że wyglądali jak najemni rozrabiacy.

— Jedźmy już, ojcze! — rzekł pierwszy. — Ucieknijcie nam!

— Milcz, Kusah! Nie będę ryzykował bez sensu. Gdyby ktoś zobaczył, że pojechaliśmy za skazańcem...

— Nikt nie zobaczy, ojcze. Zbliża się noc!

— Milcz, powiadam!

W tym momencie z bocznej uliczki wybiegł spocony goniec. Dyszał ciężko, bo całą drogę od głównej bramy przebył zaledwie w cztery minuty.

— Dobrze wieści, szlachetny panie! Kashim... został trafiony.

Iznak Makhar'ad uśmiechnął się i wyszczerzył nadgniłe zęby.

— Widzicie, synkowie! Nie musimy brudzić rąk. Najwyższy sam osądził to ścierwo.

*

Kashim biegł pół godziny, odwracając się w tym czasie jedynie trzy razy. Tel'Halik zniknęło mu już z oczu. Tylko Piaskowa Iglica widniała jeszcze nad wydmami. Chwilę wcześniej złamał i wyciągnął z barku strzałę. Krew ciekła z niego, a jad zaczął już piec żyły. Wojownik nie poddawał się jednak. Wiedział, że przed zmierzchem musi się znaleźć daleko od miasta. Było wielu ludzi, którzy pragnęliby mieć pewność co do jego śmierci.

Biegł na północny zachód. Zamierzał zatoczyć łuk i dotrzeć do oazy Hazmud. To jedyne miejsce w Ocalonej Krainie, gdzie mógł liczyć na medyka i schronienie. Przy dobrym tempie dzieliło go od celu półtora dnia nieustannego marszu. Z przerwami dawało to ponad dwa dni. Bez wody powinien tyle wytrzymać, jednak rana bardzo pogarszała sprawę. Żmijowy korzeń nie działał prędko, lecz dwa dni mogły mu wystarczyć...

Zapadła noc. Kashim dygotał z zimna i szedł wśród posrebrzonych światłem księżycy wydm. Miał na sobie tylko prosty chałat i spodnie, zdecydowanie za mało na zimową noc. Na dodatek jego ponure przypuszczenia zaczęły się sprawdzać. Rana paliła żywym ogniem, który pełzł wzdłuż żył i rozchodził się po całym ciele. Kashim nie docenił mocy trucizny. Zaczął wątpić, czy dożyje przyszłego dnia.

Około północy, gdy księżyc stał wysoko na niebie, półprzytomny już Kashim usłyszał za sobą tętent kopyt. Wbił wzrok w ciemność. Bał się, że ścigają go Nocne Jastrzębie albo synowie Iznaka. Nagle jego oczom ukazał

się samotny jeździec, który prowadził na sznurze objuczonego saura. Kashim aż krzyknął z radości.

— Nahar!

— Nie myślałeś chyba, że cię zostawię?

Al'Iarnak podjechał i zeskoczył z konia. Podał Kashimowi manierkę, którą ten zaraz opróżnił łapczywie.

— Do diabła. Źle wyglądasz — powiedział Nahar.

— Trucizna. Muszę szybko dotrzeć do oazy. Amid zdoła mi pomóc.

— Zawieźć cię tam?

— Nie. I tak dużo ryzykujesz. Poradzę sobie sam.

Al'Iarnak skinął głową.

— Co masz teraz w planach? — spytał. Kashim zawahał się, a potem opowiedział pokrótce o Jasnowłosym.

— Muszę z nim porozmawiać. A potem zdecyduję. Nie mogę ukrywać się długo u Celbala, więc ruszę na Żelazne Wzgórza albo za martwe piaski.

— Do Marrenvan?

— Jeśli wierzyć Jasnowłosemu, tam są inne plemiona i inne miasta. Zresztą, co mam do stracenia? W Ocalonej Krainie zabrakło dla mnie miejsca. Ale ty idź już. Musisz wrócić do domu głęboką nocą, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń.

Nahar stał chwilę bez słowa, jakby nad czymś myślał.

— Co byś powiedział, gdybym zechciał jechać z tobą? — rzekł w końcu.

Kashim widział, że oczy przyjaciela błyszczą w mroku, że jest rozpalony marzeniami o dalekich krainach.

— Nie. Masz rodzinę i dom. Przecież nie wiem, czy Brenvan mówi prawdę. Może jest demonem, a ja trafię do Marrenvan? Poza tym kto zadba o moją rodzinę? Nie, Nahar. W Tel'Halik musi zostać kilku porządnym ludzi.

Zawiedziony młodzieniec opuścił głowę.

— Zobaczymy się jeszcze? — spytał.

— Nie wiem.

Uścisnęli się, a Nahar powiedział:

— Oby spotkało cię szczęście, gdziekolwiek poniesie droga. Wróc kiedyś do Tel'Halik. Zima nie trwa wiecznie. Vezamar jest stary. Kto wie? Może nie zagrzeje na długo miejsca w Piaskowej Iglicy. W jukach masz swoją szablę i pancerz, które odzyskałem od nadzorcy więzienia. Będą ci przypominać o mieście wśród piasków.

— Dziękuję. Źle bym się czuł w podróży bez tego ostrza. Wrócę. Możesz

być tego pewien. Żegnaj.

— Żegnaj, przyjacielu.

Uścisnęli się serdecznie i chwilę potem odjechali w przeciwnie strony świata. Nahar popędził co koń wyskoczy w stronę miasta, a Kashim, chwiejąc się w siodle, skierował się na zachód, gdzie wśród wydm tkwiła samotnie osada Hazmud.

Saur otrzymany od przyjaciela uratował Kashimowi życie. Trucizna osłabiała bardzo szybko. O świcie, zmożony gorączką, leżał już bezwładnie na karku gada. Czuł, jakby ktoś tłoczył mu do ciała roztopiony ołów.

Gdy wyjechał z za wzniesienia, na powitanie natychmiast wybiegł Celbal i inni mieszkańcy Hazmud.

— Wiedziałem, że pan się tu pojawi, paniczu Kashimie. Modliliśmy się, żeby ten przeklęty jad nie zwałił pana z nóg.

— Jest... źle... Celbal — wyrzęził Kashim.

— Na Najwyższego! Panicz aż płonie z gorączki! Biegiem, synkowie! Zanieście szlachetnego pana do izby! I przyprowadźcie natychmiast Amida!

Gdy wnoszono go do domu, Kashim zobaczył nad sobą szeroką twarz białoskórego.

— Nie mamy szczęścia, wojowniku z pustynnego miasta — rzekł Brenvan. — Najpierw ja, teraz ty.

Kashim chciał wezwać Celbala i okrzyknąć go za to, że jeniec chodzi wolny, lecz nie miał sił. Poczul, że spada. W końcu pogrążył się w ciemności.

Przez dwa dni bredził w malignie, a Amid wychodził wprost ze skóry, by utrzymać rannego przy życiu. W tym czasie Kashim podróżował przez krainę okropnych majaków. Widział wyszczerzoną w uśmiechu Bestię, nalaną twarz paszy, złe oczy Vezamara. Widział swoich żołnierzy, jak umierają w walce z białoskórymi. Słyszał łkanie Jelayi, a zaraz potem śmiech Dahala. Zapachy, głosy i twarze mieszały mu się przed oczyma, tworząc nieskładny potok. Nade wszystko wyryła mu się jednak w pamięci postać zjawy.

W jednym ze snów leżał na łóżku, wśród porytej szczelinami, krwistoczerwonej ziemi, którą widział już tyle razy w koszmarach. Obok łóżka stała bez słowa Ona — jak cierpliwa matka, która czuwa nad chorym dzieckiem. Kashim chciał krzyknąć, wyrzucić z siebie cały żal. Dlaczego ciągle go dręczyła? Dlaczego przynosiła tyle nieszczęścia? Nie mógł jednak wydobyć głosu. Kobieta tymczasem otworzyła powieki. Kashimowi wydawało się, że gdzieś w głębi jej pustych oczodołów widzi światło. Jakby

odległą bramę do innego świata. Tymczasem wargi zjawy poruszyły się, wionąc trupim odorem. „Masz siłę moją i siłę Sammara zmieszane w jednym ciele. Żaden jad tego świata nie zdoła cię zabić. Czas, żebyś zobaczył!”, rzekła, po czym wyciągnęła dłonie, naznaczone piętnem zgnilizny. Al’Shannagg nie mógł przed nimi uciec. Nie potrafił nawet mrugnąć powieką. Czubki palców dotknęły jego oczu. W tym momencie wrzasnął z bólu. Zjawa rozplynęła się w powietrzu wraz z krajobrazem. Zostało tylko łóżko.

Kashim leżał w pachnącej pościeli, a oczy raził mu promień światła, który wpadł przez okno. Na stole obok stał półmisek owoców. Wojownik poczuł nagle niesamowity, skręcający kiszki głód. Wstał z łóżka i gdy tylko zrobił jeden krok, runął z hukiem na podłogę. Przewrócił przy tym stół, a owoce rozsypały się po pokoju. Zaraz do sypialni wbiegł Celbal.

— Paniczu Kashim. Proszę nie wstawać! Jest pan bardzo osłabiony. Trzeba wołać! Moi synowie zaraz przyniosą jedzenie.

— Celbal?

— Tak, paniczu?

— Jasnówłosa jeszcze tu jest?

— A gdzie miałby być? Kręci się po okolicy i straszy mi dziewczki.

— Nie uciekł?

— Skąd! Z początku się tego bałem i chciałem go nawet trzymać w zamknięciu, ale obiecał, że nie zbiegnie. Przysięgał na jakiś kowa... kewaleryjski honor.

Kashim odetchnął z ulgą.

— Więc jak z tym jedzeniem? — spytał.

*

Był wieczór trzeciego dnia od wygnania Al’Shannagga. Nahar skończył służbę i wracał do domu niemal pustymi ulicami. Nie miał sił ani ochoty, by wstąpić do Rozbitej Amfory. Zresztą odkąd zabrakło Kashima i Dahala, nie zjawiał się tam często.

Gdy skręcił w ulicę, przy której stała rodowa posiadłość, zauważył coś niepokojącego. Przed jej bramą czekało kilku Czerwonych Turbanów wraz z dwoma Jastrzębiami. Żołnierz zastanawiał się chwilę, czy nie lepiej byłoby zawrócić, jednak odwaga zwyciężyła. Poprawił broń i ruszył w stronę bramy. Złe przeczucia okazały się prawdziwe. Czekali właśnie na niego.

— Święty Jeździec Nahar Al’Iarnak?

— Tak. Czemu stoicie pod domem mojego rodu?

— Mamy rozkaz doprowadzić cię do Pałacu Sprawiedliwych.

Przez otwartą bramę Nahar widział, jak Czerwone Turbany przetrząsają wille. Jego ojciec wraz z braćmi stali wściekli w ogrodzie, jednak nie protestowali.

— Pod jakim zarzutem? — spytał.

— Rozprowadzania heretyckich pism proroka Zerakhima.

— Co? Ja... —

Nie kłam! — wtrącił się drugi Jastrząb. — Znaleźliśmy w twoich komnatach to.

Wyciągnął spod płaszcza kilka zwojów, których Nahar nigdy nie widział. Zrozumiał, że został w coś uwikłany. Jeden z Jastrzębi uśmiechnął się paskudnie.

— Pójdiesz po dobroci czy chcesz walczyć?

*

Kashim nie mógł dłużej narażać Celbala. Każdy kolejny dzień zwiększał szansę na to, że jakiś zabłąkany podróżnik czy patrol Świętych Jeźdźców zawita do oazy. Gdy tylko odzyskał siły, zaczął przygotowywać się do drogi. W słoneczne południe, gdy z białoskórym ładował na saury zapasy wody, uznał, że nadszedł czas, by porozmawiać z nim o dalszych planach.

— Wiesz, czemu musimy wyjechać? — spytał.

— Wiem, wojowniku. Gdy cię nie było dużo rozmawiałem z Celbalem. Wielu rzeczy wciąż nie rozumiem, ale przynajmniej zdaję sobie sprawę z tego, jak działa wasze pustynne królestwo. Przykro mi, że przeze mnie zostałeś banitą.

— Nie przez ciebie. To, że straciłem oddział, było zaledwie oficjalną przyczyną. Zaważyły inne zdarzenia, z czasów daleko poprzedzających twoje nadejście, białoskóry.

— Opowiesz mi?

— Może kiedyś.

— Mówiłeś, że masz mnóstwo pytań, a nie jeszcze zadałeś ani jednego. Na Werazara! Nawet nie spytałeś, skąd znam wasz język!

— My, ludzie pustyni, jesteśmy cierpliwi, Brenvanie. Najpierw musimy znaleźć się daleko od Tel'Halik. Potem będziemy rozmawiać.

— Wiesz już, dokąd jechać?

— Ciągłe się zastanawiam.

— Posłuchaj! Darowałeś mi życie i gościłeś, jeśli dobrze rozumiem, pomimo wielkiego ryzyka. Mam honorowy dług. Jedźmy na wschód — za

pustynię, za kraj Marovian. W zamku mojego ojca, lorda Caerleigh, dostaniesz schronienie tak długo, jak tylko zechcesz.

— Nie wiem, białoskóry. Mam tu wiele rzeczy do zrobienia.

Zza palmy wyszedł Celbal.

— Wybacz, paniczu, że się wtrącam nieproszony, ale tutaj może panicz już tylko wpaść w ręce siepaczy Vezamara i zginąć. Jeśli to, co mówi białoskóry, jest prawdą, za pustynią są żyzne, zielone krainy. Ktoś z Ocalonego Ludu powinien je zobaczyć, by donieść nam, jeśli Księga się myli...

Kashim opuścił głowę i myślał chwilę, rozważając wszystkie za i przeciw.

— Dobrze — rzekł wreszcie. — Ruszymy w stronę wschodzącego słońca. Ku Twoim ziemiom.

Do końca dnia prawie ogołocili oazę z zapasów. Wzięli trzydzieści skór wody, cztery juki jedzenia i osiem juków paszy, a także osiem saurów. Droga, według wyliczeń Brenvana, miała im zająć półtora miesiąca.

Następnego ranka, gdy tylko słońce zaczęło się budzić i oblało oazę szarzyną świtu, wyruszyli w drogę. Celbal żegnał ich, stojąc na ganku, dopóki nie zniknęli daleko na horyzoncie. Kashim i Brenvan pogonili wierzchowce. Chcieli jak najszybciej opuścić ziemie Ocalonego Ludu i wjechać na bezludne pustkowia, które ciągnęły się przez setki farsangów. Al'Shannagga czekał za nimi nowy świat. Miał stać się częścią zdarzeń, o jakich nie śnili nawet mieszkańcy Tel'Halik.

*

Gdzieś bardzo daleko stamtąd, dalej niż może dotrzeć największa nawet karawana, dwie kobiety siedziały na zielonej łące. Trawa falowała, poruszana podmuchami ciepłego wiatru, który niósł z sobą zapach kwiatów. Krajobraz wyglądał jak soczyste równiny Learfeld, lecz z dwoma wyjątkami. Niebo, pozbawione słońca, było bordowe i rzucało na ziemię dziwny, rozproszony blask. Na dodatek sama ziemia miała tylko pięćset stóp średnicy i kończyła się stromą przepaścią. Łąka była wyspą, która płynęła w powietrzu przez bezkresne, czerwone otchłanie.

Pierwsza z kobiet wyglądała jak boginka natury. Nosiła wieniec z kwiatów i białą, długą koszulę. Na jej plecach spadała burza kręconych rudych włosów. Miała kształtne biodra, pełne piersi i drobną, uroczą twarz.

Od drugiej wionął zimny powiew. Błada, czarnowłosa, o niepokojących szmaragdowych oczach. Była też chuda, a właściwie wychudzona. Paznokcie

miała proste i błyszczące, długie na niemal pół stopy.

— Stało się — powiedziała pierwsza miękkim głosem. — Dziecko dwóch krwi wyruszyło na wschód, a Wielki Wąż zadrżał w komnatach Asar'Aden. Architekt Świata wkrótce się obudzi. Nasz czas się kończy, Eyul.

— Nie wiadomo, Saari. Werazar, Gaavr i inni nie odejdą łatwo. Będą walczyć.

Eyul pokręciła głową.

— Tylko głupcy próbują powstrzymać koło dziejów. Na pewno im się nie uda.

— A jednak. Są silni. My straciłyśmy nasze dzieci, lecz ich krew wciąż się mnoży. Mogą się przeciwstawić Architektowi.

— Wtedy, droga Saari, nastąpi koniec. Kres wszechrzeczy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Już wkrótce:

Krzysztof Piskorski - Cienioryt

Urok siedemnastowiecznych zaułków, nonszalancja oraz tempo opowieści spod płaszcza i szpady, tajemnice rodem z książek Arturo Pereza-Reverte oraz odrobina magii tak charakterystyczna dla literatury iberoamerykańskiej. Wszystko to składa się na Cienioryt, nową powieść Krzysztofa Piskorskiego, jednego z najzdolniejszych twórców polskiej fantastyki.

W portowym mieście południa, Serivie, każdy cień jest oknem do groźnej i niezbadanej cieńprzestrzeni, w której tunele ryją adepci tajemnych sztuk. Sześciu grandów walczy o wpływy trucizną, zdradą i stałą, małoletni król z trudem trzyma się przy władzy, a inkwizycja rośnie w siłę.

Ale to wszystko sprawy, które trudno obserwować z okna małej izby przy ulicy Alaminho, gdzie mieszka Arahon Caranza Martinez Y'Grenata Y'Barratora, doświadczony nauczyciel szermierki. Arahon pragnie jedynie zapewnić bezpieczeństwo bliskim i odłożyć dość pieniędzy, by opuścić miasto. Przynajmniej do czasu, gdy w jego ręce wpada cienioryt — wypalony na szkłe obraz przedstawiający tajemniczą postać...

*

Cienioryt to nie tylko bogata, pięknie napisana powieść, pełna zaskakujących zwrotów akcja, ale także galeria bohaterów, którzy na długo pozostają w pamięci.

W Serivie cień potrafi rzucić człowieka, odległe o wiele mil drzwi mogą się łączyć, zwykły uścisk dłoni przynosi czasem tragiczne skutki, a słońce ma czarnego brata bliźniaka. Podróż do tego miejsca to niezapomniane przeżycie. Szczególnie w towarzystwie tajemniczego narratora powieści.

Cienioryt Krzysztofa Piskorskiego to literacki dwupak: porywająca przygoda w konwencji płaszcza i szpady, a zarazem światotwórstwo najwyższej klasy, dobrze przemyślane i — co rzadkie — odbijające się w samym sposobie poprowadzenia fabuły. Ten świat tak łatwo wciąga czytelnika, a światłocieniowy koncept Piskorskiego prędko wydaje się naturalny i oczywisty, być może dlatego, że został oparty na najdawniejszych intuicjach ludzkości: w cieniu kryć może się wszystko, a każdy człowiek ma swojego czarnego bliźniaka, cień jego myśli, czynków i snów.

Jacek Dukaj

Po lekturze Cieniorytu Krzysztofa Piskorskiego wyrażenie „bać się własnego cienia” nabiera nowego, mrocznego znaczenia. Świetnie napisana opowieść fantasy, barwny świat, ciekawi bohaterowie i język ostry jak klinga rapiera. Polecam.

Tomasz Majewski - lekkoatleta, Mistrz Olimpijski w pchnięciu kulą

Strona redakcyjna

Copyright © by Krzysztof Piskorski

Korekta i skład: Paweł Dembowski

Ilustracja na okładce: Jean-Léon Gérôme

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-937597-0-5

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Przypisy:

[1]

Oryg. Al-Buhturi, *Diwan*, t. I, s.17 [przypis autorski]

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Przedmowa do wydania poprawionego](#)

[Rozdział 1. Radość w Tel'Halik](#)

[Rozdział 2. Pajęcza sieć](#)

[Rozdział 3. Krew i wino](#)

[Rozdział 4. Jastrzębie](#)

[Rozdział 5. Bestia](#)

[Rozdział 6. Brama niebios](#)

[Rozdział 7. Nowe porządki](#)

[Rozdział 8. Jeźdźcy zachodu](#)

[Rozdział 9. Dziewiętnasty prorok](#)

[Rozdział 10. Powrót do domu](#)

[Rozdział 11. Skała Sępów](#)

[Rozdział 12. Odpowiedzi](#)

[Rozdział 13. Znów w drodze](#)

[Rozdział 14. Dzień Krwi](#)

[Rozdział 15. Zdrada!](#)

[Już wkrótce:](#)

[Krzysztof Piskorski - Cienioryt](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Przypisy](#)